

RACHEL CAINE



**AUTORKA
ŻONY
MORDERCY**

**POLOWANIE
NA MORDERCĘ**



**TO BOLI, BO SŁYSZĘ GO W MOJEJ GŁOWIE.
WZOROWY MAŻ, KOCHAJĄCY OJIEC, BRUTALNY MORDERCA.
TYM WŁAŚNIE BYŁ.**

FILIA

RACHEL CAINE

**POLOWANIE
NA MORDERCĘ**

Przełożył
Adrian Napieralski

FILIA

Spis treści

Karta tytułowa

PROLOG

1. GWEN

2. GWEN

3. SAM

4. LANNY

5. GWEN

6. SAM

7. GWEN

8. SAM

9. GWEN

10. GWEN

11. SAM

12. GWEN

13. SAM

14. GWEN

15. GWEN

16. SAM

17. CONNOR

18. SAM

19. GWEN

EPILOG. GWEN

Ścieżka dźwiękowa

Karta redakcyjna

PROLOG

Cztery dni wcześniej

Kiedy Ellie White dowiedziała się od nauczycielki, pani Willingham, że kierowca zjawi się wcześniej, żeby odebrać ją ze szkoły, dziewczynka szybko się zorientowała, że nie usłyszała całej prawdy. Pan Lou nigdy nie przyjeżdżał przed czasem, chyba że źle się czuła.

– Dlaczego? – zapytała. Lubiła zadawać pytania, kiedy czegoś nie rozumiała. Owszem, miała tylko sześć lat, ale tata zawsze kazał jej to robić, kiedy coś wydaje się jej niejasne. Mama czuła się nieco zakłopotana, widząc, z jakim zaangażowaniem to robiła.

– Cóż, wydaje mi się... że to twój tata sam go o to poprosił – odparła pani Willingham. Była miłą kobietą o brązowych włosach przetykanych pasmami siwizny i dobrą nauczycielką. Nigdy nie traktowała Ellie inaczej niż inne dzieci, choć wiedziała, że ojciec dziewczynki dysponował sporym majątkiem. Nie robiła tego nawet dlatego, że skóra Ellie była ciemnobrązowa, ciemniejsza niż w przypadku innych dziewcząt, u większości których odcień skóry kojarzył się raczej z kartkami papieru.

– Tatuś tak nie robi – uznała Ellie. – Coś jest nie tak.

Pani Willingham zerknęła na nią przelotnie.

– Twoja mama zachorowała, więc tata wysłał samochód, żeby cię stąd zabrać prosto do szpitala. Rodzice w tej chwili tam są. Dobrze? – Pomogła Ellie założyć sweterek, za którym dziewczynka nie przepadała, ale którego nie chciałyby zostawić w szkole. I jeszcze plecak.

– Pani Willingham? – Ellie spojrzała na nauczycielkę. – Czy pani płacze?

– Ależ skąd, kochanie. Wszystko jest w porządku. Chodźmy, czas już jechać. Kierowca czeka.

– Czy tatuś pamiętał o haśle?

– Powiedział hasło – zapewniła ją pani Willingham. – Dzisiaj brzmi ono „kos”, prawda?

Ellie przytaknęła. W czwartki hasłem był „kos”. Każdego dnia za hasło służył inny gatunek ptaka. Lubiła ptaki, a mama zawsze nazywała ją „małym koliberkiem” w nawiązaniu do tego, jak szybko potrafiła się przemieszczać. Niedzielnym hasłem był „koliber”.

Pani Willingham zeszła po schodach szkoły, by zamienić kilka słów z panem Lou, który czekał w samochodzie zaparkowanym na dróżce biegnącej między wejściem a dużą, marmurową fontanną. Obowiązywała zasada, że Ellie nie wolno zbliżyć się do auta, dopóki pani Willingham jej na to nie zezwoli. Rozmowa nauczycielki z kierowcą przedłużała się, a po jej policzkach płynęły łzy.

Tego dnia było parno i wilgotno, jednak fontanna zawsze sprawiała wrażenie przyjemnej i uroczej. Woda wytryskiwała z kilku betonowych muszli i spadała do jeszcze większej muszli w samym środku. Mama opowiedziała jej kiedyś, że w środku zamieszkała piękna kobieta, ale rodzice dzieci zmusili władze szkoły, by ją stamtąd wyrzuciły, więc ta przeniosła się do jakiejś szafy. Dziewczynka uważała tę historię za bardzo smutną.

Pani Willingham cofnęła się do schodów i uchwyciła dłoń Ellie, która podniosła wzrok.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła ją nauczycielka drżącym głosem. Miała zaczerwienione oczy. – Bardzo mi przykro, kochanie, ale muszę to zrobić. Ja też mam rodzinę.

Ellie zrobiło się jej żal.

– Czy z pani rodziną wszystko jest w porządku, pani Willingham?

Nie chciała doprowadzić kobiety do łez.

– Tak, Ellie, wszystko jest w porządku. Pomożesz mi sprawić, że tak pozostanie?

Dziewczynka nie wiedziała, w jaki sposób miałyby to zrobić, ale pokiwała głową. Lubiła pomagać, nawet jeśli nie była pewna, dlaczego pani Willingham w ogóle ją o to prosi.

Nauczycielka otworzyła drzwi i pomogła jej wsiąść, co zazwyczaj robił pan Lou. Po chwili ją przytuliła.

– Bądź silna, Ellie. Niczym się nie martw.

– A co z pani rodziną? – zapytała dziewczynka. – Nie jedzie pani ze mną,

żebyśmy mogły im pomóc?

Pani Willingham zakryła usta i pokręciła głową, a po jej twarzy spłynęły kolejne łzy. Zatrzasnęła drzwi i w tej samej chwili Ellie miała już całkowitą pewność, że coś jest nie tak. Pani Willingham ją okłamała, choć nie wiedziała dlaczego.

Nagle Ellie przekonała się, że sprawy wyglądają dużo gorzej, niż się jej wydawało. Marka samochodu się zgadzała, jednak w środku nie pachniało tak, jak zazwyczaj – kokosem, który tak lubiła.

– Panie Lou? – zawołała w stronę kierowcy. Zamek zatrzasnął się z głośnym stuknięciem. Zobaczyła go na przednim fotelu – potężnego mężczyznę w czapce. Poczowała się jeszcze mniejsza na swoim siedzeniu. Kiedy samochód ruszył, szybko zapięła pas. Pan Lou nigdy by nie odjechał, nie upewniwszy się wcześniej, czy to zrobiła. – Panie Lou? Co się stało mamie? Pani Willingham powiedziała...

Przerwała w pół zdania, gdyż prowadzący samochód mężczyzna nie był panem Lou. Oczy, które zobaczyła we wstecznym lusterku, należały do kogoś innego.

– Zapnij pas – polecił obcy. Zdecydowanie nie był to głos pana Lou. Poza tym pan Lou dodałby słowo „proszę”.

– Już to zrobiłam – odparła. Bała się, ale nie chciała tego okazywać. – Zna pan hasło?

– Kos. Zgadza się?

– Kim pan jest?

– Kimś, kto zabierze cię w bezpieczne miejsce. Tak, jak chciałby tego pan Lou. Prawda?

– Zadzwoń do taty – powiedziała Ellie i rozpięła plecak, by wyciągnąć telefon komórkowy.

Nie znalazła go w zwyczajowym miejscu. Z pewnością nie zostawiłaby nigdzie telefonu. Był drogi i ważny, a ona zawsze chowała go w tej samej kieszonce.

Poczowała napływające do oczu łzy, ale powstrzymała się od płaczu. Ten, kto zabrał jej telefon, z pewnością zechciałby, żeby się rozplakała. Ktoś, kto grał w tę paskudną grę.

– Kim pan jest?

– Nikim – odpowiedział kierowca. – Siedź cicho.

Skręcił kierownicą i SUV wjechał na główną drogę. Próbowwała się zorientować, dokąd jada, ale szybko się pogubiła. Nigdy wcześniej nie musiała zwracać na coś takiego uwagi. Szkoła zniknęła za wzgórzem, samochód pokonywał kolejne zakręty, a ona nie miała pojęcia, gdzie się znajdują.

Nie wiedziała, co robić dalej. Tata zawsze jej powtarzał, że istnieją zli ludzie i nie powinna z nimi nigdzie jechać, jeśli nie wypowiedzą hasła, ale ten człowiek znał hasło, a ona nie mogła nacisnąć przycisku alarmowego, skoro przypadł jej telefon.

– Proszę mnie wypuścić – powiedziała, starając się nadać swoim słowom ton, którego użyłaby mama: chłodny i rzeczowy. – Może się pan tutaj zatrzymać.

– Zamknij się – warknął kierowca. – Przestań gadać, bo zakleję ci usta taśmą.

To przstraszyło ją jeszcze bardziej niż świadomość, że siedzi w obcym samochodzie i nie ma telefonu. Znów jednak nie chciała tego okazać. Nie zamierzała się rozplakać. Rozejrzała się, próbując wpaść na jakiś pomysł. Drzwi nie dadzą się otworzyć, to samo z oknem. SUV miał przyciemniane szyby, podobnie jak samochód pana Lou. Ich zadaniem była ochrona przed promieniami słońca, ale jednocześnie nie pozwalały zaglądać innym do środka.

Do Ellie dotarła straszliwa prawda. Była tylko cieniem wewnątrz czarnego samochodu z przyciemnianymi szybami, nikt nie mógł jej zobaczyć i nie wiedziała, jak temu zaradzić.

Kiedy zaczęła wołać o pomoc w kierunku przejeżdżających samochodów, kierowca zjechał z drogi, zaparkował pod mostem wśród zielonych drzew, po czym zakleił jej usta taśmą, którą również obwiązał nogi i ręce. Następnie zaniósł ją na tył SUV-a.

Bagażnik był pusty, nie licząc śpiwora z księżniczkami Disneya. Krzyczała pod taśmą, wiała się i próbowała uwolnić, ale ułożył ją na śpiworze i pokręcił głową.

– Śpij – rzucił, ścierając pot z twarzy. – Mamy przed sobą długą drogę. Jak będziesz się dobrze zachowywać, to za parę godzin dam ci coś do

zjedzenia. Za kilka dni będziesz w domu i wszystkim opowiesz niesamowitą historię.

Tata zawsze jej powtarzał: jeśli znajdziesz się wśród złych ludzi, nie wierz w to, co mówią.

W ogóle nie wierzyła, że wróci do domu.

Wystraszyła się nie na żarty, kiedy poczuła smarki w nosie, a taśma na ustach zaczęła utrudniać jej oddychanie, więc przestała się szamotać i zaczęła brać powolne i regularne wdechy. Nadal się bała, ale była też wyczerpana i w końcu zamknęła oczy, próbując sobie wyobrazić, że jest w innym miejscu, w domu ze swoją mamą.

Fantazjowała tak mocno, że w końcu zasnęła na kolanach matki. Kiedy się obudziła, chciała dać mężczyźnie znać, że musi natychmiast iść siusiu, ale ten rozmawiał przez telefon. Stali w ciemnościach w lesie.

Dostrzegł jej ruch i się odwrócił. Przez przednią szybę ujrzała zakręt i przesuwające się po nim światła. Coś jechało prosto w ich stronę.

Chciała krzyknąć, ostrzec go przed drugim samochodem, ale ten tylko się skrzywił.

– Mówiłem, żebyś się zamknęła...

Drugie auto uderzyło w nich z impetem, wszystko się wywróciło, a Ellie wydawało się nawet, że usłyszała krzyk mężczyzny.

Pomóż mi, chciała powiedzieć, ale była zbyt przerażona i obolała.

Wtedy przestał krzyczeć i zapadła cisza.

1

GWEN

Szerokie, ciemne oko telewizyjnej kamery źle mi się kojarzy. Bardzo źle. Z całych sił próbuję sobie przypomnieć, dlaczego tutaj siedzę. Jestem tu po to, by opowiedzieć swoją historię, szczerze i bez ogródek.

Inni zbyt długo już mnie w tym wyręczają, kłamiąc na mój temat i na temat moich dzieci.

W mediach trąbią o tym wszystkim już od miesięcy: zbiegły seryjny morderca porywa swoją byłą żonę! Strzelanina w miejscu zbrodni! Słowa zawsze są sformułowane tak, by zapewnić najbardziej upiorny efekt, i zawierają przynajmniej pobieżną informację o tym, że zostałam aresztowana jako współwinna.

Czasami pamiętają, by dodać, że zostałam uniewinniona, najczęściej jednak pomijają ten jakże istotny szczegół. Moją skrzynkę zawałyły maile od dziennikarzy, więc ostatecznie ją wyłączyłam i całkowicie zignorowałam. Przynajmniej połowa spośród nich wybrała się na długą przejażdżkę do Stillhouse Lake z nadzieją, że otworzę drzwi i opowiem swoją wersję.

Nie byłam jednak aż tak głupia, by wpakować się w coś bez wcześniejszego rozpoznania. Przed występem w telewizji przez niemal miesiąc negocjowałam gwarancje dotyczące pytań, które zostaną mi zadane. Wybrałam *Howie Hamlin Show*, gdyż jego prowadzący słynął z tego, że odnosił się ze współczuciem do innych ofiar i walczył o sprawiedliwość.

Kiedy jednak zajmuję miejsce na fotelu przed wywiadem, nadal czuję się do niego nieprzygotowana. Nie spodziewałam się w ogóle ani takiego poziomu paniki, ani łaskoczącego mnie w kark potu. Fotel jest za głęboki, a ja siedzę na jego skraju, bezbronna i krucha. Ta kamera. Już mi się wydawało, że potrafię się opanować na jej widok, ale tak nie jest. Może już nigdy sobie z tym nie poradzę.

Kamera wciąż się gapi.

Wszyscy są tacy odprężeni. Operator kamery – żeby nie szukać za daleko – gawędzi z kimś innym z dala od sprzętu i jego wiecznie wybałuszonego oka. Gospodarz programu dyskutuje z kimś w półmroku za sceną, wśród kłębiących się przewodów. Ja jednak czuję się przyszpilona w miejscu i za każdym razem, kiedy mrugam, widzę *tamtą* kamerę, ustawioną na trójnogu w zrujnowanym domu na plantacji w Luizjanie.

Widzę mojego byłego męża i jego okrutny uśmiech. Widzę krew.

Zignoruj to.

Studio jest mniejsze, niż mi się wydawało. Scena składa się z krótkiego podestu i trzech foteli rozstawionych wokół połyskującego stolika. Leży na nim kilka książek, ale jestem zbyt zdenerwowana, żeby się im przyjrzeć. Zastanawiają mnie trzy fotele. Zawsze stawiają trzy? Nie wiem. Nie pamiętam, choć oglądałam już wcześniej ten program, żeby zorientować się, czego mogę oczekiwać.

Dasz radę, powtarzam sobie i biorę głębokie wdechy. Stawiłaś czoła nie jednemu, a dwóm seryjnym zabójcom. To tylko drobnostka, zwyczajny wywiad. Robisz to dla dzieci, żeby mogły poczuć się bezpieczniejsze. Jeśli pozwolę mediom opowiedzieć tę historię bez mojego udziału, sprawy potoczą się w złym kierunku.

To nie pomaga. Wciąż chcę stąd wybiec i już nigdy nie wrócić. Jedyńm, co trzyma mnie na miejscu, jest widok moich dzieci, Lanny i Connora, które obserwują mnie z pomieszczenia obok. To nieco zaniedbana poczekalnia z dźwiękoszczelnym oknem z widokiem na studio, z której inne osoby mogą oglądać nagranie. Lanny pokazuje mi dwa kciuki uniesione w górę. Siłę się na uśmiech. Pocę się pod makijażem, wiem o tym doskonale. Tak odwykłam od jego noszenia, że czuję, jakbym miała na sobie warstwę duszącej mnie lateksowej farby.

Kulę się odruchowo, kiedy ktoś dotyka mojego ramienia, i odwracam głowę. Stoi przy mnie brodaty facet w czapce z daszkiem, trzymający coś w dłoni. Dużo nie brakowało, żebym go uderzyła. W końcu dostrzegam mały mikrofon z długim przewodem.

– To dla pani, proszę przeprowadzić przewód pod bluzką i przypiąć mikrofon do kołnierza, dobrze? – mówi. Chyba się zorientował, jaka jestem

spłoszona, bo robi na wszelki wypadek krok do tyłu. Wsuwam małe mikrofon pod brzeg bluzki i przesuwam w górę, tak jak mi polecił. Kiwa z zadowoleniem głową i na fotelu za moimi plecami kładzie akumulator. – W porządku, jest pani na żywo.

Mówię coś w ramach podziękowania, choć wcale nie czuję się wdzięczna. Zimny przewód dotyka mojej skóry. Zastanawiam się, czy mikrofon wyłapuje mój płytki, szybki oddech. Poprawiam go, tak dla pewności.

– Dwie minuty – woła ktoś z półmroku.

Prostuję plecy. Gospodarz wciąż krąży gdzieś poza sceną. Czuję się przeraźliwie samotna i odsłonięta. Zapalają się światła i oślepiają mnie. Powstrzymuję się przed zasłonięciem oczu dłonią. Splatam palce, żeby nie zaczęły się czymś nerwowo bawić.

Po informacji o jednej minucie pozostałej do początku nagrania gospodarz wchodzi na scenę. Jest dobrze zbudowanym mężczyzną w średnim wieku o siwiejących na skroniach włosach. Ma na sobie elegancki granatowy garnitur. Natychmiast zastanawiam się, czy nie jestem zbyt kiepsko ubrana. Albo zbyt wyzywająco. Przecież ja taka nie jestem. Zasadniczo nie dbam o takie rzeczy.

Z drugiej strony, nigdy wcześniej nie brałam udziału w programie na żywo. A przynajmniej nie z własnej woli.

– Dzień dobry, Gwen, jak pani samopoczucie? – pyta i wymieniamy uścisk dłoni. Jego dłoń jest ciepła, a moje palce lodowate. – Proszę się o nic nie martwić. Wiem, że to wszystko jest stresujące, ale przeprowadzę panią przez to, dobrze? Po prostu proszę mi zaufać. Trzymam pani stronę.

Kiwam głową. Nie mam w tej chwili żadnego wyboru. Ma ciepły uśmiech i równie ciepłe ręce. Dla niego to normalny dzień w pracy.

Biorę kolejny głęboki oddech.

Mija trzydzieści sekund i rozlega się odliczanie. Ostatnie trzy liczby to nieme ruchy rękami i nagle na twarzy mojego gospodarza rozkwita uśmiech.

Pochyla się nieco w stronę kamery.

– Dzień dobry, witam wszystkich w tym wyjątkowym odcinku *Howie Hamlin Show*. W późniejszej części programu powrócimy do szokującej, wciąż otwartej sprawy porwania małej Ellie White, wcześniej jednak

porozmawiamy na gorący swego czasu temat dotyczący Melvina Royała. W całej tej medialnej wrzawie zabrakło jednego bardzo ważnego głosu, ale dziś mam szczęście gościć tę osobę w moim programie: Gwen Proctor, znana wcześniej jako Gina Royal. Żona niesławnego seryjnego zabójcy Melvina Royała, który został niedawno zastrzelony w Luizjanie podczas czegoś, co można określić mianem niezwykle brutalnego ataku na jego...

Dość tego. Postanawiam mu przerwać.

– Byłą – mówię, a Howard – *Howie* – Hamlin urywa nagle swój dopracowany w szczegółach wstęp. – Przepraszam, że przerywam, ale jestem jego *byłą* żoną. Rozwiedliśmy się dawno temu.

Milczy przez krótką chwilę i podejmuje przerwany monolog.

– Tak, oczywiście, ma pani rację, to moja pomyłka. On był pani byłym mężem w chwili tych wstrząsających wydarzeń. Czyli życzy sobie pani, by teraz nazywać ją Gwen Proctor, a nie Giną Royal, zgadza się?

– To moje nowe nazwisko. – Zmieniłam je oficjalnie, podobnie jak nazwiska moich dzieci. Gina Royal już nie istnieje. Nie istnieje od bardzo dawna, jeśli tak na to spojrzeć.

– Oczywiście. Dobrze, Gwen, chciałbym wprowadzić naszych widzów w tę niezwykłą opowieść... Kiedy Melvin Royal został po raz pierwszy zatrzymany przed kilkoma laty nad ciałem młodej kobiety wciąż znajdującym się w waszym wspólnym domu, została pani oskarżona o pomaganie mu w tych porwaniach. Czy to prawda?

– Tak. I zostałam uniewinniona.

– Zgadza się! – rzuca z zadowoleniem. – Ale krótko po tym zaczęła pani uciekać, zmieniła nazwisko i kilkakrotnie miejsce zamieszkania. Jaka była tego przyczyna, skoro była pani niewinna?

Zaczynam coś wyczuwać i wcale mi się to nie podoba. Coś jest nie tak. Mam wrażenie, że to nie będzie delikatna rozmowa, którą mi zagwarantowano.

– Jestem niewinna, ale pod adresem moim i moich dzieci codziennie wysuwano groźby śmierci. Ciągłe nękanie przez internet, groźby gwałtu i przemocy. Zrobiłam, co konieczne, żeby chronić moją rodzinę. – Nie wspominam o tym, że Melvin też stale nas odnajdywał. Wysyłał listy. To gniazdo żmij, do którego nie chcę już więcej wkładać ręki.

– Nie poszła pani z tym na policję?

– Policja zawsze niechętnie reaguje na anonimowe pogróżki, z czego dobrze zdają sobie sprawę wszystkie ofiary stalkerów. Zdecydowałam się działać, żeby chronić dzieci.

– Rozumiem. Ale co miały zatem na celu te wszystkie przeprowadzki?

– Jedną z rzeczy, z którymi doskonale radzą sobie internetowe trolle, jest znajdowanie ludzi i ciągle robienie z nich ofiar. Dla wielu z nich to po prostu zabawa. Z początku nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale nękanie mojej rodziny było doskonale zorganizowaną akcją. Nadal jest, jestem o tym szczerze przekonana.

– Dlaczego więc jest pani tutaj i podejmuje dalsze ryzyko?

Milczę przez chwilę. Nie chcę udzielić złej odpowiedzi.

– Bo to się dzieje każdego dnia. Doświadczają tego nie tylko celebryci czy osoby takie jak ja, które przyciągnęły czyjąś uwagę. To dotyczy także zwykłych ludzi. Nawet dzieci. A nasze prawo, nasze służby, nie są przygotowane do radzenia sobie z tym problemem. Ale nie jestem tu po to, by ocalić świat, tylko moje dzieci.

– Przed czym tak właściwie?

– Przed dezinformacją – odpowiadam. – Kłamstwami, które zaczynają krążyć i wywoływać większe oburzenie, i prowadzą do jeszcze intensywniejszego nękania. Chcę więc opowiedzieć moją historię. – Samo wypowiedzenie tych słów sprawia, że dygoczę wewnątrz. Za długo już uciekałam. To najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiłam, będąc taka... bezbronna.

– Nasz czas należy do pani – mówi Howie. – Właśnie temu służy ten program.

Robię to. Opowiadam o małżeństwie z moim byłym mężem, o naszym wczesnym życiu, kiedy nie miałam pojęcia, że żądania, które stawiał przede mną w domu, w naszej sypialni, nie były niczym normalnym. Byłam zbyt młoda i zbyt zamknięta w sobie, żeby się na nim poznać. Kazano mi być miłą, czułą, taką, jaką chciał mnie widzieć mój mąż. A kiedy pojawiły się dzieci, było już za późno na słuchanie swojej intuicji. Byłam zbyt wystraszona, żeby szukać prawdy.

Aż do chwili, kiedy prawda dotarła do warsztatu Melvina – do którego

nigdy nie pozwalał mi wejść – w postaci pijanego kierowcy. To tego dnia makabryczne, okrutne zajęcie Melvina po raz pierwszy ujrzało światło dzienne.

Kiedy poruszam się wśród wspomnień, przypominając sobie różne chwile i walcząc ze sobą, Hamlin pochyła się do przodu.

– Gwen, przejdźmy do rzeczy. Musiała pani o tym wiedzieć, prawda? Jakim cudem sprowadzał do domu te młode kobiety bez pani wiedzy?

Próbuję opowiedzieć o jego zamkniętym warsztacie, w którym spędzał całe noce. Hamlin udaje, że słucha, ale tak naprawdę tylko czeka, aż skończę. W końcu ma okazję do wypowiedzi.

– Rozumie pani, dlaczego tak wiele ludzi wątpi w tę historię, prawda? Nie potrafią sobie wyobrazić, że mogła pani spać u boku mordercy i niczego się nie domyślać.

– Proszę zapytać o to dziewczynę Teda Bundy’ego – odpowiadam. – Żonę Gary’ego Ridgwaya. Całą rodzinę Dennisa Radera. Być może istniały jakieś wskazówki informujące o tym, co się działo, ale ja ich wtedy nie dostrzegałam. Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że mógłby robić coś takiego lub że będę zmuszona spróbować go przed tym powstrzymać.

– Spróbować? – powtarza Hamlin.

– On by mnie zamordował, a potem zmusił dzieci do robienia tego, co mu się podoba. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co to mogłoby być, i nawet nie chcę tego robić. Przetrwałam, panie Hamlin. Zrobiłam to dla moich dzieci i będę robiła to dalej, nieważne jaką zapłacę za to cenę.

Jestem stosunkowo zadowolona ze sposobu, w jaki to powiedziałam, ale staję się ostrożna. Dlaczego on mnie tak naciska? Nie na to się umawialiśmy. Miał mi pomagać, a nie przesłuchiwać.

– Wróćmy do pani męża, Melvina Royała. Twierdziła pani, że ścigał ją nawet zza więziennych krat, zgadza się? Czy to był element tego nękania? Z pewnością nie miało to zbyt wiele wspólnego z tymi anonimowymi użytkownikami internetu?

Twierdziła.

Mam ochotę na niego warknąć. Siedzę na tym fotelu jak więzień i bardzo źle się z tym czuję. Nie mogę spojrzeć w kamerę, choć wiem, że ta się we mnie wpatruje. Na granicy mojego pola widzenia majaczy czerwony

podświetlany napis „na żywo”. Próbuję skupić uwagę na twarzy Hamlina, ale wydaje się rozmazana. Wciąż widzę krążących wokół mnie ludzi i to mnie irytuje. Tak bardzo! Nie lubię, kiedy ktoś się przy mnie skrada.

– Gwen?

Dociera do mnie, że gapię się na niego niewidzącym wzrokiem i próbuję przypomnieć sobie zadane pytanie.

Melvin. Mówi o Melvinie.

– Mąż wysyłał mi listy. Ktoś w więzieniu je dla niego szmuglował. Uważamy obecnie, że przekazywał je ludziom z całego kraju do wysłania nawet po swojej śmierci. Z tego, co mi wiadomo, w tej sprawie nadal toczy się śledztwo.

– Zachowała pani te listy? Pokazała je władzom? Policji?

– Pierwsze, które dostałam. – Czuję suchość w gardle. Drżą mi palce. – Wtedy miał już na karku wyrok śmierci. Niewiele mogli zrobić, żeby go ukarać.

– Hmm. – Zastanawia się przez chwilę i na jego twarzy odmalowuje się wyraz skupienia. – I zachowała pani wszystkie te internetowe pogróżki?

Dlaczego we mnie wątpi? Co tu się, do cholery, wyrabia?

– Oczywiście, że tak. Włącznie z dokumentami policji i FBI na temat nękania. Myślę, że nie ma sensu kontynuować tego tematu, skoro uważa pan...

– Twierdzi pani, że wszystko początkowo pochodziło od rodzin ofiar Melvina Royała?

Jestem gotowa, by wstać i odejść, ale wciąż siedzę. Nie miałam ochoty tu przychodzić. Tak naprawdę powiedziałam producentowi, że nie będę odpowiadać na pytania dotyczące ofiar ani ich rodzin. Muszę coś z tym zrobić.

– Nie chcę rozmawiać na temat rodzin ofiar.

– Dlaczego nie? To pierwsze osoby, które skierowały ku pani swój gniew, prawda?

Nie chcę winić rodzin. Nie zamierzam pozostawić po sobie takiego wrażenia.

– Nie obwiniam ludzi, którzy musieli radzić sobie z tak ogromnym ładunkiem żalu i złości. Winię zupełnie inne osoby, które zapragnęły

spełnić swoje własne zachcianki.

– Czy przyniosła pani jakiegokolwiek dowody tego nękania, które moglibyśmy pokazać naszym widzom? Oczywiście po to, by udowodnić pani rację.

Czuję, jak palą mnie policzki i podbródek. Moją rację? Czy ja jestem w sądzie?

– Nie – odpowiadam, usiłując zachować rezon. – Nie przyniosłam. Nie zrobiłabym tego. To ohydne.

– Z tego, co mi wiadomo, nasz producent prosił, by czymś się z nami pani podzieliła, nie mylę się?

Próbowałam. Otworzyłam szufladę, w której trzymałam te okropne rzeczy, starając się znaleźć taką, która nie byłaby aż tak osobista i przerażająca, żeby nie wywołać mdłości, ale nie podołałam temu zadaniu. Wszystko o lżejszym kalibrze potraktowałiby jako dowód zupełnie nieoddający powagi sprawy. Wszystko o cięższym – jako nienadające się do pokazania na wizji.

– Zdecydowałam się chronić dzieci. Wiele spośród tych przekazów dotyczy ich osobiście, a ja nie zamierzam tego upubliczniać. Nie chcę, by ich udręka zmieniła się w telewizyjną rozrywkę. Jestem tu po to, żeby mówić prawdę, a nie pokazywać kłamstwa.

Kiedy to mówię, czuję się przez krótką chwilę spokojna. Mam rację, wiem o tym, i publiczność również to wie.

Wtedy zwraca się w moją stronę.

– Gwen. – Pochyliła się do przodu w fotelu, niczym spowiednik. – Wie pani o istnieniu tego dokumentu?

Mam wrażenie, że fotel roztapia się pode mną, że zapadam się do wnętrza ziemi.

– Jakiego *dokumentu*? – Jestem świadoma, jak bardzo zaakcentowałam to słowo. Nie mogę się powstrzymać. – O co chodzi?

Dostrzegam ledwie widoczny błysk entuzjazmu w jego oczach.

– Dojdziemy do tego za chwileczkę. Najpierw chciałbym nawiązać do nagrania, które wydaje się potwierdzać fakt pani zaangażowania w sprawę byłego męża...

Jaki, kurwa, dokument? Robię głęboki wdech, żeby się uspokoić,

i odpowiadam:

– To nagranie było doskonale spreparowaną fałszywką, co zresztą potwierdziło FBI. Wystarczy zajrzeć do oświadczenia prasowego. Sam fakt, że padło pytanie z tym związane, potwierdza tylko, jakim udrękom muszę stawiać czoła każdego dnia wraz z dziećmi. – Wciąż próbuję oddalić katastrofę. Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić.

– Dobrze, porozmawiajmy o tym. Melvin Royal wydaje się dysponować dużą i wciąż rosnącą liczbą obrońców w sieci, którzy uważają, że albo nie ponosi on winy za to wszystko, co się wydarzyło w całej tej kryminalnej przestrzeni, albo że jest pani temu wszystkiemu na równi winna. Nie uważa pani, że te osoby mają prawo do wyrażania swoich opinii?

Mam ochotę strzelić mu w głowę. Chce mi się krzyczeć. Pragnę stąd uciec, biegnąc tak szybko, że nogi odmówią mi posłuszeństwa.

– Jeśli ich opinie mówią również o tym, że powinnam zostać żywcem obdarta ze skóry, a dzieci powinny zostać zamordowane na moich oczach, to nie. Nie uważam. – W moim głosie zaczyna gościć furia. Przełykam gulę, która rośnie w moim gardle. Czuję posmak żółci. – O jakim dokumencie mowa?

– Tak, to doskonała okazja, żeby przedstawić naszego drugiego gościa. Pani Tidewell? Zechce pani do nas dołączyć?

Okazuje się, że osobami, których ruch widziałam w tle, był brodaty technik od nagłośnienia i reżyser. Odwracam lekko głowę i widzę, że na podwyższenie ktoś wchodzi. Znam ją. Mam wrażenie, że zaraz całkowicie zamknę się w swojej skorupie.

Miranda Tidewell. Bogata, wpływowa i chorobliwie wściekła. Ma ku temu dobry powód: jej córka Vivian była drugą ofiarą mojego męża. Od samego początku twierdziła, że jestem współwinna, że powinnam o wszystkim wiedzieć i go powstrzymać lub że po prostu z nim współpracowałam. Była cierniem w moim oku już od momentu aresztowania Melvina. To zasadniczo jej podżeganie sprawiło, że ja też zostałam zatrzymana i osądzona, choć dowody były mizerne i opierały się w dużej mierze na lichych fundamentach krzywoprzysięstwa sąsiada.

Miranda chciała, żebym trafiła do celi śmierci razem z Melvinem. A sądząc po spojrzeniu, jakim obdarza mnie, zmierzając w kierunku

trzeciego fotela, tego samego, który niedawno wzbudził mój niepokój... cóż, chyba nadal tego chce.

Kontrast między nami jest uderzający. Choć obie jesteśmy białymi Amerykankami, moje włosy są ciemne, a odzież niewymyślna i praktyczna. Ona ma podpięte włosy barwy jasnego złota, drogą biżuterię i spodnium od projektanta mody. Wygląda na doskonale przygotowaną do występu w telewizji, włącznie z idealnym wręcz makijażem.

Choć wbijam w nią wzrok, ignoruje mnie całkowicie. Ścisła wyciągniętą dłoń Howiego Hamlina i z wdziękiem siada na fotelu.

– Dziękuję za zaproszenie mnie to studia, panie Hamlin – mówi. – Oraz za wysłuchanie naszej strony. Rodziny ofiar Melvina i Giny Royal doceniają ten gest.

Muszę wstać i odejść.

Ona nawet w najmniejszym stopniu nie reaguje na moją obecność. Nie mam żadnego pomysłu, jak miałabym odwdzięczyć się jej tym samym. Cały świat wydaje się teraz nierealny, jakbym tonęła w głębinach oceanu.

– Cała przyjemność po mojej stronie. A grupa, którą pani reprezentuje, nosi nazwę...

– Zagubione Anioły – odpowiada. – To w nawiązaniu do dzieci, sióstr, matek i innych bliskich osób, które zostały nam odebrane.

– Słyszałem, że Zagubione Anioły przeprowadziły zbiórkę funduszy na nakręcenie dokumentu, który pani zdaniem rzuci pełne światło na sprawę. Skoro jednak Melvin Royal nie żyje, a pani Proctor została oczyszczona z zarzutów, co pani chce osiągnąć?

Chcę krzyknąć, rzucić czymś, wynieść się stąd w cholerę, ale nie potrafię. Muszę słuchać. Howie Hamlin, świadomie czy nie, robi mi ogromną przysługę, ostrzegając, że Zagubione Anioły – grupa, o której nie słyszałam od dłuższego czasu – jest aktywna i działa. Tak naprawdę wydawało mi się już, że dali sobie spokój i powrócili do dawnego życia. Najwyraźniej jednak się myliłam.

– Cóż, z całą pewnością nie jesteśmy zainteresowani nowym procesem sądowym. Pani Royal została uniewinniona przed sądem przysięgłych – odpowiada Miranda. – Wierzmy raczej w sąd opinii publicznej, który okazał się tak skuteczny w innych omyłkach sądowych, kiedy winni unikali

kary. Całą sprawę przedstawimy na forum publicznym w postaci nowego, szczegółowego filmu dokumentalnego, który wnikliwie opowiada o życiu Giny Royal.

– Czy dokument został już ukończony?

– To dopiero początek – mówi Miranda i niespodziewanie kieruje swoją uwagę w moją stronę. Nienawiść panująca w jej spojrzeniu jest niemal tak samo silna jak tego dnia, kiedy siedziała na sali sądowej, a ja zostałam uniewinniona i zwolniona z aresztu. Nie widziałam jej od tamtej pory, ale odnoszę wrażenie, że to było zaledwie kilka dni temu.

To tak przerażające, że przez chwilę w ogóle nie wierzę w to, co usłyszałam. Nie mogę się poruszyć. Nie potrafię zebrać myśli. Patrzę na kobietę, która sprawia wrażenie zupełnie normalnej, i nie mogę pojąć, jak można popaść w taką obsesję. Przez tyle lat.

– Nic z tego nie będzie – mówię. – Nie dacie rady zniszczyć w taki sposób mojego życia, życia moich dzieci. Po raz kolejny.

– Nie zamierzam – odpowiada Miranda. – Po prostu finansuję dokument, który po ukończeniu będzie odtwarzany w internecie i na festiwalach filmowych na całym świecie. To dokument o... sile miłości, jeśli wolisz takie określenie. Po to, by uszanować ofiary pani męża. Nasze dzieci. I nie mogę się już doczekać, żeby usłyszeć pani opinię na ten temat, pani Royal. Mam nadzieję, że spodoba się pani aktorka, która ją zagra w dramatycznych rekonstrukcjach scen.

Ona chce poklasku. Jest tu po to, by prowokować. Pragnie, żebym straciła panowanie i zbłądziła się tutaj, na scenie z Howie Hamlinem i połową stanu Tennessee w roli przerażonych świadków. Muszę zagrać w tę grę i zrobić to rozsądnie.

Prostuję się.

– Nie mogę się tego doczekać – mówię. – Z przyjemnością skorzystam też z okazji do wygłoszenia oświadczeń na temat wszelkich nieściskości. A jak zapewne pani wie, nie wszyscy członkowie rodzin są po waszej stronie.

– Owszem – przyznaje Miranda. – Część z nich wierzy w ten teatrzyk, w którym kreuje się pani na ofiarę. Szkoda, naprawdę. – Zapewne ma na myśli Sama, ale zachowuje ostrożność. Ostatnią rzeczą, jakiej by teraz chciała Miranda, byłaby rozmowa na jego temat. W ten sposób pokazałaby

się jako osoba mściwa, a nie pełna żalu.

– To ja żałuję, że nie zdołała pani znaleźć odpowiedniej drogi, by pozbyć się żalu, pani Tidewell – mówię to z przekonaniem. – Jest mi przykro z powodu tego, co przytrafiło się pani córce, i chciałabym, żeby pogodziła się pani ze sprawiedliwością, której stało się zadość. Jej zabójca już nie żyje.

– Jeden z nich – syczy. – Został jeszcze jeden. – W tym momencie orientuję się, że jeśli nie przekroczyła linii, to właśnie do niej dotarła, więc szybko przywołuje do oczu łzy i zakrywa dłonią usta. Dla przeciętnego widza to perfekcyjnie odegrana rola zdruzgotanej matki. – Proszę mi wybaczyć, panie Hamlin. To trudniejsze, niż mi się wydawało.

– Wszystko w porządku, pani Tidewell? – pyta Howie takim głosem, jakby go to cokolwiek obchodziło. Wyciąga chusteczki i ociera delikatnie jej oczy, starając się nie rozmazać makijażu. – Jeśli to dla pani zbyt bolesne, możemy zrobić przerwę.

– A jeśli to zbyt bolesne dla mnie? – pytam. Wiem, że jestem rozdrażniona, ale nie pokonam Mirandy Tidewell. Ona urodziła się z umiejętnością manipulacji, a ja nigdy nie zdołałam jej opanować. – Ta kobieta zorganizowała ruch, którego celem było narażenie życia mojego i moich dzieci na działanie sił, których nie potrafi kontrolować, a teraz zamierza to powtórzyć!

– Ja nikomu nie grożę – mówi Miranda. Potrafi nawet zrobić to drżącym głosem. *Jaka dzielna kobieta*, myślą z pewnością widzowie w domach. To ja sprawiam tutaj wrażenie paskudnej, mściwej i zimnej suki. – Powiedziałam tylko, że przygotowujemy dokument o stracie naszych bliskich i badamy całą tę sprawę.

– Pamiętajcie, proszę, drogie panie, że ja nie trzymam niczyjej strony – mówi Howie, a jego głos przypomina mi zatłuszczoną miskę ze smalcem, którą moja babka trzymała na piecu.

Nie daję rady. Pękam.

– „Nie trzymam niczyjej strony! Mówię samą prawdę!” – niemal krzyczę w jego kierunku. Nie mogę się już powstrzymać. – Ściągnął mnie pan do tego programu, żeby porozmawiać o nękanii mojej rodziny, a zamiast tego zaoferował czas i miejsce kobiecie, która nie powstrzyma się przed niczym,

żeby zniszczyć mnie i moje dzieci. Nie, nie musi pan nawet udawać, że nie trzyma niczyjej strony. Nie dlatego tutaj przyszedłem!

– Pani Proctor...

– Nie! – Wstaję, odpinam mikrofon, ściągam go w dół pod bluzką i rzucam na fotel. Mam ochotę rzucić mu nim w twarz. – Skończyłam na dziś.

Kamera śledzi moje ruchy, kiedy zbiegam z podwyższenia i znikam poza zasięgiem reflektorów. Jestem bliska zepchnięcia tego przeklętego urządzenia z mojej drogi, ale to z pewnością oznaczałoby karę lub grzywnę, robię więc unik i kieruję się wprost do pokoju obok. Otwieram z impetem drzwi i patrzę na dwoje moich dzieci – moich wspaniałych, pięknych dzieci, które wpatrują się we mnie z otwartymi ustami. W pomieszczeniu znajdują się jeszcze trzy inne osoby: czarnoskórzy mężczyzna i kobieta oraz jeszcze jedna biała – wszyscy ubrani z myślą o wejściu na scenę. Ciemnoskóra para sprawia wrażenie zdumionej i niepewnej tego, czego tak naprawdę przed chwilą doświadczyli. Za moimi plecami Howie Hamlin przeprosza widzów i obiecuje wrócić do rozmowy, kiedy tylko pani Tidewell będzie do tego zdolna. Zapowiada reklamy, przegląda jakieś notatki i mówi:

– Doskonale. Pani Tidewell, poświęci mi pani jeszcze dwie minuty, po czym przejdziemy do sprawy White’ów. Erin, przygotuj państwa.

White’owie. Przypominam sobie jego wprowadzenie do programu. A więc to są rodzice Ellie White, zaginionej sześciolatki. Od zdarzenia upłynęło kilka dni. Dziewczynkę zabrał podstawiony szofer, a wszystko sprawiało wrażenie starannie zaplanowanego, profesjonalnego porwania.

– Bardzo mi przykro – mówię do nich i zaraz się zastanawiam, czy cokolwiek ode mnie oczekują, choćby współczucia. Po całym tym show, które odstawiłam, zapewne nie. Nie odpowiadają. Nie jestem nawet do końca przekonana, czy mnie usłyszeli.

– Co się tam, do diaska, stało? – pyta w końcu Lenny. Robi wielkie oczy i jest zupełnie blada, nawet pod zbyt jasnym makijażem, który jej nałożono.

– Mamo? Czy ta kobieta to jedna z matek...?

– Już dobrze, kochanie – uspokajam ją. – Idziemy stąd. Natychmiast.

Connor nie wydał z siebie ani jednego dźwięku, ale podchodzi i mnie obejmuje. Sporo urósł w ciągu minionych kilku miesięcy i teraz sięga mi do ramion. Lanny wciąż jest od niego wyższa, choć już nie tak wyraźnie.

Chcę stąd wyjść, dopóki Miranda jest na scenie i nie może nas ścigać. Kłaniam się White'om. Towarzysząca im kobieta w średnim wieku z praktyczną fryzurą i w równie praktycznym kostiumie odpowiada mi tym samym gestem. Przygląda mi się, kiedy wyprowadzam dzieci z pokoju i zarzucam torebkę na ramię.

Wyciągam telefon, jeszcze zanim docieramy do drzwi wyjściowych. Pracownik stacji próbuje zastawić mi drogę, chcąc zapewne namówić mnie do powrotu na tę pełną idiotów arenę gladiatorów, ale odpycham go na bok i ignoruję każde jego słowo.

Kiedy wychodzimy na zewnątrz, Sam odbiera telefon.

– Już koniec? – pyta ze zdziwieniem.

– Nie oglądałeś?

– Poszedłem kupić sobie kawę. Co się stało?

– Powiem ci w samochodzie. Spotkamy się na końcu podjazdu – odpowiadam i kierujemy się w kierunku łagodnej skarpy.

Po drodze spostrzegam wielki monitor zawieszony na elewacji budynku studia, na którym bezgłośnie, z wyświetlanymi napisami, emitowany jest *Howie Hamlin Show*. Z całą pewnością występuje w tym przypadku opóźnienie czasowe, gdyż na ekranie Hamlin dopiero przeprasza widzów za moje nagłe wyjście. Jestem pewna, że następnym krokiem – personel Hamlina odrobi w końcu zadanie domowe – będzie komentarz Mirandy dotyczący mojego podejrzanego zachowania. Opowie o martwej młodej kobiecie, którą znaleziono w ubiegłym roku w wodach jeziora w Stillhouse Lake, niedaleko drzwi wejściowych do mojego domu.

O tym, jak upiekło mi się po tej zbrodni... tyle że to nie byłem ja. To był człowiek, który chciał zrobić mnie na polecenie mojego byłego męża. Ale i tak nikt w to nie uwierzy.

Nie powinnam w ogóle zostać zmuszona to obrony swojego życia. Swojej przerażającej przeszłości. Blizn na ciele i duszy.

Wciąż nie dowierzam, że dałam się wciągnąć w cały ten show. Zawiodłam dzieciaki. Walczę ze łzami i zaczynam się trząść. Wydawało mi się, że zakończę wszystkie nasze problemy, a w zamian zapewniłam dodatkowe widowisko.

Kiedy mijamy zakręt, dzwoni mój telefon. Widzę wóz Sama z włączonymi

światłami awaryjnymi, stojący na jałowym biegu na końcu chodnika. Odbieram, nie spuszczać wzroku z trasy ucieczki.

– Tak?

– Pani Proctor, mówi Dana Reyes, asystentka producenta *Howie Hamlin Show*. Chciałabym przeprosić za tę przykrą niespodziankę. Z całą pewnością nie zamierzaliśmy przeprowadzić aż takiej konfrontacji. – Kłamczucha. – Proszę, niech pani wróci do studia. Przygotowaliśmy następną część przygotowaną tylko dla pani i obiecuję, że skupimy się wyłącznie na pani historii... – Niemalże widzę, jak czyta z notatek – ... poświęconej nękanii pani rodziny. Przepraszamy oczywiście, jeśli poczuła się pani urażona przez...

Kończę połączenie. Pakujemy się do pickupa, Sam gasi światła awaryjne i włącza się do ruchu. W Knoxville jest piękne popołudnie, upalne i słoneczne, niebo lśni błękitem. Sam rzuca mi ciekawskie spojrzenia. Nie chce zadawać pytań, a ja nie chcę zgłaszać się na ochotnika. Dzieci siedzą z tyłu w kabinie i również są zaskakująco milczące. Jestem wstrząśnięta, że taki przyjemny dzień zmienił się w coś kompletnie toksycznego.

Co ja narobiłam?, zastanawiam się. Już od internetowej zapowiedzi Howiego o zaproszeniu mnie do programu Miranda szykowała dla mnie kłopoty. Pozwoliłam, by szturm dziennikarzy odwrócił moją uwagę od wszystkich zagrożeń i popełniłam błąd. Nie wiedziałam, że wszystko skierowane jest przeciwko mnie, przeciwko nam. A powinnam była wiedzieć.

Teorie spiskowe od wielu lat mnożyły się w zastraszającym tempie i stawały się coraz bardziej niedorzeczne i naciągane. Chemiczne smugi kondensacyjne. Antyszczepionkowcy. Przeciwnicy teorii zmian klimatycznych. A wszystkie one są niemalże cenne w porównaniu z toksycznym horrorem członków ruchu „Prawda na temat World Trade Center i strzelanin w szkołach”, którzy redukują najgorsze koszmary każdego rodzica do fałszerstwa i niszczą życie ocalałych.

Wystarczy uwierzyć słowom Mirandy Tidewell, by się przekonać, że potrafi nas zniszczyć bez większego wysiłku. Przygotuje wypaczony dokument, wysunie kilka ohydnych oskarżeń, znajdzie coś, co wyda się prawdą, po czym sprzeda to wszystkim dookoła. Obłąkani i emocjonalnie

skrzywieni znajdują w tym coś kojącego. Leniwi uznają to za mało prawdopodobne, ale możliwe. Po upływie roku czy dwóch leniwi stwierdzą, że lepiej dmuchać na zimne, i ostatecznie uznają pogłoski za prawdziwe. Taki sposób działania świadczy o jej przebiegłości. Film dokumentalny – nawet wypełniony półprawdą i oszczerstwami – cechuje się pewną dozą wiarygodności.

Ludzie w to wszystko uwierzą, ponieważ ten sposób myślenia narzuca przekonanie, że moja niewinność, tragedia i żal są wyłącznie pozorem. Przekonanie, że musiałam być w to zamieszana. Gdyby bowiem musieli przyznać mi rację, mogliby stać się ofiarami takich samych przerażających wydarzeń, które uderzyły we mnie niczym kula do burzenia budynków... a taka myśl okazałaby się dla nich zbyt przerażająca.

Lepiej zmagać się z wymyślonymi demonami niż stawić czoła prawdziwym.

Im więcej o tym myślę, tym większa ogarnia mnie złość. Naprawdę chciałabym móc wrócić do studia i dosłownie urwać uszy temu wymuskanemu prowadzącemu samą siłą mojego krzyku.

A to dobry powód, by tam nie wracać.

– Hej, wszystko gra? – pyta cicho Sam, czym przenosi mnie z kipiącego gniewem miejsca w inne, znacznie mniej gwałtowne.

– Nie. To była dosłownie napaść w programie na żywo. Przypuszczam, że znasz niejaką Mirandę Tidewell.

Dostrzegam, że sztywnieje. Rzuca mi pełne przerażenia spojrzenie.

– Ja pierdolę – rzuca. – Ona była w studiu? Z tobą?

– W rzeczy samej. Powiedziała, że grupa Zagubionych Aniołów przygotowuje film dokumentalny na mój temat. I nie wydaje mi się, żeby obyło się bez wciągania ciebie w tę sprawę.

– O mój Boże. – Sam wygląda na prawdziwie zdruzgotanego. Zastanawiam się, czy poznał Mirandę. Mogło to mieć miejsce, kiedy wrócił z Afganistanu. Spóźnił się na moją rozprawę i uniewinnienie, wpakował się więc w ten cały przerażający show w samym środku akcji. Miranda zapewne chciałaby mieć go po swojej stronie. Przypominam sobie z ukłuciem niepokoju, że przez krótką chwilę istotnie Sam był w jej szeregach. A przynajmniej wśród tych, którzy wierzyli w moją winę. –

Dobra, musimy się stąd zabierać i jechać prosto do domu. – Jeśli nawet chciał powiedzieć mi „a nie mówiłem?”, to powstrzymuje się, za co jestem mu dogłębnie wdzięczna. Ostrzegaliśmy, że bym nie próbowała uwierzyć w dobrą wolę starych telewizyjnych wyjadaczy. Oczywiście miał rację.

Obiecałam dzieciakom trochę rozrywki w Knoxville po nagraniu programu. Wiem jednak, że ten okręt już odpłynął. Ostatnią rzeczą, jakiej bym teraz chciała, byłoby pokazywanie się z nimi w miejscu publicznym, kiedy przynajmniej niewielka część mieszkańców miasta ma na nas oko po tej katastrofie. Jakiś kretyn mógłby nie zdołać się powstrzymać, a ja nie zamierzam narażać moich dzieci na niebezpieczeństwo.

– Jasne. Przykro mi, kochani. Wiem, że obiecałam wam miłe popołudnie, ale...

– Troszczysz się o nas – podsunęła Lenny. Connor, zgodnie z moimi przewidywaniami, milczał. – Rozumiemy to. Ale, mam... my naprawdę potrafimy sobie poradzić. – Mówi to z absurdalną wręcz pewnością siebie jak na piętnastolatkę, co budzi moje przerażenie.

– Ja w tym momencie słabo sobie radzę – przyznaję, ponieważ w ten sposób nie obrażam żadnego z nich udawaniem, że nie przeszły prawdziwego piekła. – Wiem, że to długa podróż donikąd. Przepraszam. Nie miałam pojęcia, że dojdzie do czegoś takiego. – A powinnam. Gdybym zachowała ostrożność, monitorując internet jak należy...

– Nic się nie stało – mówi w końcu mój syn. – Rozumiemy to.

To dużo słodsze, niż na to zasługuję, i nagle czuję się jeszcze bardziej zła, że wokół nas żyją ludzie, którzy traktują nas jak papierowe tarcze strzelnicze. Moje dzieci są tak szczerze i niezwykle, jak to tylko możliwe. A ja będę walczyć w ich obronie do końca swoich dni.

– A może zjemy lody po drodze? – proponuje Sam.

– Lody! – Connor wyraźnie się ożywia. – Mogą być oreo?

– Jakie tylko zechcesz, kolego. Lanny?

Zerkam na nią w lusterku wstecznym. Marszczy nos, ale odpowiada:

– Jasne. – Ustępstwo. – Mam? Czy my wracamy do DEFCON jeden[1]?

– Nie mam pojęcia. Po prostu nie wiem, skarbie. Póki co jednak, musimy być bardzo, ale to bardzo ostrożni.

Wracamy do Stillhouse Lake i docieramy do domu bez żadnych przygód. Najwidoczniej jestem nieco przewrażliwiona. Lody smakowały, a Connor jest w doskonałym nastroju po pochłonięciu całej swojej i połowy porcji siostry. W normalnych okolicznościach niepokoiłabym się jego jedzeniowymi nawykami, ale jedzenie słodczy przed południem można u niego zaliczyć do anomalii, poza tym metabolizm mojego syna pozwala mu zachować smukłą sylwetkę. Rośnie i nabiera mięśni, obecnie stosunkowo wolno, ale wiem, że wkrótce ten proces przyspieszy. To dobrze. To jeden z nieszczęśliwych faktów dotyczących naszego życia: wymagam, by moje dzieci dojrzały szybciej, niż powinny. Jest tak już od chwili, kiedy nasz świat wywrócił się do góry nogami. Niech cię piekło pochłonie, Melvin.

Kilka ostatnich lat było stosunkowo trudnych dla Lanny i Connora. I dla mnie. Sądziłam jednak, że w końcu zmierzamy ku końcowi. Mieliśmy Sama, który dbał o dzieci równie troskliwie jak ja, który podążał za mną w dzikie ostępy, żeby je ratować. Mieliśmy dom i dość namacalne dowody akceptacji ze strony przyjaciół i części sąsiadów.

Ale po tym wszystkim... sama nie wiem. Po prostu nie wiem.

– Wypuść mnie tutaj – mówię do Sama. – Wyjmę pocztę. Wy zabierzcie się do obiadu, dobrze?

– Dobrze, ale wiesz, że to oznacza utratę prawa głosu.

– Masz moje pełnomocnictwo do głosowania. Coś zdrowego?

– Buu – odpowiadają równocześnie dzieci. Wywracam oczami i macham za nimi ręką, aż znikają za wzniesieniem.

Chęć wyjęcia poczty była tylko pretekstem, więc od razu wyciągam telefon. Kiedy na drugim końcu odzywa się automatyczna sekretarka, nagrywam wiadomość z prośbą o natychmiastowy kontakt z doktor Marks. Ludzie w tamtym biurze są opanowani i profesjonalni, wiedzą wszystko. Być może powinnam była przybrać bardziej zaniepokojony ton, ale doktor Marks mnie zna. Zrozumie przekaz.

Telefon odzywa się po zaledwie kilku minutach.

Katherine Marks.

– Gwen. – Jak zwykle jej głos jest wyraźny, spokojny i zaskakująco kojący. – Jak wypadł występ w telewizji?

– Oglądałaś?

– Niestety, nie. Miałam klientów.

– No cóż... – Przeszuję z nogi na nogę, niechętna, by opowiadać o tym teraz, przez telefon. – Niezbyt dobrze. Miałam... to coś, o czym rozmawialiśmy.

– Reakcję na kamerę?

– Tak. – Paradoksalnie, kiedy o tym wspominam, gwałtownie powracają wszystkie obrazy. Myślałam, że mam to już za sobą, choć doktor Marks ostrzegła, że ten szczególny rodzaj stresu pourazowego może nawracać. Sięgać głęboko. Tamtej nocy w Killman Creek naprawdę wierzyłam, że umrę jako kolejna ofiara Melvina Royała. Torturowana na śmierć przed widownią płacącą za ten przekaz, za jego całość, CAŁOŚĆ, obserwowaną przez nieruchome oko kamery. – Wciąż to widziałam. Nie potrafiłam... nie byłam w stanie tego kontrolować.

– Chciałabyś do mnie przyjechać?

– Nie mogę. – A raczej: nie chcę. Zamierzam się ukryć tutaj, w moim domu z rodziną. – Miałam nadzieję, że uda się może tylko...

– Przegadać to? – kończy za mnie z lekką nutą irytacji w głosie. – Byłaś wyjątkowo oporna w trakcie prób dogłębnej analizy tego problemu. Chcesz powiedzieć, że jesteś teraz na to gotowa?

– Tak. – Prawdę mówiąc, moja odpowiedź brzmi: nie. Albo: nie wiem, czy jestem. Zamykam oczy. Wiatr niesie ciepło i wilgoć, wdycham powietrze powoli i wydycham szybko.

Otwieram drzwi do mojej pamięci i pierwsze, co widzę, to mój były mąż Melvin Royal leżący tuż obok, uśmiechający się w reakcji na moje przebudzenie. Jestem tam. Czuję przytłaczającą, ciężką wilgoć panującą w powietrzu Luizjany, zapach murszejącego drewna, z którego zbudowano dom. Wilgotna, sztywna koszula nocna, która klei się do mojej skóry, należy do martwej kobiety.

Czuję kajdanki wrzynające mi się w nadgarstki.

Nie. NIE!

– Gwen?

Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Odwracam się od wspomnienia, chowam je głęboko, zatraskuję drzwi umysłu i zamykam

je na karykaturalnie dużą kłódkę w mojej wyobraźni. Wciąż jednak widzę jego uśmiech kojarzący się z kotem z Cheshire i szkliste oko obserwującej mnie kamery.

Widziałam na własne oczy, jak zatłukł kobietę na śmierć. Robił to tak długo, aż niewiele z niej zostało. Nie mogę tam wrócić.

– Przepraszam – mówię w końcu zdławionym głosem pokonanej osoby. – Nie mogę...

– Nic nie szkodzi – odpowiada doktor Marks. – Za szybko spróbowałaś. Opuść trochę, zrób krok wstecz. Posłuchaj bicia swojego serca. Oddychaj. Nie musisz tego robić, dopóki nie poczujesz się gotowa. Do tego czasu chroń siebie przed wszystkim, co bolesne. To żadna ujma.

Robię, co każe. Mój oddech jest głośny i szybki, ale kiedy go spowalnim, wracam na miejsce, do Stillhouse Lake. Powietrze smakuje znajomo. Świeży zapach drzew wypycha wspomnienie smrodu zepsucia. Otwieram oczy i spoglądam na spokojną, lekko falującą powierzchnię jeziora.

Nie ma mnie tam. Ale tak naprawdę nigdy nie odeszłam. Może nie jestem jeszcze na to gotowa.

– Przepraszam – powtarzam. – Po prostu... wydawało mi się, że potrafię to dziś zrobić. Ale prawie przegrałam.

– Prawie. Ale nie do końca. Musisz sobie wybaczyć ludzką słabość. Nikt nie jest silny przez cały czas.

Ale ja muszę być silna. Mam wrogów, nie mniej niż kiedyś. Siła to jedyna rzecz, jaka rozdziela te pozbawione twarzy pogróżki od moich dzieci.

Umawiam się z nią na za dwa tygodnie. Jak zwykle usiądziemy na godzinę i spróbujemy usunąć ze mnie odrobinę trucizny. Ale jeszcze nie dziś.

Kiedy się rozłączam, do zachodu słońca pozostaje jeszcze trochę czasu, jest pełne przesuwających się cieni popołudnie. Raduję się przez chwilę ciszą, po czym kieruję kroki ku skrzynce na listy na skraju drogi. Ma kolor wesołej żółci i kwiatki na drzewczkach. Kiedy dzieci prosiły, by umieścić na niej nazwiska, odmówiłam bardzo stanowczo. Zgodziłam się jedynie na inicjały, co uznałam za dobry kompromis. Skupiam uwagę na kolorze, na spokoju, który reprezentuje, i powtarzam sobie, że dam radę przez to wszystko przejść.

Opuszczam drzwiczki i nagle moje zmysły odnotowują gwałtowny ruch, syk i grzechot. Instynktownie odskakuję do tyłu tuż przed atakiem węża. Robię kilka szybkich, niestabilnych kroków wstecz. Węże potrafią zaatakować na odległość równą niemal całej długości ich ciała, a ten chyba dosłownie o kilka centymetrów, cofa się i zaczyna zwijać w gniewny splot wewnątrz skrzynki.

Wąż. W mojej skrzynce na listy.

Próbuję opanować dudnienie serca i drżenie ciała. To paskudnie wyglądający bydlak, brązowo-szary i cętkowany jak leśne runo, o charakterystycznym łbie osobników z rodziny zmijowatych. Nie znam się na węzach, ale wiem doskonale, że jeśli grzechoczą, to sprawy mają się źle. Nie wiem nawet, czy krzyknęłam. Zapewne tak.

Wybieram numer funkcjonariuszki policji w Norton, którą znam najlepiej – Kezii Claremont, jednej z niewielu osób, którym powierzyłabym opiekę nad moimi dziećmi. Telefon odbiera chyba w samochodzie, bo ma metaliczny głos, a w tle słychać hałas z ulicy.

– Cześć, Gwen. Co się dzieje?

– Mam węża w skrzynce na listy – mówię dziwnie pozbawionym emocji głosem. – To chyba jakiś rodzaj grzechotnika.

– Co?

– Grzechotnik. W mojej skrzynce na listy. – Rozglądam się dookoła i chwytam leżącą w pobliżu gałąź, rozglądając się najpierw za ewentualnymi znajomymi gada. Używam jej, żeby zamknąć drzwiczki skrzynki i uwięzić go w środku. W tej samej chwili zaczynam się zastanawiać, czy gałąź nie posłużyła wcześniej do tego samego celu. Za późno, żeby martwić się odciskami palców, o ile w ogóle dałoby się je pobrać z szorstkiego drewna. – Moje dzieciaki mogły otworzyć tę skrzynkę, Kez. Jezu Chryste.

– Jest jadowity?

– Grzechotał.

– Ukąsił cię?

– Nie, nie wydaje mi się. – Kiedy adrenalina zaczyna się wycofywać z krwiobiegu, odczuwam mdłości. Sprawdzam, czy nie mam na rękach żadnych śladów ukąszeń, ale niczego nie znajduję. – Nic mi nie jest. Ale

ktoś musi przyjechać i go stąd zabrać.

– W porządku, oto co masz zrobić: zamknij tę skrzynkę. Zaklej ją taśmą, jeśli to konieczne. Wyślę specjalistę, który po niego przyjedzie. – Chwila ciszy. Odgłosy ulicy również milkną. – Sądysz, że ktoś go tam włożył? Celowo?

– Skrzynka była zamknięta, kiedy tu przyjechałam, Kez. I w środku była poczta. Wąż zjawiał się później. O ile grzechotniki nie wiedzą, jak zamykać za sobą drzwi, z pewnością nie wlaź tam z własnej woli.

Kezia milczy przez kilka sekund. Słyszę kliknięcia, chyba przeszła w tryb pisania. Kiedy się odzywa, słyszę, że coś odwraca jej uwagę.

– W porządku, zrobimy tak. Wysyłam faceta od węży i śledczych. Kiedy zabiorą grzechotnika, przyjrzą się dokładniej tej skrzynce. Jeśli się nam poszczęści, może znajdą czyjś odcisk palca.

Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek był aż tak głupi, ale Kezia ma rację. Warto spróbować.

– W porządku. Zaczekam tutaj, aż przyjadą.

– Ja też już do ciebie jadę.

Kiedy błękit nieba zaczyna ustępować miejsca oranżowi, a drzewa gubią zieloną, dzienną barwę i stają się ostrymi, czarnymi punktami, u szczytu wzniesienia pojawia się Lanny. Wiatr cichnie, a jezioro nieruchomieje. Większość łodzi odpłynęła.

Stoję w odległości dwóch metrów od skrzynki i nie spuszczam z niej wzroku.

– Mamo? – woła Lanny.

– Wracaj do domu. – Wbijam spojrzenie w skrzynkę, może nieco zbyt obsesyjnie. – Niedługo przyjdę. Czekać na kogoś.

– Ach, dobrze. – Nie wie tak do końca, co ja właściwie robię i o co ma pytać. – Mam już włączyć kurczaka, czy jak?

– Tak. Śmiało. Dziękuję, skarbie.

– Okej. – Stoi w miejscu. – Wszystko w porządku, mamo?

– Wszystko gra. – Reaguje zmrużeniem oczu. – Kochanie, ja tylko... potrzebuję chwilę czasu, dobrze? Muszę coś załatwić. Wracaj do domu. Powiedz Samowi, że wszystko jest w porządku. – Nie zdziwię się, jeśli Sam zjawi się tutaj w drugiej kolejności.

Lanny wie doskonale, że nie mówię całej prawdy. I ma rację, ponieważ muszę zapewnić jej bezpieczeństwo. W końcu jednak odchodzi. Podoba mi się jej instynkt, kwestionowanie wszystkiego. To przyda się jej w przyszłości, nawet w stosunku do mnie. Cieszę się również, że nie zdecydowała się tu zostać. Jestem świadoma – przeraźliwie świadoma w kontekście zapadającego zmierzchu – że stoję tutaj sama, odsłonięta, a wąż w mojej skrzynce na listy to tylko jedno z niebezpieczeństw. Co będzie, jeśli wróci osoba, która go tam włożyła? A jeśli w tej chwili mnie obserwuje?

Poddaję się. Kiedy córka znika za wzniesieniem, rozglądam się nerwowo.

Nie widzę nikogo. Nie dostrzegam żadnego niebezpieczeństwa.

Ale to nie oznacza, że go tam nie ma i że nie czeka na odpowiedni moment.

[1] Pierwszy, najwyższy stopień gotowości bojowej sił zbrojnych USA wobec zagrożeń zewnętrznych (przyp. tłum.).

2 GWEN

Mężczyzna zjawia się pierwszy, dziesięć minut później. Wygląda jak twardziel, który spędził kilka ostatnich tygodni w lesie, i wcale mi się to nie podoba. Ani on sam. W ogóle nic mi się w tej chwili nie podoba.

– Dzień dobry, przyjechałem po węża.

– Dokument – rzucam.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Co takiego?

– Proszę o jakiś dokument tożsamości. Nie znam pana i jestem uzbrojona.

– Staję w pozycji do walki, obieram środek ciężkości i rozluźniam kolana. Nie wiem, czy to dostrzega, ale obserwuje mnie uważnie. Chyba właśnie się zastanawia, czy nie ma do czynienia z jakąś paranoiczką.

Cóż, taka właśnie jest prawda.

– W porządku. – Unosi obie dłonie. – Nie ma sprawy. Sięgam po dokument, okej?

– Powoli.

Robi to, nie spuszczać ze mnie wzroku. Sięga za plecy. Blefowałam na temat broni, ponieważ zostawiłam ją w cholernym schowku na rękawiczki w samochodzie, a teraz pluję sobie w brodę z tego powodu. Kiedy znów powoli przesuwa rękę, w końcu dostrzegam w niej portfel. Otwiera go i wyciąga grubą, białą wizytówkę.

– Na ziemię – nakazuję. Kuca i kładzie ją w połowie dzielącej nas odległości, tak daleko, jak tylko zdołał sięgnąć.

Robię krok do przodu i podnoszę wizytówkę jednym płynnym ruchem, po czym unoszę ją tak, żeby móc przeczytać treść, nie spuszczać z niego wzroku.

Wizytówka jest elegancka, biała, z nadrukowanymi czarnymi, nieco wypukłymi literami. Profesor Greg Maynard z Uniwersytetu Tennessee. To dowód, że nie można oceniać po wyglądzie kogoś, kto wygląda jak leśny

odludek. To pełnoetatowy profesor biologii. Zdumiewające.

– Wąż? – pyta ponownie.

Wskazuję skrzynkę na listy.

– Przepraszam pana – mówię. – Ja po prostu nie wiem, kto mógł to zrobić.

– Może to miał być tylko żart?

– Proszę otworzyć.

Chwyta bawełniany worek i pręt zakończony haczykiem, po czym otwiera skrzynkę. Wąż atakuje. Profesor nie sprawia wrażenia wystraszonego, stoi w idealnie bezpiecznej odległości.

– Grzechotnik pospolity – osądza. – Wow. Super. Miała pani dużo szczęścia, to z całą pewnością nie żart. A jeśli żart, to mało śmieszny.

Obserwuję zafascynowana, jak wypęda ze skrzynki węża, który schodzi w dół po jej metalowej nodze. Tam skutecznie dociska jego łeb do ziemi, po czym z pełnym spokojem podnosi go gołymi rękami. Wąż grzechocze i szamocze się, ale szybko trafia do worka, który zostaje ciasno związany.

Już prawie się odprężam, kiedy dociera do mnie, że ktoś o właśnie takich umiejętnościach musiał podłożyć grzechotnika do mojej skrzynki pocztowej.

– Czy one tutaj występują? – pytam.

Kiwa głową.

– Jasne, przeważnie w lasach. Czasami któryś przyplącze się w pobliże domostw, ale to zdarza się bardzo rzadko. Częściej można spotkać w wodzie mokasyny błotne czy mokasyny miedziogłowce. – Maynard jest bardzo skrupulatny. Przygląda się wnętrzu skrzynki, świecąc sobie latarką z telefonu komórkowego.

– W porządku, po problemie. Zabiorę tę piękność do mojego laboratorium.

– Laboratorium?

– Jestem herpetologiem. Doję węże. W ten sposób uzyskujemy surowicę przeciwko jadowi. W kraju zawsze jest na nią zapotrzebowanie. Jeśli zobaczy pani jeszcze jakiegoś, dowolnego osobnika z rodziny żmijowatych, proszę do mnie zadzwonić. Kiedy się z nim uporam, znajdę mu dobry dom w lesie, gdzie nie będzie nikogo niepokoił.

Kiwam głową, wciąż nie spuszcżając z niego spojrzenia. Profesor czy nie, ten facet jest teraz moim głównym podejrzanym, choć nie potrafiłabym

znaleźć powodu, dla którego mógłby zechcieć tak mnie wystraszyć czy doprowadzić do ukąszenia. Nie wydaje się żywić jakiejkolwiek osobistej urazy. W ogóle nie wyczuwam w nim jakiejkolwiek wrogości.

Ładuje węża do pickupa, kiedy nadjeżdża stary jeep z ekipą śledczą – a tak naprawdę jednym facetem w średnim wieku, ubranym w luźną wiatrówkę. Mężczyzna w ogóle o to niepytany pokazuje mi legitymację tak naturalnym ruchem, że pewnie robi to także przez sen. A skoro o śnie mowa, sprawia wrażenie wycieńczonego. Zadaje mi jednak inteligentne pytania, wszystko zapisuje, po czym używa pędzelka na skrzynce w poszukiwaniu odcisków. Kilka minut później na miejscu zjawia się Kezia Claremont. Prowadzi prywatny samochód bez żadnych syren czy sygnałów, co bardzo mnie cieszy. Nasi sąsiedzi i tak z całą pewnością już gapią się zza firanek. Wolałabym nie dawać im więcej powodów do plotkowania.

– Cześć, Beto – rzuca Kez do śledczego, który wita się gestem dłoni, nie podnosząc wzroku. Kez wciąż ma na sobie ciuchy, które moim zdaniem zakłada do pracy: granatowe bawełniane spodnie, białą bluzkę i odznakę detektywa przypiętą do paska. Pod zakietem nosi ukrytą broń. Gdyby teraz dotarła do domu, włożyłaby zapewne dżinsy i wygodny T-shirt. – Z tego, co widzę, węża już nie ma.

– Pojechał do nowego domu, z tego, co mówił... – zerkam na wizytówkę – ...profesor Maynard. Co wiesz na jego temat?

– Dlaczego? – pyta, po czym sama sobie odpowiada. – Umiejętności, rozumiem. – Kręci głową. – Możesz go skreślić ze swojej listy. W okolicy znalazłabyś co najmniej dwudziestu wieśniaków, którzy równie dobrze poradziliby sobie z wężem, a oni mieliby więcej powodów, żeby coś takiego zrobić.

Nie ma sensu pytać o przyczynę, ale i tak to robię.

– Jakiś szczególny powód?

Wzrusza ramionami.

– Już na sam początek wystarczy fakt, że jesteś spoza miasteczka i do niego przyjeżdżasz.

– Mieszkam nad jeziorem od...

– Ja nie jestem stąd, przeprowadziliśmy się tu z ojcem ponad dwadzieścia lat temu – mówi. – Jeśli się tu nie urodziłaś, to zawsze będziesz obca.

Niektórym to w zupełności wystarcza. Do tego można dodać plotki, całe to internetowe gówno... prawdę mówiąc, to może być każdy.

– Rewelacja.

Koniec z nadziejami na zakończenie dnia bez kolejnej paranoi. Kez podchodzi do skrzynki na listy.

– Blokada działa bez zarzutu, tak?

– Owszem.

– Czyli nie ma mowy, żeby wąż dostał się do środka przypadkiem.

– Nie ma na to szans. On mógł ukąsić Sama albo dzieciaki. Całe szczęście, że to ja ją otworzyłam. Gdyby zrobił to Connor albo Lanny...

– Ale nie zrobił – ucina. – Skupmy się więc na tym, co się wydarzyło. W najgorszym wypadku ktoś po prostu próbował cię zabić, choć spodziewałabym się raczej, że prokurator okręgowy uznałby to raczej za kryminalną intrygę. On nie należy do twoich największych fanów.

– Żartujesz – rzucam z przekąsem. – Jestem zaskoczona, że nie postawił mnie w stan oskarżenia za to, że zbyt długo tu stoję.

– Sama wiesz, co się mówi o dobrym prokuratorze okręgowym: taki zdoła namówić przysięgłych do oskarżenia kanapki z szynką. Dobrze, że nasz nie jest aż tak doświadczony.

Nie mogę się powstrzymać od śmiechu, ponieważ Kezia zasadniczo nie krytykuje stróżów prawa. Na temat prokuratora okręgowego Elroya Comptona ma jednak szczególne zdanie. Ja również. To siwowłosa mężczyzna, którego sprawy sądowe obejmują niemal w całości skazywanie czarnoskórych w okręgu dręczonym przez białych handlarzy metamfetaminą i lekami na receptę. Idzie oczywiście na ugodę z białymi przestępcami. Dla niego to ludzie z „dobrem ukrytym w sercach”. Potrafi gadać też różne inne pierdoły niezależnie od tego, jak pełne agresji i deprawacji są ich przestępstwa. *Członkowie ich Kościoła za nich poręczą. Ich rodzice są przykładnymi chrześcijanami.* Wciąż ta sama gadka.

Przypomina mi to boleśnie o latach, w których ślepo wierzyłam w mojego okrutnego byłego męża, niezdolna – lub niechętna – by ujrzeć prawdę. Czasami wydaje mi się, że połowa świata znalazła się w takim samym stanie zaprzeczenia. I to mnie złości.

– Masz jakiś pomysł, kto mógłby zechcieć cię tak wystraszyć? – pyta

Kezia.

– Poważnie mówisz? Większa część Norton wciąż uważa, że uniknęłam sprawiedliwości w związku z miejscowymi morderstwami. Do tego możesz dodać wszystkich trolli, stalkerów, rodziny ofiar Melvina...

– Hakerów-przestępców z grupy Absaloma, którzy dostali się do sieci – kończy za mnie. – Tak, wiem. Miałam na myśli bardziej sprecyzowanego wroga, ponieważ „praktycznie każdy” nie zawęży aż tak bardzo grona podejrzanych.

– Rozumiem. Ale na tę chwilę to wszystko, co wiem.

Stuka długopisem o podkładkę, której używa do sporządzania notatek.

– Raczej dziś nie pomogłaś sprawie tym, co wydarzyło się w telewizji. A ta kobieta? Ta od wywiadu?

Choć nie chcę w to wierzyć, prawda jest taka, że do najbardziej zagorzałych i fanatycznych prześladowców należeli do tej pory członkowie rodzin ofiar Melvina. Włącznie z Mirandą.

– Miranda Tidewell? Ona mogłaby dodać arszeniku do ulepku miętowego, ale chwytać węża? Nie wydaje mi się. Ale... mogłaby kogoś wynająć, żeby to zrobił. Żeby nas nastraszyć.

– Faktycznie wyglądała jak ktoś, kto pragnie udowodnić, że jesteś...

– Potworem? Tak. Zawsze taka była, już od mojego procesu. Myślałam po prostu... albo raczej miałam nadzieję, że dała sobie spokój.

– W dzisiejszych czasach obsesyjni psychole rzucają się na wszystko – mówi Kez. – Szczególnie jeśli sprawa jest skomplikowana i głupia. Przykro mi. Wolałabym tego nie mówić, Gwen, ale...

– Tak. Mam po prostu na siebie uważać. Cały czas to robię.

Przygląda mi się uważnie.

– Zapomniałaś zabrać, prawda?

– Nie zapomniałam. Zostawiłam go w samochodzie, kiedy wysiadłam odebrać pocztę.

– Wóz stoi tam, a ty tutaj, jak na strzelnicy. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Zdałam sobie sprawę, kiedy napatoczył się wąż.

Kiwa głową.

– W porządku. Nie rób tego więcej. Wolałabym, żeby większość miejscowych drani zostawiła swoją cholerną broń w sejfach. Ale nie ty. Ty

jej potrzebujesz, pamiętaj więc, by mieć pistolet przy sobie.

Uśmiecham się do niej przelotnie – wiem, że ma rację, i trochę mi głupio.

– Rozkaz przyjęty – mówię. Zauważam, jak bardzo ściemniło się już na zewnątrz. Kezia zwykle odprowadza swojego ojca na wzgórze do domku przed zachodem słońca. – Zaprowadziłaś już Easy’ego do domu?

– Tak, dlatego nie przyjechałam tu pierwsza. Przepraszam, ale musiałam się nim zająć.

– Nic nie szkodzi. Teraz wracasz do domu?

– Do Javiera – odpowiada. Javier jest jej kochankiem, może nawet (choć nigdy o to nie zapytałam) stałym partnerem, nadal jednak nie mieszkają ze sobą. – Jak tam, Beto? Skończyłeś?

– Skończyłem – mówi śledczy i zamyka swoją skrzyneczkę. – Niewiele tego mam. Kilka dobrych odcisków, które należą zapewne do rodziny albo listonosza. Ale kto wie, może się nam poszczęści.

– Może. Dzięki, stary. Wracaj bezpiecznie do domu.

– Ty również.

Kiedy śledczy idzie w stronę pickupa, Kezia przenosi spojrzenie na wzniesienie. Podążam za jej wzrokiem i dostrzegam schodzącego do nas Sama.

– Chyba będziesz miała mu co opowiadać – mówi policjantka. – Powodzenia, dziewczyno. Ja znikam. Javier czeka z kolacją. – Oddala się przed jego nadejściem. Sam odprowadza ją wzrokiem i zatrzymuje się tuż przy mnie.

– Lanny twierdzi, że wszystko jest w porządku, po czym zjawia się Kez i jeszcze dwa inne samochody... Co tu się dzieje, do diaska?

Wzdycham. Miałam nadzieję, że zdołam tego uniknąć.

– Chodźmy do środka – mówię. – Nie będę opowiadać dwa razy.

W drodze do domu podchodzę jeszcze do wozu i zabieram mój pistolet. Kiedy czuję jego ciężar w dłoni, powraca poczucie równowagi. Wiem, że nie tędy droga – broń nie czyni mnie bezpieczniejszą, a jedynie bardziej przygotowaną do odwetu. Witaj, stresie pourazowy. Będę musiała oduczyć się traktowania pistoletu jak czegoś, co gwarantuje mi poczucie komfortu. Dla mnie to zło konieczne, ale to nie powinno oznaczać, że go potrzebuję.

– Gwen? – Sam jest wyraźnie zaniepokojony. Obdarzam go uśmiechem,

któremu daleko do szczerości.

– Gotowa – odpowiadam. Wcale nie jestem gotowa.

Kiedy wchodzimy do domu, zamykam drzwi na klucz i uzbrajam alarm. Lanny stoi z założonymi rękami, opierając ciężar ciała na jednej nodze. Connor spogląda na mnie zza książki, którą czyta. Wszyscy czekają na wyjaśnienia.

– Jak leci? – pytam, starając się brzmieć naturalnie. Wcale mi to nie wychodzi. Lanny dalej wpatruje się we mnie badawczo, Connor kręci głową, a mina Sama tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że wypadłam mizernie. – No dobra. Mieliśmy węża w skrzynce na listy.

– Co mieliśmy? – rzuca Lanny podniesionym głosem. Badawcze spojrzenie znika. Sam przestaje się krzątać.

– Jakiego węża? – pyta Connor. – Czy to był mokasyn miedziogłowiec? Widziałem już takiego wcześniej.

– Nie, inny. Nie chcę was martwić... – Zawieszam głos, bo przecież właśnie muszę to zrobić. – Skłamałam. Powinnam was zmartwić. Musicie wiedzieć, że po dzisiejszym dniu nic już nie będzie takie samo. Wszyscy musimy być wyjątkowo ostrożni. Od tej pory tylko ja i Sam będziemy wyjmować pocztę, rozumiano?

– Zawsze jesteśmy ostrożni, mamó – mówi Lanny. – Daj spokój, przecież dobrze o tym wiesz.

Nie, nie są. Robi mi się niedobrze na samą myśl o tym, że skrzynkę mógłby otworzyć Connor, Lanny, czy nawet Sam, choć akurat on ma zapewne lepszy refleks ode mnie. Dzieci uważają, że poziom ich paranoi jest wystarczający.

Nigdy taki nie będzie. Nie będzie na tyle wysoki, żeby zapobiec wszystkiemu, co może się przydarzyć, a zbytńia pewność siebie może okazać się zabójcza.

Sam przygląda mi się z uwagą.

– Dzieci, dajcie nam chwilkę, w porządku? Connor, zamieszaj, proszę, fasolę. A ty jesteś mi winna sałatkę.

– Okej. – Gdybym to była ja, Connor wzdychałby tak, jakby niósł na barkach cały ciężar świata, jednak Sam w jakiś sposób potrafi wywołać atmosferę ugody i natychmiastową akceptację. Zazdroszczę mu tego.

Lanny zerka na telefon.

– Kurczak jest już prawie gotowy – mówi. – Zostały trzy minutki.

– W takim razie nie zapomnij wyjąć go na czas – mówi Sam, po czym wyłącza alarm i otwiera drzwi wejściowe. – Gwen?

Wychodzę za nim na zewnątrz. Nie podoba mi się stanie na werandzie o tej porze, więc wyłączam światła. Chwilę trwa, zanim moje oczy przyzwyczajają się do panującego wokół mroku.

– Co się dzieje? – pyta Sam.

– Nie wiem. Najwyraźniej jestem na skraju wytrzymałości nerwowej z powodu tego węża w skrzynce. Także z powodu tego, co się dziś wydarzyło. Czuję się po prostu...

– Narazona? – Obejmuje mnie ramionami. – Jest mi cholernie przykro. Wiem, że w ogóle nie chciałaś brać udziału w tym pieprzonym show, i żałuję, że nie próbowałem ci tego wyperswadować. Miałem złe przeczucia, które, niestety, okazały się słuszne. Nie sądziłem, że posuną się do czegoś takiego, zwłaszcza po tych negocjacjach.

– Ja też nie, inaczej w ogóle by mnie tam nie było. – Jego ciepło mnie relaksuje. Jego siła. Choć jestem na dworze, przy nim potrafię się odprężyć.

– Może się nam poszczęści. Może ktoś zostawił odcisk palca na tej skrzynce.

– Nie odpowiedziałaś dzieciakom – mówi i unosi mój podbródek. Jest ciemno, ale dobrze widzę jego spojrzenie. – Co to był za wąż?

– Grzechotnik.

– Chryste, Gwen!

– Tak, wiem. – Opieram głowę na jego ramieniu. – Nic mi się nie stało. Nawet wężowi nic się nie stało. Nikt nie doznał żadnej krzywdy.

Czuję, że ma na ten temat sporo do powiedzenia, ale się powstrzymuje. Wiem, że wyszliśmy na dwór po to, żeby mógł mi coś powiedzieć, ale nie wydaje mi się, żeby chodziło o węża w skrzynce na listy. Dziwne. Sam zwykle nie ma problemów z mówieniem niewygodnych rzeczy.

Myślę o nietypowości całej tej sytuacji. Co pewien czas uświadamiam sobie, że Sam jest bratem jednej z ofiar Melvina. Logika podpowiada, że nie powinno go tu być, że nie powinniśmy mieć... tego wszystkiego. To nie zaczęło się w taki sposób. Nie ufałam mu, a on wierzył w głębi duszy, że byłam winna. Wypracowanie wzajemnego zaufania i podwalin spokoju

wymagało czasu, pracy i bólu. To wszystko nadal jest bardzo kruche, choć zbudowaliśmy łączący nas most. Nie ze stali jednak, a ze szkła. I w niektórych miejscach można dojrzeć pęknięcia.

– Słuchaj, chodzi o tę Mirandę Tidewell – odzywa się po dłuższej chwili. – Czy ona powiedziała, co tak naprawdę planuje?

– Mówiła tylko o jakimś filmie dokumentalnym. Chciała go wszędzie wysłać, a przynajmniej zapewnić tak szeroką dystrybucję, jak to tylko możliwe. To chyba nie powinno mi schlebiać? – Staram się zabrzmieć wesoło, ale nie udaje mi się. To nie może tak brzmieć. Miranda Tidewell jest obrzydliwie bogata i cholernie wściekła. Jeśli nie uda się jej wbić mi w plecy prawdziwej siekiery, zrobi to metaforycznie. Doskonale zna siłę mediów.

– Gwen. – Puszczą moje biodra i dotyka policzków w cudownie czułym geście, który odbiera mi oddech. – Jak sobie z tym poradzimy? Powiedz. Jak mamy chronić przed tym dzieci?

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. Czuję łzy w kąciakach oczu i mrugam intensywnie, żeby je rozgonić. – Może nie zdołamy ich ochronić. Może będą musiały nauczyć się żyć z tym brzemieniem.

– Mój Boże. – Wzdycha. – Mam nadzieję, że się mylisz. Naprawdę.

Kiedy mnie całuje, robi to bardzo delikatnie, ale w sposób niepozbowiony żaru. I odrobiny desperacji. Czuję to wyraźnie. Przez cały czas stoimy na skraju przepaści, której dno jest ciemne i odległe. W tej chwili przepaść wydaje się szczególnie niebezpieczna.

– Kolacja jest gotowa – mówi. – Jak bardzo powinniśmy się bać?

– Bardzo – odpowiadam. – Chcę, żebyś wraz z dziećmi przez cały czas zachowywał czujność. – Nienawidzę tego. Nie chcę odbierać tej odrobiny normalności, którą zapewniliśmy dzieciom. Muszą być jednak świadome tego, co może nadejść.

Siadamy do kolacji. Czeka na mnie kurczak z rozmarynem, mój ulubiony. Jak to miło z ich strony. Kurczak jest przepyszny, fasola ugotowana wprost idealnie. Sałatka woła o pomstę do nieba, ale moje dzieci się starają. Żadne z nas jej chyba nawet nie próbuje, kiedy rozmawiamy o Stillhouse Lake i zastanawiamy się, czy miasteczko może się okazać dla nas jeszcze bardziej nieprzyjazne. Dyskutujemy o czujności i przebywaniu wśród

przyjaciół i dorosłych, którym ufamy. Omawiamy sposób postępowania w razie niebezpieczeństwa. Nie jest to przyjemna rozmowa, ale wyjątkowo konieczna.

Dzieci nie protestują. Potrafię dostrzec bliski buntowi gniew Lanny. Dorosła do takiego wieku, w którym jej życie powinno stawać się większe, a nie kurczyć. Connor ma z tym mniej problemów. Miał w sobie cechy introwertyka jeszcze przed całą tą tragedią i trudno przypuszczać, by coś miało się zmienić w najbliższym czasie.

Muszę jednak bacznie obserwować córkę.

Po chwili pytają, czy mogą już odejść od stołu. Pozwalam im zostawić na wpół dojedzone talerze, po czym udajemy się z Samem do kuchni, żeby posprzątać. Co pewien czas zerkam przez ramię, żeby się upewnić, że uzbroiłam ponownie alarm. Dostrzega to, ale nie komentuje w żaden sposób. Zmywam naczynia, a on je wyciera i chowa do szafek. Wszystko odbywa się w komfortowej ciszy, a moje myśli wciąż uciekają do studia i horroru, który miał miejsce na wizji. Czuję, jakby nieustannie dotykała gorącego pieca, ale nie mogę się powstrzymać.

Kiedy rozbrzmiewa dzwonek telefonu, jestem niemal wdzięczna za odwrócenie mojej uwagi. Zachowałam linię stacjonarną dla bezpieczeństwa – w dziewięciu przypadkach na dziesięć słyszę nagrany głos, który próbuje mnie na coś namawiać. Tego typu telefonia wciąż sprawdza się w erze komórek, poza tym nie trzeba się troszczyć o ładowanie czy zasilanie.

Czuję się lepiej, mając telefon stacjonarny w odwodzie.

Sięgam po słuchawkę, ale się powstrzymuję. Nie rozpoznaję numeru, słucham więc, jak sekretarka przejmuje połączenie. To staromodne zachowanie, ale w ten sposób mogę odsiewać rozmowy i odbierać te, które uznam za ważne. Ściszam dźwięk dzwonka i odwracam, by odejść. Kiedy jednak kończy się powitalne nagranie, po drugiej stronie słyszę prawdziwy ludzki głos.

– Dobry wieczór... Szukam kogoś, kto nazywa się... Gwen Proctor.

Czuję ścisk w żołądku. Miałam już oczywiście do czynienia z mnóstwem niechcianych rozmów. Nieprzedstawiający się obcy, mający ochotę mi dołożyć za pomocą obelg. Anonimowi mężczyźni, którzy opowiadają w szczegółach, w jaki sposób chcieliby zgwałcić i zamordować mnie albo

moje dzieci. Czasami nas wszystkich. Mrozący krew w żyłach rozmówcy, którzy twierdzą, że zakochali się we mnie od pierwszego wejrzenia i że jesteśmy sobie przeznaczeni, jeśli tylko zgodzę się ich poznać.

– Błagam – ciągnie pełen wahania damski głos. – Proszę odebrać. Nie wiem, do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić.

Wiem, że to jedna z *tych* rozmów.

Zaczął się od przypadkowego połączenia przed kilkoma miesiącami od dalekiej znajomej gliniarza, który miał mój numer. Płacząca do słuchawki kobieta, która błagała mnie o radę, ponieważ nie wiedziała, jak utrzymać się przy życiu. Była matką czternastoletniego chłopca, który porwał, zgwałcił i zamordował pięcioletniego sąsiada, po czym przez trzy dni ukrywał ciało pod swoim łóżkiem. Kobieta je znalazła, zadzwoniła na policję i przekazała im własnego syna.

Nie była przygotowana na straszliwą prawdę – ludzie winili również ją. Winili za to, że urodziła mordercę. Że nie wiedziała. Że go nie powstrzymała.

Poświęciłam godzinę na pomoc w znalezieniu sposobu na poradzenie sobie z tym wszystkim. W końcu udało mi się znaleźć schronienie dla ofiar przemocy domowej, w którym mogła choć przez chwilę się ukryć. Nie wiem, co wydarzyło się dalej. Rozmawiała jednak z kimś innym, kto skontaktował się z nią po mojej interwencji. I tak dalej.

Przez ostatnie trzy miesiące wysłuchiwałam przerażonych, anonimowych głosów, które błagały mnie o wsparcie i odpowiedzi, którymi nie dysponowałam. Większości z nich mogłam zaoferować jedynie zrozumienie i marne pocieszenie w postaci uświadomienia, że nie są w same w tym koszmarze.

Sam mnie obserwuje, a jego mina mówi „nie”. Oczywiście ma rację. Nie potrzebujemy więcej kłopotów. Już prawie odpuszczam. Słyszę, jak kobieta oddycha, jak przetyka łyzy.

– W porządku – mówi tonem przepełnionym goryczą. – Przepraszam, że przeszkodziłam. Już się rozłączam...

Chwytam słuchawkę.

– Mówi Gwen. Co się stało?

Słyszę bardzo głęboki wdech po drugiej stronie linii.

– Przepraszam – mówi kobieta. – Pomyślałam, że uda mi się przez to przejść bez rozbicia się na drobne kawałeczki. Chyba nie jestem taka jak pani. Z tego, co słyszałam, ma pani nerwy ze stali.

Nadal nie mam pojęcia, z kim rozmawiam ani o co chodzi, ale coś mi podpowiada, że powinnam ją wysłuchać.

– Och, bynajmniej, proszę mi wierzyć – odpowiadam. – Nic się nie stało. Proszę mówić. Jak się pani nazywa?

– M... Marlene. Marlene Crockett. Z Wolfhunter. – W jej głosie wyraźnie słychać charakterystyczne dla wiejskich obszarów Tennessee cedzenie słów. – To jest w okolicy... cóż, praktycznie rzecz biorąc, w okolicy niczego. – Śmieje się nerwowo. Jej śmiech brzmi jak kruszące się szkło. – Nigdy nie słyszała pani o tym miejscu, prawda?

To jest pytanie, więc odpowiadam szczerze:

– Nie słyszałam. Czego pani ode mnie potrzebuje, Marlene?

Nie przechodzi od razu do rzeczy. Rozpoznaję ten styl mówienia – chce chwilę pokrążyć wokół tematu, nabrać odwagi. Opowiada mi o miasteczku, o frustracji związanej z pracą, o tłustej plamie, której nie może zeszkrobać z drewnianej podłogi. Czekam cierpliwie. Sam kończy zmywać naczynia. Piszze coś do mnie i podsuwa mi karteczkę. „Mam trochę pracy”. Kieruje się do naszego wspólnego gabinetu. Mamy tam dwa biurka, ustawione w przyzwoitej odległości od siebie. Sam zajmuje się dwiema rzeczami jednocześnie – pracuje dorywczo przy projektach budowlanych jako wolny strzelec oraz pomaga kilku drobnym firmom pod Knoxville. Ja zajmuję się księgowością online, co zabiera mi kilka godzin w ciągu dnia, a w wolnych chwilach dorabiam przy projektowaniu grafiki. Byłabym bardziej niezależna finansowo, pracując gdzieś na etat, ale lubię spędzać czas z dziećmi, szczególnie w trakcie tych długich, upalnych okresów letnich. Poza tym cieszy mnie świadomość, że mogę – nawet w tej chwili – rzucić wszystko i zniknąć. Pozbycie się takiej chęci zabierze mi zapewne trochę czasu, o ile w ogóle da się jej pozbyć.

W końcu kobieta kończy swój przydługi wstęp, więc wtrącam się:

– Marlene? Skąd w ogóle ma pani ten numer?

– Jedna babka w internecie napisała, że nie jest pani potworem, jak niektórzy uważają, i że jej pani pomogła. Zapytałam ją, czy mi również

mogłaby pani pomóc. Powiedziała, że tak, i dała numer.

– Tak otwarcie? W mediach społecznościowych?

– Przez e-mail – odpowiada Marlene. W jej głosie wyczuwam jeszcze większą nerwowość. – Czy to źle?

Mój numer nie został przynajmniej opublikowany w internecie, ale i tak będę musiała go zmienić. Albo pozbyć się telefonu stacjonarnego.

– Kto to był?

– Nie znam jej prawdziwego nazwiska, ale podpisywała się Melissa Thorn.

Będę miała z Melissą do pogadania.

– W porządku. Może mi pani powiedzieć, co się stało?

Oczekuję, że opowie mi coś o swoim chłopaku, mężu czy kimś z rodziny. Może nawet przyjacielu.

– Tu nie chodzi nawet o mnie. Problem leży bardziej... w całym tym cholernym miasteczku. Paru jego mieszkańcach, dokładniej rzecz biorąc. To miejsce nigdy dobrze się nie kojarzyło. Od samego założenia wsiąkała w nie krew.

To donikąd nie prowadzi i zaczynam myśleć, że zostałam oszukana. Może to kolejna osoba marnująca mój czas.

– Daję pani jeszcze jedną minutę na wyjaśnienie, co mogę dla niej zrobić. Potem się rozłączam i więcej nie odbiorę telefonu. Rozumiemy się?

Milczy przez chwilę.

– Rozumiem. – Ale nie kontynuuje. Cisza się przeciąga. W końcu mówi bardzo pospiesznie. – Jeśli tu dzieje się coś niedobrego, to co powinnam zrobić? Nie mogę z tym pójść na policję, nie ma mowy. Co by pani zrobiła, nie mogąc zaufać miejscowym w miasteczku?

– Mogę pomóc skontaktować się z agencjami stanowymi, jeśli o to pani prosi, ale radzę się przygotować i powiedzieć im, w czym naprawdę tkwi problem – odpowiadam Marlene. – Zacznijmy od tego: czy jest pani w tej chwili w jakikolwiek sposób zagrożona fizycznie?

– Nie... nie wydaje mi się. Ale jest... tak ciężko. Nie wiem, co mam z tym zrobić, dokąd pójść. Nie chcę wpakować się w większe kłopoty niż w tej chwili. – Wzdycha ciężko. – Jestem samotną matką, a moja córka sprawia problemy. Nie mam tu nikogo, kto mógłby mi pomóc. Muszę być ostrożna.

To naprawdę skomplikowane.

Zawsze jest skomplikowane od środka. Ludziom w zewnątrz może się wydawać, że łatwo jest odciąć liny i odpłynąć... ale za dużo tych lin ciągnie człowieka do ziemi. Dzieci. Dalsza rodzina. Przyjaciele. Praca. Pieniądze. Zobowiązania. Poczucie winy. I strach, tak wiele strachu. Kobieta przeżywa w życiu najbardziej niebezpieczny okres, kiedy rozstaje się z partnerem, w szczególności z agresywnym. Kobiety wiedzą to instynktownie, nawet jeśli nigdy nie widziały przesiąkniętych krwią statystyk. Czasami bezpieczniej jest znosić diabła, którego się zna.

– Rozumiem, że może się pani czuć jak w pułapce bez wyjścia – mówię. – Ale to nieprawda. Człowiek zawsze trzyma klucz do własnej klatki. Trzeba tylko znaleźć odwagę, żeby go użyć. Czy problem dotyczy pani męża?

Pociąga nosem, jakby za chwilę miała się rozplakać.

– Nie. On nie żyje.

– Chłopaka? Kogoś, z kim się pani spotykała?

– Nie.

– No dobrze. – To coś zupełnie nowego. Większość tych rozmów dotyczy mężów czy partnerów. Czasami nieznanymi dręczycieli. – To kto tak naprawdę w tej chwili pani teraz zagraża?

– To nie... to nie są pogrożki. I nie mogę zdradzić żadnych nazwisk. Chodzi o to... że jeśli komuś powiem, to problem powróci do mnie i do córki, a wtedy będzie naprawdę źle. A jeśli nikomu nie powiem... nie wiem, jak będę miała z tym żyć.

– Przykro mi – mówię najdelikatniej, jak potrafię. – Nie jestem jednak terapeutką, prawniczką, a cokolwiek mi pani powie, może pociągać za sobą prawne konsekwencje w przyszłości, jeśli wcześniej zrobiła pani coś nielegalnego. Rozumie to pani? Jeśli chce pani porozmawiać o czymś, co ją przeraża, a nie jest to dobry moment, to może poszukam jakiegoś psychologa czy psychiatrę...

– Nie pójdę do żadnego psychologa! – woła urażona. W małych oddalonych miasteczkach terapia średnio się sprawdza.

– W porządku. Jeśli sądzi pani, że sprawa może mieć charakter kryminalny, Marlene, to dlaczego nie pójść z tym na policję? – Nie odpowiada na to pytanie. Milczy. – Boi się ich pani?

– Boję się wszystkiego.

– A policja stanowa?

Bierze wdech i wypuszcza głośno powietrze.

– Może. Może to byłoby rozwiązanie. Nie jestem przekonana, czy mi uwierzą, ale mogłabym spróbować.

– W takim razie zachęcam do takiego telefonu. Jeśli człowiek zwleka, czasami ktoś może stracić życie, a wtedy trzeba żyć z tą odpowiedzialnością do samego końca. – Moje myśli pędzą jak szalone, próbując odpowiedzieć na pytania. Czy ona ma na myśli jakiegoś sąsiada? Przyjaciela? Coś innego? Nie mam pojęcia.

– Tak – przyznaje. Słyszę, jak nieustannie krąży po pomieszczeniu. – Tak, wiem o tym. Ale to małe miejsce. Cholera, połowa miasteczka jest ze sobą spokrewniona. Chyba będę musiała sama sobie z tym poradzić i... – Przerzywa, nie słyszę nawet jej oddechu. Kiedy znów się odzywa, mówi nerwowym szeptem: – Muszę kończyć. Przepraszam.

– Marlene, jeśli nie powie mi pani, co się dzieje, nie będę w stanie pomóc.

– Proszę tu przyjechać – mówi. – Proszę przyjechać, a pokażę pani wszystko. Wrak zakopali niedaleko. Sama pani zdecyduje, co z tym zrobić.

Wrak? Zakopali? Nic z tego nie rozumiem.

– Miałabym przyjechać do Wolfhunter? Nie. Nie mogę. – Nie ma mowy, żebym ruszyła się stąd na jakąś zapadłą wiochę. Uzbrojona czy nie, gotowa do walki czy nie... Nic z tego. Za duże ryzyko. – Proszę się skontaktować z policją stanową. Zrobi to pani?

Nie odpowiada. Rozlega się ciche kliknięcie i połączenie zostaje przerwane. Odkładam słuchawkę, kręcąc głową. To było niepokojące, ale nie mam pojęcia, co mogłabym w tej sprawie zrobić. Cokolwiek się z nią dzieje, jest bardzo dziwne, a mnie pozostaje być tylko podejrzliwą. Niedawno znalazłam węża w skrzynce na listy. Teraz tajemnicza rozmówczyni stara się mnie namówić na wyjazd ku samotnym wzgórzom.

Nie zamierzam dać się wciągnąć w pułapkę. Wszędzie mam wrogów.

Dzisiejszy dzień tylko to potwierdził.

Stoję przy telefonie, czekając na jego dzwonek, ale ten nie nadchodzi. W końcu idę do gabinetu. Zatrzymuję się po drodze i zaglądam do pokoju Connora. Czyta, zgodnie z moimi oczekiwaniami, więc mu nie

przeszkadzam. Nie zaskakuje mnie również Lanny pisząca na komórce, która ledwie podnosi głowę, kiedy pukam do otwartych drzwi.

– Hej – rzuca. – Kto dzwonił?

– Ktoś szukał porady.

Jej palce zawisają nad ekranem. Przenosi na mnie swoją uwagę. Moja córka jest śliczna, ale co ważniejsze, ma swój charakter i siłę. Do tego odrobinę uporu. Nie wiem, po kim to odziedziczyła.

– Czego chciała?

– Szczerze? Trudno powiedzieć. Chyba nie miała aż takich wielkich problemów. Nie bała się o życie, a przynajmniej nie w takim stopniu, by przyjąć poradę.

– Okej. – Wraca do świecącego ekranu, pracując kciukami ze zdumiewającą precyzją. Uwielbiam sposób, w jaki atakuje rzeczy, z całą intensywnością walki o śmierć i życie. Moja piękna Atlanta, nigdy nieporuszająca się z prędkością niższą niż maksymalna. – Nienawidzę tego wszystkiego. – Mówi o niebezpieczeństwie, ograniczeniach, o życiu zmuszającym ją do zamykania się w sobie.

– Wiem. Postaramy się, żeby było lepiej.

Kiedy docieram do gabinetu, zauważam otwartą butelkę wina i pełny kieliszek na biurku. Sam też sobie nalał. Wcisnął telefon między ramię a ucho i szpera w szufladzie w poszukiwaniu dokumentów. Chwytam kieliszek, wypowiadam bezgłośnie „dziękuję” i opadam na fotel. Sprawdzam skrzynkę e-mailową.

To pieprzona katastrofa. Powinnam się tego spodziewać po klęsce u Howiego Hamlina, ale jak zwykle jestem zaskoczona. Widok całej masy obraźliwych, anonimowych wiadomości w skrzynce sprawia, że zaczynam żałować, iż kolację zjadłam w pierwszej kolejności. Ignoruję je teraz. Większość i tak się powtarza, jakby pisał je jakiś skrypt. „Popelnij samobójstwo, wredna suko. Zrób wszystkim przysługę i dołącz do mężusia w piekle. Rozpal grilla i wleź do środka”. Tego typu teksty.

Kiedy przenoszę je wszystkie do folderu pod nazwą „do oceny”, pozbywam się zalewu dziennikarzy proszących o skomentowanie planowanego filmu dokumentalnego. Ktoś zapisał mnie do biuletynu Zagubionych Aniołów. Jak miło.

Oprócz tego znajduję cztery wiadomości, z których każda zawiera wyniki zautomatyzowanego wyszukiwania w internecie, które zaprogramowałam z myślą o comiesięcznej archiwizacji mojej skrzynki. Najwyraźniej zbyt długo zaniedbywałam Patrol Psycholi. Najpierw dochodziłam do siebie, a potem... potem starałam się przekonać samą siebie, że po zniknięciu Melvina i Absaloma wszystko się naprawi. Że nie muszę się więcej martwić.

Idiotka.

Teraz płacę za ten krótki, bezmyślny okres nadmiernej pewności siebie.

Cofam się jak najdalej i otwieram raport. Widzę listę zarchiwizowanych łączy, które odnoszą się do Gwen Proctor, Giny Royal czy innych krótko używanych fałszywych nazwisk, pod którymi się ukrywałam. Data wskazuje okres krótko po wydarzeniach z Killman Creek.

Wszystko w normie, jeśli oczywiście okaleczenie, gwałt i śmierć można za taką uznać. Oczywiście jest ich całe mnóstwo. Setki.

Bardziej przerażający jest fakt, że kiedy otwieram każdy z raportów, dostrzegam kojarzący się z rakiem rozrost łączy prowadzących do filmów, grup dyskusyjnych, nowych stron facebookowych poświęconych nękanii mnie oraz hashtagów na Twitterze. A to zaledwie część publiczna. Dark web^[2] jest obecnie dla mnie nieosiągalny. Używam przeglądarki Tor, która gwarantuje mi anonimowość, ale dark web jest siecią opartą na poleceniach, pełną podejrzanych kontaktów i ukrytych operacji. Do poruszania się po tym świecie korzystałam z pomocy grupy hakerów pod nazwą Absalom, ale wtedy nie wiedziałam jeszcze, kim – czym – jest tak naprawdę Absalom i czego chce. Bez tego prostego dostępu poszukiwania na głębszych poziomach internetu są bardzo ograniczone.

Widzę jednak powierzchnię i rosnącego potwora: dzień po dniu komentatorzy karmią się czymś strachem, paranoją, nienawiścią i łatwą oceną. W końcu znajduję łącze do strony Zagubionych Aniołów. Klikam ją, ale mogę się dostać jedynie do publicznej strony głównej, na której umieszczono zdjęcia wszystkich ofiar Melvina. Ciężko mi tu w ogóle wchodzić i widzieć te spokojne, uśmiechnięte i pełne nadziei twarze młodych kobiet, które dopiero rozpoczynały swoje życie. Niewinnych niemowląt i dzieci, którymi niegdyś były, zanim dopadł je mój były mąż.

Przewijam dalej. U dołu znajduje się zwykle sekcja wiadomości, w której członkowie społeczności Zagubionych Aniołów – przeważnie rodziny, choć również bliscy przyjaciele – umieszczają aktualizacje, które uznają za istotne.

Tym razem nie jest to zwykły wpis mówiący o rocznicy urodzin czy ukończenia szkoły, a pełna notatka prasowa z datą sprzed zaledwie kilku tygodni. Informuje ona, że rozpoczęło się nagrywanie filmu dokumentalnego związanego z Zagubionymi Aniołami. Nie tylko na temat ofiar, ale samych morderstw i Melvina Royała.

W szczególności jednak filmu o kobiecie, która mogła uniknąć sprawiedliwości: Ginie Royal.

Robi mi się niedobrze. Rozumiem ich ból, ich gniew, potrzebę sprawienia sobie ulgi. Nigdy nie odczuwałam do nich nienawiści za to, jak mną gardzą. Jedyną rzeczą, za którą mogę być wdzięczna, przynajmniej na razie, jest brak jakiegokolwiek wzmianki na temat Sama w nawiązaniu do filmu.

Wiele znaczących osób zainteresowało się tym projektem. Niemal dziesięć tysięcy przekazało setki tysięcy dolarów. Wszystko idzie na organizację non-profit, którą Miranda Tidewell założyła po zamordowaniu swojego dziecka. Kiedy patrzę na zapowiedzi, odczuwam jeszcze silniejsze mdłości. I ta obietnica: „więcej już wkrótce”.

Oni naprawdę to robią.

Idą po mnie.

Sam kończy rozmowę i słyszę, jak mnie woła, ale nie odpowiadam od razu. Nie mogę. Usiłując oczyścić myśli z Zagubionych Aniołów, klikam kolejne łącze. Patrzę teraz na komunikat na ekranie, mówiący: „Otwarcie sezonu łowieckiego na morderców” oraz towarzyszące mu zdjęcie, na którym stoję roześmiana z Lanny i Connorem przed naszym domem. Na fotografię nałożono celownik i otwory po kulach w naszych ciałach.

Sam obchodzi moje biurko, więc szybko – ale niewystarczająco szybko – minimalizuję zdjęcie do paska. Pochyla się i przejmuje myszkę. Otwiera zdjęcie i studiuje je uważnie. Znam tę ciszę. Prądy przepływające przez Sama są szybkie, rwące i czasami niebezpieczne.

– Co o tym sądzisz? – pytam go.

– Sądzę, że należy je natychmiast wydrukować i zanieść na policję. I do

FBI. – W obu tych instytucjach mamy na szczęście znajomych. – Ktokolwiek zrobił to zdjęcie, był tutaj i was obserwował. Chcę się dowiedzieć, kto to był, do jasnej cholery.

– Pierwotne zdjęcie mógł zrobić dziennikarz – uznaję. – Krążyli za nami od momentu aresztowania Melvina. – W związku z tym, że nigdy nie dawałam z siebie zbyt wiele w wywiadach, robili wiele zdjęć, zwykle z odległości, ziarnistych jak to tutaj. – To nie oznacza, że ten photoshopowy bohater, który je zmienił, kiedykolwiek był w pobliżu.

– Nie oznacza też, że go w pobliżu nie ma – zaoponował Sam. – Wybacz. Traktuję to poważnie.

– A ja to niby nie? To zdjęcie nie należy nawet do najgorszych.

Nie spuszcza wzroku z monitora.

– I tego się właśnie obawiam.

Pozwalam mu zapoznać się z całą resztą. Zawahałam się, ponieważ w pliku z Patrołu Psycholi są szczególnie paskudne materiały. Takie, które nawet teraz wydają się zbyt intymne, by się nimi dzielić. Ale on musi wiedzieć.

– W porządku. Chcesz usiąść i przejrzeć całą resztę tego, co tutaj mam?

Widzę, że jest wstrząśnięty. Przyciąga swój fotel i pochyla się do przodu z łokciami wspartymi na kolanach.

– Jasne, dawaj.

Sądzi, że jest przygotowany.

Kiedy jednak zaczynam przewijać, dostrzegam w jego oczach przerażenie i odrazę.

Nikt nie może być przygotowany. Nie na coś takiego.

[2] Dark web, ciemna sieć – termin określający celowo ukrytą część zasobów internetu, którą można przeglądać jedynie przy użyciu specjalnego oprogramowania (przyp. tłum.).

3

SAM

Sama świadomość, że Miranda Tidewell naskoczyła na Gwen w trakcie show, wystarczająco wytrąciła mnie już z równowagi, a po dodaniu do tego informacji o zaplanowanym filmie dokumentalnym w mojej głowie rozpętał się huragan. Nie mogę się pogodzić z faktem, że Miranda Tidewell i Gwen Proctor zajęły – choćby na krótko – tę samą przestrzeń. Rozdzieliłem je całkowicie w myślach i umieściłem w eleganckich, zamkniętych pudełkach. Miały się nigdy nie spotkać.

Ale życie tak nie działa, a teraz, kiedy Gwen opowiedziała mi o dokumencie o Zagubionych Aniołach, odnoszę wrażenie, że spadam w powoli w głęboką, ciemną studnię. Zbliża się zderzenie. I będzie śmiertelne.

W tej chwili mogę jedynie udawać, że to się nie dzieje. Będę dalej wiódł normalne życie, moje prawdziwe życie, tak długo, jak to tylko możliwe. Bo to, co reprezentuje Miranda... jest dla mnie martwe, tak samo martwe, jak małżeństwo Gwen. Powtarzam to sobie, choć wiem, że duch Melvina nie przestał nawiedzać żadnego z nas. Fakt, że ktoś umiera, wcale nie musi oznaczać, że ten ktoś znika.

Obserwując tę chorą paradę trolli i ich mrocznych, przemyślanych sposobów na skrzywdzenie jej... chciałbym móc przyznać, że mnie to zaskakuje. Ale tak nie jest. To wszystko wydaje się zbyt znajome.

Ledwie docieramy do połowy, a już czuję się odrętwiały. Jestem przekonany, że w obecnej chwili to dla niej coś na porządku dziennym. Zgadzą się na wybranie najgorszych prześladowców i przekazanie jutro ich danych na posterunek policji w Norton. Przynajmniej Kezia Claremont będzie po naszej stronie, a detektyw Prester, choć nie należy do najsympatyczniejszych facetów, jakich znam, jest sprawiedliwy. Okazuje podstawowe współczucie dla sytuacji Gwen i to się liczy. Powinniśmy się postarać, by stróże prawa nas teraz chronili.

Nasza mała społeczność w Stillhouse Lake nie ma własnych sił policyjnych z wyjątkiem – nieformalnie – Kezii Claremont, która przeprowadziła się niedaleko stąd, do domu po przeciwnej stronie jeziora, w pobliżu miejsca zamieszkania ojca. Ezekiel – dla przyjaciół Easy – Claremont jest uroczym, zadziornym staruszkim, który potrzebuje pomocy, choć wciąż utrzymuje, że świetnie sobie radzi. Wpadam do niego co parę dni, wypijamy piwo na jego przerobionym – prawdopodobnie nielegalnie – tarasie i przywożę mu to, czego potrzebuje. Zamieszkał na wzgórzu już dawno temu, bez wątpienia nielubiany przez wszystkich zamożnych, białych sąsiadów, którzy po kryzysie gospodarczym w większości przypadków się wyprowadzili. My zjawiliśmy się tutaj później. Gwen po to, by odnowić podniszczony dom i doprowadzić go do stanu używalności. Ja po to, by ją obserwować i udowodnić, że nie jest tym, kim twierdzi, że jest.

Choć tym razem się myliłem. Gwen jest dokładnie tą osobą, którą wydaje się być. To jedna z najbardziej zawziętych i uczciwych kobiet, jakie kiedykolwiek poznałem. Zrozumienie tego nie należało do kategorii zwyczajnych korekt toku myślenia, ale kiedy to zrobiłem, poczułem się... wolny. Jakby gniew, który opętał mnie dawno temu, całkowicie się ulotnił.

Obawiam się myśli, że być może wcale nie odszedł... tylko gdzieś krąży. Może cały ten gniew, który wypuściłem na wolność, wciąż gdzieś tam jest i szykuje się do powrotu.

Rankiem jedziemy na policję.

Norton to typowe południowe miasteczko położone w odległości kilku mil od Stillhouse Lake, trzymające się kurczowo gospodarczej nadziei i modlitwy. Zabite deskami lokale opowiadają swoją historię. Podobnie jak dziury w jezdni. Nikt tu się nie nabierze i nie pomyśli, że to miasteczko ma przed sobą świetlaną przyszłość, choć wszyscy są wyjątkowo zdeterminowani, by do tego doprowadzić. Osobiście bardzo lubię Norton. Podoba mi się stan, w jakim zachowane są budynki, choć w większości stoją puste. To miejsce ma swój domowy charakter, nawet jeśli Gwen uważa je często za przegraną sprawę. Zazwyczaj widzi tę mroczniejszą stronę. Ja staram się dostrzegać tę jasną, lub przynajmniej obrałem sobie to ostatnio za cel.

Budynek posterunku nie miał generalnego remontu od lat osiemdziesiątych i aż się o to prosi, ale przynajmniej na parkingu łatwo znaleźć miejsce. Kiedy wchodzimy do środka, natychmiast przyciągamy – a raczej robi to Gwen, blada i podejrzliwa – uwagę kobiety siedzącej za biurkiem. Nie chodzi o to, że Gwen jest kimś obcym, a o to, że to Gwen we własnej osobie, a kobieta po drugiej stronie blatu doskonale zna jej przeszłość.

Pochyliam się i przerywam ten pojedynek na spojrzenia.

– Dzień dobry. Chcielibyśmy porozmawiać z detektywem Presterem lub detektyw Claremont.

Kobieta przenosi na mnie spojrzenie, które nieco się ociepla.

– A mogę wiedzieć, w jakiej sprawie?

– To poufne – odpowiadam i uśmiecham się do niej. To chyba działa. Podnosi słuchawkę telefonu i wybiera numer. Gwen zerka na mnie i wywraca oczami. Wzruszam ramionami. Nie wszystko musi być dramatyczną konfrontacją, w szczególności w przypadku ludzi, których aktywnie staramy się zwerbować jako sojuszników.

Po około minucie Kezia otwiera drzwi między poczekalnią a pozostałą częścią posterunku i zaprasza nas ruchem ręki. To miła, młoda czarnoskóra kobieta, która ostatnio zdecydowała się na fryzurę w postaci gęstego, naturalnego afro i prezentuje się wyjątkowo, szczególnie na tym odludziu. Indywidualizm fryzury kontrastuje silnie z konwencjonalnym kostiumem, który nosi – prawie ukrywa on jej naramienną kaburę. Odznaka błyszczy, kiedy się obraca, a ja przytrzymuję Gwen drzwi i ruszamy za Kez do gabinetu detektywów.

Nie robi on większego wrażenia, co wcale nie zaskakuje, zważywszy na wielkość Norton. Ale jak w przypadku większości małych miasteczek, także i to boryka się z pokątną produkcją narkotyków, uzależnieniami i powiązanymi z tym przestępstwami. Nie przygotowuje jej to na rozmowę, którą mamy odbyć.

– Mam wrażenie, że to nie jest przypadkowa wizyta. – Kezia wskazuje nam chybotliwe krzesła po przeciwnej stronie biurka. – Chodzi o węża?

Gwen wzdycha.

– Nie do końca. Oglądałaś *Howie Hamlin Show*?

– Tak – przyznaje Kezia. – Strzelili ci w kolano na wizji. Przykro mi.

– Mnie również.

– Ten dokument, o którym opowiadali... – Kezia odchyła się na chwilę do tyłu i zbiera myśli. – Oni się tu zjawiają. Wiesz o tym, prawda? Będą chcieli nakręcić trochę materiału w miasteczku, pokazać lokalne życie, może pogadać z miejscowymi, którzy nie należą do twoich największych wielbicieli. I niczego tak naprawdę nie możemy w tej sprawie zrobić. Mogłabyś pojechać do miasta i zdobyć jakiś nakaz sądowy, ale wątpię, by to pomogło.

– Tak, ale my nie w tej sprawie – mówię, kiedy Gwen nie odpowiada.

– Mam jednak pewne informacje na temat węża. Znaleźliśmy odcisk pasujący do niejakiego Jessego Belldene’a. Jesse to jeden z wieśniaków, o których mówiłam, znający się na chwytaniu różnego rodzaju stworzeń. Problem w tym, że Jesse się nie przyznaje, a jeden odcisk palca nie wystarczy, byśmy mogli oskarżyć go nawet o kryminalną intrygę. – Kezia potrząsa głową. – Belldene’owie to wredna gromadka i wygląda na to, że cię znieubili. Jakiś konkretny powód...?

Gwen odpowiada, że nie wie. Ja nie odpowiadam natychmiast, ponieważ... chyba wiem. I wydaje mi się, że to moja wina.

Odchrząkuję. Oboje patrzą na mnie i czuję się, jakby złapały mnie dwa reflektory.

– Belldene – mówię. – Ten Jesse. Czy on często chodzi na strzelnicę?

– Raz się zjawił – odpowiada Kezia. – I dostał zakaz. Przyszedł kilka tygodni temu pijany, a ktoś na strzelnicy odebrał mu broń i nieźle przyłożył, kiedy ten próbował ją odzyskać. Nie złożył skargi, ale słyszałam, że musiał naprawić kilka zębów. Dlaczego pytasz?

Powoli unoszę rękę.

– To ja przywaliłem mu w gębę – odpowiadam. – Zachowywał się jak wariat i to było niebezpieczne. Gdyby Javier był akurat na miejscu, sam załatwiłby to lepiej. Wydaje mi się, że Jesse żywi lekką urazę.

– Zaraz – rzuca Gwen. – Chcesz powiedzieć, że tu nie chodziło o mnie?

Unoszę brwi. Nie przypominam jej, że nie we wszystkim musi chodzić o nią. Dociera to do niej i zasłania usta, chyba tłumiąc śmiech. Powiedziałem jej o tym zdarzeniu tamtego dnia, ale kiedy wielkolud –

Belldene – wylazł w końcu ze strzelnicy, w ogóle nie zapamiętałem jego nazwiska. Nie wiedziałem też, że wybiłem mu zęby.

Kezia musiała dostrzec ulgę Gwen, ponieważ mówi:

– Nie traciłabym mimo wszystko czujności, Sam. Belldene’owie z całą pewnością lubią zadzierać z innymi. Nie oczekiwałabym, że to był wasz ostatni kontakt z nimi.

– Możesz coś w tej sprawie zrobić?

Kręci głową.

– Złapać ich na gorącym uczynku. Macie kamery, prawda?

– W domu, nie w skrzynce na listy.

– Radzę, byście skierowali jedną z nich w tamtą stronę. Jeśli zaczną grzebać, przynajmniej będziemy mieli dowody.

To podoba mi się zdecydowanie bardziej, choć bezpośrednio nie rozwiązuje problemu.

– Dziękuję za to, ale... nie po to przyszliśmy. Chodzi nam o pogróżki. Uważasz, że Belldene’owie mogą mieć również z nimi coś wspólnego?

Kezia pochyła się do przodu.

– Oświećcie mnie.

Gwen wyjmuje teczkę i przesuwając ją po blacie. Kezia otwiera ją i natychmiast skupia uwagę na poddanym obróbce zdjęciu. Przygląda się mu przez chwilę, po czym przerzuca stronę, gdzie napotyka na groźbę śmierci wysuniętą przeciwko Gwen za to, że była partnerką Melvina. Tekst jest długi i skupia się o wiele za bardzo na tym, w jaki sposób autor planuje domagać się zadośćuczynienia.

Następny wydruk oskarża mnie i Gwen o oszustwo i udział w rządowym spisku, którego celem jest przekonanie społeczeństwa, że seryjni zabójcy naprawdę istnieją. Autor grozi śmiercią dzieciom (według niego również aktorom), jeśli nie poddamy się i nie ujawnimy szczegółów na temat tej konspiracji, o której również się rozpisuje, wspominając ze szczegółami o tajnych intrygach i czipach w naszych kartach kredytowych. Tekst jest totalnie pokrecony i z całą pewnością został napisany przez kogoś z poważnymi problemami psychicznymi.

Gwen zebrała wiele pogróżek, a Kezia czyta każdą w milczeniu, po czym zamyka teczkę.

– Wow – rzuca, co od razu wydaje mi się niedomówieniem. – Od jakiego czasu to przychodzi?

– Wybrałam tylko te z ostatnich tygodni – odpowiada Gwen. – Spodziewam się jednak sporego ich natężenia po tym, jak materiał z programu Hamlina trafi do internetu. Takie coś zawsze nakręca wariatów.

– No tak – przyznaje Kezia i prostuje się w fotelu. – Mogę nakazać śledzenie tych adresów IP, ale sami wiecie, jak to jest. Szanse, że robią to z otwartego i łatwego do namierzenia konta, są mizerne, a nawet jeśli się uda, trudno będzie postawić im konkretne zarzuty. A jeśli będą zarzuty, to zapewne nie będzie procesu. Ostatecznie więc...

– Cała taka akcja kosztowałaby w cholere dużo, zabrała sporo czasu i wysiłku i pewnie nie przyniosła żadnych rezultatów – wtrącam. – Radzisz więc... zaczekać, aż któryś z nich strzeli jednemu z nas w głowę, żeby miało miejsce prawdziwe przestępstwo, które można ścigać.

– Tego nie powiedziałam – oponuje Kezia i wyczuwam, że kojący, profesjonalny ton znikł z jej głosu. Chyba zabrzmiałem, jakbym brał to do siebie osobiście. – Słuchajcie, zajmę się tym. Pociągnę za sznurki. Zaplanuję na jakiś czas więcej patroli wokół jeziora. Nie zmienia to jednak faktu, że żaden z tych materiałów nie wygląda mi na robotę miejscowych, a już w szczególności Belldene'ów.

– Więc nic tego nie powstrzyma – mówię. – Resztę życia spędzimy, oglądając się przez ramię, a dzieci będą rosły w strachu.

– Sam... – mówi, ale natychmiast jej przerywam.

– Nie, Kez, nie staraj się zapudrować syfa. Zostawiasz Gwen i dzieci bez ochrony, podczas gdy niektórzy ludzie życzą im śmierci.

– Zapytam w takim razie wprost: czego tak naprawdę ode mnie oczekujesz? Ochrony policji przez całą dobę? Zgłoszenia sprawy do FBI? Mają oddział specjalizujący się w internetowych pogrózkach, ale są zajęci od rana do wieczora przez cały rok i dysponują personelem nie większym niż tysiąc osób w skali całego kraju. Zanim zwrócicie na siebie ich uwagę, dzieciaki zdążą już dorosnąć. Naprawdę próbuję wam pomóc. Ale jestem też szczerą. Prawo nie nadaża za pogrózkami. Ja jednak jestem funkcjonariuszką policji i mogę robić tylko to, na co to prawo zezwala.

Jestem wściekły. Nie spodziewałem się takich emocji, ale oczekiwałem nieco więcej. Gwen sprawia za to wrażenie całkowicie opanowanej.

– Sam – mówi Gwen. – Ona podchodzi do tego w praktyczny sposób. Na nic innego nie liczyłam. Wiesz dobrze, jak odważni potrafią być ludzie w internecie, kiedy siedzą przed ekranem komputera.

Nasze spojrzenia się spotykają i odwracam głowę. Byłem kiedyś jednym z tych anonimowych, zgorzkniałych facetów wypisujących do niej słowa pełne gniewu. Nigdy dłużej o tym nie rozmawialiśmy, nie identyfikowaliśmy żadnych określonych słów na ekranie czy gróźb, które mogłem umieszczać w tych mrocznych czasach. Czasami łatwiej jest poradzić sobie z przeszłością, kiedy nie rozdrapujemy starych ran.

– Tak czy inaczej, dzięki za poświęcony czas, Kez. Chciałem tylko uświadomić ci powagę sytuacji, żebyś była przygotowana, kiedy coś wypłynie. – Kiedy, nie jeśli. Zwracam uwagę na konstrukcję własnego zdania.

Kezia powraca na pierwszej fotografii, na której Gwen i dzieci są poznaczone śladami po kulach.

– To tutaj mnie niepokoi – przyznaje. – Bardziej niż inne.

– Dlaczego akurat to? – pytam. Przynieśliśmy więcej zdjęć, wiele jeszcze gorszych.

– To jest inne. Ktoś tutaj nie marnował czasu na ideologię i fantazje. – Przekrzywia głowę i przygląda się mu uważniej. Podnosi je nawet. – Tak sobie myślę, że większość tych dupków narysowałoby całe mnóstwo ran, prawda? Im więcej krwi, tym lepiej. Celem jest wywołanie szoku i strachu. Ale to? – Odwraca zdjęcie w naszą stronę. – Co tutaj widzicie?

Oboje milczymy przez kilka sekund.

– Śmiertelne postrzały – odpowiadam w końcu.

– Zgadza się. W głowę i pierś. W głowę i pierś. W głowę i pierś. Jeśli przyjrzeć się, gdzie trafiają kule, to widać, że są one śmiertelne. Ktoś się na tym zna i to mnie niepokoi.

– Mnie również – przyznaję.

Nie ma bowiem nic bardziej niebezpiecznego niż snajper, który zna się na swoim fachu.

– Ona pewnie ma rację – mówię, kiedy jedziemy z powrotem do domu. – To tylko biurkowi wojownicy. Zamierzam jednak skontaktować się z Mikiem i wysłać mu to zdjęcie na wypadek, gdyby widział coś podobnego lub mógł czegoś poszukać. Naprawdę chciałbym się dowiedzieć, czy mamy do czynienia z prawdziwym zagrożeniem, czy z kolejnym debilem z klawiaturą.

Gwen w ogóle nie należy do biurkowych wojowników. Przeżyła więcej, niż mogłoby się wydawać większości ludzi. Nie boję się również konfrontacji, choć siła i odwaga nie mogą się mierzyć z kulą snajpera.

– Pogadaj z Javierem na strzelnicy – podsuwa Gwen, a ja przez chwilę jestem na siebie zły, że nie pomyślałem o tym w pierwszej kolejności. – Snajperzy muszą ćwiczyć, prawda? Może ktoś widział jakiegoś miejscowego, który poświęca temu sporo czasu.

– Pojadę od razu – postanawiam. – Wysadź mnie przy samochodzie. Powinienem jeszcze zajrzeć na kilka budów.

– Zdążysz wrócić na obiad?

– Zależy. Będzie mielony? – Obecnie to pytanie ma dla nas znaczenie żartobliwe. Nie wiemy dlaczego, ale Connor uznał pewnego dnia, że wciąż mało mu mielonego, i pyta o to przy każdym posiłku. Gwen stara się zbytnio mu nie pobłażać. Dzieci sporo jednak przeszły i odrobina nadprogramowego mielonego wydaje się niewielką ceną za uczucie szczęścia.

– Nie dziś – odpowiada Gwen.

– W takim razie przyjadę na czas.

Daję jej buziaka na pożegnanie i wyskakuję, kiedy zatrzymuje SUV-a. Całus jest tak długi i słodki, że przez chwilę rozważam rezygnację z pomysłu związanego z wizytą na strzelnicy. Wiem jednak, że każda sekunda bezczynności naraża ją na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Jadę więc.

Mój pickup jest już nieco zmęczony jazdą po wiejskich drogach, ale to prawdziwy wół roboczy i uwielbiam go. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy odbieram połączenia telefoniczne. Hałas silnika i ogólny klekot nie

ułatwiają prowadzenia rozmów. Nie rozpoznaję numeru, który wyświetla się na ekranie mojej komórki, kiedy zmierzam w kierunku parkingu przy strzelnicy, kojarzę jednak numer kierunkowy. Waszyngton. Odbieram połączenie, starając się przekrzyczeć hałas silnika.

– Słucham!

– Zmieniłem numer – mówi Mike Lustig. – Dzięki, że odebrałeś, przyjacielu. Chryste, co ty tam prowadzisz? Myśliwiec?

– Zmęczonego chevroleta. Brzmią praktycznie tak samo, co?

– Co? Nie. Słyszę. Ciebie. – Celowo się tak ze mną droczy.

– W takim razie nie usłyszysz, jak nazywam cię dupkiem, który o mnie zapomniał – rzucam. – Ile to już minęło?

– Według mojej listy połączeń? Jakies cztery miesiące.

– I o tym właśnie mówię. Fajny z ciebie przyjaciel.

– Przestań się tak emocjonować. Miałem robotę pod przykrywką. Nie spodobałoby ci się, musiałem się nauczyć drukować pieniądze.

– Nowy plan emerytalny?

– Zważywszy na to, co się tutaj wyprawia, byłby to niezły pomysł. Służba dla rządu rzadko bywa wesoła, a teraz szczególnie zajeżdża gównem.

– Kaznodzieja twierdzi, że wszystko przemija.

– Chyba znamy bardzo różniących się kaznodziejów.

– Co się właściwie stało, że dzwonicz? Nudzisz się?

– Nie – odpowiada Mike nieco poważniejszym głosem. – Gwen nie potrafi trzymać się z dala od serwisów informacyjnych, co? Chyba wiesz, co to wszystko teraz oznacza. Paskudne robactwo znów wylezie z drewna i przypomni sobie o niej, o tobie, o dzieciakach. Cholera, miała po prostu się nie wychylać.

– Zdajesz sobie sprawę z presji, jaka na niej ciążyła? Musiała stawić temu czoła i spróbować zwyciężyć.

– A jaki był rezultat? – Milknie na kilka sekund. – Była tam Miranda pieprzona Tidewell. Widziałeś ją?

– Nie – odpowiadam. Cieszę się, że jej nie widziałem. Nie wchodziłem nawet na YouTube, żeby to obejrzeć. Nie jestem w stanie.

– Nie muszę ci chyba przypominać, że masz się od tego trzymać z daleka?

– Nie trzymam się, prawdę mówiąc. Ale dzięki, że uważasz mnie za idiotę

pierwszej klasy.

– Klasy ekonomicznej – poprawia mnie Mike. – Nie ma mowy, żeby twoje żaloszne dupsko posadzić w czymś bardziej ekskluzywnym.

– Wal się, moje podatki idą na twoją sympatyczną rządową pensyjke. Jestem pewien, że często tego nie słyszysz.

Mike ma niski głos i równie niski śmiech, który teraz wibruje w słuchawce telefonu.

– Stary, czasami naprawdę możesz zadowolić swoje wewnętrzne, białe dziecko. Słuchaj, teraz już poważnie. Ta wasza relacja z Gwen...

– Proszę, nie zaczynaj.

– Sam, to się nie ułoży. Musisz o tym wiedzieć. Prędzej czy później komuś stanie się krzywda. Zapewne jej. I obaj wiemy dlaczego, prawda?

Docieram na strzelnicę i wysiadam z pickupa. Milczę przez chwilę, opierając się o betonowy mur budynku. Na parkingu stoi sporo aut, ale nikogo nie ma na zewnątrz, tylko ja i żaby kumkające gdzieś wśród drzew.

– Tak, wiem. Rozumiem to. Ale teraz ona ma sporo kłopotów. Nie mogę tak po prostu odejść.

– Gwen Proctor to ktoś ocalały z katastrofy.

– A ja to niby nie?

– Może kiedyś, zanim nie opuściłeś gardy. – Mike waha się przez chwilę, po czym wzdycha. – Słuchaj, dałem komuś twój numer. Odbierz, dobra? To ważne.

– W co ty mnie wplątujesz, do cholery?

– W nic, z czym nie mógłbyś sobie poradzić. Uważaj na siebie, Sam. Wciąż się o ciebie boję. Dlaczego? Sam nie wiem.

– To słodkie, ale i tak zamierzam cię wydać za fałszerstwo. Ile za to dają? Dwadzieścia lat w więzieniu federalnym?

– Widzisz? Teraz to już jesteś wredny. – Rozłącza się. Zastępuję jego stary numer nowym w telefonie i stoję w miejscu przez kilka chwil. On ma rację. Dla mnie i Gwen nadchodzą ciężkie czasy. Świadczy o tym samo pojawienie się Mirandy. Naprawdę muszę rozważyć, co to wszystko może oznaczać. Ale nie w tej chwili. Im dłużej jestem w stanie unikać tego konkretnego problemu, tym lepiej.

Wchodzę do środka i pytam Javiera, czy widział coś podejrzanego. Nie

widział, przez co wcale nie czuję się spokojniejszy. Jesteśmy widoczni w zbyt wielu celownikach, a ja nijak nie potrafię temu zaradzić. Strzelnica jest wypełniona po brzegi, choć nie każde stanowisko jest otwarte, więc po prostu czekam. Lubię Javiera. Ten był marine, wciąż młody, ma w sobie coś, co sprawia, że ludzie zwracają na niego uwagę, gdy mówi, nieważne jak cicho. Potrafi rozładować napięcie na strzelnicy samym swoim wejściem. Nieistotne, jaki spór toczy się między ludźmi, znika on niemal natychmiast w jego obecności.

Gdybym zwrócił się do niego, kiedy Belldene zaczął swoje wygłupy, wszystko zapewne skończyłoby się groźnym spojrzeniem, a nie nokautem.

– Chcesz, żebym miał oko na obcych – mówi Javier, kiedy szykuję się do wyjścia. Słyszymy regularne, stłumione dudnienie strzałów po przeciwnej stronie betonowej ściany, ale żaden z nas nie zwraca na to uwagi. Na strzelnicy trzeba się raczej martwić, kiedy zapada cisza, bo to oznacza, że wszyscy zwracają uwagę na kogoś lub na coś bądź ktoś został ranny. – Tak zrobię, zaufaj mi. Jak tam dzieciaki?

– W porządku. – Wiem, że wciąż czuje się winny po tym, jak Connor i Lanny wymknęły się z jego domu i wpadły w kłopoty, kiedy Gwen zostawiła ich pod jego opieką. – Nic im nie jest. Chciałyby, żebyś wpadł.

Kiwa głową, choć na jego twarzy dostrzegam niechęć.

– Ona ciebie nie wini – zapewniam go. – Ani trochę. Zrobiłeś, co w twojej mocy, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

– Ale mogłem się bardziej postarać, prawda? Wiem, że mnie nie wini. Ale to jeszcze gorzej, stary. – Patrzy mi w oczy i odwraca wzrok.

– Cóż, ja ich zostawiłem – mówię. – Jak się twoim zdaniem czuję? Ty tam dla nich byłeś. Ja nie.

– Oni cię kochają. Dzięki tobie wierzą, że znów mogą mieć ojca. Nie ignoruj tego, to bardzo ważne.

Zgadzam się z tym. Ale to również cholernie przerażające. Nie chcę ich zranić, nigdy, przenigdy, a teraz... teraz nie mam pojęcia, jak mógłbym tego uniknąć.

Nie oczekiwałem, że osoba, o której wspomniał Mike, zadzwoni tak szybko, ale tak się właśnie dzieje. Wychodzę na zewnątrz i odbieram. Kolejny nieznany numer, tym razem z Florydy. Chyba z Miami, dokładniej

rzecz biorąc.

– Sam Cade – przedstawiam się.

– Panie Cade – odzywa się spokojny głos kobiety po drugiej stronie – proszę zaczekać na rozmowę z panem Winstonem Frostem.

Nie kojarzę tego nazwiska, ale brzmi tak, jakby należało do kogoś ważnego. Po trzydziestu sekundach ciszy słyszę kliknięcie na linii i głos z akcentem z londyńskiego West Endu.

– Panie Cade, dzień dobry, miło mi pana słyszeć. Dziękuję za zgodę na rozmowę ze mną.

– Jasne – rzucam. – O co chodzi?

– Pani Lustig wspominał, że będę dzwonił?

– Powiedział, że ktoś zadzwoni.

– Cóż, chodzi o to, że miałem ostatnio przyjemność spotkać się z panem Lustigiem. Powiedziałem mu, że poszukuję pilota naszego firmowego odrzutowca, a on uznał, że może być pan zainteresowany. Rozumiem, że zrobił sobie pan dłuższą przerwę od latania, więc...

Latanie. Czuję, jak przyspiesza mi serce. To nie jest celowe. Wcale nie chcę reagować w taki sposób. W tej chwili dociera do mnie jednak, że stęskniłem się za lataniem bardziej, niż mi się wydawało.

– Z pewnością jest wielu innych pilotów gotowych zabić, żeby skorzystać z takiej okazji – odpowiadam. – Dzwoni pan aż do Tennessee i proponuje pracę człowiekowi, którego nie widział nigdy na oczy? Z którego dokumentami się pan nie zapoznał?

– Skąd pan wie, że się nie zapoznałem?

– Proszę mi zaufać, wynika z nich, że mój nalot jest odrobinę zakurzony.

– Mówi pan jak ktoś, kto nie jest zainteresowany powrotem na fotel pilota.

Jestem, i to jest kłamstwo. Chciałbym wrócić tak bardzo, że w tej chwili nie interesuje mnie nic innego. A dom? Rodzina? Życie z Gwen?

Samo zadanie sobie takich pytań sprawia mi wiele bólu.

– Oddzwonię do pana – odpowiadam. Mam świadomość, że to najprawdopodobniej oznacza „nie”. Spodziewam się, że teraz każe mi iść do diabła.

– Oczywiście, potrzebuje pan czasu, żeby się nad tym zastanowić.

Musiałby się pan rzecz jasna przenieść w okolice Miami, żeby być pod telefonem, kiedy zajdzie taka potrzeba. Wynagrodzenie wyniosłoby mniej więcej sto pięćdziesiąt tysięcy rocznie. Do tego standardowy pakiet świadczeń. Nie spieszy się nam jakoś szczególnie i rozumiem, że musiałby pan odnowić uprawnienia, a to wymagałoby czasu i treningu. To nie stanowi dla nas problemu. Jesteśmy gotowi zatrudnić pana warunkowo w trakcie załatwiania tych wszystkich formalności.

Wynagrodzenie jest podejrzanie wysokie, zważywszy na to, że nie mam nawet doświadczenia w lataniu prywatnym odrzutowcem, choć łatwo mogę się na takiego przeszkolić.

– Czy byłbym pańskim jedynym pilotem?

– Nie. Zatrudniamy trzech pilotów, którzy przez cały czas pozostają w gotowości. Pańskie stanowisko zostałoby opłacone wraz z nadgodzinami, jeśli czas lotu przekroczyłby osiem godzin w ciągu doby. Zatem niezależnie od czasu lotu otrzyma pan swoje pieniądze.

Milczę chwilę i odwracam się, by spojrzeć na horyzont.

– Jakiego rodzaju firmę pan prowadzi?

– Słucham?

– Jaka firma zatrudnia trzech pilotów będących przez cały czas w gotowości i płaci tak dużo w ramach początkowego wynagrodzenia?

– Zyskowna – odpowiada. – Może pan oczywiście poszukać informacji na mój temat i na temat mojej działalności. Mój asystent skontaktuje się z panem za kilka tygodni, aby wysłuchać pańskiej odpowiedzi. Dziękuję za poświęcony mi czas, panie Cade.

– Dziękuję za telefon – odpowiadam, choć tamten zdążył się już chyba rozłączyć. Patrzę na ekran do momentu, aż gaśnie.

Komu polecił mnie Mike, do jasnej cholery? I co ja mam z tym zrobić? Pojechać na rozmowę o pracę? Okłamać Gwen? Opuścić Stillhouse Lake?

W tym momencie nie potrafię odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Jedno wiem na pewno: sprawdzę tego faceta.

Uzyskanie informacji na temat Winstona Frosta zabiera mi pięć minut

siedzenia w pickupie z telefonem w ręku. Facet jest dyrektorem generalnym Frost Industries, dużej firmy produkcyjnej z zakładami rozsianymi na całym świecie. Główna siedziba znajduje się w Londynie, druga w Miami, a trzecia w Szanghaju. W internecie roi się od jego zdjęć, zrobionych głównie przy okazji imprez charytatywnych. Ma swoich krytyków, ale na pierwszy rzut oka wydaje się w porządku.

Wysłałam Mike'owi wiadomość w tej sprawie, ale nie otrzymuję odpowiedzi, przynajmniej nie od razu. Chciałbym się dowiedzieć, gdzie dokładnie Mike poznał tego człowieka i co o nim wie. Numer Winstona Frosta wskazuje na biura w Miami, więc tu również nie mam żadnych zastrzeżeń. Wybieram go nawet ponownie i słyszę po raz drugi profesjonalny głos sekretarki. Dziękuję jej i kończę połączenie.

Frost nie byłby pierwszym bogatym, zepsutym biznesmenem, z którym miałbym do czynienia od chwili poznania Gwen.

Cholera... stabilna praca, stabilna pensja, latanie.

Nie chcę tego aż tak bardzo pragnąć, ale tak właśnie jest.

4 LANNY

Siedzę ze skrzyżowanymi nogami na łóżku z otwartym laptopem i czekam, aż Dahlia odbierze moje połączenie na Skypie. Sygnał dzwoni i dzwoni, a ja zaczynam panikować, jak zawsze w takiej sytuacji. A jeśli obudziła się dziś i już mnie nie kocha? Czy to dlatego nie chce ze mną rozmawiać?

Wiem, że to głupie. Przeszłam już wystarczająco wiele sesji terapeutycznych, żeby wiedzieć, że mam jakieś problemy – jakkolwiek je nazwać. Zawsze się boję, że zostanę skrzywdzona, nawet jeśli nikt nie chce mnie skrzywdzić. Dlatego zawsze odruchowo odrzucam ludzi z całą zawziętością. Staram się już tego nie robić. Zakochałam się w Dahlii. Dzięki niej moje serce łomocze, chce mi się płakać, kiedy się rozstajemy, a to chyba właśnie miłość, prawda? Chcę z nią być cały czas, ale jestem praktycznie pewna, że tak się nie stanie.

Kończę połączenie na Skypie i zaglądam na jej profile w mediach społecznościowych. Instagram pokazuje, że Dahlia jest dziś na czyichś urodzinach, wyraźnie znudzona pozowaniem do zdjęć. Wiem jednak przynajmniej, że mnie nie wystawiła. Przynajmniej nie dzisiaj. Nie bądź czepliwa, powtarzam sobie, bądź opanowana.

Nie wiem, jak to osiągnąć. Już od tak długiego czasu staram się zachowywać obojętność, że zwolnienie tempa wydaje się niemożliwe. Przynajmniej nie jestem zazdrosna. Bo nie jestem, prawda?

Słyszę otwierające się drzwi, sygnał ostrzegawczy alarmu i odgłosy pospiesznego wpisywania kodu. Drzwi zamykają się i blokują.

Mama jest w domu. Nie słyszę jednak Sama. Zazwyczaj rozmawiają, kiedy wchodzi do środka.

– Kurczak teriyaki! Ktoś chętny do pomocy? – woła.

Nie ruszam się z miejsca, wpatrzona w ekran. Czy Dahlia sprawia wrażenie szczęśliwej, pozując z grupą dziewczyn? Na innym zdjęciu

obejmuje chłopaka. Mama Dahlii powiedziała – kiedy nie miałyśmy tego usłyszeć – że obie przechodzimy obecnie pewną fazę. Może ma rację, jak chodzi o Dahlię. Ale nie o mnie. Darzenie kogoś miłością nie jest żadną fazą.

– Hej – woła mama, stając w progu. – Co jest?

– Nic – odpowiadam. Zamykam laptopa. – Wybierałam się na przebieżkę.

– Ale nie sama – zastrzega.

– Mamo, przecież nie jest ciemno. Pobiegnę tylko do jeziora.

– Nie sama, nie ma mowy. Pobiegnę z tobą. Przyda mi się trochę ruchu.

– Spowolnisz mnie – odpowiadam. Wywraca oczami. – Naprawdę, mamo.

– No cóż, jestem stara, ale jeszcze daję radę.

– A co z tym obiadem?

– Ja się tym zajmę – mówi mój brat. Opuszcza swój pokój po przeciwnej stronie. Na szyi ma zawieszony słuchawki. Mama go obejmuje, a ten nawet nie sztywnieje. Zdarzało mu się to wcześniej, ale teraz się poprawiło. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie rozmawiamy zbyt wiele od czasu, kiedy się dowiedziałam, że wymyślał się ukradkiem, żeby zadzwonić do naszego taty. Nie wiem, co z tym zrobić, jak z nim o tym porozmawiać. Wkurza mnie, że w ogóle coś takiego robił. Nie znam przyczyny i nie mam ochoty o nią pytać.

– Czosnek, imbir i zielone cebulki – mówi mama i poprawia mu fryzurę z tyłu głowy. – Drobnio posiekany czosnek i imbir, dobrze? I pamiętaj, żeby wszystko umyć, zanim zaczniesz kroić.

– W porządku – odpowiada. Nie powinno mnie chyba niepokoić, że lubi posługiwać się kuchennymi nożami. Chce w końcu zostać kucharzem, czy nie? Kucharze używają noży.

Nasz ojciec też ich używał.

Mama idzie do pokoju się przebrać, a ja ponownie otwieram laptopa i patrzę na swoje odbicie. Rozważam wrzucenie selfie z opisem nastroju. Podoba mi się dziś moja fryzura. Włosy układają się pod fajnym kątem, a niebiesko-zielone pasemka, które wplotłam w czerń, są nadal wyraźne. Poprawiam je dłonią i szykuję pozę pod tytułem „Operacja: Niech Dahlia Pamięta, Że Żyje”, ale serce podpowiada mi inaczej. Zatrząskuję laptopa, zakładam sportowy stanik, starą, nieco przydużą koszulkę i legginsy

z kroplami krwi wyszytymi po bokach. Wciskam stopy w buty do biegania, kiedy wraca mama. Obrzuca spojrzeniem moje legginsy i wiem, że zaraz każe mi je zmienić, ale się powstrzymuje.

Jedno można o mojej mamie powiedzieć: stara się. Wie, że sama na swój sposób muszę sobie radzić z gównianą przeszłością. Nie potrafię robić tego tak jak ona, przynajmniej nie przez cały czas. Poza tym uwielbiam te legginsy.

Unoszę brwi. Wzdycha i potrząsa głową.

– Okej. Chodźmy.

Kiedy wychodzimy, Connor krząta się w kuchni, wyposażony w nóż i deskę do krojenia oraz wszystkie niezbędne składniki. Mama przypomina mi, żeby pod żadnym pozorem nie otwierał nikomu drzwi. Macha ręką. Wszyscy znamy zasady.

– Na razie, kurdupłu – rzucam.

– Cześć, dziwolągu. Mam nóż.

Pokazuję mu środkowy palec. To typowe żarty między nami. Jakaś niewielka część mnie nadal uważa je za zabawne.

Dyktuję tempo nad jeziorem, ale staram się nie przesadzać. Sporo ćwiczę. Mama była kiedyś szybsza, a ja nie miałam kondycji. Teraz ją mam. Poza tym kiedy zwiększę tempo i dołożę do tego moje dłuższe nogi, mama musi się mocno starać. Ale jestem łaskawa i nie chcę jej całkowicie upokorzyć.

Zaliczenie pełnego kółka powinno nam zabrać jakieś pół godziny, co jest super, a my wybrałyśmy idealną porę dnia. Słońce chowa się za drzewami, rozszczepiając na piękne promienie, które celują w wodę i się od niej odbijają. Kiedy mijamy stary dom Sama, mama zwalnia. Robię to samo, żeby się z nią zrównać.

– Coś nie tak?

Sam już tam nie mieszka. Dom został wyremontowany i teraz zatrzymują się w nim jednodniowi turyści. Jestem z natury podejrzliwa wobec ludzi, którzy się wychylają, kiedy mogą tego nie robić. Przypominam sobie wszystkie te noce, kiedy zasypiałam ze łzami w oczach przed ponowną przeprowadzką w kolejne, tymczasowo bezpieczne miejsce.

Już nie płaczę. Nie z takiego powodu.

– Myślisz o czymś? – pytam mamę, ale ta kręci głową, zamyka się w sobie

i wydłuża krok. Doganiam ją bez trudu. Docieramy do kolejnego zacienionego zakrętu. Muszę ominąć jakiegoś faceta, spychającego do wody podniszczoną łódkę obciążoną chłodziarką, która raczej nie znalazła się tam z myślą o rybach.

Mama najwyraźniej unika rozmowy. Biegniemy, dopasowując do siebie tempo. Czuję już skutki biegu, moje ciało pracuje tak, jak powinno, umysł kąpie się w powodzi radosnych chemikaliów. Obiegnięcie jeziora w pół godziny wymaga solidnego tempa, ale dajemy radę... aż spostrzegam Ezekiela Claremonta, który siedzi na swoim rozchwierutanym, zrobionym z palet tarasie wychodzącym nad taflę jeziora. Jest starym, kruchym mężczyzną o pomarszczonej skórze, której odcień jest nadal nieco ciemniejszy niż w przypadku córki Kezii. Ma krótko przycięte, siwe włosy. Na tarasie postawił turystyczne krzeselko i podnózek. Siada na nim każdego dnia, o ile pozwala na to pogoda i zbytnio nie dokucza mu biodro. Technicznie rzecz biorąc, cała ta drewniana konstrukcja jest nielegalna, ale z tego, co mi wiadomo, nikt nie robi mu żadnych problemów. Może dlatego, że kilka miesięcy temu, dzwoniąc na policję, uratował życie dziewczynce, której kajak wywrócił się na lekko wzburzonym jeziorze i która bezmyślnie postanowiła zdjąć kapok i popłynąć do brzegu. Gdyby miejscowy patrol nie dotarł na czas, poszłaby na dno.

– Hej, panie C.! – wołam i zwalniamy do chodu. – Co tam słysząc?

Lubię Easy'ego. Jego córkę Kez również. Nie należy do szczególnie wesołych mężczyzn, ale jest konkretny i łatwo nawiązać z nim rozmowę, kiedy tego potrzebuję. Przychodzę tu czasami i rozmawiamy o moim tacie. Przez większość czasu tylko słucha i kiwa głową.

– Doszły mnie pogłoski, że mama znalazła się w opałach w telewizji. Wszystko w porządku, Gwen?

– Jasne – odpowiada. – Dzień jak co dzień, Easy.

– Tak ci się wydaje? – Przygląda się jej i kręci głową. – Ta druga kobieta sporo powiedziała. Ludzie mogą jej posłuchać.

– Mogą – przyznaje mama. – Już przez to przechodziłam.

– Nie przez coś takiego. Ci ludzie od filmu dokumentalnego już zjawili się w miasteczku. Zatrzymali się w Vagabond na wylocie z Norton.

Zasysam gwałtownie powietrze. Filmy dokumentalne oznaczają obecność

kamer. Ludzi zadających pytania. Ludzi włączających z buciorami w nasze życie. Miałam nadzieję, że to wszystko się skończy po nagraniu *Howie Hamlin Show*, że ta blondyna, która okazała się taka wredna w stosunku do mojej mamy, postanowi sobie odpuścić. Widziałam wcześniej jej zdjęcie. To matka jednej z ofiar taty, wystarczająco bogata, żeby zmienić nasze życie w koszmar.

– Są tutaj? – pyta ostro matka, a ja mrugam. Sprawia wrażenie bardzo podenerwowanej. Natychmiast to zmienia, ale jest już za późno, zdążyłam to usłyszeć. – Nie spodziewałam się, że zjawią się tutaj tak szybko, o ile w ogóle.

– Są od dwóch dni – odpowiada Ezekiel. – Tak twierdzi moja córka, a ona powinna mieć rozeznanie. Ma obcych na oku.

– Ciekawe – mówi mama – że nie wspomniała o tym ani słowa, kiedy rozmawialiśmy dziś rano.

– Spotkałaś się z Kez? – Jestem odrobinę zaskoczona. Mama nie powiedziała mi o tym. – Dlaczego?

Ignoruje pytanie i skupia się na Easym.

– Widziałeś tych ludzi od filmu?

– Byli tutaj dzisiaj – odpowiada i wyciąga drżący, sękaty palec w kierunku pobliskiego parkingu, na którym zatrzymują się zwiedzający. – Ustawili kamerę i filmowali jezioro.

– Tam? – Wskazuje mama, a on przytakuje. – Jezioro... i nasz dom. – Znowu sprawia wrażenie wkurzonej. Nie mogę jej za to winić. – Kręcili nasz dom.

Czuję się równie wstrząśnięta i zbrukana jak ona. Okna mojego pokoju wychodzą na jezioro. Czy oni mnie widzieli? Miałam otwarte okna? O mój Boże, czy zamknęłam żaluzje, zanim przebrałam się w strój do biegania? Nie pamiętam. Zawsze to robię, czy nie?

Znowu obserwują nas jacyś ludzie. To w sumie nic nowego, ale przez większość czasu byłam dzieckiem. Teraz czuję się... bezbronna i wcale mi się to nie podoba.

– Cóż, może – mówi Easy. – Nie wydaje mi się, że byliście wtedy w domu. Wyjechałaś z Samem, zanim się rozstawili, i już ich nie było, kiedy wróciliście. – Chichocze, choć nie wydaje się, żeby dostrzegał w tym coś

zabawnego. – Ci kretyni próbowali mnie o was wypytywać.

– I co pan powiedział? – pytam, gdyż mama milczy. Patrzy na mnie swoimi jasnobrązowymi oczami i mruga kilka razy.

– Powiedziałem, że to nie ich sprawa, Lanny, a co miałem im powiedzieć? Jak chcą więcej, sami się muszą postarać.

Mama jest sfrustrowana.

– Nie zadzwoniłeś do mnie, Easy? Wiem, że masz w kieszeni telefon.

– Nie każ mi teraz opowiadać starego dowcipu, którego nikt nie chce już słyszeć – odpowiada i uśmiecha się lekko. – Nie zadzwoniłem, bo nie chciałem, żebyście z Samem zaczęli tam wariować i wpakowali się w jakieś kłopoty. Filmowcy przyjechali, filmowcy odjechali. Gdybyście chcieli ich pogonić i wybić z głowy głupoty, to jeszcze trafilibyście do aresztu, a oni mieliby więcej materiału do swojego cholernego dokumentu. Dajcie sobie z nimi spokój, to moja najlepsza rada.

Nie dodaje, że mogłabym podejść i przewrócić kopniakiem kamerę, co pewnie bym zrobiła. I zrobię następnym razem, kiedy się pojawią, nie mówiąc o tym mamie, ponieważ Easy ma rację: zostaliby wraz z Samem aresztowani. Gdyby chodziło o mnie, żaden problem. Nie trafiłabym przecież za kratki, jestem tylko głupim dzieciakiem.

– Co jest w chłodziarce? – pytam Easy’ego i siadam obok jego krzeselka, wystarczająco małego, żeby nie sprawiało mu kłopotów przy wnoszeniu i znoszeniu.

– A co, chcesz piwa, dziewczyno?

– Wiem, że nie proponujesz, a ona nie przyjmuje – mówi mama. Easy wyciąga małą butelkę z wodą i podaje mi ją, po czym drugą przekazuje mamie.

– Odrobinę wiary i spokoju, Gwen. Zapowiada się długie, upalne lato.

Wypijamy szybko wodę i rozmawiamy jeszcze przez chwilę. Warto przerwać przebieżkę, żeby pogadać z panem Claremontem. To interesujący człowiek i bardzo go lubię.

Mama zerka w końcu na horyzont i na zegarek.

– Wybacz, ale musimy wracać do domu, przygotować obiad. Niczego ci nie brakuje? Za godzinę się ściemni.

– Wiem. Niedługo przyjedzie Kez i mi pomoże.

- To dobrze. Dzwon, gdybyś czegoś potrzebował.
- Bardzo dziękuję. Uważajcie na siebie, moje panie.
- Dzięki, panie C.

Kiedy ruszamy dalej, słyszę, jak otwiera butelkę, w której nie ma z pewnością wody. Odwracam głowę i widzę, jak sączy piwo, by po chwili zniknąć za zakrętem.

– Mamo, wiedziałaś, że on był kiedyś sławny? – pytam, kiedy znów zwiększamy tempo.

– Co?

– Pan Claremont. Był kiedyś sławny.

– Czym zasłynął?

– Dostał kilka medali podczas wojny w Wietnamie – odpowiadam. – Zeznawał przed kongresem w sprawie jakiegoś przestępstwa, które miało miejsce. Narobił sobie wielu wrogów, ale również zyskał wielu przyjaciół. Myślę, że wie dobrze, jak to jest być osaczonym. Tak jak my.

Widzę, że o tym nie słyszała, i jestem nieco zaskoczona. Gdyby weryfikowanie ludzi było dyscypliną olimpijską, zdobyłaby więcej medali niż Michael Phelps. Mój brat, typowy nerd, z całą pewnością mierzyłby w srebro. Zaskoczyłam ją i dobrze się z tym czuję. Przynajmniej nie jest to przykra niespodzianka.

Od minikurortu Easy’ego systematycznie przyspieszamy i w końcu zaczynamy się ścigać na ostatniej ćwiartce biegnącej wzdłuż zakrętu. Czuję, jak palą mnie łydki i uda, kiedy trasa zaczyna piąć się pod górę i zbliżamy się do domu. Mama jest wyczerpana, widać to wyraźnie. Ciekawe, czy zdołała się wyspać. Jest tak zmęczona, że zapomina o poczcie, chyba że dziś ma ją wyjąć Sam. Nie wiem.

Kiedy dostrzega, że zostaję w tyle, zatrzymuje się i odwraca głowę.

– Idź już – mówię. – Porozmawiam tylko z Dahlią.

– Pięć minut.

Kiwam głową. Kiedy mama rusza w stronę domu, przysiadam na kamieniu po przeciwnej stronie drogi, w pobliżu jeziora, i włączam FaceTime.

Aplikacja dzwoni i dzwoni.

Dahlia znów nie odbiera. To już trzeci raz z rzędu, co doprowadza mnie

do szału. Dlaczego nie chce ze mną rozmawiać? Co robi? Co zrobiłam nie tak? O Boże, czy ma kogoś innego?

Moje myśli są tak zajęte tymi pytaniami, że zapominam o zakazie otwierania skrzynki na listy. Kiedy sobie o tym przypominam, drzwiczki są już opuszczone, więc jest za późno. Odskakuję jednak na wypadek, gdyby wewnątrz czał się kolejny wąż.

Nie ma węża. Świecę sobie komórką i sprawdzam wewnątrz. Mama mnie zamorduje. Mówiła przecież, żeby tego nie robić.

Za późno. Przekopuję się przez stos kopert. Jedna, druga reklama, jakieś polityczne śmieci, rachunki. I dwie inne rzeczy. Płaska koperta z szarego papieru zaadresowana za pomocą zadrukowanej naklejki do Samuela Cade'a. Nadawca pochodzi z Vermont w Wirginii. Widzę sporo różnych stempli. Do tego biała koperta, również ostemplowana, bez adresu zwrotnego, z nazwiskiem mamy.

Zastygam, ponieważ rozpoznaję to pismo. Należy do mojego ojca.

Tata nie żyje.

Jakim cudem miałby napisać list do mamy? Przez chwilę kręci mi się w głowie i obawiam się, że mogę upuścić całą tę pocztę na ziemię tam, gdzie stoję. Biorę jednak głęboki wdech i wciskam list za legginsy.

Wiem, że powinnam przekazać go mamie, ale... przez całe lata ukrywała przed nami pocztę. Przede mną. Wszystko to brała na siebie. Kiedyś udało mi się zerknąć na jeden z listów. Mama próbuje zapomnieć o tacie, a ten list z całą pewnością ją zrani. Wiem o tym. Cokolwiek zawiera, taki właśnie jest jego cel.

Nie zamierzam pozwalać, by dalej ją dręczył. Wiele przeszła i nigdy nie dawała po sobie poznać, ile ją to kosztowało. Teraz o tym wiem.

Jestem już wystarczająco duża. Mogę to dla niej zrobić, szczególnie po tym, co wydarzyło się w tym idiotycznym programie w telewizji. Nienawidzę ludzi, którzy ją krzywdzą. Nie spodobałoby się jej to, ale... jestem dość silna.

Podrę ten list i wyrzucę. Nikt nigdy się nie dowie.

Kładę resztę poczty na blacie i mówię mamie, która rozmawia z Connorem, że idę wziąć prysznic. Prosi, żebym nie zużyła całej gorącej wody. Ona też jest spocona. Connor coś mówi, ale nie zwracam na to uwagi – list ukryty w legginsach wydaje się palić moją skórę. Kiedy zamykam się na klucz w pokoju, słyszę pickupa na zewnątrz. Wrócił Sam. Wyciągam list i kładę go na łóżku, po czym robię krok wstecz, żeby na niego popatrzeć.

To niewyobrażalne. Widzę kopertę zaadresowaną ręką taty. Albo mi odbija, albo mój martwy ojciec-morderca ma w piekle materiały piśmiennicze.

I znaczki.

Zaczynam krążyć po pokoju. Sprawdzam żaluzje – zamknięte – po czym zrzucam przepocone ciuchy, które lądują w koszu na pranie. Przebieram się w miękkie, bawełniane spodnie i koszulkę z czaszkami. Chyba wybrałam odpowiedni wzór do całej tej sytuacji.

Zamierzam podrzeć list i próbuję to zrobić, naprawdę. Chwytam go oburącz i zaczynam wykręcać, ale kiedy papier zaczyna się poddawać, przerywam.

A jeśli w środku jest coś ważnego?

Wyobrażam sobie głos mojej matki. Nic, co twój ojciec ma do powiedzenia, nie jest ważne, tylko okrutne.

Ale... jeśli są tam jakieś informacje na temat jego planów i nie wyjdą one na jaw, kiedy zniszczę list? Nie. Muszę zajrzeć. Szybciotko, aby się upewnić.

Siadam na łóżku i rozrywam szybko kopertę, żeby się nie rozmyślić.

W środku znajduję list. Kilka stron złożonych na pół. Pamiętam, że przed otwarciem jego listów mama zakładała lateksowe rękawiczki, ale ja ich nie mam. Wyciągam list.

Droga Gino, zaczyna się, a mi natychmiast zasycha w ustach. Tata próbował zamordować mamę i prawie mu się udało. To ona zabiła jego. A teraz zwraca się do niej, używając poprzedniego imienia, które znienawidziła.

Jakby nic się nigdy nie wydarzyło. Tyle, że się wydarzyło.

Trzęsą mi się ręce i czuję chłód. Niemal słyszę jego głos, patrząc na to pismo. Wyobrażam sobie, jak siedzi w celi i to pisze, choć nie widzę już jego

twarzy, która jest rozmazana, stała się tylko kształtem. I te oczy... Miał oczy, które w jednej chwili potrafiły wyrazić uśmiech, a w drugiej okrucieństwo.

Odkładałam list i wycieram dłonie w spodnie. Są całe mokre i nie potrafię opanować ich drżenia. A jeśli kartki są zatrute? Ale przecież to tylko telewizyjne fantazje, zatruty papier, który zabija człowieka po kontakcie ze skórą. Na swój sposób jednak tata zatruwał wszystko, czego dotknął.

Sporo o Tobie ostatnio myślałem, a moja sytuacja ulega zmianie, pisze. Czy chce przez to powiedzieć, że wychodzi z więzienia? Uciekł? Nie wiem. Chcę przerwać lekturę, choć przeczytałam tylko jedno zdanie. Boję się. Naprawdę się boję. Rozmyślałem o tym, że mogłaś mnie kiedyś uratować przed samym sobą. Nie obwiniam Cię o to, że tego nie zrobiłaś. Nikt by tego nie zrobił.

Nie jest tak źle. Trochę tak, jakby przepraszał. Trochę.

Nie, nie za to Cię obwiniam, Gino. Nie obwiniam Cię nawet za ucieczkę, zabranie dzieci, zmianę nazwiska. Za udawanie, że nigdy mnie nie znałaś. Rozumiem, dlaczego tak postąpiłaś. Ale wiesz, czego nie rozumiem, niewierna suko? Nie rozumiem, dlaczego uważasz się za kogoś wyjątkowego. A taka nie jesteś. Przestałaś być dla mnie wyjątkowa jeszcze przed wypadkiem. Okazałaś się po prostu przydatnym rekwizytem w sztuce. Tak jak dzieci.

Czuję, jakby łóżko zapadało się pod podłogę, prosto w dół. Jest mi niedobrze, ale nie mogę przestać czytać.

Rozmyślałem nad zabiciem Ciebie. Za każdym razem, kiedy zabierałem kogoś nowego do naszego domu, naszego sanktuarium. Fantazjowałem, że zabiorę Cię tam, kiedy ktoś będzie wisiał na haku, pokażę Ci horror, jaki Cię czeka, a potem zamienię was miejscami. Takie myśli zapewniały mi rozrywkę między kolejnymi gośćmi.

Przerywam. Po prostu... nie mogę dalej. Kartka wypada mi z rąk i szybuje na podłogę. To twój tata. On był właśnie kimś takim. O takich rzeczach myślał.

Chciałabym się rozplakać, ale nie potrafię.

Rozglądam się po pokoju, koncentrując uwagę na przedmiotach, które zapewniają mi poczucie komfortu. Na moim puchatym, różowym

jednorożcu, którego Connor wygrał dla mnie na szkolnym festynie w ubiegłym roku. Na plakatach. Na farbie, którą wybrałam na ściany mojego własnego pokoju na stałe.

Jednak wszystko wydaje się teraz elementem koszmaru, jakby nic nie było prawdziwe, z wyjątkiem papieru leżącego na łóżku.

Znów podnoszę list. Nie chcę tego, ale chyba muszę przejść całą tę próbę.

Nie rozumiem, jak usprawiedliwiasz swoje dziwkarstwo i związek z bratem tej ostatniej. Nie rozumiem, dlaczego nie zadusił Cię we śnie i nie rozpieprzył sobie łba z pistoletu. Może któregoś dnia. Może zrobiłby to, gdyby dowiedział się bardziej szczegółowo, jak umarła jego siostra, ile wycierpiąta, jak błagała mnie, bym przestał. Ciekawa myśl. Może wyślę mu coś wyjątkowego.

Sam. On mówi o Samie, o mój Boże! Zakrywam dłonią usta. Nie przestaję czytać, ponieważ widzę zbliżający się koniec i naprawdę chcę mieć to już za sobą.

Nie masz pojęcia, kim on jest, Gino. Nie wiesz, do czego jest zdolny. Śmiać mi się chce, jak sobie pomyślę, że do swojego łóżka ściągasz same potwory. Zastługujesz na to.

Twierdzi, że Sam jest potworem. To nieprawda. To niemożliwe.

Któregoś dnia dostaniesz to, na co zastługujesz. Może nie ode mnie, ale od jednego z nich, jednego z tych, którym ufasz... to będzie zabawa.

Przekaż ucałowania dzieciom.

Twój na zawsze

Melvin.

Zdaję sobie sprawę, jak szybko oddycham, i muszę przetrzeć palące mnie oczy. To boli, bo słyszę go w mojej głowie, a teraz wiem, że nie mogę go już usłyszeć. Tata. Mój ojciec. Potwór.

Tym właśnie był. Jest. Już na zawsze.

Nie sądziłam, że mam jeszcze jakiegokolwiek wyobrażenia, które można zniszczyć, ale siedząc teraz z tym listem na kolanach, wiem, że miałam ich mnóstwo.

Wtedy pojawia się myśl: a jeśli mama skłamała? Jeśli on wciąż żyje?

Myśl ta przeraża mnie w takim stopniu, że chwytam poduszkę, przyciskam ją do ciała i krzyczę w nią, dopóki czuję takie emocje.

Oddycham gwałtownie, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. Jestem nagle przeraźliwie pewna, że to tata za nimi stoi, martwy, gnijący i szczerzący zęby. Przyszedł po mnie i zabierze jako swojego „gościa”.

– Hej, myślałam, że bierzesz prysznic – woła mama. – Długo jeszcze?

Nie jestem pewna, czy zdołam jej odpowiedzieć. Słyszę, jak naciska klamkę. Staram się odchrząknąć i krzyczę:

– Przebieram się!

Mam nadzieję, że głos mi się nie trzęsie, że nikt nie słyszał, jak krzyczę w poduszkę.

– Dobra – odpowiada. Wiem, że załącza się jej lampka ostrzegawcza. – Lanny? Na pewno wszystko w porządku?

– Odejdź! – rzucam ze złością, ponieważ tylko w ten sposób mogę sobie teraz z tym wszystkim poradzić.

Nie odchodzi. Wyobrażam sobie, jak tam stoi, zaniepokojona, z dłonią na klamce. Nie rozumie, co wywołało taką reakcję.

– Chodzi o Dahlię? – pyta w końcu.

Och, dzięki Bogu. Przelykam łyzy, zbieram kartki i pakuję je z powrotem do koperty.

– Tak – kłamię. Czy tata naprawdę żyje? Mam ochotę o to zapytać, ale jeśli to zrobię, skąd będę miała pewność, że usłyszę prawdę?

– Możemy o tym porozmawiać?

– Nie! – Wrzucam kopertę do górnej szuflady pod arkusze papieru, po czym zamykam ją z hukiem. – Zostaw mnie w spokoju!

W końcu odpuszcza. Słyszę, jak odchodzi.

Zwijam się w ciasną kulkę, naciągam na siebie pościel i znów krzyczę w poduszkę, aż zaczyna pękać mi głowa, jakbym dostała gorączki. Myśli o ojcu doprowadziły mnie do takiego stanu.

Powtarzam sobie, że Sam nie skłamałby na temat śmierci taty, nawet jeśli zrobiłaby to mama. Nie, on nie żyje, nie mam żadnych wątpliwości.

Kiedy zamykam oczy, wciąż widzę go stojącego przy moim łóżku.

Uśmiecha się.

Muszę oddać ten list mamie, wiem o tym. Muszę się przyznać, że go przeczytałam. Ale nie mogę zrobić tego teraz. Teraz jestem w stanie tylko leżeć i oddychać.

Kiedy mama woła mnie na obiad, z jeszcze większym trudem przychodzi mi udawanie, że nic się nie wydarzyło.

Że jestem normalna.

Ale podobnie jak tata... potrafię świetnie udawać.

5 GWEN

Oczekiwałam rozłamu w tym zbyt intensywnie rozkwitającym romansie Dahlii i Lanny. Obie płonęły zbyt intensywnie, a takie coś nie może długo trwać. Ale jaki związek trwa długo w jej wieku? Boję się, że dołożenie do całego tego stresu jeszcze rozstania może wywołać dodatkowe problemy u mojej córki. Jest twarda, ale nie jest nietykalna, nie bardziej niż ja.

Jeśli całe to dokumentalne gówno to prawda i oni tutaj są, muszę pomyśleć bardzo poważnie o naszej przyszłości w Stillhouse Lake. Byłoby miło, gdyby nas sąsiedzi stanęli murem przeciwko nim, ale trudno mi zauważyć takie zachowanie. Zbyt wielu spośród nich nie lubiło mnie już od samego początku, a jeszcze większej ich liczbie nie spodobało się zakończenie sprawy z miejscowym gliniarzem Lancelem Grahamem, choć ten na nie zdecydowanie zasłużył. Podsuwanie im mikrofonów pod nos może sprowokować do wyrzucenia z siebie chowanych uraz.

Nie postawię dzieci w ogniu krzyżowym, nie po raz kolejny.

Kurczak teriyaki już dochodzi w piecu, a Connor, Sam i ja cieszymy się wspólnie czasem spędzonym w kuchni, choć przestrzeni nie ma za wiele. Sam kradnie mi buziaka, kiedy przeciskam się, by wstawić garnek na ryż, a ja odwdzięczam się tym samym w drodze powrotnej.

Mój syn tylko przewraca oczami, kończąc siekanie kapusty na słodko-kwaśną sałatkę.

– Lanny powinna to robić – marudzi pod nosem.

– Twoja siostra ma teraz ciężki okres – odpowiadam. – Wybaczysz jej to, prawda?

Odpowiada, że nie, choć wcale tak nie myśli.

– Rozmawiałem z Javierem – mówi Sam. – W ciągu ostatnich miesięcy na strzelnicy nie pojawiły się żadne nowe twarze, nie licząc jednorazowych wizyt turystów. Nikt poza myśliwymi, których już zna, nie prosił o strzelanie na większą odległość. – Chce przez to powiedzieć, że nie ma

zadnych dowodów na to, by do miasteczka przybył jakiś snajper i ćwiczył, żeby nas wyeliminować. Oczywiście gdyby wynajęto gdzieś jakiegoś uzbrojonego snajpera, ten wcale nie musiałby ćwiczyć na strzelnicy Javiera. Mógłby to robić gdziekolwiek indziej, z dala od tego miejsca. A potem przyjechać, załatwić sprawę i odjechać. Słowa Javiera nie mogą zapewnić nam szczególnego poczucia bezpieczeństwa i oboje o tym wiemy.

Kiedy kurczak jest prawie gotów do wyjęcia z pieca, Sam wychodzi z kuchni, spostrzega pocztę pozostawioną przez Lanny na blacie i ją przegląda. Bierze dużą, szarą kopertę i ją otwiera. Zagląda do środka i wyciąga cienki zeszyt w czarnej okładce. Otwiera pierwszą stronę.

Po chwili... zastyga. Zauważam jego bezruch, a kiedy się porusza, dostrzegam coś w jego oczach. Coś, czego nie powinien zobaczyć Connor. Wymuszam uśmiech i pytam:

– Hej, Connor! Jeszcze pięć minut dla ryżu. Sam? – Przywołuję go dłonią, wrywając z odrętwienia. Idzie za mną, trzymając zeszyt i szarą kopertę.

Zamykam za nami drzwi do gabinetu i opieram się o nie.

– Co to jest?

– Dziennik – odpowiada. – Rozpoznaję pismo. Należy do Callie.

To jego siostra. Łapię oddech i pytam:

– Czy to z biura prokuratora? – Zabieram od niego kopertę i zerkam na adres zwrotny. Skrzynka pocztowa. Żadnego nazwiska. Czuję rosnącą w gardle gulę. Coś tu jest nie tak.

– Nie słyszałem, żeby cokolwiek takiego znaleźli – mówi. – Ktoś pewnie musiał go znaleźć i wysłać do najbliższej osoby? – Otwiera go i przewraca strony. Przerywa. – Tutaj pisze, że mnie wytropiła i odkryła, że stacjonuję poza krajem. Mam gdzieś jej pierwszy list. Zachowałem wszystkie.

Wiem, ile go to kosztuje. Nie potrafię sobie wyobrazić, co czuł, kiedy najpierw otrzymywał korespondencję mówiącą o wielkiej nadziei, a potem zostało mu to brutalnie wydarte.

– Sam... – Nie wiem, czy powinnam powiedzieć, że jest mi przykro. Nie wiem, czy jemu jest przykro. Może to dobrze. Może to ułatwi mu poradzenie sobie ze starymi ranami. – Może powinieneś przestać. Nie wiemy, kto to wysłał.

Nie słucha mnie. Czyta i uśmiecha się lekko pod nosem.

– Boże, ale jej to kiepsko wychodzi. Potrafi przeskoczyć całe tygodnie, żeby potem rozpisywać się na temat obiadu. Znów dwa tygodnie i przechodzi do tematu rozmowy o pracę. – Odwraca kolejne strony, czyta, w końcu unosi wzrok. Widzę łzy w jego oczach. – Opowiada o naszej pierwszej wideorozmowie. Byłem takim idiotą. Zachowywałem się, jakby odnalezienie jej nie było niczym szczególnym. Powinienem był...

– Proszę, Sam.

– Ale to ją zraniło – ciągnie. Siada na najbliższym fotelu biurowym, czyli tym należącym do mnie. – Chryste, nie zdawałem sobie sprawy, jak wiele bólu sprawiło jej myślenie, że mam wszystko gdzieś. Doprowadziłem ją do łez, Gwen. Tak po prostu, bo chciałem rozegrać to na chłodno.

Podchodzę do niego i kładę mu dłonie na ramionach. Całuję w czubek głowy.

– Ale w końcu sobie z tym poradziliście, prawda? – Czuję się okropnie, słuchając tego wszystkiego. W tej chwili myśli tylko o swojej siostrze i jej życiu. Ja myślę już o jej śmierci, do której doszło w moim domu. Z ręki mojego męża. Te dwie martwe osoby są zawsze między nami.

Bierze głęboki oddech i powoli wypuszcza powietrze, po czym przewraca kilka kolejnych stron. Czyta w milczeniu, a ja tkwię przy nim, gdyż dobrze zdaję sobie sprawę z tego, że Sam nie chce robić tego w samotności.

– Tak – mówi w końcu. – Poradziliśmy sobie. Zostaliśmy przyjaciółmi.

Zatrzymuje się na jednej ze stron, zapisanej zamasztystym damskim pismem na czerwono. Śmiało, pewne siebie i szczęśliwe pismo.

– Cholera. Wtedy... rozmawialiśmy po raz ostatni. Chciała napisać do mnie list. Nigdy go nie dostałem. Gwen..., on odebrał mi ją zaledwie cztery dni po tym, jak to napisała.

Mam dziwne przeczucie i chciałabym teraz wyrwać mu ten zeszyt z rąk. Chcę go powstrzymać, tu i teraz, wystarczająco już smutnego.

Ale nie robię tego, a on przerzuca kolejną kartkę.

Ten sam czerwony atrament.

Zupełnie inne pismo.

Sam sztywnieje, jakby ktoś przepuścił przez niego prąd przez przymocowane do ciała elektrody, a ja w tej samej chwili rozpoznaję ten charakter pisma.

O sekundę za późno.

– To on – mówi Sam. Tak, wiem o tym dobrze. Właśnie zrozumiałam, co się teraz stało, spod czyjej dłoni wyszły te litery. Głos Sama brzmi teraz zupełnie inaczej. Niski, szorstki, wyprany z emocji. Ale to nadchodzi straszliwą, gwałtowną falą, ponieważ czuję już wstrząs, który przenika jego ciało i przechodzi przez moje.

– O Jezus. On to napisał. W jej dzienniku.

– Dość – rzucam i sięgam po zeszyt dokładnie tak, jak chciałam to zrobić przed chwilą. Odsuwa go i wbija wzrok w kartki. – Sam! Nie wolno ci! On chciał, żebyś to znalazł!

Melvin kochał dramatyczne przedstawienia. Uwielbiał gry. Nie wiem, jak to robi, ale mogę się tylko domyślać: miał współników do pomocy, którym wydawał polecenia, co, dokąd i komu wysłać.

Taki właśnie był – zaplanował, jak dręczyć nas i kontrolować nawet zza grobu.

Jedynym sposobem na zwycięstwo w tej grze jest niepodjęcie wyzwania. Wiem jednak, że Sam się nie powstrzyma. On tego potrzebuje. Jeszcze przez to nie przechodził i uważa, że musi poznać prawdę.

To praktycznie torturowanie samego siebie.

– Odejdź – mówi.

– Nie. Chcę zostać z tobą.

– Wiem, ale... nie mogę tego zrobić, kiedy tutaj stoisz. Idź, proszę.

– Błagam cię, nie czytaj tego. Sam... w ten sposób tylko pozwolisz mu się skrzywdzić. Przecież to rozumiesz.

– Wiem – powtarza i odwraca się do mnie. Chciałabym odebrać mu ten ból, ale nie mogę. – Proszę, wyjdź.

Wychodzę więc, opuszczam gabinet. Zamykam za sobą drzwi. Zostawiam go, by cierpieć w piekle, które zgotował mu Melvin w tym dzienniku.

Zamierzam jednak znaleźć tego dupka, który wysłał mu ten dziennik. Richmond w Wirginii może wydawać się sporą kryjówką, ale nie dla mnie. Dowiem się, komu Melvin powierzył dostarczenie swoich okrutnych prezentów.

I powstrzymam to.

Uśmiecham się promiennie specjalnie dla Connora i razem kończymy

przygotowywanie ryżu, dodajemy do sałatki ręcznie zrobiony, słodki sos vinaigrette, rozkładamy talerze na stole, szykujemy napoje. Dla siebie i Sama nalewam po kieliszku wina, a Connor tradycyjnie wybiera wodę. Lanny nie wyszła jeszcze z pokoju. Idę do niej i pukam do drzwi. Wychodzi po kilku minutach, niemal doskonała replika samej siebie, kiedy ma dobry nastrój.

Niemal.

Nalewa sobie wody i siadamy przy stole.

– Gdzie jest Sam? – pyta.

– Zaraz przyjdzie. – Mam nadzieję, że to prawda. Nakładam ryż i polanego gęstym sosem kurczaka. Pachnie znakomicie, ale nie mam apetytu. Mój żołądek przypomina mocno zaciągnięty węzeł. Zerkam w głąb korytarza, nakładając porcję Samowi. Czekamy jeszcze minutę czy dwie. Dzieci patrzą z oczekiwaniem na jedzenie, bawiąc się sztuczkami.

– Zaczynicie już jeść. Pójdę po niego.

Widelce ruszają do akcji, jeszcze zanim wstaję od stołu. Przechodzę przez korytarz i staję przy zamkniętych drzwiach gabinetu.

Kładę palce na klamce, ale dopiero po kilku sekundach zbieram się na odwagę, by ją nacisnąć i zajrzeć do środka.

Sam siedzi odwrócony do mnie plecami. Zamknięty dziennik leży na blacie biurka.

– Za chwilę przyjdę, Gwen – mówi nienaturalnie płaskim głosem.

Nie ma sensu pytać go o samopoczucie. Zamykam drzwi i wracam do stołu. Kiedy Connor pyta o Sama, uśmiecham się i odpowiadam, że rozmawia przez telefon. Dzieci opowiadają sobie o planach na najbliższy weekend. Connor szykuje się do następnego wyjścia do miejskiej biblioteki, którą wręcz uwielbia. Lanny chce obejrzeć film. Nad jeziorem planowana jest jakaś impreza, w której zdecydowanie nie chcą brać udziału. Nie chcę ich straszyć, zniszczyć tej kruchej normalności, którą udało się im osiągnąć. Nie wiem jednak, co jeszcze miałabym zrobić, żeby zapewnić im większe bezpieczeństwo. Mam wrażenie, że stoimy w świetle małego, gorącego reflektora, którego krąg pochłania zbliżający się zewsząd mrok.

Powinniśmy uciekać, jak najszybciej. Bez zatrzymywania się. Tego typu podpowiedzi mojego instynktu do tej pory sprawdzały się w ostatnich

latach, ale teraz... wydają się niestosowne. Owszem, moglibyśmy uciec. Wyprowadzić się. Ponownie zmienić nazwiska. Ale czy to zmieni cokolwiek w dłuższej perspektywie? Ludzie nas znajdą. Zawsze to robili i zawsze będą robili. Poza tym ponowne odarcie ich z przyjaciół i normalności mogłoby okazać się złym posunięciem.

Sam wychodzi z gabinetu i zajmuje miejsce przy stole. Patrzą mu prosto w oczy i widzę mrok. Nie wiem, co napisał Melvin, domyślam się jedynie, że zostało to skierowanie konkretnie przeciw niemu. Nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie, czy w ogóle chcę to usłyszeć. Być może w ogóle niczego mi nie powie. W końcu jednak cień odchodzi, Sam uśmiecha się do dzieci, żartuje na temat weekendowych planów i je swój posiłek.

Ja również, choć każdy kęs wydaje się smakować jak łzy i popiół.

Wszyscy tak bardzo się staramy.

Wiem jednak, stojąc poza kręgiem światła z reflektora i patrząc w jego środek, że to nie potrwa wiecznie.

6

SAM

Oni już zawsze będą stali między nami. Duchy. Nie chcę tego przyznać przed samym sobą, ale wszystko w środku mojej duszy wydaje się surowe i krwawiące. Jestem wściekły. Melvin wyciąga do mnie rękę zza grobu, żeby znów przeciągnąć mnie po ostrzach noży. I Miranda. Jest gdzieś tam i krąży niczym sęp. Wiem, że zbliża się do nas z każdym dniem.

Idzie po Gwen.

Staram się nie myśleć o Melvinie i o tym, co przeczytałem w dzienniku Callie. Miranda też nie jest mile widziana w moich myślach, ale w jej przypadku przynajmniej czuję się bezpieczniej. Nigdy nie byłem jej orędownikiem. Na swój sposób to jeszcze gorzej. Jest toksyczną, pozbawioną dna studnią nienawiści, ale nienawiść bywa emocjonalnie uwodzicielska i wyciągnęła z nas to, co najgorsze na wierzch, kiedy byliśmy razem.

Nie chciałbym, żeby Gwen kiedykolwiek poznała szczegóły tego, co zrobiłem, w szczególności jej, w tym okresie mojego życia. Wie wystarczająco dużo bez poznawania okrutnych faktów.

Kończymy obiad i zmywamy naczynia. Z myślą o dzieciach udajemy, że wszystko jest w najlepszym porządku, dopóki nie siadają na kanapie przy filmie, a my nie wychodzimy przed dom.

Gwen odwraca się i mnie obejmuje.

– Rano sprawdzę ten adres – oznajmia. – Powinnam otrzymać odpowiedź w ciągu kilku godzin. Może nawet nazwisko.

Milczę. Wyżycie się na jakimś przypadkowym facecie, którego Melvin wynajął do wysyłania poczty, wydaje się... bezużyteczne. Wiem jednak, że musimy poznać prawdę i powstrzymać ewentualne inne rzeczy, które przeciwko nam przygotowano. Kiedy zdobędziemy nazwisko i adres, będziemy mogli z tym pójść do FBI. Być może. Wydaje się to jednak bezsensowną krucjatą. On już zwyciężył.

Wyczuwam w Gwen strach i troskę, więc chowam nos w jej włosy, ciesząc się jej zapachem. Czuję, że jednocześnie mnie to schładza i ogrzewa gdzieś w środku. Uspokaja. Taka reakcja trochę mnie niepokoi. Znałem wiele silnych, zaradnych kobiet, jednak Gwen stanowi niepowtarzalne połączenie pragnień i niezależności. Wiem, że jest zdolna walczyć jak tygrysica o tych, których kocha. Oboje mamy w sobie tę wiarę.

Stoimy przytuleni na werandzie, radując się odrobiną ciszy. W końcu ją przerywam:

– Wiem, że będziesz pytać, ale... nie chcę o tym rozmawiać. Nie o pamiętniku.

– Dobrze – mówi. Rozumie to, wiem o tym. – Ale wszystko jest w porządku?

Cofam się i patrzę na nią. Kładę dłonie na jej policzkach i całuję delikatnie.

– Nic nie jest w porządku. Ale dlatego potrzebuję czasu.

Kiwa głową i stykamy się czołami.

– Chciałabym móc zabijać go raz za razem – wyznaje. – Czasami jednak chciałabym też cofnąć czas i go nie zabijać. Czy to ma jakikolwiek sens?

– Oczywiście. – Zabicie kogoś nie ma nic wspólnego z tym, co ogląda się w filmach, nie jest czymś, co można obrócić w żart i zapić alkoholem. Zżera to człowieka od środka, nawet kiedy zabijana osoba w pełni na to zasłużyła. A jej uczucia związane z Melvinem są w głębi duszy bardzo skomplikowane.

Takie jak moje względem Mirandy.

Chryste, czuję, że duchy tłoczą się coraz bliżej, gotowe rozerwać nas na strzępy.

Gwen uwalnia się i chwyta mnie za rękę. Prowadzi mnie w stronę dwóch krzeseł na werandzie i siadamy oboje. Stoi tam zamknięta butelka wina i dwa kieliszki. Nalewam nam po lampce. Gwen wzdycha i bierze łyk, wpatrując się w ciemne jezioro, falujące niczym czarny jedwab w świetle księżyca.

Światła na werandzie wciąż są zgaszone. Rozumiemy się bez słów i tak je zostawiamy.

– Rozmyślałam na temat tej kobiety, która zadzwoniła. Marlene

z Wolfhunter. – Robi kolejny łyk. – Zastanawiam się, czy nie pojechać tam i z nią nie porozmawiać.

– Nie.

– Sam...

– Nie. Nie teraz. Jest zbyt niebezpiecznie, a ona nie powiedziała, o co w tym wszystkim chodzi, prawda? Nie podoba mi się pomysł twojego wyjazdu z miasteczka, z dala od wszystkiego, co znajome. Masz... – Prawie mówię „masz dzieci, którymi musisz się zaopiekować”, ale powstrzymuję się, ponieważ to oznaczałoby zrobienie kroku wstecz. To teraz również moje dzieci, które wymagają miłości i ochrony. Ty dupku, mówię sobie. Nie pozwolę, żeby Melvin wbił ten klin. Ani Miranda. Albo mój głęboko zakopany, dziki gniew. Muszę ratować sytuację. – Masz za dużo rzeczy na głowie. Gdyby wyraziła się dokładniej, w czym leży problem, mogłabyś spróbować jakoś jej pomóc. Ale skoro nie była chętna, by to zrobić, cóż, musisz najpierw pomyśleć o sobie.

Bierze większy łyk wina i przenosi na mnie spojrzenie. Niezbyt mi się ono podoba. Jest mroczne i ciche jak to jezioro.

– To jakaś nowość. Jesteś dziś jeszcze większym paranoikiem niż ja.

– Tak. – Opróżniam swój kieliszek dwoma łykami, ledwie smakując wino, po czym nalewam kolejny. – W taki stan popada się dzięki dupkom z za grobu. – I Mirandzie. Jezu, naprawdę muszę jej powiedzieć o Mirandzie. – A ty wciąż nie jesteś kuloodporna.

– Przynajmniej częściowo jestem.

– Jeśli zamierzasz zrobić coś tak głupiego, nie pozwolę ci zrobić tego samej.

– Gdybyś pozwolił, nie czułbyś się wystarczająco męski?

Próbuję zażartować.

– Kobieto, spędzam całe dni na wbijaniu gwoździ i budowaniu mocnych ścian. Jestem wystarczająco męski.

Śmieje się, tak jak chciałem. Na chwilę się rozluźnia. Ponownie nadaję mojemu głosowi poważny ton.

– Może powinniśmy pomyśleć o tym, żeby się stąd na chwilę wyrwać. Dokądkolwiek. Jeśli znikniemy, Miranda ze swoim cyrkiem nie będą mieli czego szukać.

– A co z...

– Pracą? – Wzruszam ramionami. – Robota na budowie toczy się dzień po dniu. Mogę zrezygnować w każdej chwili.

– Ale to nie oznacza, że zatrudnią cię z powrotem.

– Kochanie, jestem jednym z lepszych, których zatrudniają. Przyjmą mnie z powrotem. – Opieram się i popijam przez chwilę wino. – Rozważam raczej pewną zmianę.

– Zmianę na co?

– Nie wiem. – To prawie kłamstwo. Prawie. Muszę powiedzieć jej prawdę o ofercie pracy, o neodpartej potrzebie, kiedy znów myślę o lataniu. Stillhouse Lake to wspaniałe miejsce, bo ona tu jest, bo ją kocham i kocham dzieciaki.

Ale jednocześnie moje życie stoi w miejscu.

Jestem rozdarty i niespokojny. Film dokumentalny Mirandy, cios obuchem, jaki zadał mi Melvin, to wszystko wywołuje zamęt w mojej głowie. A Gwen się zamyka, przyjmuje postawę obronną. Czuję to. Już wzmacnia tarcze między nami. Najłatwiejszą odpowiedzią byłoby: „może powinniśmy dać sobie odrobinę przestrzeni”, po udzieleniu której ruszyłbym swoją drogą.

Ale nie tego chcę. Kocham tę kobietę. Chcę tu zostać. Chcę być częścią tej rodziny, a nie oddzielnym, wymiennym elementem, który pojawia się i znika, kiedy tylko chce.

– Tak sobie myślę, że chyba poproszę cię o rękę – mówię. Te słowa pojawiają się nagle, nie wiem nawet, dlaczego je wypowiedziałem. Przez chwilę w napływie paniki chcę to odwołać, zamienić w żart, ale nie robię tego, bo jestem z nimi w zgodzie. Chcę tego.

Gwen odwraca głowę i patrzy na mnie.

– Co znaczy, że „tak sobie myślisz”?

– Właściwie już nie myślę. Wyrażam tę prośbę.

– Tak po prostu.

– Nie należymy chyba do ludzi, którzy bawią się w klękanie na klifie przy zachodzie słońca?

Ryzykuję spojrzenie w jej stronę. Zasłania usta kieliszkiem, ale widzę, że się uśmiecha. Patrzy na mnie i nasze spojrzenia się spotykają. Bierze

głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze. Czuję napływ gorąca i podoba mi się to, ponieważ ten żar wypala wszystkie moje wątpliwości, cały ten brudny osad, który pozostawił Melvin swoim pismem, cały smutek i żal oraz strach, który Miranda wniosła z powrotem w moje życie.

– Dlaczego? – pyta. – Dlaczego teraz?

Ależ ona jest inteligentna. I uderza bez litości.

– Ponieważ nie chcę cię stracić – mówię i to chyba najszczęśliwsza rzecz, jaką powiedziałem w życiu. – Nie z powodu kuli, jakiegoś fanatyka żywiącego urazę czy naszego rozstania. Chcę być w twoim życiu i chcę ciebie w moim. Chcę, żebyśmy byli ze sobą tak długo, jak Bóg pozwoli. – Robię krótką pauzę. – Jak to brzmi?

Jest rozpromieniona, a jej oczy migoczą.

– Rewelacyjnie – odpowiada i dopija swoje wino dwoma długimi łykami. Wstaje z pustym kieliszkiem w dłoni i odwraca się do mnie. – Chodźmy do łóżka.

Waham się przez chwilę, po czym opróżniam swój kieliszek i wstaję.

Chwytam ją za rękę.

Wracamy razem do kuchni, odkładamy kieliszki do zlewu, a Gwen odzywa się do dzieci.

– Idziemy się położyć, dobrze?

Nie poświęcają nam żadnej uwagi. Kiwają tylko głowami, nie odrywając się od opowieści, która toczy się na ekranie. Idziemy wzdłuż korytarza i wchodzimy do sypialni. Jeszcze przed zamknięciem drzwi zaczynam ją całować. Opiera się o ścianę i wtulamy się mocno w siebie. Dzięki Bogu moje myśli uspokajają się, a straszne obrazy gdzieś znikają.

Uwalnia się od pocałunku, oddychając szybko.

– Zamknij drzwi na klucz – prosi drżącym głosem.

Zamykam drzwi, przekręcam klucz, a kiedy się odwracam, ona zdejmuje już bluzkę, a moja koszula ląduje po chwili na podłodze. Zdaję sobie sprawę, że śmierdę potem po całym dniu, że nie wziąłem prysznic i waham się przez chwilę.

– Powiniennem wziąć prysznic.

Uśmiecha się szeroko.

– Lubię twój zapach – oznajmia. – Nie należymy do ludzi, którzy bawią

się w klękaniu na klifie przy zachodzie słońca, pamiętasz?

Cholera, trafia w dziesiątkę i rozpala we mnie coś dzikiego.

Nasz seks jest nieskrępowany, pozbawiony tchu i bezgłośny – może to typowy nawyk matki, a może jest tak ostrożna nawet, kiedy się rozluźnia. Trwamy w tym z palącą intensywnością, aż w końcu opadamy na łóżko, drżący i spoceni. Ten ogień, który wznieciliśmy, jest zdumiewający. Cenny, tajemniczy i w pełni właściwy.

Wciąż leżymy razem, kiedy Gwen szepcze mi coś do ucha.

Nie jestem gotów na tę odpowiedź w takim właśnie momencie. Bynajmniej.

Ponieważ Gwen mówi, że nie, nie może za mnie wyjść. Jeszcze nie.

Zasypiamy obok siebie, choć w środku pozostaje trochę miejsca, dużo więcej niż powinno. Wstaję wcześniej i idę pod prysznic. Przez cały czas przewijam w głowie różne obrazy z całego dnia, od skierowanych do mnie słów jej byłego męża po moment, kiedy Gwen roztopiła, a potem strzaskała moje serce. Nie chcę zaakceptować ani jednego, ani drugiego. Naprawdę. Jesteśmy poza tą mapą.

Tutaj leżą tylko cholerne potwory.

7 GWEN

Wstaje kolejny dzień, jakkolwiek nieprawdopodobne mogłoby się to wydawać. Kiedy się budzę, Sama już nie ma w łóżku.

Nienawidzę siebie, ponieważ pamiętam ten moment – nie, ten drugi – kiedy złamałam mu serce. Czuję się jak straszna suka, choć wiedziałam dokładnie, co robię i dlaczego.

Sam nie robi niczego bez przyczyny... ale czasami chyba nie zdaje sobie z tego sprawy. Ja owszem. Jego propozycja była impulsywną, pospiesznie podjętą decyzją, opartą częściowo na wierze we własne słowa, a częściowo na pragnieniu oderwania się od czegoś, czemu nie chciał stawić czoła. Od Melvina. Czułam to wtedy i czuję to teraz. Nie mogę pozwolić mu zaangażować się w coś tak wielkiego i ważnego jak małżeństwo, dopóki oboje nie powiemy sobie szczerze, dlaczego to robimy.

I owszem, jeśli mam być ze sobą szczerą... to chyba nie jestem jeszcze na to gotowa. Samo przyznanie się przed sobą, że kocham Sama, zajęło mi kilka dobrych miesięcy, a kolejne musiały upłynąć, zanim zdobyłam się na jakikolwiek kontakt fizyczny między nami. To mnie przerażało. Wciąż w pewnym sensie mnie przeraża, ale to wynika już ze zniszczeń, jakie wywołał we mnie Melvin. Pracuję nad sobą, żeby to naprawić. Sam nie musi być jednak moim terapeutą, obrońcą mojego życia czy jakiegokolwiek rodzaju ratownikiem.

Muszę być tym wszystkim sama dla siebie, jeśli nasze małżeństwo miałyby mieć rację bytu.

Kiedy wchodzę do kuchni, Sam przygotowuje już kawę. Przyglądam się mu z uwagą w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak gniewu, niechęci, rozczarowania, ale niczego takiego nie dostrzegam. Jest zbyt zamknięty w sobie i za dobrze potrafi kryć swoje uczucia. Boże, naprawdę to zrobiłam. Odrzuciłam jego propozycję.

– Dzień dobry – mówi. Żadnych śladów cierpienia w głosie. Podaje mi

filizankę z kawą. Zdążył już wziąć prysznic i ubrać się w grube dzinsy, buty robocze i przeciwpotną koszulkę. – Dziś pracuję na dachu. Powinienem wrócić na obiad. A ty jakie masz plany?

Ta rozmowa jest niemal boleśnie sztuczna. Popijam łyk kawy.

– Nic specjalnego – odpowiadam. – Może później wybiorę się na strzelnicę i trochę postrzelam. Dobrze jest trochę poćwiczyć, prawda? Biorąc pod uwagę okoliczności?

– Zdecydowanie. Sprawdzisz ten adres w Wirginii, tak?

– Sprawdzę.

Pochyliła się lekko, żeby mnie pocałować, i zanim się prostuje, przybliżam usta do jego ucha. Nie chodzi o to, że ktoś mógłby usłyszeć moje słowa, po prostu chcę mu to wyszeptać.

– Przepraszam. Proszę, wróć do domu. – Gdzieś w głębi mojej duszy kiełkuje strach, że kiedy zamknie za sobą drzwi, już więcej go nie zobaczę.

Odsuwa się powoli i patrzymy sobie w oczy. Tym spojrzeniem mówimy sobie bardzo dużo.

– Do zobaczenia po południu – odpowiada.

Na większy komfort nie mogę już chyba liczyć. Tym razem pocałunek nie jest aż tak przelotny. Nie boję się jednak aż tak bardzo, by go przeciągać.

Przez następne dwie godziny staram się dojść do tego, w jaki sposób Melvin zdołał znów nas zaatakować. Pierwszy krok nie należy do trudnych – adres na kopercie, w której znajdował się dziennik Callie, prowadzi do firmy Pack ‘N Ship w północnej części Richmond. Dzwonię tam. Nikt nie odbiera. Wyszukuję informacje na temat tego biura w internecie i znajduję drugi numer telefonu, inny od tego, który mają na swojej stronie w sieci. Tym razem ktoś podnosi słuchawkę.

– Pack ‘N Ship. W czym mogę pomóc? – Druga część wypowiedzi brzmi tak, jakby mówił to ktoś całkowicie zrezygnowany, że w ogóle musi zadawać takie pytanie. Oklepane do bólu.

– Dzień dobry, chciałabym odnowić ważność skrzynki numer siedemset dziewięćdziesiąt jeden – odpowiadam. Gdybym zapytała o właściciela, nie uzyskałabym żadnej informacji. – Być może będę musiała też zaktualizować dane karty kredytowej.

– Dobrze, chwileczkę – mówi mężczyzna. – Proszę zaczekać. – Słyszę

stukot klawiatury. – Wygląda na to, że nie trzeba jej odnawiać do końca roku.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym zrobić to w tej chwili. Potem mogę nie pamiętać. Przeprowadziłam się też, więc...

– Jasne. Ten sam numer karty?

– Och, wyszłam za mąż i nie pamiętam, czy zaktualizowałam już tę kartę. Jakie ma pan tam nazwisko?

Czasami ludzie nie dają się zmanipulować, wnioskując jednak po jego znudzeniu i ogólnym zniechęceniu do wykonywania pracy, nie należy do facetów szczególnie zaangażowanych w znajomość przepisów. Jeden do zera dla mnie, gdyż w końcu mówi:

– Mam tutaj nazwisko Dan O'Reilly.

Nic mi to nie mówi.

– No tak, to karta mojego męża, więc wszystko powinno być w porządku – mówię, starając się sprawiać wrażenie podenerwowanej. – Tak trudno jest zapanować nad tymi wszystkimi zmianami, rozumie pan, prawda? A ma pan tam nasz aktualny adres? Przeprowadziliśmy się niedawno.

– Alfalfa Lane dwa tysiące dwieście.

– Tak, wszystko się zgadza. Dziękuję bardzo. Cóż, jeśli dane na karcie się zgadzają, może ją pan obciążyć, kiedy będzie gotów.

– Okej. Muszę jeszcze dodać panią do dokumentacji, pani O'Reilly. Mogę prosić o imię?

– Frances. Albo krócej: Fran.

– Telefon?

– Ten sam, co u męża – odpowiadam. Zaczyna mnie cieszyć myśl o lekkim skomplikowaniu życia pana O'Reilly'ego. Dziękuję. Był pan bardzo pomocny.

– Żaden problem – mówi mężczyzna i się rozłącza.

Wracam do przeglądarki i wyszukuję nazwisko Dan O'Reilly w powiązaniu z adresem.

Facet ma kartotekę przestępcy seksualnego. Jakże współczuję jego fikcyjnej żonie Frances. Po uiszczeniu opłaty za dostęp do danych natrafiam na informację, że Dan lubuje się w gwałtach na dziewczynach na tyle młodych, żeby nie próbowały walczyć. Obrzydlistwo. Znajduję łącze –

jego brat Farrell siedzi obecnie w tym samym więzieniu, w którym zapuszczono Melvina, z wyrokiem śmierci za porwanie i morderstwo.

Porywacze dzieci są czasami członkami jednej rodziny.

Przypuszczam, że jeden z kolegów Dana – jeśli nie sam Dan – będzie występował na liście odwiedzin Farrella. Melvin zdobył wielu wrednych przyjaciół w trakcie swojego oczekiwania na igłę. Zaaranżował zapewne płatność na rzecz Farrella, który szmugłował na zewnątrz fenty dla swojego brata.

W pewnej chwili się zatrzymuję. To wszystko wydaje się zbyt łatwe. Wyśledzenie Dana po skrzynce pocztowej zabrało mi zaledwie dwie godziny. Dlaczego w ogóle Dan miałby umieszczać swój adres na kopercie z taką zawartością?

Dwie odpowiedzi. Po pierwsze: nie zrobił tego. Zrobił to ktoś inny z zamiarem zmylenia tropów.

Po drugie: zrobił to, bo czuł się w pełni zakamuflowany dzięki skrzynce pocztowej. Przestępcy nie należą zazwyczaj do geniuszy. Godny pożalowania Dan i jego młodszy brat, osadzony w tym samym więziennym bloku co mój były mąż... to brzmi przekonująco. Ale może właśnie dla mnie miało tak zabrzmieć.

Być może ktoś chce zrobić w to Dana O'Reilly'ego. Muszę zanurkować jeszcze głębiej, ale to wszystko, co mogę zrobić.

Dzwonię do Kez. Przekazuję jej wszystkie zdobyte informacje i dzielę obawami. Jestem przekonana, że Melvin postarałby się bardziej, starając się zatrzeć ślady.

Pyta oczywiście o zawartość koperty. Waham się, ponieważ nie mogę przekazać jej pamiętnika. W pewnej chwili podnoszę wzrok. W progu gabinetu stoi moja córka, która wygląda dość... dziwnie. Obserwuje mnie i przestępuje z nogi na nogę. Uśmiecham się do niej, ale nie odpowiada mi tym samym.

– Wejdz, kochanie – mówię. Robi to, choć z pewną dozą niechęci. To naprawdę dziwne. Zastanawiam się, czy chodzi o kolejny kryzys z Dahlią. – Rozmawiam z Kezią. Za minutkę skończę, dobrze?

Kiwa głową.

– Gwen? – odzywa się Kez, dając mi znać, że wciąż czeka. – Co było

w kopercie?

Kłamię. Muszę to zrobić, ponieważ nie mogę prosić Sama, by pozwolił wrzucić ostatni kawałek życia swojej siostry do torby na dowody, z której może już nigdy nie zostać wyjęty. Melvin nie żyje i nigdy już nie zapłaci za ból, jaki wywołał.

– To był list – mówię. Wiem, że nie powiedziałam niczego mądrego, bo przekazałam już wszystkie listy, które od niego dostałam, z wyjątkiem tego, który przysłał po powrocie z Killman Creek i który wylądował na dnie jeziora.

– Mamo – mówi Lanny. Zerkam na nią. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Będę musiała dostać ten list – oznajmia Kezia.

Lanny bierze głęboki wdech, po czym wyjmuję coś z kieszeni bluzy.

To koperta. Otwarta koperta. Kiedy po nią sięgam i rzucam okiem, prawie ją upuszczam. To list od Melvina, zaadresowany do mnie.

– Skąd wiedziałaś? Przepraszam – szepcze. – Ja myślałam...

Instynktownie wyciszam rozmowę z Kezią. Chcę zapewnić Lanny, że wszystko jest w porządku. Ale nie jest. Zalewa mnie fala całkowitej rozpacz i przerażenia.

– Skąd... skąd to masz? – Mój głos jest równie niepewny.

– Był w skrzynce. Nie bądź zła.

– Nie jestem. Po prostu... kiedy to przyszło?

– Wczoraj – odpowiada. – Wiedziałam, że nie pozwoliłabyś mi... – Jej głos gaśnie, podobnie jak światło w jej oczach, a ja znam przyczynę. Czułam już to, co ona czuje w tej chwili. I zrobiłabym wszystko, *wszystko*, aby nigdy nie musiała tego czuć. – Pomyślałam po prostu... – Wyciera oczy. – O Boże, mamo. Co on tam napisał...

Przyciskam ją do siebie, jakbym mogła ochronić ją przed całym złem, owinać się wokół niej i odebrać ból każdej rany, przykrego słowa. Ale nie mogę i dobrze o tym wiem. Całuję ją w czoło i szepczę:

– Tak mi przykro, maleńka.

Wracam do połączenia, wyłączam wyciszenie i mówię:

– Wybacz, Kez. Mam ten list. – Patrzę na Lanny, wypowiadając te słowa.

– Przyjedź po niego.

Rozłączam się.

Kładę list i szarą kopertę Sama na biurku. Lanny siada na drugim krześle tuż obok, opiera o mnie czoło i cicho płacze. Głaszczę ją po głowie. Obie milczymy.

– Wstań – mówię po półgodzinie. Stawiam ją na nogi. – Musimy pobiegać.

Pociąga nosem i patrzy na mnie zaczerwienionymi oczami. Wydaje się nie wierzyć w to, co właśnie usłyszała.

– Musimy pobiegać – powtarzam. – Ty musisz pobiegać. Idź się przygotować.

Kiwa w końcu głową, jeszcze raz się przytula i całuje mnie w policzek.

– Kocham cię – wyznaje i wychodzi.

Opadam na fotel, odprowadzając ją wzrokiem.

Spoglądam na list leżący na blacie. List, który tak bardzo skrzywdził moją córkę. Muszę powstrzymywać się z całych sił, żeby nie krzyknąć, nie rozerwać go na kawałki, nie wrzucić resztek do jeziora. Chcę go utopić, uciszyć na zawsze jego głos.

Nie robię tego. Wstaję i wychodzę z gabinetu, żeby się przebrać.

I biegniemy.

Kezia wpada godzinę później po list. Jest z nią Javier, który wziął dzień wolnego. Przybija żółwika z dziećmi. Javier pyta o Sama, a ja wyjaśniam, że jest w tej chwili na budowie. Javier kiwa głową.

– Okej. Mogę zamienić z tobą dwa słowa? – Zerka na dzieci. – Na osobności?

Odchodzimy kawałek w kierunku jeziora. Kez zostaje z dziećmi. Javier kopie jakiś przypadkowy kamień i mówi:

– Nie jestem przekonany, czy powinienem ci o tym mówić, ale dziś rano przyszedł facet, żeby kupić amunicję typu Remington Magnum kalibru siedem milimetrów.

– Co to oznacza? – Nie rozpoznaję tego typu amunicji.

– Naboje do broni snajperskiej – wyjaśnia. – Szukał właśnie takich, ale nie miałem ich na stanie. Powiedziałem, że musi je zamówić.

– Znasz go?

– To Spud Belldene, wuj Jessego. Służył podczas pierwszej wojny w Iraku.

– W roli?

– A jak myślisz?

Kiepskie wieści.

– Chcą nas zabić za bójkę z pijakiem?

– To Belldene'owie – mówi, jakby to wszystko tłumaczyło. – Oczywiście istnieje szansa, że chciał kupić amunicję do ćwiczeń. Lubi postrzelać od czasu do czasu.

Na dworze jest upalnie, a ja pocę się jak diabli.

– Dziwny zbieg okoliczności, zważywszy, że wypatrujemy snajpera.

– Zgadza się. Dlatego ci o tym mówię. – Kołysze się na piętach z założonymi rękami. – Federalni wpadli do nich z wizytą przed trzema miesiącami, ale niczego nie znaleźli. Byli przekonani, że Belldene'owie produkują metamfetaminę. Nie robią tego, a przynajmniej nie tam. Ale... jeśli Spud zamierza zrobić ci jakąś krzywdę, to raczej nie kupowałby nabożów ode mnie. Dobrze wie, że się przyjaźnimy i że powiedziałbym ci o tym. – Przesuwa dłonią po głowie. Włosy nosi krótko przycięte, w wojskowym stylu, jakby był gotów do walki. – Ale, z drugiej strony, może właśnie o to mu chodziło? Może chciał zagrać ci na nosie, sam nie wiem.

– Tu nie może chodzić wyłącznie o sprawę z Samem, który wybił facetowi zęby.

– No cóż – wzdycha Javier – nie z takiej przyczyny wybuchały wojny. Nigdy nie wiadomo, co ludzie biorą do siebie, w szczególności tacy Belldene'owie, których cechuje specyficzne poczucie dumy. Są gotowi za nią umrzeć. Sam jest dla nich, miejscowych, kimś obcym. Ty również.

– I nie chodzi w tym o mojego byłego męża?

– Wątpię. Ty, dzieciaki... jesteście dla nich przypadkowymi ofiarami. Tak naprawdę to oni polują na innych dla sportu.

Cóż za ironia. Przez tak długi czas moim zagrożeniem był Melvin. A teraz muszę się bronić przed obcymi z powodu czegoś, w czym w ogóle nie brałam udziału. To jest chore.

– Jak mam to powstrzymać? – pytam Javiera, choć nie oczekuję

odpowiedzi.

Kręci głową.

– Nie wiem, czy to możliwe. Może nadeszła pora, żeby na chwilę wyrwać się z tego miasteczka. W tej chwili masz na głowie Belldene'ów, ten film dokumentalny, o którym wszyscy mówią...

– Wszyscy o nim mówią?

– To nowy gorący temat w Norton, który ciągnie za sobą masę starych spraw, na przykład twojego procesu o morderstwo. Niektórzy z nich rzucają się na wszystko, co tylko stawia cię w złym świetle.

Cudownie. Ale chyba powinnam była założyć taki rozwój spraw.

– A z tym jak sobie poradzić?

– Nie walczy się z morzem, tylko czeka na odpływ. – Jest niespokojny, przez co i ja staję się niespokojna. – Uważaj na siebie. Zrobię co w mojej mocy, żeby uspokoić sprawę.

Nie przybijamy sobie żółwika. Obejmujemy się. Kocham Javiego, ufam mu w nie mniejszym stopniu niż Kez. Stał po mojej stronie już od pierwszego razu, kiedy weszłam na jego strzelnicę, i wiem, że zrobi dla mnie wszystko.

Kiedy odjeżdżają, znów czuję się bezbronna i bezradna. To mnie bardzo irytuje.

Przez resztę dnia nie wychodzimy z domu. Wypatruję przez okna białej furgonetki ekipy filmowej, ale nikt się nie zjawia. Przynajmniej nie ma ich w zasięgu mojego wzroku. Na samą myśl, że mogą siedzieć gdzieś wśród drzew i filmować mnie, nasz dom, przechodzi mnie dreszcz. Po chwili staram się skupić na czytanej książce, ale wciąż zerkam w dal, skanując okolicę jak żołnierz na wieży strażniczej. Szukam błysku obiektywu kamery gdzieś wśród krzewów.

Lub błysku celownika broni snajperskiej.

Dzień wydaje się nie różnić niczym od innych, jest w nim jednak coś, czemu nie chcę się zbyt skwapliwie przyglądać.

Wołam dzieci i proponuję wypad do miasteczka na ciastko i lody. Propozycja sprawia im radość, choć ostatnio Lanny jest nieco przewrażliwiona na punkcie kalorii. Ograniczyła je o mniej więcej tysiąc. Chyba nic jej nie będzie.

Kiedy dojeżdżamy do Norton, wszystko nadal wydaje się całkiem normalne. Starszy mężczyzna prowadzi ciągnik przez sam środek Main Street, rozrzucając grudy ziemi we wszystkie strony, ale tak się dzieje przynajmniej raz w tygodniu. Toczę się za nim, aż w końcu skręcamy w stronę pierwszego wolnego miejsca. Zazwyczaj zaczynamy od lodów i kończymy na ciastkach, ale kiedy parkuję samochód, dostrzegam czystą, białą furgonetkę. Nie ma na burcie żadnych oznaczeń, a z naklejki na zderzaku wynika, że została wynajęta. W środku siedzą dwie osoby. Wyłączam silnik i obserwuję, jak wysiadają z pojazdu i przechodzą na tył.

Nie wiem, co planują zrobić, ale kiedy dostrzegam, że wyższy, ciemnoskóry mężczyzna wyciąga ręczną kamerę, a kobieta podłącza mikrofon, dociera do mnie z pełną mocą, jakie mają zamiary.

To ekipa filmowa.

Znaleźli nas.

– Mamo? – pyta Lanny, która otworzyła już do połowy drzwi. – Coś się stało?

– Zamknij drzwi – mówię takim tonem, że Connor również wraca na miejsce. – Zaczekajmy chwilę.

– Co się dzieje? – Connor zaczyna się rozglądać, a kamerzysta podnosi wizjer do oka.

Ma niezły widok na tył mojego SUV-a, z tablicą rejestracyjną włącznie.

– Robi się gorąco – skarży się Lanny. – Możemy już iść na te lody?

– Nie. Przykro mi, ale chyba będzie najlepiej, jeśli wrócimy do domu.

– Dlaczego?

Z miejsc, które zajmują, nie są w stanie dojrzeć furgonetki. Mogłabym o niej powiedzieć Lanny, gdybyśmy były tylko we dwie. Moja córka lepiej wszystko pojmuje niż syn, jeśli chodzi o nasze czasami zbyt ostrożne zachowanie w miasteczku. Nie chcę jednak niepokoić Connora jeszcze bardziej. Jest już wystarczająco zamknięty w sobie. Wszystkie te doświadczenia z ojcem sprawiły, że stał się jeszcze większym introwertykiem. Brakuje mi tych dni, kiedy wychodził pobawić się z rówieśnikami, pograć w gry i organizować sesje Lochów i Smoków. Wciąż uważam, że ma w sobie całą tę beztroskę, ale nie wydaje mi się, by czuł się wystarczająco bezpieczny, by ją okazywać.

Kolejny powód, by nienawidzić mojego byłego męża. Smaż się w piekle, Melvin. Najlepiej na wolnym ogniu.

– Powiem wam, kiedy wrócimy do domu – odpowiadam. Uruchamiam silnik i wycofuję auto. Muszę, niestety, minąć furgonetkę, a to oznacza, że kamerzysta wyceluje obiektyw prosto w nas. Mam nikłą nadzieję, że dzieci tego nie zobaczą, ale oczywiście Lanny nie zabiera to zbyt wiele czasu.

Wskazuje ich dłonią.

– Co oni tam robią, do diabła?

– Filmują nas – odpowiadam. – Opuść rękę, proszę.

Moja córka nie opuszcza jednak ręki. Zamiast tego obraca ją w łokciu i z dumą wystawia środkowy palec.

– Mam nadzieję, że to nagrali – mówi. – Co za dupki. Dlaczego to robią?

Nie chcę im niczego mówić, ale chyba będzie lepiej, jeśli będą przygotowani.

– Pamiętacie tę kobietę z *Howie Hamlin Show*?

– Mirandę Tidewell – odpowiada Connor. – Ona jest bogata. – Kiedy oboje patrzymy na niego, wzrusza tylko ramionami. – Znalazłem ją w necie. Szukuje jakiś dokument o naszym ojcu. Po co to robi?

– Ludzie, niestety, chcą o nim usłyszeć. I o nas. Musimy być więc bardzo ostrożni.

– Tak – przyznaje Lanny. – Wiedziałbyś o tym więcej, gdybyś raz na jakiś czas wyściubiał nochała z za tych swoich książek.

Znów się kłóć. Nie przepadam za tym, wiem jednak, jak wyglądają typowe relacje rodzeństwa, szczególnie w tym wieku. Lanny obchodziła się z Connorem jak z jajkiem przez jakieś dwa miesiące po moim powrocie z Killman Creek, kiedy powiedziałam o śmierci ojca. Przyznałam się wtedy z trudem, że to ja go zabiłam. Zawieszenie ognia nigdy jednak nie trwa w nieskończoność. Prawdę mówiąc, są w tej chwili raczej na wojennej ścieżce. Rozmawialiśmy na ten temat, ale nie wydaje mi się, żeby Lanny była gotowa wybaczyć Connorowi, że rozmawiał z tatą w tamtym okresie. Melvin, niech go szlag trafi, przekonał naszego syna, żeby mu zaufał, a Lanny nie potrafiła tego zrozumieć. To wywołało między nimi ogień, który – mam nadzieję – w końcu przygaśnie. Na tę chwilę nie ma o tym mowy.

Jesteśmy na wylocie z parkingu, ale niestety w obu kierunkach zrobił się ruch i utknęłam. Kamerzysta zmienił miejsce i nadal kręci. Jestem pewna, że skupił się na naszych twarzach. Nienawidzę tego. To naruszenie naszej prywatności, nawet jeśli technicznie rzecz biorąc, nie łamie przepisów prawa. A może je łamie? Nie wiem, jakie w tym stanie obowiązują przepisy dotyczące filmowania nieletnich bez zgody. Może warto się tym zainteresować.

Patrzę na jadące samochody i modłę się, żeby poruszały się szybciej, ale w przerażająco wolnym tempie zmierza w tym kierunku jeszcze jeden ciągnik. Ciemne oko kamery na marginesie mojego pola widzenia wydaje się głębsze, jak wlot do studni. Mrugam i mam przed oczami kamerę ze studia Howiego Hamlina. Wraca poczucie unieruchomienia i bezradności.

Znów mrugam i teraz widzę brudny, zapleśniały dom w Luizjanie. Pokój zachlapany krwią. Łańcuchy.

A kamera filmuje i filmuje bez chwili przerwy. Podobnie jak ta, którą Melvin rozstawił w celu zarejestrowania mojej śmierci, odtwarzając przekaz widzom.

Słyszę dźwięk kojarzący się z narastającym krzykiem.

– Mamo! – Panika w głosie Lanny powoduje, że wciskam mocno hamulec. Prawie wjechałam w sznur samochodów, a krzyk okazał się rykiem przejeżdżającej ciężarówki. Odsuwa czarne włosy z twarzy i patrzy na mnie z troską. – Nic ci się nie stało?

– Wszystko w porządku – rzucam automatycznie, ponieważ zawsze odpowiadam jej w taki właśnie sposób. I sobie samej. Nie potrzeba jednak doświadczonego psychologa, żeby zobaczyć, że nie jest ze mną w porządku. Miewam przebłyski wspomnień. Zimne poty. Koszmary nocne. A teraz całe to filmowanie sprawia, że wszystko wraca ze zdwojoną siłą. Muszę porozmawiać z doktor Marks.

Biorę kilka głębokich oddechów, obracam kierownicą w lewo i wbijam się w lukę w sznurze aut. Widzę kątem oka, że tamten nie wypuszcza nas z kadru.

Czuję się nieco bezpieczniej dopiero w momencie, kiedy znikamy za wzniesieniem, skręcamy na główną drogę i wyjeżdżamy z Norton.

Lanny wyłamuje palce w ciszy, czekając na dalsze wyjaśnienia, których

nie zamierzam jej zapewnić. W końcu zakłada słuchawki i wbija wzrok w krajobraz za oknem. Connor wraca do książki i odcina się od świata.

Odpoczywam w tej ciszy, aż w końcu Lanny zrzuca słuchawki i zadaje mi pytanie:

– Nie zamierzasz chyba znów wychodzić za mąż, prawda?

Zaskakuje mnie tym pytaniem.

– Szczerze? Wątpię.

– Nawet za Sama?

– Nawet za Sama.

– Dlaczego nie? Rozstajecie się czy co?

Nie mam ochoty na tę dyskusję. Rozglądam się dookoła. Connor nie wydaje się poświęcać nam uwagi.

– Nie, nie rozstajemy się – odpowiadam. – Nic się nie zmieniło. Po prostu... dobrze mi tak, jak jest teraz, to wszystko. Nie widzę powodu, żeby na cokolwiek naciskać, a ty?

– Chyba że się rozstajecie. – Wzrusza ramionami, jakby ją to wcale nie obchodziło, choć wiem, że tak nie jest. Bardzo lubi Sama, a najbardziej cieszy ją jego kontakt z Connorem. Mojemu synowi bardzo trudno jest komukolwiek zaufać, ale kiedy przebywa z Samem, widzę w nim dzieciaka, który zachowuje się... zupełnie normalnie. Czuje się dostrzeżony, kochany przez kogoś, z kim czuje się bezpiecznie. To jest bardzo ważne i bardzo mu potrzebne.

– Sam to niezależny człowiek, Lanny. Zawsze podejmuje swoje własne decyzje. Nie wydaje mi się jednak, żeby miał nas w najbliższym czasie zostawić. Jeśli coś takiego wyczuję, powiem ci o tym.

Lanny znów wzrusza ramionami, jakby guzik ją to obchodziło. Słuchawki wracają na uszy.

Jesteśmy już prawie przy domu, kiedy dzwoni Sam. Zdążył już wrócić z pracy.

– Wszystko gra? – pytam.

– Jest okej – odpowiada dość ostro. – Wracacie do domu?

– Tak, jestem już niedaleko. Dlaczego pytasz?

– Bo mieliśmy na drzwiach przyklejoną wiadomość. Szukała cię ekipa filmowa. Poza tym skończyło się oregano.

– Wiadomość? Ekipa filmowa? – powtarzam. Przynajmniej nie wspominam nic o oregano. – Chryste, robi się gorąco. Widziałam ich niedawno w miasteczku.

Milczy przez kilka chwil.

– Chyba musimy o tym porozmawiać.

– Też tak sędzę.

Wcale nie spieszy mi się do rozmowy ani na ten temat, ani na ten drugi, który również musimy poruszyć.

Przez cały wieczór odnoszę wrażenie, że dzieli nas jakiś kamienny mur. Chciałabym wyciągnąć do niego rękę, poczuć, że robi to samo, ale nie wiem, czy powinnam. Ani czy w ogóle jest to teraz możliwe.

Czas, powtarzam sobie, kiedy sprzątamy w milczeniu w kuchni. Ja zmywam naczynia, Sam je wyciera. Muszę dać mu czas. Wiem jednak, że czas może mi go odebrać, a ja nie wiem, jak należy postąpić. Nikt nie przygotował mnie do tego, jak przerażające może być uczucie zakochania.

Dzwoni telefon, wytrącając mnie całkowicie z rozmyślań, na co reaguję równocześnie irytacją i ulgą. Wycieram ręce i chwytam za słuchawkę, rozpoznawszy numer na wyświetlaczu. To Marlene z Wolfhunter.

Po moim stosunkowo szorstkim powitaniu w słuchawce zapada cisza. Słyszę jednak jakieś odgłosy. Oddech. Szykuję się do odłożenia słuchawki, kiedy odzywa się głos młodej kobiety.

– Pomóż mi.

Nasłuchuję z poczuciem niepewności.

– Halo? Kto mówi?

– Vee. Vera Crockett. Mama mówiła, że pomaga pani ludziom, a numer znalazłam w telefonie.

Robię się natychmiast bardzo uważna. Marlene, która zadzwoniła do mnie tuż po katastrofie z Howie Hamlinem, zdecydowała się tym razem skorzystać z pomocy dziecka, a to cios poniżej pasa. Walczę z chęcią odłożenia słuchawki.

– Daj mamę do telefonu, proszę.

– Nie mogę – odpowiada Vee. Jej głos brzmi niepokojąco płasko. – Ona nie żyje.

– Słucham? – Odwracam się instynktownie, żeby spojrzeć na Sama z rozdziawionymi ustami. Kręcę głową, dając mu znak, że nie wiem, o co chodzi, jednak brzmienie mojego głosu już zdążyło go zaalarmować. – Kiedy? Co się stało?

– Powinna pani przyjechać – mówi Vee. – Wkrótce i mnie dopadną. Leży martwa na podłodze, a ja jestem następna na ich liście.

– Vera? Vee? Chcesz mi powiedzieć, że twoja matka leży w tej chwili obok na podłodze?

– Tak.

Czuję, że świat zaczyna się wokół mnie kurczyć, że ogranicza się teraz do głosu w telefonie.

– Posłuchaj, Vee, musisz natychmiast zadzwonić na policję.

– Zabiją mnie, jeśli to zrobię. – Jej głos wydaje się spokojny, choć przeraźliwie wyprany z emocji. Nie wiem, z czym mam w tej chwili do czynienia. – Zastrzelą mnie na miejscu jak psa.

Wzywam gestem ręki Sama i zakrywam mikrofon.

– Dzwonź do Kezii. Powiedz jej, żeby wysłała policjantów z Wolfhunter do domu Marlene Crockett. Nie wiem, co się tam dzieje, ale jej córka twierdzi, że matka leży martwa na podłodze.

Nie waha się ani przez chwilę, nie zadaje zbędnych pytań. Chwyta za telefon i oddala się kawałek, żeby wybrać numer.

– Vee – odzywam się ponownie do słuchawki. – Twoja mama... jesteś w stanie stwierdzić, czy ona oddycha?

– Ona nie żyje. – Żadnego napięcia w głosie. Absolutnie nic. Szok? Co innego? Nie mam pojęcia.

– Możesz dla mnie sprawdzić jej puls?

– Ona nie żyje. – Po raz pierwszy słyszę jakieś emocje: irytację, co jest dla mnie wstrząsające. – Leży na podłodze i... – Słyszę, że Vee Crockett się waha. Milknie. Kiedy znów się odzywa, robi to szeptem. – Oni wracają.

– Vee? Vee!

Odłożyła słuchawkę lub ją upuściła. Słyszę coś, co przypomina kroki lub łomotanie, a następnie rozdzierający huk, który sprawia, że kulę się

odruchowo i patrzę na słuchawkę, jakbym oczekiwała, że wyjdzie z niej coś innego niż dźwięk.

Pokonuję ten odruch po sekundzie i znów przykładam słuchawkę do ucha.

– Vee? Vera! Mów do mnie! Co się tam dzieje?

Sam wciąż rozmawia przez telefon, obserwuje mnie uważnie. Podnoszę rękę w wyrazie bezradności. Vee Crockett się nie odzywa. Słyszę jednak coś innego. Ruch? Krzyki w oddali? Coś w tym rodzaju.

I nagle powraca jej płaski, spokojny głos.

– Wysłałam mu ostrzeżenie.

– Co się tam stało, Vero?

– Wypaliłam ze strzelby – odpowiada. – Prosto w drzwi. Facet pewnie spieprza już na wzgórze.

– Nic ci się nie stało?

– Nie.

– Vee... – Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić, ale chcę, żeby mówiła. – Twoja mama wspominała, że się czymś martwi. Czy chodziło o ciebie?

– Nie. Mama nigdy się o mnie nie martwiła. A jeśli nawet, to odpuściła sobie już jakiś czas temu. Nie mogę jej za to winić.

Nic z tego, co mówi, nie ma sensu. Nie wiem, jak podejść do tej młodej kobiety.

– Ile masz lat, Vee?

– Piętnaście – odpowiada. To boli. Zamykam na chwilę oczy.

– Mam córkę w twoim wieku. Zrobiłabym dla niej wszystko. Twoja matka na pewno uważała tak samo. – Przełykam ślinę. Muszę prowokować ją do mówienia. Boże, to jeszcze dziecko. – Opowiedz mi o mamie, Vee. Co się stało, kiedy rozmawialiście po raz ostatni?

– Nie pamiętam. Teraz to już nie ma znaczenia. Ona nie żyje. Nie żyje, a ja...

Nie kończy zdania. Czuję ścisk w żołądku. Podświadomie czekam na ciąg dalszy: „a ja ją zabiłam”? Marlene była taka oszczędna w słowach. Nie wspomniała o niczym konkretnym, ale może nie chciała po prostu przyznać, jak bardzo się bała z powodu córki. To byłoby straszne.

Słyszę coś w oddali. Syreny.

– Vee? Nadal trzymasz tę strzelbę? – pytam.

– Tak.

– Zrób coś dla mnie, proszę. – Ściszam głos, starając się brzmieć jak ktoś asertywny, pełen troski. Sam rozłącza się i staje obok, uważnie analizując moją minę, mowę mojego ciała. Nie może jednak nic zrobić. Wszystko zależy ode mnie. – Chciałabym, abyś odłożyła tę broń na podłogę. Zrób to teraz.

Słyszę ruch, szelest, potem ciężkie stuknięcie.

– W porządku – mówi Vee. – Odłożyłam. Ale oni i tak mnie zastrzelą. Tylko czekają na okazję.

– Nie zrobią tego – mówię. – Teraz chciałabym, abyś otworzyła drzwi wejściowe, podniosła obie ręce wysoko do góry i stanęła na werandzie. Macie tam werandę, tak? – Większość ludzi ją miewa w wiejskich domach.

– Tak, proszę pani. Ale jeśli wyjdę na zewnątrz, oni mnie zastrzelą.

– Obiecuję, że tego nie zrobią, jeśli podniesiesz wysoko ręce.

– Jak to zrobię, nie będę słyszała pani przez telefon – mówi. Ma całkowitą rację, choć w jej głosie nadal próżno szukać większych emocji.

– Możesz włączyć tryb głośnomówiący?

– Och, jasne. – Robi, o co proszę i po chwili odgłosy się zmieniają, jakby świat otworzył się nieco bardziej wokół niej. – Dobrze, podchodzę do drzwi wejściowych. – Nagle chichocze. – O, ja nie mogę, wywaliłam w nich wielką dziurę! Normalnie mogę wyrzucić na zewnątrz.

Robi mi się niedobrze na samą myśl, że po drugiej stronie tych drzwi na werandzie może leżeć trup, ale nie mówię jej o tym.

– Dobrze, teraz otwórz powoli drzwi i unieś obie ręce. Robisz to, Vee?

Słyszę skrzypienie zawiasów.

– Tak, proszę pani. – Głos Vee dobiega teraz z nieco większej odległości.

– Wyjdź powoli, nie opuszczając rąk.

To ta chwila. Słyszę odgłos syren zatrzymujących się wozów patrolowych, otwieranych drzwi. Zamykam oczy i niemal widzę tę scenę: Vee stojącą na werandzie, wielką dziurę w drzwiach za jej plecami. Ktoś ranny, może nawet martwy, leżący na ziemi. Dwa – nie, teraz już trzy – policyjne wozy, czyli zapewne cała obsada posterunku w Wolfhunter zgromadzona w jednym miejscu. Funkcjonariusze z wyciągniętą bronią, podenerwowani

i gotowi do oddania strzałów.

– Rzuć to! – woła jeden z nich. Najwyraźniej wziął trzymany przez nią w dłoni telefon za broń.

– Rzuć telefon, Vee – nakazuję jej.

– Okej – odpowiada, spokojna jak jezioro zimą.

Słyszę, jak telefon uderza o ziemię.

A potem trzy sygnały i połączenie zostaje zerwane.

Jeśli chodzi o dalsze postępowanie, nie ma się nad czym szczególnie zastanawiać. Próbuję oddzwonić na ten sam numer, ale po kilku sygnałach oczekiwania odzywa się głos automatycznej sekretarki. Wyobrażam sobie, jak słuchawka uderza o werandę i roztrzaskuje się na drobne części... a jeśli nawet tak się nie stało, wkrótce znajdzie się z torebce na dowody i nikt nie odbierze telefonu. Vee Crockett została albo zastrzelona, albo zakuta w kajdanki.

Piętnastolatka.

Rozmawiając z Samem, wrzucam do turystycznej torby parę ciuchów na zmianę.

– Muszę jechać – oznajmiam. – Jej matka prosiła mnie o pomoc, więc jestem teraz świadkiem, czy tego chcę, czy nie. Vee zadzwoniła do mnie przed przyjazdem policji. Będą potrzebowali mojego zeznania w sprawie. Nie chcę, żeby przyjeżdżali tutaj i robili scenę do filmu dokumentalnego Mirandy.

Dostrzegam, jak Sam się krzywi w reakcji na te słowa. A może tylko na wspomnienie Mirandy.

– Nie masz pewności, że tak się stanie.

– Mam – mówię z naciskiem. – Ci dokumentaliści krążą jak jakieś sępy. Jeśli policja zapuka do naszych drzwi, będzie to dla nich nie lada gratka. Lepiej załatwić to z dala od domu.

Chcę porozmawiać z nim o wiadomości od Melvina w dzienniku siostry, o wstrząsie i emocjonalnej katastrofie, jaką wczoraj przeżył, ale wiem, że ta sprawa jest w tej chwili priorytetowa.

Zamyka za sobą drzwi do sypialni.

– Gwen. Przestań.

Przerywam na chwilę pakowanie. Patrzę na niego, składając bluzkę.

– Jesteś celem – mówi i podchodzi bliżej. – Nie możesz nagle znaleźć się w samym środku czegoś, o czym nie masz bladego pojęcia.

– Nie mogę także zostawić na pastwę losu piętnastoletniej dziewczyny. Ona do mnie zadzwoniła. Jej matka nie żyje. Gdyby to była Lanny...

– Ale to nie jest Lanny – rzuca. Kładzie mi ręce na ramionach. Pragnę zostać w tej chwili mocno przytulona, ale Sam tego nie robi. Trzyma mnie w odległości wyciągniętych rąk. – Nie możesz wpakować się w kłopoty w obcym mieście. Nie znasz ani aktorów w tym dramacie, ani miejscowych ludzi. Poza tym nie masz w tym żadnego interesu.

– Owszem, mam. – Patrzę mu głęboko w oczy, aż mruga jako pierwszy. – Wiem, że się o mnie troszczysz, Sam. Znam ryzyko. Naprawdę. Nie będę wcale bezpieczniejsza, zostając tutaj. Wyjazd i uniknięcie tych kamer... – Przez moment nawiedza mnie potężne ukłucie paniki, aż tracę oddech. Jestem w Luizjanie, w pomieszczeniu z kamerą, krwią, martwą kobietą i moim byłym, brutalnym mężem. Jestem na scenie u Howiego Hamlina, uwięziona w koszmarze.

Jeśli teraz będę zmuszona stawić czoła kolejnej kamerze, przegram z kretesem.

– Jasna cholera – mówi, choć nie jest zły, jedynie zrezygnowany. Pochyliła się lekko i dotykamy się czołami. Chwilę później ustami w słodkim, cichym pocałunku, jakbym nie skrzywdziła go wcale ostatniego wieczoru. – Dobra, ale nie jedziesz sama.

– Ale dzieci...

– Dzieci też pojedą – mówi. – Albo jedziemy wszyscy, albo nie jedziesz wcale.

Nie użył sformułowania „jedziemy całą rodziną”, ale czuję to w jego wypowiedzi. Potrzebuję tego. Całuję go jeszcze raz, bardziej żarliwie, a jego dłoń przesuwana się na mój policzek. Odsuwa mi włosy z czoła i patrzy na mnie w taki sposób, jakbym była czymś, czego obraz musi dobrze zapamiętać.

Potem cofa się o krok.

– Powiem dzieciom, żeby się spakowały.

Wciąż czuję pocałunek na wargach, przez co odczuwam drżenie całego ciała. Chcę więcej i to mnie przeraża. Nie spodziewałabym się tego po sobie, nie tutaj, nie z nim, ale przecież Sam Cade nie jest kimś, kogo w ogóle bym się spodziewała. Chcę zbudować most na tej szczelinie między nami. Muszę to zrobić.

Zauważam w nim jednak ciekawą zmianę. Zachowuje się tak, jakby poczuł ulgę.

Jakby chciał uciec ze Stillhouse Lake nie mniej niż ja.

– Ale dokąd my w ogóle jedziemy? – pyta Connor, pakując do swojej torby zdecydowanie za dużo książek. – W jakieś fajne miejsce?

– Prawdopodobnie nie, synku – odpowiadam. – To miejsce nazywa się Wolfhunter.

Zastyga. Jestem pewna, że nigdy nie słyszał o takim miasteczku.

– Brzmi nieźle.

– Sama nie wiem. Nigdy tam nie byłam. Wiem tylko, że leży na skraju Daniel Boone. – Park narodowy Daniel Boone to ogromna połać gęstego boru, co już samo w sobie mówi o panującej tam atmosferze. Oczy Connora rozszerzają się. Byliśmy już oczywiście w tych okolicach. To jeden z pierwszych rejonów, w które pojechaliśmy z dziećmi po przeprowadzce do tego domu.

– Rozbijemy obóz? – pyta.

– Na pewno nie. W okolicy powinien być jakiś motel, w którym się zatrzymamy. Mam nadzieję, że będziemy musieli tam zostać nie dłużej niż dzień, dwa.

Waha się, ale pakuje następną książkę. Staram się zamaskować uśmiech. Ma na tym punkcie taką samą obsesję jak ja na punkcie sprzętu do samoobrony. Składana pałka na dnie mojej torby waży zapewne co najmniej trzy razy tyle, ile jego książki, a to nie jedyna rzecz, którą w niej schowałam.

– Dlaczego wyjeżdżamy? – pyta.

– Pamiętasz tę panią, która dzwoniła do mnie ostatnio z prośbą o pomoc?
– Kiwa w odpowiedzi głową. – Jej córka ma kłopoty.
– Ile ma lat?
– Jest w wieku Lanny.
– Och. Myślałem, że to może ta druga dziewczyna.
– Jaka druga dziewczyna?
– Ta z telewizji. – Podnosi telefon i coś wyszukuje, po czym podaje mi go. Na ekranie widzę zdjęcie ślicznej ciemnoskórej dziewczynki w wielu sześciu, może siedmiu lat, która uśmiecha się radośnie do obiektywu. – Pamiętasz? Jej rodzice tam byli. Została porwana ze szkoły. Oni siedzieli z nami w poczekalni.

Teraz sobie przypominam: zdenerwowana para w poczekalni u Howiego. Nie poświęciłam im wtedy zbyt wielkiej uwagi, tak skupiona na ucieczce, że nie obchodziły mnie powody czyjejkolwiek obecności w tym miejscu. Chciałam tylko się stamtąd wydostać.

– Och. – Siadam na skraju łóżka Connora. – Jak długo jej już nie ma?
– Ponad tydzień – odpowiada. – Ona już pewnie nie wróci, prawda?
Nie chcę, żeby wiedział takie rzeczy. Nie w jego wieku. Jednak statystycznie rzecz biorąc, ma rację: większość porwanych dzieci nie przeżywa więcej niż kilka godzin.

– Nie słyszałam o jakimkolwiek żądaniu okupu. – Teraz docierają do mnie szczegóły. Porwana sprzed szkoły w wyniku starannie zorganizowanej akcji. Żaden spontaniczny czyn dyktowany potrzebą, a coś zaplanowanego w szczegółach. To nie oznacza, że dziewczynka żyje, wskazuje jednak na szansę na przetrwanie nieco przewyższającą średnią.

Connor stara się mnie zainteresować, najwyraźniej śledził tę sprawę od początku.

– Na forach dyskusyjnych mówią, że jej tata zapłacił okup, jednak nikt nie ma całkowitej pewności – mówi. – Może więc zapłacił po kryjomu, żeby ją odzyskać.

– Chwileczkę, Connor... na forach dyskusyjnych?

Uśmiech spływa z jego twarzy.

– Przepraszam. Ale nie wchodzę na te, na których rozmawiają o ojcu. Nie kłamię.

– Nie wchodź na żadne – mówię z naciskiem. – Wiesz dobrze, że nie możesz wierzyć w to, co piszą na Reddicie. Trzymaj się z dala od tych forów, dobrze?

– Ja nic na nich nie piszę, tylko czytam.

– Nie każ mi umieszczać ich na czarnej liście, Connor.

Patrzy na mnie teraz urażony.

– Nie jestem małym dzieckiem. Ale ty nigdy nie chcesz, żebym cokolwiek wiedział.

Owszem, nie chcę. Z pełną świadomością. Nie chcę, by czytał o porwaniach dzieci, a już na pewno o całych pokładach zła, jakie mają w sobie ludzie. Nie chcę w końcu, by czytał o swoim ojcu, choć przypuszczam, że wie dużo więcej, niż mi się wydaje.

– Chcę, byś wiedział, ale jednocześnie muszę być pewna, że jesteś na to gotowy – oponuję z przekonaniem. – Nie powinieneś widzieć skrzywionego obrazu świata. – Nie takiego, jak mój. – Ludzie są przez większość czasu dobrzy. Przez pewien czas bywają źli. Jeśli jednak wykorzystasz internet do poszukiwania swojej wizji świata, zobaczysz najgorszą ich stronę w większości przypadków.

– Nieprawda, mamó. Ludzie łączą się w internecie w różnych dobrych celach. Pomagają sobie. Obcy pomagają obcym. Nie wszystko jest złe.

Ma oczywiście rację. Mój syn potrafi wyrazić bardziej zbalansowaną opinię niż ja.

– Okej. Ale mówię serio. Nie interesuj się rzeczami, które sprawiają wrażenie dobrych, a okazują się złe. Zrozumiano?

– Jak te wszystkie kłamstwa, które mówił mi ojciec – odpowiada. – Tak, wiem.

– Przykro mi, kochanie – mówię, a Connor obraca w dłoniach książkę. – Nie powinien był ci tego zrobić.

Wzrusza lekko ramionami.

– Tak, ale nie było to pewnie aż tak złe, jak to wszystko, co zrobił tobie.

Mrugam. Widzę skupione na sobie czarne, zimne oko kamery. Gardło mi się zaciska i wiem już, że prędzej czy później będę zmuszona stawić czoła tej traumie i to w dużo bardziej konstruktywny sposób, niż odsuwając od siebie obrazy. Teraz jednak muszę się skupić na dziewczynce z Wolfhunter,

która została zupełnie sama. Na martwej kobiecie, która prosiła mnie o pomoc.

– Przykro mi z powodu tej małej – mówię. – Szkoda, że nie mogę jej pomóc. Ale najpierw zobaczymy, co możemy zrobić dla tej drugiej dziewczyny, dobrze?

Kiwa głową i wciska jeszcze jedną książkę do swojej wypchanej już torby. Connor buduje z opowieści swój własny mur. Jeśli chodzi o radzenie sobie, mógłby mieć dużo więcej problemów ze sobą. Ja mam.

Zaglądam do Lanny. Jest już spakowana w jeden plecak. Bierze dużo mniej niż ja. Krąży po salonie z założonymi rękami, a kiedy wypowiadam jej imię, podskakuje i odwraca się z uśmiechem, który nie jest szczery.

– Hej! Nie podkradaj się tak do mnie. – Sprawia wrażenie naprawdę przestraszonej.

– Wszystko w porządku? – pytam. Cofa się o krok i przekierowuje pełną moc na swoje osłony zbudowane z sarkazmu.

– Och, jasne. Jestem niezwykle podekscytowana niespodziewanym wyjazdem donikąd, bez większego celu, podczas gdy jutro miałam spotkać się z Dahlią! Wiesz, jak bardzo się na to cieszyłam, prawda?

Nigdy nie zostawiłabym jej samej, jednak przez moment rozważam zostawienie jej pod opieką matki Dahlii Brown, Mandy... jeśli jednak Lanny i Dahlia mają kłopoty, umieszczenie ich pod jednym dachem na dzień czy dwa może całkowicie zniszczyć ich relację. Nie chcę ponosić za to odpowiedzialności.

– Rozstania sprawiają, że serca biją mocniej – odpowiadam.

– Co za gówniany tekst.

– Lanny.

– Tak, dobra. Jedźmy już!

Moja córka jest bardzo zdenerwowana i zastanawiam się dlaczego. Chciałabym o to zapytać, ale dobrze ją znam. Nie pora na to. Ona nie chce teraz zwierzeń, woli być w ruchu. Zostawiam ją krążącą po salonie, przywołuję Sama i Connora, po czym kieruję się do drzwi wejściowych.

Kiedy rozlega się dzwonek do drzwi, wszyscy stajemy jak wryci. Sam stoi najbliżej monitora, więc podchodzi do niego i zerka na ekran.

– To Kezia – mówi.

Otwieram drzwi.

Kez wygląda na zmęczoną. Wita się ze mną skinieniem głowy, a ja odsuwam się, żeby mogła wejść do środka. Przytula Lanny, przybija żółwika z Connorem. Widzę wyraźnie, jak dzieci się cieszą na jej widok. Nie mogę chyba tego samego powiedzieć o sobie. Zamykam drzwi na klucz i zerkam na Sama.

– Cześć. Pomyślałam, że lepiej wpadnę po drodze – wyjaśnia Kez. – Wybieracie się gdzieś?

Postawienie takiego pytania nie wymaga wielkiego śledztwa. Cała nasza czwórka dźwiga bagaże.

– Tak – odpowiadam, oczekując podświadomie sprzeciwu, jednak policjantka wygląda, jakby odebrała to z ulgą.

– To dobrze, bo moja pogawędka z policją w Wolfhunter nie potoczyła się zbyt dobrze. Panowie najwyraźniej uznali sprawę za otwartą i niemal bezzwłocznie zamkniętą, chcą jednak, żebyś się tam zjawiała i złożyła zeznania, nie tylko na temat tego, co się dziś stało, ale także w odniesieniu do kontaktu, jaki nawiązałaś wcześniej z tą zabitą kobietą. – Czuję, że chce mnie o to zapytać, ale się powstrzymuje. Kezia rozumie nastawienie ludzi, którzy proszą mnie o pomoc, i wie, w jakiej są sytuacji: zazwyczaj beznadziejnej. Z pewnością nie chce o tym rozmawiać przy dzieciach. – Zadzwoń do mnie, jak dojedziecie już na miejsce. Nie jestem pewna, czy mogę... ufać tym funkcjonariuszom. – Gdybyśmy były same, z pewnością użyłaby dużo gorszego określenia. – Wygląda na to, że w całym Wolfhunter mają tylko ze dwóch prawników, wysłałam ci więc ich namiary. Jeśli nie chcesz ich zachowywać, zapisz je sobie markerem na ręce.

To środki ostrożności, z jakich korzystają aktywiści na marszach. Zaczynam się zastanawiać, jak bardzo dostała w kość od gliniarzy z Wolfhunter i jak wiele ryzykuję, wciągając w to wszystko dzieci. Zerkam na Sama i widzę, że ma te same zastrzeżenia, ale nie pozwoli mi jechać samej, a ja nie zostawię ich tutaj, żeby musiały stoczyć walkę z tymi krzyżowcami od filmu, których Miranda Tidewell wysłała w celu zniszczenia resztek mojej reputacji. Cokolwiek czeka nas w Wolfhunter, poradzimy sobie z tym tak, jak do tej pory, czyli wspólnie.

Pozwalam, by Sam i dzieci ruszyły przodem do SUV-a, po drodze podaję

Samowi swoją torbę. Wie, że muszę porozmawiać z Kezią na osobności. Zamykam za nimi drzwi i odwracam się do niej.

– Kiedy się spotkaliśmy, nie powiedziałaś mi, że ci tak zwani dokumentaliści są już w miasteczku. Dlaczego?

– Podczas pracy jestem urzędnikiem publicznym – odpowiada. – Oni nie złamali żadnego prawa, a poza tym uznałam, że zdenerwowanie ciebie nikomu nie wyjdzie na dobre. Jak na nich ruszysz, zrobisz im tylko dobrze. Zdobędą parę nagród i zmienią ci życie w stertę gówna. Trzymaj się od nich z daleka. To najlepsze, co możesz zrobić. Nie dawaj im niczego, co mogliby wykorzystać.

Ma oczywiście rację.

– To kolejny powód, dla którego dobrze jest wyjechać z miasteczka – mówię. – Bo nie mogę zagwarantować, że jeśli podsuną mi kamerę pod nos, ja nie wcisnę im jej w dupę.

– No tak. Tego się właśnie obawiam. – Przygląda mi się uważnie i badawczo, zupełnie jak jej ojciec. – Nadal chodzisz do terapeuty?

– Dlaczego? To aż tak widać?

– Nie dla większości osób. Przeszłaś piekło, Gwen. Zrób sobie przerwę. Pozwól ranom się zagoić, zanim wdasz się w kolejną walkę.

– Doceniam troskę, ale wiesz dobrze, że nie mam większego wyboru.

Potrząsa głową.

– Po prostu trzymaj się z dala od kłopotów. Bardzo cię o to proszę. Zawsze będę chronić ci tyłek, jeśli to możliwe, podobnie jak Javi, jest jednak linia, której przekroczyć nie mogę, a ty znajdziesz się daleko poza moją jurysdykcją.

– Wiem – przyznaję. Przytulamy się. Dwie kobiety noszące kabury pod żakietami, co wiele mówi o tym, jak postrzegamy otaczający nas świat. – Uważaj na siebie.

– Ty również.

Ustawiam alarm, zamykam drzwi na klucz i ruszam w stronę SUV-a. Kezia wraca do swojego kanciastego, miejskiego sedana. Jedzie za nami aż do rozwidlenia: w prawo w kierunku wjazdu na autostradę, w lewo na drugą stronę jeziora. Reflektory jej wozu znikają, a my wjeżdżamy na autostradę. Sam zerka do nawigacji w telefonie przymocowanym do deski

rozdzielczej.

– Półtorej godziny jazdy – ocenia. Zerka na mnie w blasku rzucanym przez wskaźniki. – Jesteś tego pewna?

– Jestem pewna. Jedziemy.

Kiedy opuszczamy Stillhouse Lake, czuję lekką ulgę podszytą poczuciem winy. To trochę tak, jakbym uciekała przed problemami, wyrzucała je i ruszała w nieznaną, tak samo jak robiłam to wcześniej.

Ale to uczucie nie jest prawdziwe. Ucieczka zawsze miała charakter tymczasowy. Problemy doganiały mnie za każdym razem.

Ale nie robię tego wszystkiego dla siebie, przypominam sobie.

Nie tym razem.

Drogi prowadzące do Wolfhunter są kręte i wąskie, a wszystko spowija mrok mimo blasku księżyca na niebie. Reflektory zdają się przygasać na tych drogach, cieszę się więc, że to Sam prowadzi, a nie ja. Drzewa zbliżają się po obu stronach, aż zaczynają tworzyć zbitą masę. Wrażenia są czysto klaustrofobiczne.

Liczba mijających nas samochodów czy ciężarówek jest zaskakująco niewielka. Kilka wyprzedza nas z prędkością grubo powyżej obowiązującego ograniczenia, parę innych jedzie w przeciwną stronę. Na łuku drogi kołysze się wielki osiemnastokątowiec i Sam musi zwolnić, żeby go przepuścić. To nie jest szosa przyjazna dla dużych przyczep. Wystarczająco trudno jest już prowadzić porządnego SUV-a.

Nie natrafiamy na żadne czynne stacje benzynowe, zaledwie kilka placów w miejscu wykarczowanego lasu, na których stoją puste, stare budynki i wyblakłe tablice informacyjne. Niewiele więcej można tam znaleźć. Lanny ucina sobie drzemkę, opierając głowę o okno za fotelem Sama. Kiedy zerkam we wsteczne lusterko, widzę Connora, który czyta książkę, świecąc sobie telefonem komórkowym.

– Oczy sobie w ten sposób zmarnujesz – mówię. Nie podnosi nawet głowy.

– To się całkowicie mija z prawdą – odpowiada.

– Kto tak twierdzi?

– Nauka.

– Hej, zrobisz coś dla mnie?

Connor zerka na mnie, a między jego podniesionymi brwiami formuje się zmarszczka.

– Co?

– Wyszukaj Wolfhunter i zobacz, czego się zdołasz dowiedzieć o tym miasteczku.

Odkłada książkę na bok.

– Poważnie?

– Tak, poważnie. Chcę wiedzieć, w co się pakujemy, a ty jesteś jednym z najlepszych śledczych, jakich znam.

– Zaczekaj, jednym z najlepszych?

– No dobrze. Może nawet najlepszym.

To go satysfakcjonuje, choć nie chce tego po sobie pokazać. Odsuwa książkę i zaczyna stukać na ekranie telefonu z prędkością, jakiej nie jestem w stanie osiągnąć swoimi starszymi i większymi palcami. Sam zerka na mnie z uśmiechem, który odwzajemniam. Zapewnienie Connorowi poczucia przydatności jest bardzo ważne. Zbyt długo bawił się w spekulacje ostatnimi czasy. Zajęcie go czymś innym jest doskonałym pomysłem.

Uśmiech Sama gaśnie, kiedy z powrotem koncentruje uwagę na drodze. Wiem, że cierpi w środku, nie tylko z powodu tego, co wydarzyło się między nami, ale również z powodu tamtego cholernego dziennika. Melvin nie bawiłby się w jego wysyłanie, nie upewniwszy się wcześniej, czy zadziała jak bomba z opóźnionym zapłonem, której celem jest ranienie, a nawet niszczenie. A ja wciąż nie wiem, co tam napisał.

Zastanawiam się nagle, czy Sam zabrał go z sobą. Trochę przeraża mnie wizja, w której coś tak zbrukanego przez Melvina podróżuje z nami jak pasożyt czekający na zagnieżdżenie się w naszych umysłach.

Nie mogę go o to zapytać. Nie zamierzam rozpocząć tej rozmowy przy dzieciach.

Motel 6 wyłania się z mroku po lewej stronie niczym neonowa oaza. Nie znajduje się w Wolfhunter, lecz całkiem blisko, zaledwie kilka mil przed centrum miasta, o ile takowe istnieje. Skręcamy, a Sam parkuje przed samą recepcją.

– Dwa pokoje? – pyta. Potwierdzam skinieniem głowy.

– Najlepiej z przejściem między pokojami – mówię. – A już na pewno sąsiadujące ze sobą.

– Nie wydaje mi się, żeby był z tym jakiś problem – odpowiada. Na parkingu stoją tylko cztery auta, a jedno z nich z dużą dozą pewności należy do osoby, która siedzi w recepcji. Motel nie jest duży, ma tylko jeden poziom i nie więcej niż piętnaście czy szesnaście pokoi ustawionych w kształt litery „L” okalającej parking. Żadnego basenu, choć odnoszę wrażenie, że większość moteli zrezygnowała z nich z przyczyn bezpieczeństwa, a ja i tak nie chciałabym, żeby moje dzieci do czegoś takiego wchodziły. – Zaraz wracam.

Wysiada i idzie do recepcji. Czekam, obserwując go przez przyciemnioną szybę. Podskakuję w fotelu, kiedy Connor nagle pochyła się do przodu i krzyczy:

– Mamo!

– Hej, wyluzuj, kontrola głośności! – jęczy Lanny i naciąga kaptur na twarz. – Jasna cholera.

Odwracam się, żeby spojrzeć na syna. Zignorował siostrę, jest całkowicie skupiony na mnie. Podaje mi swój telefon.

Natrafiał na jakiś blog. *Prawdziwa zbrodnia* coś tam, nie zwracam szczególnej uwagi na nazwę, nastawiając się na czytanie opinii amatorów... dopóki nie znajduję nagłówka we wpisie do bloga.

DRUGA KOBIETA ZE STATUSEM ZAGINIONEJ W WOLFHUNTER, TENNESSEE. PRZEKRĘT?

Okej, przyciągnęli moją uwagę. Zaczynam czytać.

Jak pewnie pamiętacie, w ubiegłym roku pisałem na temat sprawy niejakiej Tarli Dawes, osiemnastolatki, która wyszła ze swojej przyczepy na przedmieściach Wolfhunter w stanie Tennessee, żeby zrobić zakupy... i rozplynęła się w powietrzu. Dawes miała kartotekę, w której można było znaleźć nadużywanie narkotyków i parę awantur domowych. Policja szybko uznała to za samowolne oddalenie się, choć już sam fakt, że zrobiła to jedynie z torebką z second handu i bez żadnych ubrań na zmianę, powinien wzbudzić podejrzenia u funkcjonariuszy z Wolfhunter. Matka Tarli nie wierzy, że jej córka mogłaby odejść z własnej woli, pomimo wielu dowodów na to, że

Tarla i jej dziewiętnastoletni, bezrobotny mąż byli bliscy rozwodu. Papiery mówią o przynajmniej jednym zgłoszeniu przemocy domowej.

Ale jaka osiemnastolatka znika, nie pisząc nawet jednej wiadomości do przyjaciółki? Nie wykonując choćby jednego telefonu do matki?

Teraz znika druga młoda kobieta. Bethany Wardrip, lat dwadzieścia jeden. Jeszcze jedna z zapaskudzoną kartoteką, parę aresztowań, choć to nic niezwykłego w takim miejscu jak Wolfhunter: posiadanie narkotyków, bycie pod wpływem w miejscu publicznym, zakłócanie porządku. Tamtego dnia wyznała swojej koleżance z pracy, że marzy o wyrwaniu się z miasteczka na zawsze. Czy tak postąpiła? Bethany nie miała samochodu, często chodziła piechotą lub zabierała się stopem ze znajomymi czy sąsiadami. Nikt nie widział jej jednak tamtego dnia, nikt nie podwiózł jej ani nie wywiózł z miasteczka. Bethany, podobnie jak Tarla, zniknęła, mając przy sobie jedynie torebkę. Jej ubrania nadal wiszą w szafie. Trzy dodatkowe pary butów – stare trampki za kostkę firmy Converse, ciężkie buty do wędrówek pieszych i zużyte czarne szpilki – pozostały na swoim miejscu. Co więcej, w kuchennej szafce znaleziono dzbanek do kawy ze zwitkiem banknotów na kwotę 462 dolarów.

To całkiem spora suma dla kobiety, która pracuje za minimalną krajową. To oszczędności osoby, która niewiele kupowała, a według opinii znajomych, rzadko z nimi gdziekolwiek wychodziła.

Może to tylko moja opinia, ale odnoszę wrażenie, że coś zaczyna gnąć w Wolfhunter.

Czytam to dwa razy, a moje serce mocno przyspiesza. Ten bloger mógł na coś natrafić. Może Marlene potrzebowała pomocy właśnie w kontekście tej sprawy? Nie wiem, jak i dlaczego miałyby to doprowadzić do tragedii na oczach dziecka, ale coś w tym musi być.

– Dzięki, skarbie – mówię. – To ważne informacje.

– Wiem – odpowiada bez cienia dumy w głosie. – Mówiłem, że potrafię wyszukać różne rzeczy.

– Tak, potrafisz. Od teraz to twoje zadanie, dobrze? Główny śledczy. Jutro poproszę cię o wyszukanie informacji, czy na temat tych dwóch pań napisano coś jeszcze, dobrze? Jutro, nie dzisiaj. Nie masz siedzieć do późna. Obiecujesz?

– Obiecuję. Mogę pożyczyć laptopa Lanny?

– Zapytaj Lanny – odpowiada moja córka, ściągając kaptur z twarzy. – Siedzę obok ciebie, matole.

– Okej – mówi natychmiast i odwraca się do niej. – Mogę jutro pożyczyć twojego laptopa?

– Nie.

– Mamo?

– To laptop twojej siostry – mówię. – Jeśli nie chce pomóc w znalezieniu informacji na temat zaginionych młodych kobiet, to jej sprawa.

Lanny prostuje się gwałtownie, odrzuca kaptur do tyłu i wbija we mnie wzrok.

– Mamo, to nie fair!

– Jeśli będziecie z sobą współpracować, wszystko da się załatwić. Zawsze się wam to udaje – mówię. – Jutro będę musiała pojechać na posterunek policji. Sam zostanie z wami. Z całą pewnością ucieszy się, jeśli zobaczy, że potraficie ze sobą przeżyć cały dzień.

– Potrafimy – mówi Lanny. – W większości przypadków.

– Pracujcie razem.

Moje słowa nie zadowalają żadnego z nich na zewnątrz, ale w środku na pewno przyznają mi rację. Lanny przewraca oczami. Connor wzdycha.

Wiem, że skorzystają z okazji, żeby zrobić dla mnie coś użytecznego.

Sam wychodzi z recepcji, wraca do SUV-a i przestawia go na miejsce parkingowe. Reflektory świecą prosto w dwoje drzwi, z numerem pięć i sześć.

– W porządku – mów i podaje Lanny klucz z wydłużonym plastikowym brelokiem z wytłoczonym numerem. Do Wolfhunter nie dotarły jeszcze nowoczesne karty elektroniczne. – Lanny zostaje strażnikiem klucza. Jak go zgubisz, oboje zrzucacie się na grzywnę. Rozumiemy się?

– Nie zgubimy go – zapewnia Connor. – Dlaczego to ona dostała klucz?

– Jestem starsza. – Lanny zerka na brelok. – Jesteśmy w szóstce, czyli wy...

– Pod numerem pięć. Śniadanie o ósmej, okej?

– Nie musimy przypadkiem zapolować na nie w lesie? – wzdycha Lanny.

– Przynieść sobie wiewiórkę czy coś podobnego?

– Pół mili stąd jest McDonald's. Ale jeśli wolisz bekon z wiewiórki...

– Eee, nie. Fuj, Sam.

Upewniamy się, że dzieci są rozpakowane, a drzwi do ich pokoju zamknięte, po czym kierujemy się do numeru pięć. Pokoje łączą wewnętrzne drzwi, a odprężam się nieco dopiero po sprawdzeniu, czy

można je swobodnie otworzyć. Przynajmniej nie ma żadnych protestów po drugiej stronie.

– Dwa łóżka – mówi Sam. – Koniec z romantycznością.

W pokoju nie ma niczego znajomego, a jednak kojarzy mi się on mocno z innym, który dzieliliśmy kilka miesięcy temu, po ucieczce Melvina z więzienia, zanim wszystko skończyło się w zielonym piekle walącego się domu. Ten pokój jest czysty, przyjemny i całkowicie zwyczajny. Odkładam torbę turystyczną i moją torebkę. Sam rzuca swój bagaż na jedno z łóżek i rozpina zamek, żeby dostać się do kosmetyczki.

Siadam w sztywnym fotelu wciśniętym w kąt tuż obok klimatyzatora. Chłodne powietrze ledwie wylatuje spomiędzy jego żaluzji.

– Chcesz, żebym zapytała? – mówię to spokojnym, przyciszonym głosem.

– Jeśli nie chcesz, nie zrobię tego.

Zastyga, po czym zaczyna grzebać w kosmetyczce.

– O co?

– Chryste, Sam, naprawdę? – Nadal mówię cicho. Dzieci są tuż za drzwiami i nie chcę, żeby cokolwiek usłyszały. – Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– Tak – przyznaje ponuro.

– Czyli?

– Czyli chcę, żebyś zapytała.

Wstaję, odbieram od niego skórzaną kosmetyczkę i odkładam na łóżko. Kładę mu dłonie na szorstkich od zarostu policzkach. Nie ma żadnej przestrzeni między nami.

– Co napisał w jej dzienniku? – Obiecałam sobie, że nie zechcę już nigdy usłyszeć niczego o Melvinie Royalu, szczególnie po jego śmierci i pogrzebaniu w nieoznakowanym grobie komunalnym, ale Sam musi się tego pozbyć niczym infekcji z rany. Znam nazwisko osoby, która mogła to wysłać, więc powstrzymamy wszelkie pośmiertne tortury Melvina.

Przytula mnie, jakby chciał osłonić przed tym, co zamierza powiedzieć.

– Opowiedział mi wszystko – mówi. – O tym, jak ją porwał. Jak walczyła. Jak... jak długo...

Zasycha mi w ustach, bo to trochę tak, jakby Melvin wiedział, nawet po śmierci, jak nas skrzywdzić. Jak nas zniszczyć.

– Dość – mówię i obracam głowę tak, żeby moje usta znalazły się na miękkiej skórze tuż pod jego uchem. – Sam, on właśnie tego chciał. Czy mówiłam ci, że jeden z detektywów, którzy go przesłuchiwali, popełnił samobójstwo pół roku później? Tak bardzo toksyczny był Melvin. Jak trujący gaz wdychany w powietrzu. Nie możesz wpuścić go do środka, Sam. Nie możesz. Wszystko, co napisał, mogło być tylko jego chorą, upiorną fantazją. Nie możemy znać tych wszystkich szczegółów. Nie powinniśmy. Tak bardzo żałuję, że w ogóle to przeczytałeś.

Czuję, jak bierze głęboki oddech. Kojarzy mi się z dłonią próbującą namacać ratownika.

– Musiałem. Wszystko, co napisał, wydaje się prawdziwe, Gwen. Jeśli doznała takiego poziomu bólu... nie wiem, co z tym zrobić. On nie żyje, a ja nie wiem, gdzie schować tę... zgniliznę.

Podczas swojego własnego procesu przepłakałam zeznania patologa na temat każdej z ofiar Melvina. Zmuszałam się, by słuchać, by się dowiedzieć, ile wycierpiały z rąk człowieka, który siedział przy moim stole, spał w moim łóżku i opiekował się moimi ukochanymi dziećmi. Zmuszałam się, by przejść przez to samo, przez co musiały przejść rodziny ofiar. Wiem już, co przytrafiło się Callie, a informacje na ten temat były wystarczająco porażające nawet w postaci klinicznego raportu. Nigdy nie usłyszałam ich wypowiedzianych własnymi drapieżnymi słowami Melvina. On delektował się każdym szczegółem, starannie dobierał sformułowania.

– Przerzuć ten ciężar na mnie – mówię do Sama. – Powiedz mi.

Siedzimy obok siebie w pustym pokoju w motelu, a on próbuje to z siebie wyrzucić. Niebo nad drzewami na zewnątrz ciemnieje, pojawiają się gwiazdy, a ja patrzę przez okno, czując, jak po policzkach płyną mi łzy. Okropnie jest słuchać niemego gniewu Sama i widzieć oczami wyobraźni okrucieństwa Melvina. Wolałabym, żeby mój umysł nie był w stanie tego objąć, ale wszystko wydaje się takie znajome. Potrafię wyobrazić sobie każdą scenę, każde cięcie i każdy krzyk w przerażających detalach. Kiedy kończy mówić, oddycha ciężko i drży. Żałuję, że nie mamy niczego do picia. Czuję się teraz zbrukana, ciężka i niewyobrażalnie smutna, wiem jednak, jak ważne było dla niego wyrzucenie z siebie wszystkiego.

Pomimo naszych starań Melvin wciąż próbuje nas schwytać zza grobu,

a ja nie mam pojęcia, kiedy to się skończy. Taki ma zapewne plan – chce, abyśmy tańczyli do jego muzyki tak długo, jak mu się to spodoba. Może zakończeniem tego wszystkiego będzie ten facet z Richmond.

Równie dobrze może być ich więcej. Melvin zawsze miewał fanów.

– Ostatnią rzeczą, jaką opisał – mówi Sam – były jej błagania, żeby wreszcie ją zabił. Prosiła go o to całymi godzinami, a on to nagrywał. Powiedział, że wyśle mi tę taśmę. – Przęłyka głośno ślinę. – Mówię w taki sposób, jakby on wciąż żył. Musiał to wszystko jednak sobie zaplanować, a ktoś inny robi mu przysługę i wysyła te rzeczy. To trochę tak, jakby był nadal żywy.

Krzywię się, ponieważ Melvin po raz kolejny znalazł sposób na zaprezentowanie swojego okrucieństwa. Czekam, aż uspokoi mi się głos, po czym odpowiadam:

– Znalazłam nazwisko i adres w Richmond. Kez już się tym zajmuje, więc powstrzymamy go przed dokonaniem większych zniszczeń. Melvin miał nadzieję uczynić cię swoją ostatnią ofiarą. Nie pozwólmy, by mu się to udało.

Kiwa powoli głową.

Nie jestem pewna, czy potrafi się oprzeć.

Po kilku chwilach milczenia wstaje, zabiera swoją kosmetyczkę i idzie do łazienki. Słyszę odgłos prysznic. Kładę się na łóżku i gapię w sufit. Jest czysty, nie ma na nim żadnych zacieków, co zakrawa na cud. Jestem wściekła, że Melvin wciąż stoi między nami i szczyrzy zęby niczym czaszka.

Rozbieram się do koszulki i kładkę się do łóżka. Jest tak parno, że odrzucam kołdrę i owijam się samym prześcieradłem. Woda pod prysznicem leci przez długi czas. Łatwiej jest pod nim stać. Pamiętam, jak za każdym razem próbowałam zmyć z siebie ból, poczucie winy, niewypowiedziany gniew. Sam musi znów poczuć się czysty, choć wątpię, by zdołał to osiągnąć pod strumieniem wody.

Kiedy w końcu wychodzi, zatrzymuje się na chwilę. Chyba sprawdza, czy zasnęłam.

– Możesz położyć się na drugim łóżku, nie ma problemu – zapewniam go.

Wyłącza lampkę stojącą między łózkami. Czuję, jak kładzie się obok mnie, jak jego ciało przysuwa się blisko mojego. Leżę na boku. Zerkam na

niego, po czym odwracam się w jego stronę. Pocałunek, jakim mnie obdarza, jest delikatny, niemal pełen żalu. Przytulam się do niego, nie zważając na skwar panujący w pokoju. Jego skóra pachnie cytrynowym, motelowym mydłem. Od tej pory ten zapach już zawsze będzie mi się kojarzył z żalem i stratą.

Obejmujemy się w ciemności i milczymy. Niemal boję się oddychać. Jest między nami coś kruchego, co może rozbić najdrobniejszy ruch.

Być może to jedna z najintymniejszych chwil, jakie kiedykolwiek razem spędziliśmy.

Po obiecany porannym śniadaniu i drobnej kłótni z córką na temat tego, czy spodnie od pizamy nadają się do wizyty w McDonald's, Sam zawozi nas do Wolfhunter.

Nie ma tam na czym zawiesić oka. Centrum – a dokładniej rzecz biorąc, całe miasteczko – składa się z siatki obejmującej dziesięć na dziesięć przecznic. Wzdłuż ulic ciągną się zaniedbane sklepy i wypłowiałe domy otoczone porzewiałymi ogrodzeniami.

Miasteczko wygląda, jakby już dawno się poddało. Wątpię, żeby zamieszkiwało je obecnie więcej niż tysiąc osób. Jediną jego prawdziwą zaletą jest położenie w sąsiedztwie wielkiego parku narodowego, więc zapewne to przejeżdżający tędy turyści trzymają tę miejscinę przy życiu.

Na głównej ulicy znaleźć można wszystko to, co charakterystyczne dla leżących na południu miasteczek... nagromadzony złom pełniący funkcję antyków, kiczowate sklepiki z pamiątkami, pełne flag konfederacji i obraźliwych naklejek na zderzaki, kawiarnia, której szyld zapewne kłamie, zapraszając na „najlepsze ciastka w całym Tennessee”. Wszędzie widać pickupy i SUV-y z powiązanymi drutem zderzakami, z których żaden nie odwiedził myjni w ciągu minionego roku. Sądząc po spłowiałym wyglądzie wszystkiego, co można tam zobaczyć, w miasteczku występuje poważny problem z podażą farb. Zachowywanie pozorów wymaga odrobiny wysiłku.

Posterunek policji leży w odległości jednej przecznicy od geograficznego

środku miasta. Jego front kojarzy mi się ze starymi westernami, a wrażenie to tylko umacnia ręcznie malowana gwiazda na wielkiej szybie. Trudno byłoby określić to miejsce mianem odpornego na ataki terrorystów bunkra w centrum współczesnego miasta.

Po porannym prysznicu skorzystałam z porady Kez i zapisałam numery telefonów markerem po wewnętrznej stronie przedramion. Być może to zwyczajna paranoja, ale lepiej dmuchać na zimne. Kiedy wejść do środka, poczuje się, jakbym wkraczała w jakieś mroczne miejsce bez latarki. Nie wiem, komu mogę zaufać, czy będę miała pod nogami jakikolwiek grunt, mówiąc metaforycznie. Najlepiej przygotować się na upadek.

Sam parkuje samochód przed posterunkiem i mówi:

– Jestem twoim rozmówcą pierwszego wyboru, jeśli tylko będziesz czegoś potrzebowała, dobrze?

– I moim powiernikiem – mówię, starając się uśmiechnąć, choć nie czuję się z tym najlepiej. – Dobrze. Wszyscy wracacie teraz do Operacji Wolfhunter. Zadzwoń, kiedy będę gotowa do wyjścia. Umowa stoi?

– Stoi – odpowiada Sam i całuje mnie. Odsuwa mi włosy z twarzy. – Uważaj na siebie, Gwen.

– Ty również – odpowiadam, po czym przechylam się na siedzeniu, całuję dzieci i wysiadam na gęste, wilgotne poranne powietrze, które pachnie lasem tak intensywnie, że maskuje wszelkie inne zapachy. Na ulicy nie ma zbyt wielu aut. Z początku zapach jest przyjemny, ale kiedy się do niego przyzwyczajam, wyczuwam również odór czegoś martwego, gnijącego pod liśćmi. Odór rzeki w zastoju, nad którą krążą komary. Staram się sobie tego nie wyobrazić.

To miasteczko cuchnie śmiercią.

Oddychając możliwie jak najpłycej, uśmiecham się i macham ręką do Sama i dzieci, kiedy odjeżdżają spod posterunku. Odprowadzam ich wzrokiem, aż znikają za wzniesieniem, kierując się w stronę motelu. Na ulicy krąży parę osób, a ja zaczynam przyciągać spojrzenia. Być może nawet złowieszczę, trudno stwierdzić, ale z pewnością już mnie dostrzegli.

Otwieram drzwi wejściowe posterunku i wchodzę do środka. Recepcja jest nieduża, na pewno nie większa niż mój salon. Pod ścianą ustawione są stare, drewniane krzesła i ławka, która prawdopodobnie rozpoczęła żywot

w kościele. Na środku stoi drewniana lada, a za nią przy komputerze, który wygląda, jakby nie był świadom epoki internetu, siedzi kobieta po pięćdziesiątce, z siwiejącymi lekko włosami, w okularach w kształcie kocich oczu.

– Słucham? – pyta, nie przerywając stukania w klawiaturę.

– Jestem tu w roli świadka – odpowiadam. – W sprawie Marlene Crockett.

Stukanie urywa się. Obraca krzesło, żeby na mnie spojrzeć, po czym przygląda mi się uważnie i w końcu sięga po telefon.

– Jak nazwisko, kochaniutka?

Mam ochotę jej powiedzieć, żeby przestała się spoufalać przy pierwszym kontakcie.

– Gwen Proctor.

Rozpoznaje nazwisko. Widzę, jak mruga powoli i zmienia się wyraz jej twarzy. Kojarzy mi się to z opuszczającą się bramą wjazdową do zamku.

– Proszę usiąść – mówi. – Poinformuję detektywa.

Zajmuję jedno z drewnianych krzeseł, które wydaje się tylko odrobinę bardziej wygodne niż ławka. Kobieta mruczy do telefonu coś, czego nie wychwytyuję, po czym odkłada słuchawkę i obdarza mnie kompletnie nieszczerym uśmiechem.

– Jeszcze chwileczkę – informuje mnie i wraca do pracy przy komputerze. Jeśli ma tam dostęp do skrzynki e-mailowej, z całą pewnością rozsyła już wieści o moim przybyciu.

Cieszę się, że mam na rękach numery prawników. Nie mam pojęcia, co się może tutaj wydarzyć. Najprawdopodobniej nie oskarżą mnie o żadne przestępstwo, nauczyłam się już jednak boleśnie, że sam fakt bycia niewinną nie oznacza, że człowiek nie skończy w kajdankach.

Po upływie niecałej minuty otwierają się solidne, drewniane drzwi prowadzące w głąb posterunku i zjawia się mężczyzna, który musi naprawdę się lekko pochylić, żeby przejść pod framugą. Gapię się, co chyba nie jest jakimś nietypowym zachowaniem w jego przypadku, gdyż facet jest wzrostu zawodnika ligi NBA... z pewnością ma nie mniej niż dwa metry, może trochę więcej. Szczupły, długonogi, bez wątpienia zamawia garnitury na miarę, ponieważ ten, który ma na sobie, leży na nim idealnie.

Jasnoszary, co stanowi ustępstwo na rzecz skwaru.

– Pani Proctor? Jestem detektyw Fairweather z biura śledczego Tennessee. – Wyciąga do mnie rękę, a ja czuję się miniaturowa, ściskając jego dłoń. Jest uważny i zachowuje się profesjonalnie. Jego skóra o różowawym odcieniu musi cierpieć latem w tym miejscu. Ma jasne włosy, ścięte na wojskową modłę.

– Wszystko w porządku, proszę pani? Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt uciążliwa.

Mężczyzna ma wyraźny akcent mieszkańca Południa, choć raczej nie pochodzi z Tennessee. Może z Wirginii? Trudno stwierdzić.

Przytrzymuje dla mnie drzwi i zaprasza gestem do środka. Nie wchodzę tam od razu.

– Rozumiem, że nie jest pan funkcjonariuszem policji z Wolfhunter? – pytam.

– Wspólnie zajmujemy się tą sprawą – odpowiada. – Jestem głównym śledczym. Proszę przodem.

Jest do bólu uprzejmy. Domyślam się, że mam się dzięki temu czuć spokojniejsza, ale akurat w moim przypadku działa to na odwrót. Nie mam jednak większego wyboru – nie wypuści mnie stąd bez przeprowadzenia rozmowy. Mijam go i wchodzę w wąski, ciemny korytarz, który zgodnie z oczekiwaniami błaga o remont. Prowadzi mnie do jednego z pokoi i zamyka za nami drzwi.

Typowe pomieszczenie do przesłuchań. Siadam po stronie, na której z pewnością chciałby mnie posadzić, czyli tam, gdzie kamera najlepiej uchwyci moją twarz. Nie zaszkodzi z nim współpracować.

Detektyw Fairweather zasiada po przeciwnej stronie stołu z dużą dozą ostrożności, jakby obawiał się, czy mebel to wytrzyma.

– Czy nie ma pani nic przeciwko, żebym nagrał naszą rozmowę? Potrzebne mi to do akt sprawy. – Odkłada telefon na blat. To zupełnie niepotrzebne, chyba kamera szwankuje albo... obawia się, że policja z Wolfhunter nie jest do końca wiarygodna. Odpowiadam skinieniem głowy, a on naciska czerwony przycisk na ekranie. – Dobrze, proszę się zatem przedstawić.

– Nazywam się Gwen Proctor.

– Wcześniej Gina Royal? Żona Melvina Royała?

Tani chwyt, detektywie.

– To moje wcześniejsze nazwisko, zgadza się.

– Tak dla kontekstu, gdzie pani mieszka?

– W Stillhouse Lake, w pobliżu Norton.

– W Tennessee.

– Tak.

– Mieszka tam pani sama?

– Nie – odpowiadam. – Mam dwoje dzieci, Lanny i Connora. Mieszka też z nami Sam Cade.

– Sam Cade. – Pochyliła się do przodu, opiera długie przedramiona na blacie i splata palce. – Na jakich zasadach tam mieszka?

– Nie jestem pewna, czy rozumiem pytanie. – Oczywiście, że rozumiem, chcę jednak, by je zadał.

– Czy on wynajmuje u pani pokój, czy...

– Dzielimy sypialnię – odpowiadam. Być może bardziej naturalne byłoby stwierdzenie, że jesteśmy kochankami lub partnerami, ale nawet w tej chwili nie chcę cisnąć aż tak mocno. To pewnie głupie, ale cóż.

Nie ma znaczenia, jak uważnie dobieram słowa, ponieważ detektyw zmierza dokładnie do celu.

– To chyba dość niezwykle, zważywszy na fakt, że pani były mąż brutalnie zamordował jego siostrę?

Pozwalam pytaniu wybrzmieć przez kilka sekund. Moje milczenie ma ciernie. Kiedy odpowiadam, ton mojego głosu jest ostry, ale niestety słychać też w nim, że się bronię:

– Co to ma wspólnego z tym, co usłyszałam przez telefon?

Fairweather unosi ręce, jakby przeproszał albo się poddawał.

– Proszę wybaczyć. To tylko dodatkowe pytania. – Nie, to była celowa próba wytrącenia mnie z równowagi i oboje o tym wiemy. – Dobrze, przejdźmy dalej. Muszę zadać pani kilka pytań dotyczących Marlene i Vee Crockett.

– Nie znam ich – mówię, co jest absolutną prawdą. Staram się rozluźnić. Język ciała mówi tyle samo co słowa, szczególnie w kamerze.

Kamery.

Zerkam odruchowo w stronę jednej z nich, zamontowanej w narożniku. Jest zamaskowana, choć nie perfekcyjnie, a jej kolor zlewa się z gładkimi ścianami. Nie świeci się na niej lampka informująca o nagrywaniu, ale i tak czuję jej pusty, bezosobowy wzrok.

Mrugam, by pozbyć się obrazów z koszmarów i usiłuję ponownie skoncentrować uwagę na Fairweatherze. Zadał mi pytanie, którego nie usłyszałam.

– Słucham?

– Wiemy o tym, że rozmawiała pani z panią Crockett. Ta rozmowa trochę trwała. Na pewno nie był to błędnie wybrany numer.

– Nie twierdziłam, że do mnie nie zadzwoniła. Powiedziałam tylko, że jej nie znam.

Jego brwi w kolorze słomy wędrują w górę.

– Prowadzi pani rozmowy z obcymi, których nie zna?

Pytanie wydaje się z pozoru normalne, ale wyczuwam rekina krążącego pod powierzchnią.

– Czasami – mówię spokojnie. – Kiedy mają problemy.

– A jakiego rodzaju pomoc jest im pani w stanie zaoferować?

– Porady. – Kusi mnie, żeby na tym skończyć i kazać mu gonić króliczka, ale kontynuuję: – Wie pan dobrze, kim jestem i kim był mój były mąż. Ludzie, w większości kobiety, kontaktują się ze mną czasami w trudnych sprawach.

– Na przykład?

– Jedna z nich miała męża, któremu groziło aresztowanie ze molestowanie dzieci. Nie wiedziała, jak poradzić sobie ani z tą sprawą, ani z jej dalszymi konsekwencjami. Inna kobieta chciała zrobić to, co ja: zmienić nazwisko, aby ochronić dzieci przed nękaniami. Czasami im pomagam, w większości przypadków nie jestem jednak w stanie. Bywa, że niektóre z nich chcą tylko się wygadać.

– A pani Crockett?

– Nie potrafiła określić, na czym dokładnie polegał jej problem. Zdecydowanie czuła, że ma kłopoty, choć nie odniosłam wrażenia, że to siebie samą uważała za zagrożoną. Prosiła mnie o przyjazd do Wolhunter, żeby opowiedzieć mi wszystko na miejscu. – Biorę głęboki oddech. –

Szczerze mówiąc, pomyślałam, że podejrzewa o przestępstwo kogoś ze swojego otoczenia. Tak się zazwyczaj dzieje.

– I? Spotkała się z nią pani?

Widzę w jego oczach błysk. Zastanawia się pewnie, jak bardzo poszybowałaby w górę jego notowania, gdyby zdołał jakoś przyskrzynić byłą żonę Melvina Royała za morderstwo kobiety.

– Nie, nie spotkałyśmy się – odpowiadam, nadal spokojnym głosem. – Cieszę się, że zajrzał pan w billingi mojego telefonu, gdyż powinno to panu wskazać dokładnie, gdzie od tamtej pory przebywałam. Mogę zostawić na piśmie szczegółową rozpiskę. Do wczorajszego wieczora nigdy nie byłam w Wolfhunter.

Jeśli jest rozczarowany, doskonale to maskuje. Jego przyjazne oblicze w ogóle się nie zmienia.

– Gdyby zapisała to pani dla mnie, byłoby to bardzo pomocne – przyznaje. Otwiera szufladę po swojej stronie stołu i wyciąga żółtą podkładkę i flamaster. – Będę musiał również poprosić o to pana Cade’a. Chodzi o okres od pierwszego telefonu do tego ostatniego.

– Oczywiście. Z chęcią panu pomoże, udostępni też rejestr swoich połączeń. – W normalnych okolicznościach nie składałabym takich obietnic w imieniu Sama, ale ten detektyw nie należy do ułomków. Postara się o nakazy sądowe i wykorzysta je, czy się to nam podoba, czy nie. Wyrażenie zgody tylko potwierdzi naszą wiarygodność.

– Co zatem powiedziała dokładnie pani Crockett, kiedy zadzwoniła? – pyta, pochylając się lekko do przodu. Zaproszenie do wzajemnego zaufania między nami. Sprawnie korzysta z mowy ciała, muszę mu to przyznać.

– Niewiele. Zatelefonowała, kiedy przyjechaliśmy z Knoxville po obiedzie.

– Knoxville – powtarza. – A dlaczego tam w ogóle pojechaliście?

– Byłam umówiona na nagranie wywiadu telewizyjnego w *Howie Hamlin Show*. Tam mieści się studio. – Mój ton znów staje się nieco ostrzejszy. Detektyw kiwa głową.

– Tak, proszę pani, teraz sobie przypominam. – Musiał już sprawdzić mnie w Google, co jest standardową procedurą przed tego typu rozmową. – Co dokładnie powiedziała?

Staram się sobie przypomnieć. Nie mam idealnej pamięci, choć fatalną

też trudno ją nazwać, więc wydaje mi się, że odtworzę mu tę rozmowę stosunkowo dobrze. Słucha, nie komentując niczego. Kiedy przerywam, mówi:

– A dlaczego nie przyjechała pani do Wolfhunter, kiedy o to poprosiła?

– Bo nie jestem głupia – odpowiadam. – Nie jeżdżę na potajemne spotkania z ludźmi, których nie znam, a szczególnie wtedy, gdy nie odbywa się to na moich warunkach. To mogła równie dobrze być pułapka.

– Pułapka? – Prostuje się na krześle. – Zastawiona przez kogo?

Zaczynam odliczać na palcach.

– Przez wielbicieli mojego byłego męża. Przez członków Absaloma, którzy przeszukiwali sieć. Przez przypadkowych internetowych stalkerów, których są całe dziesiątki. Nie wspominając o rodzinach ofiar byłego męża, z których część wciąż uważa mnie za winną. Och, no i jeszcze ci wszyscy wariaci, którzy uaktywnili się po bałaganie u Howiego Hamlina, ponieważ teraz prześladowuje mnie ekipa dokumentalistów Mirandy Tidewell. Zatem... sporo podejrzanych.

– Wygląda na to, że życie się pani skomplikowało.

– Nie bardziej niż wszystkim tym osobom, które utraciły swoich najbliższych w tak okrutny sposób – przyznaję. – A już na pewno nie bardziej niż moim dzieciom, które muszą znosić więcej, niż potrafię sobie wyobrazić. Nie użalam się nad sobą. Podchodzę po prostu realistycznie do liczby osób, które chcą mnie upokorzyć lub zranić. Może nawet ujrzeć martwą. Ale to nie ja jestem martwa, prawda? Możemy wrócić do Marlene?

Pozwala mi zmienić kierunek rozmowy.

– Okej. Zatem po pierwszej rozmowie nie miała z nią pani dalszej styczności, tak?

– Zgadza się.

– Dopóki nie nadeszło połączenie z jej numeru telefonu.

– Tak. – Przypominam sobie swoją reakcję, kiedy dowiedziałam się, co zaszło.

– Chciałbym, aby opisała pani to połączenie szczegółowo. Proszę niczego nie pomijać.

Robię, o co prosi. Opowiadam mu o tym, co usłyszałam od Vee Crockett, starając się jak najlepiej przywołać jej słowa. Opisuję niepokojący sposób

jej wypowiedzi. Panikę, kiedy usłyszałam wystrzał ze strzelby, kiedy pomyślałam, że ona również zginęła.

– No tak – mówi. – To był listonosz, który dostarczał paczkę. Dobrze, że w chwili, gdy padł strzał, akurat się pochylał, żeby ją zostawić pod drzwiami.

– Nic mu się nie stało?

– Uciekł – odpowiada Fairweather. – Zważywszy na tę dziurę wielkości jego głowy w drzwiach, miał naprawdę sporo szczęścia.

Zgadza się z nim. Vee zamierzała zabić tego, kto znajdował się po drugiej stronie.

– To wcale nie oznacza, że zabiła swoją matkę.

– Niczego takiego nie powiedziałem. Nie jestem tu po to, żeby opowiadać pani, co myślę. Proszę kontynuować. Co się później wydarzyło?

– Poprosiłam ją, żeby odłożyła strzelbę, przełączyła telefon w tryb głośnomówiący i po otwarciu drzwi podniosła wysoko obie ręce.

– Dlaczego nie kazała się jej pani rozłączyć? Albo sama tego nie zrobiła?

– Uznałam, że nie powinna być wtedy sama – odpowiadam. – Ona ma piętnaście lat i przeżyła traumę.

– Właśnie pani opisała, jak niewiele ją to obchodziło.

– Sam pan wie, że czasami ludzie reagują na traumę na rozmaite sposoby. Ona do mnie zadzwoniła. Uznałam, że muszę przy niej być tak długo, jak to tylko możliwe. Bałam się... – Przerywam, zastanawiając się, czy powinnam to powiedzieć. – Bałam się, że popełni błąd i ktoś zareaguje zbyt nerwowo.

– Albo że ich do tego sprowokuje? Samobójstwo z broni gliniarza?

– Nie wiem. Pomyślałam po prostu, że dziewczyna nie myśli jasno. Potrzebowała pomocy.

Zmienia temat.

– Mieszkańcy Wolfhunter twierdzą, że ta Marlene miała trudne relacje z dziewczyną – mówi. – Vee piła alkohol, zażywała leki. Miała problemy w szkole. Mówiła coś na ten temat?

– Nie. Żadnych szczegółów, jak mówiłam wcześniej. Nie mogę panu z tym pomóc. Ale, szczerze mówiąc... taki opis pasuje do wielu dzieciaków, co?

– Do pani dzieci również?

Cóż za precyzyjny cios.

– Nie. – A przynajmniej jak chodzi o picie czy leki. – Trzymajmy się tematu, bardzo proszę.

Przeskakuje jeszcze trochę w czasie, a ja opowiadam mu wszystko krok po kroku, aż do momentu, kiedy telefon wypadł z dłoni Vee, po czym dodaję, co robiłam później. Części spraw nie da się sprawdzić, ale po ich powiązaniu z rozmowami telefonicznymi powinnam być czysta.

Detektyw prosi, abym wszystko spisała. Robię to. Znam tę sztuczkę: zadać pytania na głos, potem dopasować odpowiedzi do zapisanych ram czasowych i znaleźć rozbieżności. A potem sprawdzić wszystko ponownie.

– Detektywie – mówię. – Jak ona się czuje?

– Marlene? Nie żyje.

– Vera.

– Zbadali ją w szpitalu. Nic jej nie jest, ale nie chce współpracować.

– Oskarżył ją pan o coś?

– Byłbym idiotą, nie robiąc tego – odpowiada. – Nic z tego, co powiedziała przez telefon w rozmowie z panią, nie oznacza, że tego nie zrobiła. Poza tym dowody fizyczne obejmują broń z jej odciskami palców, krew na ciele i ślady po wystrzale.

– Ślady po wystrzale są związane z użyciem strzelby, które usłyszałam.

– Być może. Równie dobrze mógł to być jej drugi cel. Mamy dwie gilzy, a broń była pusta, kiedy ją zabieraliśmy.

Nawet ja nie jestem przekonana o niewinności dziewczyny, ale to nie daje mi spokoju.

– Czy ona w ogóle ma adwokata?

– Proszę pani, radzę się nadmiernie w to nie angażować. Możemy w ogóle się nie dowiedzieć, dlaczego jej matka do pani zadzwoniła. Może chodziło o to, co się wydarzyło, a osobą, której się tak obawiała, była jej własna córka.

– Nie o to pytałam.

– Sąd przyznał jej adwokata – odpowiada. – Hectora Sparksa. To facet stąd.

Najprawdopodobniej właściciel jednego z numerów telefonów na moich rękach.

– Mogę się z nią zobaczyć?

Prostuje się, jakby zamierzał oddalić się od tego pytania tak bardzo, jak to możliwe.

– Dlaczego miałyby pani to zrobić, pani Proctor? Nie zna jej pani, nie znała nawet jej matki.

– Ona jest w wieku mojej córki. Poza tym... może ze mną zechce porozmawiać. W końcu zadzwoniła do mnie.

Zastanawia się chwilę i kiedy odnoszę wrażenie, że dał się przekonać, kręci głową.

– Dopóki jest zatrzymana do rozprawy, nie mogę pozwolić na wizytę nikomu niemającemu podstaw prawnych.

– A jeśli będzie obecny jej prawnik?

– Cóż, jeśli będzie przy tym, a pani uzyska jego zgodę, to jest to dopuszczalne, oczywiście przy założeniu pewnej współpracy z nim. W przeciwnym razie żaden przyzwoity adwokat na to nie pozwoli.

Wypowiada te słowa w dziwny sposób, jednak nie potrafię go rozgryźć.

– Dobrze. A jeśli to ona poprosi o spotkanie ze mną?

– Proszę nie wciskać tej dziewczynie żadnych pomysłów do głowy. Ona nie jest taką kruchą istotą, jaką może się pani wydawać. I gwarantuję, że nie potrzebuje pani ochrony.

– Zabawne. Pamiętam, że takie same słowa powiedziano na mój temat, kiedy byłam w areszcie w oczekiwaniu na proces.

Fairweather nie reaguje w żaden sposób. Zatrzymuje dyktafon w telefonie i wstaje, żeby otworzyć mi drzwi.

– No dobrze, proszę pani. Dziękuję bardzo za pomoc. Czy mogę się skontaktować, jeśli będę miał jeszcze jakieś pytania?

– Oczywiście, nie ma żadnego problemu. – Czy nie przedstawiamy właśnie przykładu typowej południowej serdeczności?

Podaje mi swoją wizytówkę.

– Proszę nie zapomnieć o wysłaniu do mnie pozwolenia na sprawdzenie billingów telefonicznych oraz poprosić pana Cade'a, żeby wysłał mi harmonogram i takie samo pozwolenie. To znacznie przyspieszy pracę.

– Nie jestem przekonana, czy przyspieszanie pracy leży w najlepszym interesie tej dziewczyny – zauważam. – I tak wydaje się pan straszliwie

gnać do przodu.

– Choć ta sprawa może wyglądać jak jedna z tych, którą można otworzyć i od razu zamknąć, nie oznacza to, że nie podchodzę do niej z zaangażowaniem. Nie oczekuję jednak żadnych zwrotów w tej historii, pani Proctor. Sporo w tym napsutej krwi. Ledwie Marlene zwróciła się do pani z prośbą o pomoc, a wszystko trafił szlag, zanim zdążyła ją uzyskać. – Na jego twarzy nie gości już wcześniejszy uśmiech. – Poza tym im dłużej siedzę nad tą sprawą, tym mniej mam czasu na poszukiwanie dziewczynki.

– Ellie White – mówię. – Porwanie. Pan się tym zajmował?

– Aż do tego bałaganu.

– Mam nadzieję, że ją pan znajdzie.

– Z całym szacunkiem, proszę pani, ale ja mam już raczej nadzieję, że to nie ja ją znajdę, ponieważ ta mała już niemal z całą pewnością nie żyje.

8 SAM

Kiedy Gwen wysiada z samochodu – nie podoba mi się, że zostaje tam sama – zabieram dzieci z powrotem do motelu. Connor kręci się na swoim siedzeniu, nie mogąc się doczekać, kiedy będzie mógł przystąpić do zleczonej pracy, czyli zbadania sprawy zaginionych kobiet z Wolfhunter. Lanny stara się sprawiać wrażenie zupełnie niezainteresowanej tematem, choć wiem, że tak nie jest.

Zadaje sporo pytań dotyczących Vee Crockett, co trochę mnie martwi. Zazwyczaj Lanny zachowuje się sceptycznie i całkiem dobrze potrafi dokonać osądu czyjegoś charakteru, jednak coś w sprawie dotyczącej Vee powoduje, że pozbywa się swoich typowych obronnych zachowań. Może po prostu obawia się, że Dahlia Brown zmęczyła się ich relacją? Nastolatki potrafią być w jednej chwili gorące niczym piekło, a w następnej zimne jak lód, to całkiem normalne. Jednak Vee nie należy do osób, którymi powinna się moim zdaniem fascynować. Nie, żebym miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia, upominam samego siebie. Należę do ogniska domowego, ale nie jestem członkiem rodziny.

Niezależnie od tego, jak bardzo chciałbym nim być.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami Lanny informuje Connora, że będzie musiał zaczekać godzinę, po czym zabiera swojego laptopa i pyta mnie, czy może skorzystać z drugiego pokoju, żeby porozmawiać z Dahlią. Pozwalam jej na to i zostawiam samą, żeby mogła w spokoju odegrać swój dramat. Naburmuszony Connor wraca do swojej książki, a ja sprawdzam wiadomości w telefonie, siedząc na fotelu w kącie ich pokoju.

Mija niecała godzina, kiedy Lanny przechodzi przez wewnętrzne drzwi i podaje laptopa Connorowi.

– Masz, trzymaj.

Wskakuje na drugie łóżko i zwija się w kłębek na boku.

Wydaje się zła i skrzywdzona, a ja przenoszę na nią swoją uwagę, kiedy

Connor wzrusza ramionami i rozpoczyna gorączkę złota w internecie. Lanny płakała, widzę to wyraźnie – ma rozmazaną kredkę na dolnej powiece i czerwone policzki. Sądząc po stopniu zaczerwienienia oczu, jest w takim stanie już od dłuższego czasu.

Siadam obok niej, ale jednocześnie zachowuję taką odległość, żeby nie uznała, że naruszam jej osobistą przestrzeń.

– No i? – zagaduję ją. – Co się dzieje?

– Nic. – Pociąga nosem i rzuca mi ukradkowe spojrzenie. – Dostałeś kiedyś kosza?

No, stary, szuka ci się niezła rozmowa. Szkoda, że nie ma tu jej mamy, teraz muszę radzić sobie sam.

– Tak, oczywiście.

– I co?

– Była taka jedna dziewczyna, miała na imię Gillian.

– Kiedy to było?

– W szkole średniej.

– Ładna? Kochałeś ją?

– Była fantastyczna i tak, przez jakiś czas. A potem, pewnego dnia, nagle przestała się mną interesować. Niedługo później dowiedziałem się, że chodzi z innym chłopakiem z tej samej drużyny baseballowej.

– No, to niefajna sprawa – przyznaje Lanny.

– Zwłaszcza po tym, jak powiedziała wszystkim, że z nią spałem.

Tym razem patrzy na mnie otwarcie.

– A spałeś?

– Nie. Ale tak właśnie zrobiła. – Wzruszam ramionami. – Zdarza się. Moja matka zastępcza powiedziała mi kiedyś, że została wyrzucona z samochodu w trakcie randki z chłopakiem i musiała wracać na piechotę całą milę. Miała wtedy szpilki i szła w ciemnościach. Tak wyglądało rozstanie w jej przypadku.

– Poważnie? – Lanny mruga szybko. – Po prostu ją zostawił?

– Tak, po prostu ją rzucił. Została sama na poboczu drogi. Pamiętam, jak mi powiedziała, że już nigdy nie założyła szpilek na randkę. Dzięki temu nie czułem się wtedy aż tak źle.

– Aha. – Sposób, w jaki to mówi, ma oznaczać, że nie wierzy w to, że

kiedykolwiek poczuje się lepiej. Pamiętam te lata, kiedy wszystko pojawiało się nagle, niczym wielkie fale. Potem wydawało się, że będzie to trwać wiecznie. To było fantastyczne uczucie, ale zarazem niebezpieczne.

– Coś się wydarzyło w związku z Dahlią – zgaduję, choć nie wymaga to wielkiego myślenia.

Robi głęboki wdech i zniża głos aż do pełnego napięcia szeptu. Najwyraźniej przeszkadza jej obecność Connora w pokoju.

– Dahlia twierdzi, że nie może się już ze mną widywać. Jej mamę wkurzyły wszystkie te krążące wokół plotki o filmie dokumentalnym i całym tym syfie. Uznała, że mam na nią zły wpływ, czy coś takiego. A to nawet nie jest moja wina!

– Być może to tymczasowe. Niech ten cały kurz osiadzie. – Moja porada byłaby dobra dla dorosłego, jej z pewnością wydaje się bezużyteczna. – Powiedziała, że będziecie ze sobą nadal rozmawiać?

– Tak. – Lanny mruga, żeby przegonić łzy. – Kiedy jej mamy nie będzie w domu.

– Więc może się uda.

– Może. – Lanny nie jest nastawiona do sprawy zbyt optymistycznie. Przysuwa się troszkę i opiera mi głowę na ramieniu. Obejmuję ją. – Dzięki.

– Nie ma za co. A co do tych plotek, o których wspomniała. O jakie plotki chodzi?

– O mamę, że pomagała Melvinowi zabijać ludzi. To jest przecież chore. – Przełyka ślinę, kiedy jej głos łamie się przy ostatnim zdaniu.

– Twoja mama miała sprawiedliwy proces. Została uniewinniona.

– Tak? To powiedz to temu Patrolowi Psycholi, który tropi nas w internecie – mówi Lanny. – Oni nadal wierzą, że jest winna. W ten sposób wszystko rujnują.

Myślę o Mirandzie. O Zagubionych Aniołach. Ona ma absolutną rację. Niektóre rzeczy pozostawiają po sobie smród, niezależnie od tego, jak intensywnie czyści się świat. Dla mnie jest to szczególnie bolesne, wiem przecież, ile ponoszę za to winy.

– Sam? – odzywa się Connor. Przenoszę na niego spojrzenie. – Hm, może powinieneś rzucić na to okiem?

Całuję Lanny w głowę i podchodzę do niego. Obraca laptopa, żeby

pokazać mi ekran.

– To już coś, prawda?

Zaginęła trzecia młoda kobieta, tym razem nie w Wolfhunter, ale w parku narodowym Daniel Boone, do którego skraju to miasteczko przylega jak zadziór. Odbieram od niego laptopa.

Kolejny wpis podobny do poprzednich. Ten sam blog.

NASTĘPNA ZAGINIONA KOBIETA W POBLIŻU WOLFHUNTER

Wspomniałem wcześniej o podejrzanym zniknięciu Tarli Dawes, lat osiemnaście, oraz Bethany Wardrip, lat dwadzieścia jeden.

Teraz mamy trzecią kobietę. Nazywa się Sandra Clegman, mieszka w Sioux City w Iowa, ale wypoczywała w pobliskim parku narodowym Daniel Boone. Pewnego wieczoru jej przyjaciele widzieli, jak zamyka się w namiocie na noc, a następnego ranka już jej nie było. Zostawiła wszystko, co przy sobie nosiła, łącznie z portfelem i gotówką.

Ludzie gubią się w lasach, ale Sandra Clegman była dziewczyną ze wsi, która niejednokrotnie obozowała w tego typu miejscach. Historia mówiąca o tym, że mogła oddalić się i zostać zjedzona przez niedźwiedzie, jest moim zdaniem dość naciągana. Strażnicy leśni przeprowadzili dokładne poszukiwania przy współpracy policji stanowej, a nawet FBI. Nie natrafiono na żadne ślady: ani jednej kropli krwi czy kawałka rozerwanego materiału na gałęzi. Sandra Clegman, podobnie jak Tarla i Bethany, rozplynęła się w powietrzu.

Jeśli narysujecie okrąg ze środkiem umiejscowionym w Wolfhunter i przyjmiecie dziesięciomilowy obwód, w jego środku znajdą się lokalizacje wszystkich trzech zniknięć. Zadzwońłem na policję w Wolfhunter z prośbą o komentarz.

Powiedzieli mi, że rozmawiamy o dwóch uciezkach i turystce, która najprawdopodobniej spadła w wniesienia i zginęła gdzieś w dziczy. Innymi słowy: nie ma tu czego oglądać, proszę się rozejść.

Cóż, ja nie zamierzam się oddalić, bo coś zdecydowanie jest na rzeczy.

– Dziwna sprawa, nie sądzisz? – mówi Connor. – Teraz już są trzy kobiety. To nie może być przypadek, prawda?

– Cóż, muszę przyznać, że jednak może – odpowiadam. – Dziwne rzeczy często się zdarzają. Ale co więcej, policja mogła uznać, że dzieje się coś niedobrego i specjalnie powstrzymać się przed wygłoszeniem publicznego oświadczenia na ten temat. Być może toczy się śledztwo, o którym ten

bloger nie ma pojęcia.

Nie wydaje się tym szczególnie poruszony.

– Wciąż uważam, że to dziwne.

– Nie mówię, że takie nie jest – przyznaję. – Szukaj dalej, może na coś trafisz.

Kiwa głową, nieco szczęśliwszy, a ja oddaję mu laptopa. Spoglądam na zegarek. Gwen siedzi na policji już od dwóch godzin, a ja nie mam od niej żadnej wieści. Zastanawiam się, czy postanowiła skorzystać z tradycyjnego prawa do jednego telefonu (zakładając, że jej na to zezwolili, to nie jest ich obowiązkiem) do adwokata, ufając, że zadzwonię i zorientuję się później w sytuacji.

– Idę zobaczyć, co tam u mamy – oznajmiam dzieciom i przechodzę do drugiego pokoju. Zamykam wewnętrzne drzwi i wybieram jej numer.

Odzywa się poczta głosowa.

Zostawiam wiadomość z prośbą o kontakt, po czym wyszukuję główny numer na posterunek w Wolfhunter w mikroskopijnej książce telefonicznej na stoliku nocnym. Odzywa się miły głos z południowym akcentem, pytający, jak przekierować połączenie, a ja proszę o rozmowę z Gwen Proctor.

Waha się chwilę, po czym przełącza mnie bez słowa. Tym razem odzywa się męski głos.

– Detektyw Ben Fairweather, kto mówi?

– Sam Cade. Szukam Gwen Proctor.

– Dzień dobry, panie Cade. Rozmowa z panią Proctor trochę się przeciągnęła, ale wyszła już jakieś dziesięć minut temu.

Nie podoba mi się to.

– Dokąd poszła?

– Prawdopodobnie spotkać się z adwokatem Vee Crockett. Znalazłby pan chwilę, żeby wpaść do mnie i złożyć zeznania? Rozumiem, że był pan w pokoju z panią Proctor, kiedy odebrała to połączenie od Very. Chciałbym uzyskać pańską relację na ten temat, łącznie z rozpiską czasową z poprzednich czterdziestu ośmiu godzin.

Detektyw brzmi przyjaźnie i sensownie. To też mi się nie podoba, nie ufam mu.

- Jasne, ale później, kiedy wróci Gwen. Nie mogę zostawić dzieci.
- Oczywiście – mówi. – Więc przyjedźcie razem.
- Rodzinna wyprawa. Wybieramy się do lasu. – Nie zrobimy tego z niemal całkowitą pewnością, ale to daje mi wystarczającą wymówkę. O ile Gwen o tym nie mówiła, nie chcę, żeby próbował dokopać się do powodów naszego wyjazdu ze Stillhouse Lake. Mam nadzieję, że ekipa Mirandy wciąż przebywa w Norton. Oni będą mieli sporo do powiedzenia, po części może nawet prawdę.
- W porządku – kapituluję. – To może o drugiej? Pasuje panu?
- Oddzwonię to pana – odpowiadam. – Najpierw muszę poszukać Gwen.
- Kończymy rozmowę. Po chwili znajduję na stoliku nocnym notatkę Gwen z numerami telefonów dwóch prawników, które dała jej Kez. Dzwonię na pierwszy z nich, ale słyszę tylko nagrany głos mężczyzny w podeszłym wieku, który informuje o tym, że nie ma go w biurze.
- Przy drugim numerze mam więcej szczęścia, ktoś podnosi słuchawkę.
- Biuro Hectora Sparksa, przy telefonie pani Pall. W czym mogę pomóc?
- Coś sprawia, że marszczę czoło w zamyśleniu i dopiero po krótkiej chwili zdaję sobie sprawę, co to jest. Pani Pall. Niewiele kobiet odbiera już telefon w taki sposób. Zazwyczaj podają swoje imiona.
- Dzień dobry, chciałbym zapytać, czy pan Sparks prowadzi obecnie spotkanie z kobietą nazwiskiem Gwen Proctor? Wybierała się do niego. Czy jest u państwa w biurze?
- Czy mogę wiedzieć, z kim rozmawiam? – Kobieta wydaje się bardzo spięta.
- Sam Cade.
- Bardzo mi przykro, panie Cade, ale spotkania pana Sparksa mają charakter bardzo poufny i nie mogę tego potwierdzić.
- Czy mogę zatem z nim porozmawiać?
- Obawiam się, że to niemożliwe. Prosił, żeby mu nie przeszkadzać. Zostawię jednak wiadomość, że się pan kontaktował.
- Jeśli jest tam Gwen, proszę jej przekazać, żeby do mnie zadzwoniła – mówię, jednak kobieta tego nie potwierdza. – Dziękuję.
- Nie ma za co – odpowiada, choć nie wyczuwam w tym żadnej serdeczności. Połączenie zostaje zakończone.

Otwieram ponownie wewnętrzne drzwi. Lanny leży na łóżku ze słuchawkami na uszach. Wygląda mizernie. Kiedy mnie zauważa, odwraca się plecami. Nie zamierzam jej teraz niepokoić.

– Connor, czy mógłbyś jeszcze kogoś wyszukać? Znaleźć parę informacji?

– Jasne!

– Hector Sparks – mówię. – To adwokat z miasteczka. Chciałbym dowiedzieć się czegoś na jego temat, zanim... – Właśnie, zanim co? Choć nie ma ku temu żadnej szczególnej przyczyny, ta rozmowa mnie trochę rozstroiła. Tak samo jak poprzednia, z Benem Fairweatherem. Może to miejsce ma na mnie taki wpływ. Te zaginione kobiety. Martwa matka i córka w areszcie. Wolfhunter nie wydaje się bezpieczne dla Gwen, a ja odnoszę wrażenie, że pozostawienie jej tam samej to kiepska decyzja.

– Dobra – rzuca. – Już się do tego zabieram.

Ustalenie, że Hector Sparks jest prawnikiem mieszkającym w miasteczku – przy okazji podaje mi adres – i że jego ojciec również nim był, zajmuje mu około piętnastu minut. Connor znalazł też kilka artykułów z lokalnej gazety – starych, ponieważ zaprzestano jej wydawania przed wieloma laty – jednak wszystko wydaje się w najlepszym porządku. Przy jednym z artykułów widnieje zdjęcie przedstawiające zaskakująco ładny, duży dom, który wydaje się budynkiem solidniejszym niż większość nieruchomości w Wolfhunter. Jest też starszy – wzniesiono go na początku dwudziestego wieku. Na tle domu widoczna jest rodzina: starzec na wózku i stojący obok niego syn. Matka i córka również znajdują się kadrze, ale stoją nieco z boku, najwyraźniej jako naoczni świadkowie tej wyjątkowej chwili obu panów. Twarz matki niczego nie wyraża. Córka spogląda gdzieś w bok. To dość dziwne, że tego rodzaju fotografia znalazła się w gazecie, nawet tak amatorskiej jak ta. Artykuł napisany jest dość niezdarnie, koncentrując się na świętowaniu emerytury ojca – Donalda – i przejęcia działalności prawniczej przez syna Hectora.

Na temat kobiet nie ma ani słowa, poza podpisem „w towarzystwie żony i córki”. Choć data wskazuje na rok 1992, całość wygląda jak z lat pięćdziesiątych.

Najważniejsze jest jednak to, że Hector Sparks wydaje się w porządku i nie powinienem się niepokoić o Gwen.

A jednak się niepokoję.

Piszę do niej wiadomość. Nawet jeśli wycisza telefon, zwykle odpowiada w ciągu kilku minut.

Prostuję się nagle, gdyż przychodzi wiadomość głosowa, którą nagrano podczas mojej rozmowy telefonicznej.

Znam ten numer. Należy on do Mirandy Tidewell i kiedy pojawia się na ekranie, mój żołądek ściska się w ciasny supeł.

– Hej – wołam Connora – muszę zadzwonić, dobra? Będę w pokoju obok.

Kiwa głową, nie spuszczając wzroku z ekranu, ale chyba na mnie zerka, kiedy odchodzę. Prawdopodobnie zauważył moje zdenerwowanie.

Wychodzę szybko i oddycham głęboko, stojąc w pokoju, który zajmujemy z Gwen. Wewnętrzne drzwi są zamknięte. W pomieszczeniu jest gorąco, więc włączam ponownie klimatyzator.

A potem nawiązuję połączenie, które pośle mnie prosto do piekła.

Miranda nie wypowiada słów powitania. Nigdy tego nie robiła.

– Sam. Odsłuchałeś moją wiadomość?

– Nie – odpowiadam. Mój głos brzmi zupełnie inaczej, kiedy rozmawiam z tą kobietą. Odkąd pamiętam, zawsze tak było. – Co ty, do cholery, wyrabiasz?

– Należałoby raczej zapytać, co ty wyrabiasz, Sam? Mieszkasz w jej domu. Śpisz w jej łóżku. To bez wątpienia jedna z najbardziej obrzydliwych i zboczonych rzeczy, z jakimi miałam do czynienia od lat, a poza tym to naprawdę wiele daje do myślenia.

Jej głos. Połączenie miodu z lodem przyprawione odrobiną chrypy. Kiedy leczyła się z załamania po śmierci córki, krzyczała tak bardzo, że zmienił się na stałe. Szkody, jakich doznała, od tego się zaczęły, ale tak naprawdę sięgają dużo głębiej.

Miranda jest bogata. Multimilionerka, była żona kierownika funduszu hedgingowego. Była członkini Małej Ligi, której kolejne etapy życia podawano na srebrnych tacach... aż do dnia, kiedy jej córka Vivian zniknęła w galerii handlowej. Była drugą znaną ofiarą Melvina Royała.

Spotkała się ze mną na lotnisku, wracając do domu z delegacji. Wciąż miałem na sobie kombinezon roboczy. Trzymając tabliczkę z moim nazwiskiem, wyglądała jak doskonale wyrzeźbiony manekin przyodziany

w modne ciuchy.

Łączy nas coś wspólnego, panie Cade, powiedziała wtedy. Moja córka i pańska siostra. Odwiozę pana i porozmawiamy po drodze.

W tym czasie byłem w szoku, wściekły, zdruzgotany i bezbronny, ale Miranda prezentowała się dużo gorzej. Ten toksyczny związek, który się między nami narodził... widywałem ją rozczochraną, zaniedbaną, ubraną w ciuchy śmierdzące całymi dniami pełnymi alkoholu. Wnosiłem ją do jej trzypoziomowej rezydencji o powierzchni niemal sześciuset metrów kwadratowych i pomagałem dotrzeć do toalety, kiedy musiała zwymiotować. Słuchałem jej przekleństw. Nauczyłem ją posługiwać się bronią.

Robiliśmy razem straszne rzeczy.

– Skąd masz ten numer? – pytam. Nie jest to najważniejsze z pytań, ale jedyne, jakie jestem teraz w stanie zadać.

– Pieniądze i kontakty – wyjaśnia z rozbawieniem. To jej odpowiedź na większość zadawanych pytań. – Nie ma cię w domu. Wiem o tym. Byłam tam wczoraj wraz z moją ekipą filmową. Zostawiłam wiadomość. Podpisałam się nawet nazwiskiem. Powiedziałeś jej o tym?

Nie powiedziałem. Zabrałem tę pieprzoną notatkę i wrzuciłem do niszczarki.

Nie odpowiadam, więc Miranda kontynuuje:

– Gdzie się chowasz, Sam?

– Nie chowam się. – Jest to połowiczna prawda. – Nie mamy o czym rozmawiać, masz się odpierdolić i zostawić nas w spokoju.

– Nas. – Pogarda wyczuwalna w tym słowie jest niczym uderzenie bicia w nagie plecy. – Mój Boże, Sam, naprawdę? To jakiś obłąd.

– To nie jest twoja sprawa. Wracaj do Kansas City, Mirando. Odpuść sobie.

– Sprzedałam dom w Kansas City. Obecnie... jak to się dzisiaj mówi? Surfuję po nieruchomościach. Muszę jednak przyznać, że musiałam spędzić bardzo nieprzyjemny wieczór w miejscowym motelu w Norton i więcej już tam nie wrócę. Rozumiem, że w Stillhouse Lake można znaleźć odpowiednie domy do wynajęcia? Może polecisz mi ten, w którym wcześniej mieszkałeś?

Nie odpowiadam. Nie mogę. Pomysł Mirandy dysponującej milionami dolarów i wolnym czasem, który może wykorzystywać na podsycanie swojej nienawiści i czajenie się niczym jadowity pająk w zasięgu ataku... jest przerażający. Znam Mirandę. Wiem, że nie panowała nad sobą, kiedy ją opuściłem. Jeśli zostawiła za sobą swoje dawne życie w Kansas City, wszystkie swoje zachcianki, ekspertów i współczujących przyjaciół... to Bóg jeden wie, co planuje.

– Nie odpowiedziałeś mi – mówi. – Czy to jakaś gra, którą prowadzisz, udając, że jesteś z nią w związku? Mam nadzieję, że tak jest, ponieważ w przeciwnym razie chyba zwymiotuję.

– Przestań, daj sobie spokój.

– A więc to prawda? Rzeczywiście z nią sypiasz. To była żona Melvina Royała, na litość boską! Zrań ją tak, jak tylko potrafisz, ale nie ponizaj się.

Nie chcę rozmawiać z Mirandą na temat Gwen. Moja przeszłość to kula do wyburzania. Zawsze wiedziałem, że gdzieś tam jest, ale nie wyobrażałem sobie, jakich dokona zniszczeń, kiedy w końcu uderzy.

– Powiem to tylko raz, uwierz więc w każde słowo, które usłyszysz z moich ust. Jeśli się do niej zbliżysz, to będziesz musiała przejść przeze mnie. Jeśli zrobisz choć jeden ruch przeciwko dzieciom, dopadnę cię. One na to nie zasługują. Gwen, dzieci... oni są niewinni. Zostaw to wszystko w spokoju. Skończ z tym.

Milczy tak długo, że przez chwilę kielkuje we mnie nadzieja, iż zdołałem do niej przemówić. W końcu mówi:

– Ona naprawdę cię przekabaciła. Mój Boże, doskonale wie, jak zmanipulować wrażliwych facetów, również tych z ławy przysięgłych. Poprzysięgliśmy sobie, że za to zapłaci. Myślałam, że w to uwierzyłeś. – Brzmi tak, jakby... mi współczuła.

Ma rację. Kiedy ją poznałem, wierzyłem w każde jej słowo. Później moje życie się odwróciło, a w życiu Mirandy nie zmieniło się nic. Zastygła w żalu i gniewie, opętana obsesją poznania ostatnich chwil swojego dziecka.

Zemsta nie jest częścią mojego życia. Nie chcę, by nim była, już nigdy więcej. Nawet po przeczytaniu dziennika Callie... szczególnie po jego przeczytaniu, ponieważ w przeciwnym razie mogę skończyć tak jak Miranda – złamany, pusty wewnątrz, wypełniony jedynie gniewem.

Nie chcę, by to bolało, ale mówię:

– Współczuję ci, Mirando. Naprawdę. – Jednak już od pierwszego wdechu czuję silne ukłucie. – Przestań, proszę. Bardzo cię proszę. Jeśli kiedykolwiek łączyło nas jakieś uczucie, to powstrzymaj się od tego wszystkiego.

– Rozmawiam z tobą tylko dlatego, że coś nas łączyło – odpowiada. – Daję ci jedną szansę. Stać cię na więcej, wiesz? Po prostu odejdz od tej kobiety, nawet jeśli nie chcesz mi pomóc. W przeciwnym razie przysięgam, cena, którą zapłacisz, będzie bardzo wysoka.

Przypominam sobie Gwen łkającą w moich ramionach. Budzącą się z koszmarów, o których nie potrafi nawet rozmawiać. Broniącą swoje dzieci pomimo zagrożenia dla siebie samej. I chroniącą w tym wszystkim mnie. Gwen nie jest doskonała, w żadnym wypadku. Ale jest o wiele bardziej prawdziwa, pełna życia i ludzka niż Miranda, której złamane serce bije tylko dzięki nienawiści.

– Dobrze, możesz uznać, że dałaś mi szansę, jeśli przez to będziesz spać spokojniej – odpowiadam. – Jeśli zamierzasz znaleźć się blisko mnie, to czyn, kurwa, swą powinność.

Rozłączam się, co zapewne doprowadza ją do szału. Miranda nie ma problemów z przekleństwami, ale tylko wówczas, kiedy robi to sama, a jest przy tym narcystyczna. Nie znosi wręcz, kiedy jest ignorowana. Przez całe życie mieszkała w wyściełanym pudełeczku, obsługiwana przez innych niczym krucha figurka. Kiedy zderzyła się z twardą rzeczywistością, potrafiła jedynie uwierzyć, że jej ból i jej strata są większe niż w przypadku kogokolwiek innego. I to się już nigdy nie zmieni.

Kiedyś coś do niej czułem. Nie była to tkliwość czy miłość, jednak wspólne urojenie wyrażające się w stosowaniu przemocy jest niemal bardziej intymne od tych uczuć.

Miranda Tidewell powróciła i wiem, że nie zamierza odejść. Wszystko, co zbudowałem, wszystko, co kocham, niebawem zwali mi się na głowę.

– Sam?

Podnoszę wzrok i widzę Lanny stojącą w progu wewnętrznych drzwi. Trzyma telefon. Podnosi go, pokazując mi ekran z trwającym połączeniem, po czym mi go podaje.

Zbliżam telefon do ucha i słyszę głos Mirandy:

– Czy naprawdę sądziłeś, że to będzie takie proste?

Widzę, że Lanny dostrzega moją minę, więc odwracam się do niej plecami.

– Właśnie zadzwoniłaś na komórkę należącą do dziecka. Cóż, rozumiem. Dopięłaś swego. Czego chcesz, do jasnej cholery? Jaki obrałaś sobie cel?

– Mam wszystkie wasze numery – mówi. – Chciałbyś, żebym teraz zadzwoniła do Giny, czy wyjdiesz stamtąd i porozmawiasz ze mną twarzą w twarz?

Mówiąc o Gwen, potrafi jedynie użyć jej starego nazwiska. Przęłykam ślinę i zaczynam drżeć, czuję to wyraźnie.

– Gdzie jesteś?

– Na parkingu przed twoim motelem – odpowiada. – Siedzę w wynajętym buicku. Niekoniecznie w moim stylu, muszę to przyznać, ale nie da się tu wynająć lexusa.

Niech to szlag! Wyśledziła nasze telefony. Oczywiście, że to zrobiła, nie zadbaliśmy o to, by je zmienić. Jeśli ma nasze numery, namierzenie naszej lokalizacji nie będzie stanowiło dla niej najmniejszego problemu. Norton nie leży aż tak daleko stąd, a my siedzimy w tym pokoju całkowicie bezbronni.

– Mógłbym kazać cię aresztować za stalking.

– Czyżby? – Śmieje się. Dla mnie brzmi jak na wpół opętana. – A wyjaśnisz policji, kim dla siebie jesteście? Może powinieneś przy okazji wspomnieć o wszystkich tych nielegalnych rzeczach, które robiłeś, kiedy byliśmy razem? Stalking, o ile mnie pamięć nie myli, również do nich należał.

Spoglądam przez ramię. Lanny wciąż tam stoi, marszcząc czoło i próbując coś podsłuchać. Podchodzę do drzwi i je zamykam. Ciężko mi się pozbierać.

– Odjedź stąd – mówię.

– Nie. Nie tylko mnie wykiwałeś, Sam, o nie. Zagrałeś na nosie swojej martwej siostrze, mojej martwej córce i wszystkim tym pozostałym dziewczynom. Tak nisko upadłeś i takim obrzydliwym tchórzem jesteś. Wyłaź stamtąd i staw mi czoła.

Podchodzę do drzwi wychodzących na parking. Kładę dłoń na klamce.

Jest ciepła jak krew, tak łatwo ją nacisnąć. Zatrzymuję się jednak i kucam, nie puszczając jej. Oddycham głęboko, powstrzymując się z całej siły, żeby nie wyjść na zewnątrz, nie rozbić jej szyb i nie skopać tego samochodu, jeśli nie kobiety, która w nim siedzi.

Ale ona właśnie tego chce. Pragnie konfrontacji, czegoś, co będzie mogła później wykorzystać.

– Sam? – Ledwie słyszę jej głos, tak bardzo dzwoni mi w uszach. Chryste. Miranda wie, jak mnie zdenerwować, nauczyła się tego w ciągu tych paru lat, kiedy razem pielęgowaliśmy swoje żale, karmiliśmy je nienawiścią i alkoholem, kiedy rozszarpywaliśmy nasze wciąż krwawiące rany. Ona to pamięta. – Im dłużej zwlekasz, tym gorzej dla ciebie. Rozumiesz?

Wstaję i otwieram drzwi. Zauważam ją od razu, siedzącą za kierownicą niebieskiego buicka z pracującym silnikiem. Miała rację, ten samochód jest dla niej zbyt przeciętny, nawet w trakcie tej podróży donikąd. Miranda ma starannie uczesane włosy, na twarzy idealny makijaż. Widywałem ją już w kiepskim stanie, zmęczoną płaczem i bólem, potykającą się i krzyczącą, ale taką Mirandę widuje się na zewnątrz. Bogatą, wyniosłą i dumną.

Ja nie wychodzę z pokoju, a ona nie wysiada z auta. Patrzymy na siebie przez długą chwilę, rozdzieleni falującym od gorąca powietrzem. Podnoszę telefon do ucha.

– Wystarczy.

Zamykam drzwi i rozłączam się. Opieram się plecami o drewno i zsuwam w dół, aż siadam na podłodze – ludzka tarcza pomiędzy nią a dziećmi, ponieważ ona przyjdzie do mnie pierwsza. Musi to zrobić. Nie wiem, czego oczekuję. Może strzałów w stronę drzwi? Wiem, że byłaby do tego zdolna.

Słyszę jednak zmianę w dźwięku silnika buicka. Samochód jedzie na wstecznym biegu, po czym odjeżdża.

Rozlega się natarczywe pukanie w wewnętrzne drzwi.

– Sam? Wszystko w porządku?

Podnoszę się i otwieram drzwi. Podaję jej telefon.

– Zablokuj ten numer – proszę. – Zrób to samo z telefonem Connora, dobrze? Nie chcę, żebyście z nią rozmawiali.

– Kto to był? – Patrzy na mnie uważnie, za co nie mogę jej winić. Nie wyglądam w tej chwili jak ten sam mężczyzna, który wysłuchał jej

opowieści o zerwaniu. – Czy ona jest... czy to...

– Dziewczyna z przeszłości? – kończę za nią, wiem przecież doskonale, do czego zmierza. Kiwa głową. – Nie. To ktoś... z kim kiedyś pracowałem.

– To brzmiało, jakbyś był wkurzony.

– Tak, ta współpraca dobrze się nie skończyła. – Ona w ogóle się nie skończyła. Miranda ma w jednym rację: prędzej czy później będę musiał stawić jej czoła.

Prędzej czy później będę musiał też powiedzieć Gwen, co przed nią ukrywałem, zanim zrobi to Miranda.

9 GWEN

W Wolfhunter wszędzie można w krótkim czasie dotrzeć piechotą, nawet w upale. Hector Sparks mieszka w imponującym, starym domu, zapewne jednym w ładniejszych w całym miasteczku. To prywatna rezydencja ze starannie utrzymanym ogrodem pełnym kwiatów. Krzewy zostały dokładnie i równo przycięte, a pod drzewami nie leży najdrobniejszy listek. Trudno jest mi sobie wyobrazić prawnika – nawet w tak niewielkiej miejscinie – który miałby czas na pielęgnowanie takiego ogrodu, więc albo zatrudnia pełnoetatowego ogrodnika, albo ma żonę ze smykałką do roślin i mnóstwem wolnego czasu. Na trawniku dostrzegam lśniąca – choć dyskretną – i wypolerowaną tabliczkę z mosiądzu, na której widnieje napis HECTOR SPARKS, a poniżej mniejszymi literami: ADWOKAT. Ten facet nie należy do takich, którzy czują konieczność umieszczenia swojej podobizny na parkowej ławce czy reklamowania się w telewizji. Musi pobierać spore prowizje, żeby pozwolić sobie na taki styl życia. I zdecydował się zamieszkać w Wolfhunter?

Zdumiewające.

Zatrzymuję się i sprawdzam adres w telefonie. Teraz dopiero widzę, że nie odebrałam kilku połączeń – zasięg w tym miasteczku jest do kitu i znika co kilka przecznic. Jedno połączenie od Sama, drugie od Lanny. Słucham najpierw wiadomości głosowej córki. Jest smutna i płacze w związku z Dahlią, czego się szczerze obawiałam. Chcę do niej zadzwonić, wrócić do niej, ale najpierw przełączam na wiadomość od Sama. Sprawia wrażenie zdenerwowanego brakiem wieści ode mnie, więc oddzwoniam.

Odbiera po pierwszym dzwonku.

– Gwen? – odzywa się cholernie napiętym głosem.

– Tak. Wszystko u mnie w porządku. Właśnie idę do adwokata Very Crockett.

– Dzięki Bogu – mówi, a przynajmniej wydaje mu się, że mówi, gdyż

brzmi to raczej jak mamrotanie. – Próbowałem tam zadzwonić, ale ta smoczyca, która odbiera telefony, nie chciała potwierdzić, czy tam jesteś. Powiedziała tylko, że on prowadzi jakieś spotkanie.

– A martwiłeś się, bo... uznałeś, że nie potrafię się o siebie zatroszczyć? – Jestem dziwnie poruszona.

– Nie, martwiłem się, bo jesteśmy w miasteczku, w którym znikają kobiety – odpowiada. – Nie chcę, byś się znalazła na tej liście, Gwen.

Schlebia mi to, ale jednocześnie trochę irytuje.

– Naprawdę uważasz, że mogłabym na niej skończyć?

– Nie. – Bierze głęboki wdech, jakby zastanawiał się, co ma powiedzieć. – Connor siedzi nad tą sprawą. Mam coś dla ciebie zrobić?

– Tylko się nimi zaopiekuj – odpowiadam. – Dziękuję. Wiem, że ochronisz dzieci, cokolwiek by się wydarzyło.

Nie mogę tego powiedzieć o wielu osobach – jedynie o dwóch, dokładnie rzecz biorąc. Tak naprawdę Connora i Lanny powierzyłam tylko opiece Javiera i Kezii, ponieważ Sam nie mógł wtedy zostać. Uznał, że moje bezpieczeństwo jest równie ważne. Muszę częściej sobie o tym przypominać.

– Wszystko u nich gra? – pytam, kiedy zapada cisza.

– Lanny cierpi z powodu złamanego serca – odpowiada. – Entuzjazm Connora dotyczący wyszukiwania informacji o przestępstwach trochę mnie niepokoi. Ale poza tym wszystko jest w porządku. Jak zawsze.

Czuję, jak zaciska mi się krtań. Mam silne dzieci, które dbają o innych pomimo tego, co się im przytrafiło. Są ostrożne i uważne, jednak pod tą warstwą chowają prawdziwą empatię. To dar, który musi pochodzić z nieba, ponieważ nie jestem wystarczająco arogancka, żeby pomyśleć, że odziedziczyły to po mnie.

– Hej, Sam.

– Tak?

– A u ciebie wszystko w porządku? – pytam, ponieważ czuję, że jest spięty. Potrafię to wyczuć, nawet tego nie widząc. – Czy coś się stało?

– Nie – odpowiada, tym razem brzmiąc prawie normalnie. – Po prostu... mam złe przeczucia, więc uważaj na siebie, proszę.

– Będę uważała.

– Chciałbym dziś wyjechać.
– Ale już zapłaciliśmy.
– Wiem. Tylko że... – Wydaje z siebie dźwięk pełen frustracji. – Cholera. Sam nie wiem, czy powrót do domu jest również dobrą decyzją. Ta ekipa filmowa nie podda się tak łatwo.

Pieprzona Miranda. Nic dziwnego, że jest zdenerwowany.

– Okej, zostanmy tu dziś i podejmiemy decyzję jutro. Sam, wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Nie pyta, jakim cudem mogę mu to obiecać, co mnie raduje, bo sama nie znam na to odpowiedzi. Mówię mu, że go kocham, a on odpowiada mi tym samym.

Radując się tym wewnętrznym ciepłem, wchodzę na szeroki, czysty chodnik, a następnie na frontowe schody przed werandą. Pszczoły krążą leniwie wśród kwiatów, pijane od nektaru i silnego zapachu hiacyntów i róż, który unosi się w powietrzu.

Naciskam dzwonek, a drzwi otwiera po dziesięciu sekundach koścista kobieta w średnim wieku, która sprawia wrażenie, jakby wolała przebywać w bardziej komfortowych warunkach domu na prerii podczas ekspansji na Zachód – bądź zgodnie z prawdziwą definicją – inwazji na Zachód. Ma długie włosy spięte na czubku głowy, kanciastą twarz i nosi pełny fartuch z gatunku tych, które zakłada się na szyję i które opadają aż do kolan. Wygląda, jakby miała na sobie kostium. Pod spodem ma sukienkę w kwiaty z wysokim kołnierzykiem i długimi ramionami, co średnio współgra z upałem.

– Tak? – mówi, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów dokładnie tak samo, jak robię to ja.

– Dzień dobry, przyszłam zobaczyć się z panem Sparksem – informuję ją.

– Pan Sparks nie przyjmuje w tej chwili nowych klientów...

– Nie jestem nową klientką, proszę pani. Jestem tu tylko przejazdem i chciałabym z nim porozmawiać na temat córki Marlene Crockett, Very. Vee.

– Pan Sparks nie rozmawia z dziennikarzami bez umówionego wcześniej spotkania.

Dajże spokój, kobieto.

– Nie jestem dziennikarką. – Choć wcale mi się to nie podoba, postanawiam skorzystać z własnej zbrukanej reputacji. – Nazywam się Gwen Proctor. Jestem byłą żoną Melvina Royała. Może go pani zapytać, czy zechce poświęcić mi chwilę?

Kobieta mruga, potem robi to jeszcze raz, w końcu odpowiada, nie zmieniając wyrazu twarzy:

– Proszę zaczekać.

Drzwi zamykają się z energią o poziom niższą od tej, która towarzyszyłaby huknięciu nimi. Po niecałej minucie znów stają otworem, ale w progu nie stoi już gospodyni-smoczyca, lecz starszy mężczyzna o srebrnoszarych włosach, nieco ciemniejszych u góry niż po bokach. Nosi elegancko wyprasowaną, oszalałamiąco białą koszulę, krawat we wzory i spodnie od garnituru. Do tego założył szelki w kolorze krawata. Wszystko to kosztowało zapewne więcej niż zdołałam wydać na całą swoją garderobę.

Uśmiecha się i wyciąga rękę.

– Pani Proctor – mówi i unosi brwi. – Muszę przyznać, że czytałem pani... ach, historię. Nie sądziłem, że będzie nam dane spotkać się twarzą w twarz.

Potrząsam jego dłonią i kiwam głową.

– Przyjechałam tu w sprawie Marlene i Vee Crockett.

Uśmiech znika i tym razem on kiwa głową.

– Tak, proszę do środka. Obawiam się, że to nie będzie długa rozmowa.

Korytarz pachnie świeżą pastą o zapachu cytryny, a na podłodze z drewna trudno byłoby znaleźć jakąkolwiek plamę. Na ścianach znajdują się zaskakująco kolorowe malowidła, w większości przedstawiające ogrody, nie mam jednak czasu dokładnie się im przyjrzeć, gdyż podążam za panem Sparksem w głąb domu, gdzie wchodzimy do przestronnego gabinetu. Większą część podłogi zajmuje tutaj gigantyczny, czerwony perski dywan. Wystrój uzupełniają wielkie, stare biurko i pasujące do niego trzy obite skórą krzesła. W pomieszczeniu pachnie pastą do drewna z delikatną nutą tytoniu. Robię kilka wdechów, ponieważ zapach jest bardzo przyjemny. Moja matka używała takiej samej cytrynowej pasty. To część moich wspomnień z dzieciństwa, podobnie jak słodki zapach fajki ojca.

Pan Sparks grzecznie wskazuje mi jedno z krzeseł, a sam siada za

biurkiem. Kołysze się przez chwilę, po czym mówi:

– Gdzie moje maniery? Czy mogę zaproponować pani kawę? Mrożoną herbatę? Wydaje mi się, że pani Pall upiekła ciasto, może zechce pani spróbować?

– Dziękuję bardzo, ale nie – odpowiadam, choć kusi mnie ciasto.

– Rozumiem. Proszę zatem wyjaśnić, w jaki sposób zaangażowała się pani w tę sprawę, pani Proctor.

Jak każdy dobry prawnik, prosi mnie o zweryfikowanie tego, co już wie.

– Zadzwoiła do mnie jej matka – odpowiadam. – Niepokoją mnie tutejsze wydarzenia, ponieważ z tego, czego dowiedziałam się przez telefon, Marlene nie wydawała się bać swojej własnej córki.

– Była pani również świadkiem ze słuchu, że tak powiem, tego, co wydarzyło się w domu Vee, prawda? Detektyw Fairweather wspominał, że planuje wysłuchać pani zeznań. – Jego akcent nawiązuje do specyficznego przeciągania z okolic Wolfhunter, choć jest nieco mniej w nim zakorzeniony. Kiedy był w szkole, z pewnością świadomie z tym walczył. Południowe akcenty potrafią być prawdziwą barierą w niektórych miejscach. Rozglądam się w poszukiwaniu dyplomów – niemal każdy prawnik wiesza je oprawione na ścianach. W końcu dostrzegam jeden po prawej stronie od biurka, ale akurat odbija się w nim blask słońca. Nie potrafię stwierdzić, do jakiej szkoły uczęszczał.

– Tak, dziś rano złożyłam zeznania. Zakładam, że rozmawiał z panem na ten temat.

– Zawsze dobrze jest wiedzieć, czego szukać, na wypadek gdy ktoś to przeoczy. Proszę mi odpowiedzieć na konkretne pytanie: czy pani zdaniem dziewczyna popełniła tę straszliwą zbrodnię?

– Nie wiem – odpowiadam. – Detektyw Fairweather nie pozwolił mi z nią porozmawiać, co uważam za niesłuszne, ponieważ wydaje mi się... że nawiązałyśmy przez telefon pewną więź. Na tyle silną przynajmniej, że nie pozwoliłam jej przy tym zginąć.

– Prawdopodobnie uratowała jej pani życie – mówi Sparks. – Nasza lokalna policja nie należy do doskonale wyszkolonych. Miała szczęście, zwłaszcza że...

– Że ludzie już wiedzieli o problemach między nią a matką? – kończę za

niego, ponieważ wydaje mi się, że adwokat próbuje coś zasugerować. –
Wiem o tym.

– Interesujące – przyznaje. Przetacza odrobinę do przodu swój skórzany fotel i składa ręce.

Wciąż nie mogę się napatrzeć na to eleganckie, doskonale wręcz biurko. Skrzyneczkę z tylko jedną teczką w środku. Figurkę bogini sprawiedliwości z brązu, wraz z przepaską na oczach i wagą. Młoteczek z jakąś tabliczką pamiątkową. Nieskazitelny zestaw obejmujący uchwyt na pióro i skórzaną podkładkę na blat. W pojemniczku tkwi tylko jedno pióro. Nie wiem dlaczego, ale to wszystko wydaje mi się ekscentryczne, o ile nie dziwaczne.

– Podsumujmy zatem. Kiedy zadzwoniła Marlene Crockett, wydawała się kogoś obawiać?

– Tak. Albo jakiejś sytuacji. Nie określiła tego dokładnie.

– Nic pani nie świta?

– Jedynie tyle, że miała jakiś kryzys i nie chciała mi mówić o szczegółach, jeśli nie przyjadę porozmawiać z nią osobiście.

– Ale tego pani nie zrobiła.

– Nie.

Przekrzywia lekko głowę.

– Dlaczego?

Na myśl przychodzi mi milion powodów, ale odpowiadam:

– Szczerze? Nie chciałam znaleźć się w samym środku czyjegoś problemu. Po tym, co się wydarzyło przed rokiem...

– Tak, rozumiem, że może pani chcieć trzymać się z dala od blasku światła. – Nie wspomina o katastrofie u Howiego Hamlina, choć z całą pewnością jest jej świadom. – Zakładam również, że uznała to pani za pułapkę zastawioną na nią w Wolfhunter... w odludnym miejscu, w którym mogłaby pani zostać schwytana bez niczyjego wsparcia.

– Cóż... zgadza się.

– Ale teraz już tak się pani nie czuje?

Mrugam kilka razy.

– Marlene nie żyje. Z pewnością było coś, czego się obawiała.

– To wcale nie oznacza, że pułapka nadal nie jest zastawiona. Jedynie przynęta może być większa.

Hector Sparks prostuje się w fotelu i opuszcza lekko głowę, nie spuszczaając ze mnie wzroku. Zamierza coś powiedzieć, kiedy gdzieś w oddali rozlega się dudnienie. Rytmiczne, jakby ktoś wbijał gwóźdź. Ktoś wali w rury? Na jego twarzy gości wyraz irytacji. Podnosi słuchawkę telefonu leżącego pod idealnym kątem przy narożniku biurka i wybiera numer.

– Pani Pall? Proszę skorzystać z interkomu i poprosić konserwatorów, żeby tak nie hałasowali. Dziękuję. – Odkłada słuchawkę. – Przepraszam. To stary dom i jego remont nigdy się nie kończy.

– Oczywiście – odpowiadam. – Jest naprawdę uroczy. Utrzymuje go pan w doskonałym stanie.

– Dziękuję. Należy do rodziny już od bardzo długiego czasu. – Jakiś detal w tym wspomnieniu wywołuje u niego zdawkowy uśmiech, ale powaga powraca niemal natychmiast. – Chciałbym wyjaśnić, co może czekać Verę Crockett w tym okręgu. Chcą ją oskarżyć o morderstwo pierwszego stopnia i sądzić jak osobę dorosłą. Jeśli nie zdołam znaleźć świadków, którzy udowodnią, że nie mogła popełnić tego czynu, linia obrony będzie naprawdę cienka.

Dudnienie nagle się urywa. Pani Pall okazała się skuteczna. Pan Sparks wyraźnie się odpręża.

– Ach, dużo lepiej. Pani Proctor... mam do pani dość nietypową prośbę.

– Jaka?

– Chciałbym, aby porozmawiała pani z Verą. Będę pani towarzyszył. Wszystko, co ona powie, zostanie objęte tajemnicą adwokata i klienta, a pani będzie w tym wypadku działać jako moja przedstawicielka pełniąc wyłącznie funkcję pomocniczą. Jestem gotów zapłacić pani pokaźną kwotę za pomoc w wydobyciu od niej całej historii. – Potrząsa głową, a na jego twarzy maluje się zmartwienie. – Obawiam się, że ona za mną nie przepada, ale jestem wszystkim, czym dysponuje. Wy już rozmawialiście ze sobą, sama wyciągnęła do pani dłoń, dokładniej rzecz biorąc. Nie mam zbyt wiele czasu, jeśli powinienem zacząć szykować dla niej alibi.

– Wolfhunter nie jest aż tak wielkie – zauważam.

– Nie zna pani tego miasteczka. Reputacja Very była już... nazwijmy to: nadszarpnięta. W tym miejscu szybko dokonuje się osądów i zwierza

szeregi. Jeśli szybko nie poszukam jej świadka, to może się okazać, że nie mam żadnego argumentu, by jej bronić.

Nie chcę dać się w to wciągnąć jeszcze głębiej. Nie jestem przekonana, czy w ogóle chcę pomagać Vee Crockett. Dziewczyna zdenerwowała mnie podczas tej rozmowy. Ale, z drugiej strony, ona ma tylko piętnaście lat, została sama, a on ma rację: tego typu małe miasteczka nie zapominają i nie wybaczą.

– Panie Sparks, ta sprawa może przyciągnąć uwagę mediów, a ja wolałabym trzymać się od nich z daleka. – To zrozumiałe, zważywszy na pani... aktualną złą sławę. Obiecuję, że to będzie tylko jedna rozmowa, a potem nasze drogi się rozejdą, a obrona dziewczyny pozostanie w moich rękach. Czy tak możemy się umówić? – Nie odpowiadam natychmiast, więc kontynuuję nieco cichszym, cieplejszym głosem. – Ona jest mniej więcej w wieku pani córki. Do tego pozostaje uwięziona w koszmarze, zupełnie sama, nie licząc mojej oferty pomocy. Jeśli mam dać jej jakąkolwiek nadzieję na uniknięcie skazania, być może nawet wyroku śmierci, będę potrzebował pani pomocy. W tej chwili pozostaje mi pracować z dziewczyną, która przebywała w jednym pomieszczeniu z martwą matką, miała na sobie jej krew i która zostawiła odciski palców na strzelbie, z której zastrzelono Marlene. Zakładam też, że nie powiedziała pani niczego, co pozwoliłoby ją uniewinnić.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Pomimo tego wszystkiego nie sądzi pan, że ona to zrobiła? – pytam. Wyraz twarzy Sparksa pozostaje bez zmian.

– Uważam, że zasługuje na szansę, by to udowodnić. Ale ona nie będzie ze mną rozmawiać, żeby pomóc sobie samej w obronie. Pani może być do tego kluczem.

– Nie wydaje mi się, żeby policja przyjęła mnie z powrotem z otwartymi ramionami.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby aż tak bardzo przejmowała się pani tym, czego chce policja. Wprowadzę panią do środka. Jeśli zadziała pani w dobrej wierze, a mimo to Vee nie zechce rozmawiać, zachowa pani prowizję i odejdzie z czystym sumieniem.

Zastanawiam się chwilę i pytam:

– Dlaczego wziął pan jej sprawę? Przecież to było oczywiste, że całe miasteczko będzie przeciwko niej.

Milczy przez dłuższą chwilę, po czym powoli pochyła się do przodu, czemu towarzyszy skrzypienie sprężyn w skórzanym fotelu. W końcu obrzuca mnie spojrzeniem, z którego nie potrafię nic wyczytać.

– Nie zdecydowałem się na to sam. Przydzielono mi tę sprawę. Proszę mi wierzyć, wolałbym nie być za nią odpowiedzialny, ale jest już za późno. Czy nasza umowa stoi?

Owszem.

Kiedy wypisuje mi czek na tysiąc dolarów i wydziera go z oprawionej w skórę książeczki, odnoszę dziwne wrażenie, że kupuje w ten sposób coś więcej niż tylko mój czas. Nie mogę jednak odmówić przyjęcia tej kwoty, szczególnie teraz. Nie mam pojęcia, w jaki sposób zostanie mu to zwrócone – o ile w ogóle – nie zamierzam jednak odrzucać tej propozycji, skoro mi ją składa. Poza tym chcę, żeby Vera opowiedziała swoją historię.

Odbieram od niego czek. Od tej chwili jestem zatrudniona.

– Czy mógłbym prosić o pani numer telefonu?

Zapisuję go dla niego. Kiedy podaję mu karteczkę, unoszą mi się rękawy, przez co dostrzega ślady flamastra na mojej ręce. Srebrne brwi unoszą się ku górze.

– Czy to jest mój numer telefonu?

– Na wypadek, gdybym została zatrzymana przez policję – wyjaśniam.

– Jakie to zmyślne. Zakładam, że naszą rozmowę ustalę na dzisiejsze popołudnie. Dziękuję, pani Proctor, doceniam chęć udzielenia mi pomocy.

Kiedy wychodzę, pani Pall stoi we foyer, jakby była robotem, który podłącza się tam do wtyczki zasilającej. Podąża za mną wzrokiem, a ja nie potrafię się powstrzymać.

– Słyszałam, że zrobiła pani ciasto. Czy mogłabym go spróbować?

Patrzy na mnie, nie odpowiedział, ale przecież tak naprawdę wcale nie oczekiwałam podarunku na do widzenia. Chciałam tylko zobaczyć jej reakcję.

Nagle kobieta uśmiecha się i mówi:

– Życzę bardzo dobrego dnia, pani Royal.

– Proctor – poprawiam ją.

– Ach tak, oczywiście. Zupełnie zapomniałam.

Ależ naturalnie.

Drzwi zostają zamknięte, a ja nie potrafię stwierdzić, która z nas zwyciężyła. Przez chwilę zastanawiam się nad jej gładką powierzchownością. Coś mi w tej kobiecie nie pasuje, choć nie umiem określić, co to jest, nie licząc oczywiście zasadniczego braku sympatii. Ale to już nie mój problem.

Teraz, kiedy pozostaje mi czekać na telefon od Hectora Sparksa, do głowy przychodzi mi jedynie powrót do motelu i rozmowa z Samem. Może uda mi się dowiedzieć, dlaczego był taki zdenerwowany.

Kiedy do niego dzwonię, wciąż wydaje się lekko spięty, choć mówi normalnie, a sama rozmowa jest krótka. Czekam na przyjazd SUV-a przed doskonale wypielegnowanym trawnikiem Hectora Sparksa. W samochodzie siedzi tylko Sam, wsiadam więc szybko i rzucam mu pytające spojrzenie, zapinając pas.

– Zostawiłeś ich samych?

– Tak – odpowiada. – Musiałem z tobą porozmawiać. To dziesięć minut jazdy, Gwen, Lanny jest czujna.

– W porządku – rzucam, choć wcale tak nie jest. – Rozmowa w cztery oczy. To brzmi groźnie.

Sam przechodzi prosto do rzeczy.

– Gwen... chciałbym, abyś zupełnie poważnie zastanowiła się nad wyprowadzką ze Stillhouse Lake, ponieważ Miranda Tidewell ci tego wszystkiego nie odpuści.

– Mówisz tak, jakbyś ją znał. – Nie reaguje na to przez dłuższą chwilę. – A więc tak jest.

Jestem naprawdę zaskoczona. Nie wiem, co o tym myśleć. Nie mam naturalnie żadnego prawa, by wypytywać go, kogo poznał w swoim życiu, ale ta kobieta...

– Znam ją – mówi cicho, a ja wyczuwam, że przyznaje się do tego ze szczerą niechęcią. – Poznaliśmy się, kiedy wróciłem z ostatniej misji.

Spotkała się ze mną na lotnisku, pomogła mi ponownie zaaklimatyzować się w cywilnym świecie i... poradzić sobie po morderstwie Callie.

Czuję ostre ukłucie gniewu, ale starannie to maskuję, a przynajmniej próbuję.

– Sam, jeśli byliście kochankami, to najwyższa pora, abys mi o tym powiedział. – Jestem na siebie wściekła za tę zazdrość, którą odczuwam, nie potrafię jednak zaprzeczyć jej istnieniu.

– Nie, to nie było tak. Posłuchaj, rozmawialiśmy już o tym, że należałem do grupy stalkerów, którzy tropili cię w sieci, ale... nie wspomniałem do końca o wszystkim, co robiłem, ani w jaki sposób. Ona to wie i zamierza z tej wiedzy skorzystać.

– W jaki sposób?

– Żeby nas zniszczyć.

Odwracam głowę w jego kierunku i naprawdę długo mu się przyglądam.

– A może to zrobić?

Rzuca mi jedynie zdawkowe spojrzenie i ponownie koncentruje uwagę na drodze. Skręcamy już w główną ulicę. Do motelu zostało mniej więcej pięć przecznic. Nagle ta odległość wydaje mi się przerażająco duża.

– Ona jest w stanie zrobić wszystko, żeby wypełnić tę pozbawioną dna dziurę, w której utknęła jej dusza – odpowiada. – To Melvin ją do tego doprowadził. Ona stanowi niebezpieczeństwo, Gwen. Dla ciebie, może także dla dzieci. Musisz to zrozumieć i się zastanowić, jak zamierzamy się przed tym obronić.

– Czy jest niebezpieczna w sposób fizyczny?

– Szczerze? Nie wiem. Wydaje mi się, że nie wiem już sam, gdzie wypatrywać zagrożenia. To już nie sprowadza się tylko do uważania na siebie, czy na ciebie, ale na wszystko dookoła.

– Zawsze o tym wiedzieliśmy – mówię. – Zawsze. Trzysta sześćdziesiąt i trzysta sześćdziesiąt pięć. – Pierwsza liczba symbolizuje oczy dookoła głowy, a druga liczbę dni w roku. Taki prywatny kod, który do tej pory nas nie zawiódł. – Odnoszę jednak wrażenie, że wciąż nie powiedziałeś mi wszystkiego. Mylę się?

– Nie – przyznaje i bierze głęboki wdech. – Skontaktowała się ze mną pewna firma z Florydy. Szukają pilota, który byłby w zasięgu ręki. Oferują

dobrą pensję, świadczenia, cały pakiet.

Wstyd mi to przyznać przed samą sobą, ale czuję przejmujący strach, że Sam znalazł dobry powód, żeby odejść ode mnie. Od nas. Opanowuję szybko emocje i odpowiadam:

– Gratuluję. Rozważasz przyjęcie tej roboty? – Mówię to oskarżycielskim tonem, ale nic na to nie mogę poradzić.

– Nie brałem tego raczej pod uwagę. A przynajmniej nie do momentu, kiedy zmaterializowała się Miranda.

– Naprawdę sądzisz, że nie zdoła cię odnaleźć na Florydzie? Wyśledziła nas w Stillhouse Lake. – Odwracam głowę i patrzę na rozpadające się budynki Wolfhunter przesuwające się za oknem. Rozpacz, jaka z nich bije, działa mi na nerwy. – Powiedziałam, że nie zamierzam więcej uciekać.

– Wiem, że tak powiedziałaś, ale okoliczności uległy zmianie.

– Czyżby? Naprawdę uważasz, że bardziej boję się wściekłej, zrozpaczonej matki niż mojego byłego męża, który obdzierał kobiety ze skóry? Powiedziałam, że nie zamierzam uciekać. I nie zamierzam. – Jestem stanowcza. Czuję, że muszę właśnie tak się wypowiadać, ponieważ niezaprzeczalna prawda jest właśnie taka, że jeśli Sam przyjmie ofertę pracy na Florydzie, jeśli nas opuści... nie wiem, co to właściwie oznacza. Tak bardzo uważaliśmy, żeby nie umieszczać nazwisk i etykiet na tym wszystkim, co mamy, że nie wiem już, co bym zasadniczo straciła, z wyjątkiem... wszystkiego.

Przełykam głośno ślinę.

– Sam, ja nie mogę tego zrobić. Nie teraz.

– Możemy porozmawiać o tym później – mówi. Wyczuwam, że również miota się z własnymi emocjami, być może bardziej niż ja, jeśli to w ogóle możliwe. – No dobrze. Jak minął poranek?

– Interesująco – przyznaję, czując ogromną ulgę w związku ze zmianą tematu. – Dziś po południu jadę do Very Crockett z jej prawnikiem. Trudno mu wydobyć od niej jakiegokolwiek zeznania, więc może ja zdołam porozmawiać z nią bardziej swobodnie.

– Okej – rzuca bez entuzjazmu. – Zatem jutro wyjeżdżamy?

– Tak. – Milczę przez krótką chwilę. – To jakiś problem?

– Absolutnie nie. – Nie wiem dlaczego, ale odnoszę wrażenie, że Sam

kłamie, a przynajmniej ukrywa coś ważnego. – Lanny będzie chciała z tobą pogadać. Robiłem, co w mojej mocy, ale złamane serca...

– To bardziej zadanie dla matki? – wtrącam. – Zapewne. – Nie przyznaję się, że w moim przypadku złamane serce dotyczyło tak naprawdę tylko pierwszego mężczyzny, którego – jak mi się zdawało – pokochałam. Nic nie może się równać z potworną zdradą mojego byłego męża, a już na pewno nic mnie nigdy tak bardzo nie zabolalo.

Jeśli jednak pomyśleć o wyjeździe Sama, odczucia wydają się zaskakująco bliskie. Podobnie jak myśl, że on i Miranda Tidewell byli... kimkolwiek byli dla siebie. Ciekawe, czy skłamał na temat seksu lub jego braku. Sam nie kłamie zbyt często, ale kiedy to robi, wychodzi mu to zdumiewająco sprawnie.

Mijamy restaurację McDonald's, w której jedliśmy śniadanie, po czym zjeżdżamy do motelu i parkujemy auto. Większość innych samochodów, które wcześniej stały na parkingu, już odjechała. Kampery z pewnością krążą już po lasach. Zniknęły też pary, które wynajmowały pokoje na godziny. Drzwi do naszych dwóch pokoi są zamknięte, ale w tym należącym do naszych dzieci dostrzegam ruch zasłony. To zdecydowanie poluznia węzeł w moim żołądku. Dziesięć minut wydaje się wiecznością, kiedy dzieci mają zostać same. Mam wrażenie, że wróg czai się wszędzie dookoła, a ja już nie wiem, kim tak naprawdę jest.

Oboje zaczynamy mówić równocześnie.

– Sam, ja nie wiem...

– Przepraszam, że...

Kiedy nasze słowa się zderzają, oboje urywamy, czekając na wypowiedź tego drugiego. Sam milczy, więc w końcu mówię:

– Nie wiem, czy w ogóle chcę teraz myśleć o wyprowadzce z Stillhouse Lake. Dzieci dopiero zaczęły czuć się bezpieczniej, a... – Przerywam, a on kiwa głową. – Nie twierdzę, że nie powinieneś przyjąć tej pracy. Powinieneś to zrobić, jeśli tego chcesz. Nie stanę ci na drodze.

Wysiadam z SUV-a, zostawiając Sama bez możliwości udzielenia mi odpowiedzi. Nie chcę jej usłyszeć. Idę prosto do pokoju dzieci i pukam. Zanim udaje mi się to zrobić dwukrotnie, drzwi otwierają się i Lanny wpada mi w objęcia. Wchodzę do środka, nie odsuwając jej od siebie.

– Martwiłam się – mówi, pociągając nosem. – Długo cię nie było.

– Nic mi nie jest – odpowiadam. Odsuwam ją delikatnie i przyglądam się dokładniej jej twarzy. Płakała – lub walczyła z sobą, by tego nie robić – przez co wygląda żałośnie i jest lekko opuchnięta. Znow ją przytulam i głaszczę jej jedwabiste, wielobarwne włosy. – Znasz mnie dobrze. Przecież bym cię nie zostawiła. Nie zrobiłabym tego, nawet gdybyś bardzo chciała, ponieważ jestem najbardziej wnerwiającą mamą na świecie.

Śmieje się cicho i przyciska się do mnie jeszcze mocniej. Zerkam na syna, który obserwuje nas w milczeniu znad krawędzi laptopa.

– Cześć, kolego – rzucam. – Jak leci?

– Spoko. Ja nie svirowałem ze strachu.

– Nie bądź wredny – upominam go.

– Właśnie – mówi Lanny i odwraca się do niego, nie puszczając mnie. – Nie bądź wredny, gówniarzu.

– Ty też się miarkuj. – Klepię ją otwartą dłonią w czubek głowy. – Koniec z wyzwiskami.

– Cały dzień taka była – skarży się Connor. – Guzik mnie to obchodzi.

Nie jest to jednak prawda. Kiedy byłam w areszcie, a potem w sądzie, Connor i Lanny byli dla siebie wszystkim. Nawet po moim powrocie nie oddalili się od siebie. Musiało tak być. Znaleźliśmy się w sytuacji: my kontra reszta świata. Wiem, że to kiedyś musi się skończyć, ale jeszcze nie teraz. Nie mogę znieść tej myśli.

– Powiem ci, mamó, że to miasteczko jest naprawdę dziwne. Powstało dlatego, że zakładano tutaj sidła i polowano na niedźwiedzie, wilki i inne zwierzęta. Potem otworzono kopalnię żelaza. Ale natrafiłem też na historie o gangach złodziei, którzy okradali ludzi i zakopywali ich w lesie.

– Dobra. – Przysiadam na skraju jego łóżka. – To naprawdę interesujące opowieści, ale może natrafiłeś na coś świeższego?

– Zagięły trzy kobiety – odpowiada. Podoba mi się, że zwraca tak pilną uwagę na rzeczowniki. Nawet w swoim wieku nie wpadł w pułapkę nazywania dorosłych kobiet dziewczynami czy, co gorsza, osobami płci żeńskiej. – Jest też kilka młodszych, którym być może udało się uciec, ale pewności nie ma. I do tego znikające wraki! To jest zarąbiste, mamó, zobacz sama.

Obraca laptopa w moją stronę, a na jego twarzy maluje się prawdziwa rozkosz. Otworzył witrynę poświęconą zjawiskom paranormalnym, mówiącą o ostatnich doniesieniach na temat straszliwych wraków w pobliżu Wolfhunter – dwóch samochodów po zderzeniu czołowym. Pewien myśliwy był ponoć świadkiem zdarzenia i widział je spomiędzy drzew na wzgórzu, ale kiedy udało mu się złapać sygnał, zadzwonił po policję i zejść w dół na miejsce wypadku... nie znalazł żadnego wraku. Żadnych ciał. Ślady opon i kawałki nadwozia leżące na poboczu mogły się tam znajdować od wielu dni. Artykuł przechodzi do dyskusji na temat lokalnej legendy, mówiącej o tragicznym zderzeniu w latach czterdziestych dwudziestego wieku, w którym śmierć poniosło kilka osób, oraz o samochodzie widmie, który od tej pory nawiedza tę szosę.

Dziwne. Marlene wspomniała przecież o wraku.

– Kiedy to miało miejsce?

– W ubiegłym tygodniu – odpowiada Connor. – Ale kilka lat temu krążyła opowieść o samochodzie widmie, który jeździ po tej samej drodze. Niektórzy ludzie uważają, że tam udały się te zaginione kobiety. Może samochód widmo zabrał je po drodze i zniknął.

– Naprawdę, Connor? – Lanny krzywi się w pogardę. – Teraz jeszcze duchy? Serio?

Widzę, że mój syn zaczyna się gotować.

– Odezwała się ta, która nie powiedziała trzy razy „Krwawa Mary” przed lustrem o północy.

– Nie powiedziałam!

– Sam widziałem!

– Przestańcie! – krzyczę tym razem znacznie głośniejszym głosem i patrzę na nich intensywnie, aż w końcu cichną. – Dość! Dziękuję, Connor. Nie jestem pewna, czy samochód widmo może tu pomóc, ale wszystko jest możliwe. Dajcie już spokój, proszę...

– Oddawaj mojego laptopa – mówi Lanny.

– Jasne, bierz go sobie – odwarkuje Connor. – Czas najwyższy, żebyś się na coś przydała. Cały czas tylko ryczysz nad tą swoją głupią dziewczyną, która cię już nie lubi!

Policzki mojej córki najpierw tracą kolor, a potem nabiegają intensywną

purpurą. Wyrywa mu laptopa, biegnie do drugiego pokoju i trzaska drzwiami tak mocno, że drży cała podłoga. Odwracam się do syna.

– Naprawdę uważasz, że to było konieczne?

– Ale to prawda. Snuje się bez celu całymi dniami i zachowuje, jakby była najważniejsza na całym świecie. Mam tego dość!

– Pamiętasz, jak to było, kiedy dowiedziała się, że rozmawiałeś z tatą? – pytam go. – Co wtedy zrobiła?

Odwraca wzrok.

– To coś zupełnie innego...

– Wcale nie. Co zrobiła, kiedy się dowiedziała, że poszedłeś się z nim spotkać?

– Poszła za mną – odpowiada dużo ciszej. – Pomogła mi bezpiecznie uciec.

– Walczyła o ciebie, skarbie. Jest twoją starszą siostrą i zawsze będzie cię chronić. Ty też powinienesz to robić. Nawet przed samym sobą, kiedy coś ci się w niej nie podoba.

– Ona zaczęła.

– I teraz cierpi. Opuść więc, dobrze?

Kiwa głową i zakłada ręce. To postawa obronna, ale znam moje dziecko – wiem, że rozmyśla. I że żałuje. Przytulam go mocno i szepczę:

– Dziękuję.

– Nadal zachowuje się głupio – mruczy.

– Ma prawo czasami głupio się zachowywać. Ty również, ale teraz chcę, żebyś ją wspierał, dobrze? Dziękuję, że wyszukałeś te wszystkie informacje. To może pomóc. – Nie wiem, jak mogłoby pomóc, ale odrobina wiedzy na temat tego, co dzieje się w Wolfhunter z pewnością nie zaszkodzi. Jeśli Marlene rzeczywiście coś widziała – coś prawdziwego – to mamy się na czym oprzeć. – Słuchaj, pójdę zobaczyć, czy da się z nią porozmawiać, dobrze?

Kiwa głową. Rzucam Samowi błagające spojrzenie, a ten zaraz mówi:

– Słuchaj, Connor, przydałaby mi się pomoc w dowozie lunchu. Zbieraj się, jedziemy.

– Dobra. – Connor schodzi z łóżka. Sam zerka na mnie, zamykając drzwi. Dziękuję mu samym ruchem warg, a on kiwa głową. Mamy sporo spraw do omówienia, ale miłość do moich dzieci jest w tej chwili ważniejsza od

wszystkiego innego.

Pukam do wewnętrznych drzwi. Nie słyszę odpowiedzi, więc wychodzę z pokoju numer sześć i używam własnego klucza, żeby otworzyć drzwi numer pięć.

Kiedy zamykam drzwi, Lanny wydaje z siebie odgłos frustracji i kładzie na boku tak, żeby zwrócić się do mnie plecami.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – pytam.

– Po co? I tak cię to nie obchodzi.

– Wiesz dobrze, że to nieprawda, kochanie.

Łka cicho, ale udaję, że tego nie widzę. Choć cierpię razem z nią, wiem doskonale, że musi przez to przejść sama. Zbudować sobie pancierz, którego potrzebuje do ochrony przed kolejnymi uczuciowymi porażkami.

Kiedy kładę się na łóżku obok niej, odwraca się i przytula do mnie. Gładzę jej włosy i mówię cicho, że wszystko będzie dobrze. Teraz Lanny płacze jak zranione dziecko. W końcu cichnie, a ja pytam:

– Rozmawiałaś dziś z Dahlią?

– Nie – odpowiada. – Zadzwoiła tylko, ale nie na Skype, jak obiecała, a teraz... teraz nawet nie odpowiada na esemesy. Jej mama nie chce, żebym była w pobliżu niej. – Przęłyka ślinę. – Czy to dlatego, że nie chce, żeby Dahlia była lesbijką?

– Nie wiem – odpowiadam. – Może. Ale równie dobrze może to nie mieć niczego wspólnego z tobą. W tym wszystkim może chodzić o mnie i cały ten film dokumentalny. Jeśli tak jest, to bardzo, bardzo cię przepraszam, Lanny. Zrobię co w mojej mocy, żeby to naprawić.

Lanny przęłyka kolejne łzy, kiwa głową i po chwili mamrocze coś niezrozumiałego. Proszę, by powtórzyła.

– Jak ja mogłam kiedykolwiek kochać tatę? Co jest ze mną nie tak? Jak mogłam być do tego zdolna?

Czuję, jak moje ciało przebiega zimny dreszcz. Znam te pytania. Sama zadawałam je sobie każdego dnia.

Przytulam ją mocniej.

– Był twoim ojcem – odpowiadam. – Wszyscy go kochaliśmy, przynajmniej przez jakiś czas. Ciemność, którą miał w sobie, należała tylko do niego, a my o tym nie wiedzieliśmy. Wszystko jest z tobą w najlepszym

porządku, rozumiesz?

– Tak. – Wstaje i idzie do łazienki. Słyszę, jak wydmuchuje nos, myje twarz, a kiedy wraca, wygląda znacznie lepiej. – Przepraszam.

– Nic się nie stało. Przykro mi, że to wszystko teraz tak wygląda. Chciałabym umieć to zmienić.

Wzdycha, nadal drżąc.

– Muszę coś zrobić i zająć tym myśli. Mogę pojechać z tobą? Nie chcę tu zostać.

– Nie, Lanny. Ja jadę do aresztu.

Zerka na mnie z ożywieniem.

– Spotkać się z Verą Crockett?

Żałuję, że się odezwałam.

– Tak, ale...

– Mogę pomóc!

– Nie, skarbie, przykro mi. Nie wydaje mi się, żeby na to pozwolili.

– Ale mogę być twoją asystentką! Mogę robić notatki.

– Nie – odpowiadam z naciskiem.

– Naprawdę? Serio? Każesz mi teraz tu siedzieć i czekać, jak jakiemuś... dzieciakowi? Jak Connorowi? Vee jest w moim wieku, mam! I potrzebuje pomocy! Chcę pomóc!

– I możesz – mówię. – Obiecuję. Ale nie...

– Jadę z tobą – wtrąca Lanny – i nie zamierzam się więcej o to kłócić.

Znam ten ton, uświadamiam to sobie z bólem. Takiego samego używam do zakończenia sprzeczki. Lanny wstaje z łóżka, idzie do łazienki i zamyka za sobą drzwi. Słyszę szum leżącej wody. Zamierza wziąć prysznic.

Rozlega się pukanie do zamkniętych drzwi wewnętrznych. Otwieram je i widzę Sama i Connora obładowanych jedzeniem. Przywieźli oczywiście fast food. To wszystko, co można dostać w miasteczku, nie licząc małego baru, który wygląda, jakby obsługiwano tam wyłącznie miejscowych.

Nie zamierzam zabierać ze sobą córki. Nie ma mowy.

Postanowienie trwa do momentu, kiedy jestem w połowie hamburgera i dzwoni telefon. Oddalam się kawałek, żeby odebrać połączenie od Hectora Sparksa.

– Zorganizowałam spotkanie – informuje mnie. – Detektyw Fairweather

nie jest szczególnie zadowolony, ale uważam, że to dobry pomysł. Jeśli dziewczynka poczuje się komfortowo, a tak z pewnością będzie, kiedy panią zobaczy, możemy uzyskać lepsze informacje.

Nabieram powietrza i zanim jestem w stanie się nad tym zastanowić, mówię:

– Moja córka przyjedzie ze mną.

– Pani córka?

– Atlanta. Ma piętnaście lat, tyle co Vera. Uważam, że jej obecność w pomieszczeniu może okazać się pożyteczna i uspokoić Vee.

– Nie obawia się pani tego, co może usłyszeć jej córka, kiedy Vera zacznie mówić?

– Słyszała już gorsze rzeczy, proszę mi wierzyć.

– Cóż, ja z pewnością nie chciałbym angażować swojej córki w coś takiego. Ale... rozmawiamy o życiu dziecka. Oni z pewnością zechcą sądzić Vee jak osobę dorosłą, a w Tennessee obowiązuje kara śmierci.

– Będziemy na miejscu. Dla jasności: moja córka nie będzie nic mówić, tylko mi asystować. Ja będę rozmawiać z dziewczyną.

– Rozumiem. Dziękuję, pani Proctor. To wielka ulga. Będą nas oczekiwać w areszcie okręgowym o piętnastej. Jazda trwa około pół godziny. Spotkamy się na miejscu.

Zerkam na zegarek. Jest pierwsza. Odwracam się i spoglądam na swoją rodzinę: na Sama, uśmiechającego się w reakcji na jakieś słowa Connora i patrzącego na mojego syna z prawdziwą miłością. Na Lanny z wciąż ociekającymi wodą końcówkami włosów, wybierającą kapryśnie sałatę z burgera. Na Connora, z tym znanym mi blaskiem w oczach, kiedy opowiada o czymś z pasją.

– Do zobaczenia – odpowiadam panu Sparksowi. Mam nadzieję, że postępuję słusznie. W tym momencie mogę się tylko modlić, żeby moja decyzja nie okazała się poważnym, może nawet tragicznym błędem.

10

GWEN

Sam godzi się z entuzjazmem, byśmy wyruszyli w podróż wspólnie i wymeldowuje nas z pokoi. Szczerze mówiąc, wydaje się nieco zbyt gorliwy, ale podobnie jak jemu, mnie również motel nie przypadł do gustu. Connor znalazł miejsce o nazwie Wolfhunter River Lodge, położone bliżej lasu. Brzmi nieźle i wygląda komfortowo.

Zdjęcia nie kłamią. Miejsce to leży około pięć mil za Wolfhunter i jest średniej wielkości wiejskim schroniskiem z wielkimi pokojami i zapierającymi dech w piersi widokami na las. Właściciel wita nas entuzjastycznie. Kiedy wchodzimy do naszych sąsiadujących z sobą pokoi, Sam odciąga mnie na bok, żeby przeprowadzić szybką rozmowę.

– Zabieram Lanny na tę rozmowę – mówię pierwsza. – Zaufaj mi. Myślę, że to ważne, w przeciwnym razie nie podjęłabym takiej decyzji. W tej chwili Lanny musi czuć się potrzebna.

Samowi pomysł nie przypada do gustu, ale odpuszcza temat na rzecz innego.

– Daj mi swój telefon.

Robię to, zakłopotana, a on wręcza mi inny, zupełnie nowy. Patrząc na niego zaskoczona. Kolejna komórka do wyrzucenia.

– Co to jest?

– Czas na zmianę – informuje mnie. – Być może podchodzę trochę paranoicznie do ekipy dokumentalistów, ale już od dłuższego czasu nie zmienialiśmy telefonów. Ufasz mi?

– Oczywiście. Dzieci też?

– Tak, już im je zamieniłem. Wpisałem numery, na które mogliby zechcieć zadzwonić plus oba te numery. W twoim telefonie masz dodany mój numer, Connora, Lanny, Kez, Prestera, Javiera, Mike’a i swojej mamy.

– Powinnam dorzucić jeszcze Sparksa i Fairweathera, tak na wszelki wypadek.

Oddaje mi telefon, a ja dodaję dwa wspomniane numery do listy kontaktów, po czym zwracam mu stary aparat.

– Pozbędziesz się ich? – pytam, a on odpowiada skinieniem głowy. – Sam... co się dzieje?

– Nie teraz – mówi. Zerka na trzymany w dłoni telefon. – Porozmawiamy wieczorem.

Sprawdzam godzinę. Ma rację, jeśli nie chcę spóźnić się na spotkanie w areszcie, powinniśmy z Lanny już wyjeżdżać. Zakładając oczywiście, że wskazówki Sparksa są dokładne. Pukam do wewnętrznych drzwi, które otwiera Lanny. Nałożyła makijaż i wygląda już zdecydowanie lepiej.

– Już pora?

– Jeśli jesteś gotowa.

– Jestem. – Zerka przez ramię i dodaje przyciszonym głosem: – Tak przy okazji, Connor mnie przeprosił.

– Nie chciał zranić twoich uczuć, a już na pewno nie tak mocno.

– Wiem. – Wzdycha. – W jego przypadku to trochę tak, jakby przytulać kaktusa.

– W twoim też.

Szczerzy zęby, a ja nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Rodzinna cecha – zauważa. – Chociaż ty przypominasz bardziej drut kolczasty.

– Żebyś wiedziała – odpowiadam i wyciągam do niej zaciśniętą pięść. Lanny wywraca oczami. – Co, to już nie jest fajne?

– Jedźmy już – mówi. – Connor powiedział, że Sam zabiera go do lasu na spacer.

– Jesteś pewna, że nie chcesz wybrać się z nimi?

– Ej, zrobiłam przecież makijaż, prawda?

Ma rację – pół mili w tym skwarze stopiłoby ten starannie nałożony cień i kreski w wymieszane z potem smugi.

– No to w drogę.

Biję się z myślami przez całą drogę do aresztu okręgowego. Choć siły i inteligencji nie można mojej córce odmówić, nie jest dorosła. Jeśli miniony rok oraz nasze starcia z Absalomem i ojcem moich dzieci czegokolwiek mnie nauczyły, to tego, że moje dzieci są dzielne i mądre, ale nie zawsze

postępują właściwie. To kwestia bezpieczeństwa.

Ale prawdopodobnie mają to po mnie.

Areszt okręgowy jest miejscem bezpieczniejszym niż posterunek policji w Wolfhunter. Pokazuję strażnikowi dowód tożsamości i dopiero dostaję pozwolenie na wjazd i zaparkowanie. Na parkingu stoi grubo ponad trzydzieści innych pojazdów, z których większość wygląda, jakby sporo już przeszły. Podjeżdżam jak najbliżej pierwszego rzędu i odwracam się do córki.

– Dobrze, teraz musisz zachowywać się bardzo poważnie, rozumiesz? To nie jest zabawa, a to, co nas czeka, nie należy do najbezpieczniejszych zajęć.

Kiwa powoli głową.

– Wiem.

– Na pewno? – Przyglądam się wyrazowi jej twarzy. – Ja nie żartuję, Lanny. Musisz robić dokładnie to, co ci powiem, albo co powiedzą strażnicy. Żadnych sprzeciwów czy wahania. Jeśli będą jakieś problemy, uciekasz stąd i nie czekasz na mnie. Rozumiemy się?

Widzę wyraźnie, że ją przestraszyłam. To dobrze. Powinna być teraz wystraszona. Nic nie mówi, ale znów kiwa głową.

– Świetnie. Chodźmy. Nie dawaj mi powodów, żebym żałowała tej decyzji.

Pokonujemy w upale krótką odległość dzielącą parking od ciężkich drzwi do aresztu okręgowego. Wchodzimy do jasno oświetlonego obszaru recepcyjnego z masywnym, budzącym szacunek blatem, który biegnie przez całą szerokość pomieszczenia. Zrobiono go ze starego drewna, a nieco nowszym dodatkiem jest kuloodporna szyba biegnąca od samego blatu aż po sufit. Otwarte jest tylko jedno okienko, a przed nami ustawiała się czteroosobowa kolejka. Chwilę to trwa. Nie widzę nigdzie ani Hectora Sparksa, ani detektywa Fairweathera. Dostajemy przepustki – choć kobieta po drugiej stronie obrzuca mnie długim, badawczym spojrzeniem – i siadamy na jednej z ławek. Po chwili wywołują numery naszych przepustek i zostajemy skierowane do brzęczących drzwi przy końcu blatu. Obok nich na ścianie widnieje napis: *Ciągnąć tylko po usłyszeniu brzęczyka lub sygnału alarmowego.* Zastanawiam się, jak często mają z czymś takim do czynienia? Zapewne wystarczająco często, skoro powiesili taki znak.

Detektyw Fairweather czeka na korytarzu. Nie wygląda na uszczęśliwionego, a kiedy dostrzega Lanny, przez chwilę sprawia wrażenie naprawdę wkurzonego. Nie trwa to długo i w końcu wita nas skinieniem głowy.

– Pani Proctor. A to kto?

– Lanny – odpowiadam.

– Jej asystentka – dodaje wyzywającym tonem moja córka. Obrzuca ją długim spojrzeniem i przenosi wzrok na mnie. Czas spojrzeć na tę winną całej sytuacji.

– To nie jest miejsce dla dzieci – mówi.

– Dziwne, bo przetrzymujecie dziewczynę w jej wieku. Moja córka może okazać się cenna, jeśli Vee ma się otworzyć w związku z wydarzeniami w domu.

– I uważa pani, że córka powinna to usłyszeć?

Patrzę na niego bez mrugnięcia okiem.

– Gwarantuję, detektywie, że nic jej nie będzie.

Przynajmniej nie stara się ze mną wyklócać i grozić zakazem wejścia dla Lanny, a poza tym właśnie zauważam Hectora Sparksa, który nadchodzi z głębi korytarza. Adwokat ma na sobie tylko koszulę, żadnego więcej okrycia wierzchniego, a i tak wygląda już na przegrzanego.

– Jesteście – mówi, po czym przygląda się mojej córce. Trwa to tylko krótką chwilę. Przenosi wzrok z powrotem na mnie. – Tędy. Czas naszej wizyty jest ograniczony.

– Czym? – pyta Lanny, zanim wypowiadam jakiegokolwiek słowo.

– Moimi spotkaniami – odpowiada Sparks. Jest to dość dziwne. Z pewnością pozostałe jego sprawy nie są aż tak pilne jak piętnastolatka, której grozi kara śmierci. Odwraca się jednak, nie pozwalając mi tego skomentować, więc pozostaje nam ruszyć jego śladem. Detektyw Fairweather zostaje na miejscu.

– Później porozmawiamy – woła za mną, a ja unoszę dłoń, aby go poinformować, że go usłyszałam. Jeśli spróbuje zadzwonić na moją komórkę, niczego nie osiągnie. To ja będę musiała do niego zadzwonić. Ta opcja odpowiada mi zdecydowanie bardziej.

Kiedy podążamy długim, prostym korytarzem w kierunku zamkniętej

bramy, po lewej stronie zauważam biura – zwyczajne, pozbawione okien pomieszczenia z biurkami, szafkami na akta i praktycznie niczym innym, co kojarzyłoby się z człowieczeństwem. Żadnej maskotki czy kalendarza z puchatym jednorożcem. Żadnych rodzinnych fotografii. To pewnie dobra decyzja, zachować czysto urzędową atmosferę, bez niczego, co pozwalałoby tworzyć jakiegokolwiek osobiste więzi dla pracowników, szczególnie w odniesieniu do osadzonych.

Ale zarazem jest to bardzo przytłaczające.

Docieramy do bramy, gdzie strażnik po drugiej stronie wpuszcza nas do środka. Utworzono tu swego rodzaju służbę z drugą bramą i strażnikiem wewnątrz, chronionym przez kuloodporne biuro. Okręg należy do niewielkich i niezbyt zamożnych, ale gliniarze nie pozostawiają tu niczego przypadkowi. Kiedy pokonujemy i tę barierę, po prawej stronie dostrzegam rząd cel. Pierwszą zajmuje starsza kobieta w neonowo żółtym kombinezonie, która śpi na koi twarzą do ściany.

Vee Crockett przetrzymywana jest w drugiej celi.

Siedzi na małej, wąskiej leżance, ale kiedy nas zauważa, natychmiast wstaje. Zerka najpierw na Hectora Sparksa, ale zaraz przenosi wzrok na mnie, a następnie na Lanny, która stoi w nieco większej odległości od krat. Nie mam żadnych wątpliwości, dziewczyna wygląda na całkowicie załamana. Znam to spojrzenie, pełne dezorientacji i otępienia. Jej ciemne włosy są w zupełnym nieładzie, ale moją uwagę zwracają oczy – to najczystsza zieleń, jaką widziałam. Zieleń oczyszczona ze wszystkiego. Nie wiem, w co się właśnie pakuję, nie jestem nawet skłonna zgadywać.

W drodze do celi towarzyszył nam strażnik.

– W porządku – mówi. – Proszę się cofnąć, wszyscy troje, aż do przeciwległej ściany. Tam proszę zaczekać.

Z zadowoleniem przyjmuję fakt, że Lanny natychmiast wykonuje polecenie, a ja jestem o pół kroku za nią. To Hector Sparks wydaje się nie rozumieć nakazu. Strażnik podchodzi do celi Vee, gotów ją otworzyć, ale zatrzymuje się, by powtórzyć instrukcje prawnikowi. Sparks dołącza do nas przy ścianie.

Odnoszę wrażenie, że po raz pierwszy kazano mu coś zrobić.

– Teraz posłuchajcie uważnie, proszę – mówi strażnik, stając przy

drzwiach do celi. – Otworzę celę, założę jej kajdanki i razem przejdziemy do sali spotkań. Zachowujcie odległość trzech metrów za moimi plecami. Będziecie przez cały czas widoczni w kamerze. Jeśli naruszyacie zasady, każę was natychmiast odeskortować na zewnątrz.

– Rozumiemy – mówię.

– Dziewczyna zostanie przykuta do stołu w sali spotkań. Nie wolno wam podchodzić do jej części stołu, podawać jakichkolwiek przedmiotów ani w żaden sposób jej dotykać. Czy rozumiecie moje instrukcje?

– Tak – odpowiadamy razem z córką. Sparks milczy przez chwilę, w końcu przytakuje.

Zachowujemy się zgodnie z przepisami. Ja prowadzę – nie chcę, żeby Lanny zbyt się podeksycyowała ani żeby Sparks zachował się arogancko, zakładając, że status prawny pozwala mu na coś takiego. Podążają więc za mną, a ja dbam przez cały czas, by zachowywać te trzy metry odległości między piętami strażnika i czubkami moich butów. Łatwo jest ją odmierzać, ponieważ co trzy metry na podłodze wymalowane są oznakowania. Strażnik zatrzymuje się przy kolejnej bramie, a ja zastygam w miejscu. Lanny prawie we mnie wpada.

– Hej, skarbie – odzywa się ktoś z celi po prawej stronie. – Ale z ciebie słodka brzoskwinka.

Lanny opiera się o mnie. W miękkim, południowym zaśpiewie kobiety ukryło się coś groźnego, a ja nie mam wątpliwości, że komentarz dotyczy mojego dziecka.

– Wyglądasz, jakbyś lubiła dobrą zabawę – dodaje tamta.

– Zamknij się albo wyciągnę ci język przez dupę – rzucam, nie patrząc w kierunku osadzonej.

– Jezu, uspokój się, suko jedna – woła kobieta. Ryzykuję spojrzenie w jej stronę. To wypłowiła blondynka, obszarpana i zaniedbana, chuda jak szkielet do nauki anatomii. Nietrudno sobie wyobrazić, że wylądowała w tym miejscu za przestępstwo narkotykowe.

– Siadaj – mówię do niej. Najwyraźniej w moim tonie usłyszała coś takiego, co sprawia, że podnosi ręce i oddala się od krat. Byłam już w więzieniu. Wiem, jak to działa.

Brama zostaje w końcu otwarta. Strażnik wprowadza Vee do służby, a my

musimy poczekać po drugiej stronie.

Nikt już nie zaczepia mojego dziecka.

Po przejściu przez podwójną bramę docieramy w końcu do części podzielonej na nieduże pomieszczenia. Vee znajduje się w pierwszym z nich. Nogi ma skute łańcuchem przymocowanym do podłogi, a kajdanki na rękach przeprowadzone przez metalowe oko po jej stronie stołu.

Strażnik jeszcze raz powtarza ze znużeniem wszystkie polecenia, po czym wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Po naszej stronie stołu stoją trzy krzesła. Zajmują to ustawione najdalej od drzwi i sadzam Lanny pośrodku. Vee obserwuje nas uważnie, zupełnie ignorując Sparksa. Dostrzegam w jej oczach coś, czego nie potrafię dokładnie zidentyfikować. Może to złość, a może nadzieja. Na pewno coś osadzonego bardzo głęboko.

– Panno Crockett, nazywam się Hector Sparks. Rozmawialiśmy już wcześniej – odzywa się adwokat. Nic. Jakby dziewczyna była głucha. – A może powinienem był powiedzieć: rozmawiałem, a ty udawałaś, że nie słuchasz. Pomyślałem, że przyprowadzę kogoś, kogo już znasz, żeby pomógł nam przez to przejść.

Dziewczyna wbija w niego spojrzenie.

– Odejdź – mówi.

– Niestety, nie może odejść – wtrącam. – Jest twoim adwokatem. Jeśli wyjdzie, my również będziemy zmuszone opuścić to pomieszczenie.

Nie podoba jej się to. Dostrzegam błysk złości na twarzy, po czym znów wraca na nią obojętność.

– W porządku – mówi i siada głębiej na krześle. Jej łańcuchy pobrzękują głośno na stole. Patrzy w jakiś punkt gdzieś na suficie. Czekam, ale Vera dalej milczy.

– Czy mogę zadać ci kilka pytań, Vee? Chcę zrozumieć, co przydarzyło się tobie i twojej mamie – mówię.

– Słyszała pani. – Nadal patrzy na coś znajdującego się pół metra nad moją głową. – Wiem, że pani słyszała, co się wydarzyło.

– Częściowo. Ale dopiero po tym, jak do mnie zadzwoniłaś. Muszę wiedzieć, co stało się wcześniej.

Vee patrzy mi w oczy przez bardzo krótką chwilę, po czym przenosi spojrzenie na Lanny.

– To pani córka? – pyta cicho, zupełnie normalnym głosem.

– Tak. Pomaga mi dzisiaj.

– W czym?

– W robieniu notatek – odpowiada Lanny. Sięga to torebki, po czym wyjmuje długopis i papier. Zapisuje datę. Dłonie jej drżą, ale głos pozostaje zdumiewająco opanowany. – Mów dalej.

– Żadna z was nie jest stąd – stwierdza Vee, posługując się aksamitnym, wyjątkowym akcentem z Tennessee, którego nie mam ani ja, ani moja córka. – To skąd w takim razie?

– Nie mamy zbyt wiele czasu – mówię, kiedy Lanny otwiera usta. Nie chcę, żeby dziewczyna wiedziała o nas więcej, niż to absolutnie konieczne. Tak na wszelki wypadek. – Co wydarzyło się tego dnia, kiedy zginęła twoja matka, Vee? Wyobraź sobie, że budzisz się rano i opowiedz mi o tym dniu, tak jak go pamiętasz.

Mówię to tak delikatnie, jak tylko potrafię, ponieważ staram się być wielkoduszna i uważam, że dziwna pustka, która ją wypełnia, wynika z szoku i wstrząsu, a ja nie chcę tego pogarszać. Jestem przekonana, że policja nie jest równie empatyczna.

Vee milczy. Nie mówi zupełnie nic. Kręci tylko głową i patrzy na swoje buty, a skołtunione włosy opadają do przodu, zasłaniając jej twarz.

– Uwierz mi, staram się pomóc – mówię jeszcze ciszej. – Nic, co powiesz, nie zostanie wykorzystane w sądzie, trafi tylko do twojego adwokata, który spróbuje ci pomóc. Wszystko będzie dobrze. Możesz mi zaufać.

Jeśli nawet mnie słucha, to nie reaguje na to w żaden sposób. Kołysze się lekko jak gałęzie wierzby na zimnym wietrze, a ja czuję gęsią skórę na karku.

– To nieprawidłowo zadane pytanie, prawda? – mówi niespodziewanie Lanny.

Posyłam jej spojrzenie mówiące wyraźnie „nie steruj świadkiem, do cholery”, ale to działa. Vee znów na nas patrzy. Nie, nie na nas – na Lanny. Odgarnia nawet włosy z twarzy.

– Masz rację. Nie obudziłam się, bo nawet nie położyłam się do łóżka. Byłam nad rzeką, blisko brzegu.

– Nad jaką rzeką? – pytam.

– Rzeką Wolfhunter, innej nie ma w okolicy.

– Był tam ktoś z tobą?

– Nie – odpowiada. Wiem, że to kłamstwo, bo widzę, jak jej zielone oczy uciekają w bok. Po chwili znów patrzy na moją córkę. Nie podoba mi się to spojrzenie. Nic a nic. – No, może ktoś tam był, ale nie zwracamy na siebie uwagi. Zajmujemy się sobą, to wszystko.

– A czym ty się zajmujesz? – pyta Lanny. Gryzę się w język, żeby nie powiedzieć jej, że ma siedzieć cicho, ponieważ odnoszę dziwne wrażenie, że jeśli będzie cicho, nie dojdziemy donikąd.

Ale nawet Lanny dostaje w odpowiedzi jedynie uniesienie ramion.

Hector Sparks przysłuchuje się temu wszystkiemu łapczywie. Patrzy znad okularów na Vee Crockett z wyrazem zainteresowania na twarzy, przez który czuję się naprawdę niekomfortowo.

Ona ignoruje go zupełnie, jakby była w tym wyszkolona.

– Cofnij się zatem do poprzedniego dnia i dojdź do chwili, kiedy znalazłaś mamę.

Już mi się wydaje, że Vee zamilknie całkowicie, ale w końcu mówi:

– Wyszłam po działkę. Tyler miał nieco oxy. Kupił to od jakiejś starszej babki, która potrzebowała pieniędzy, więc trochę dostałam. Sharon miała butelkę whiskey i trochę wódki. Rozpaliliśmy ognisko i zaczęliśmy się tym dzielić. Dicky zjawił się z metą, ale tego gówna w ogóle nie brałam. – Przez chwilę mówi w wyniosły sposób. – Potem Tyler stwierdził, że muszę mu zrobić laskę w podziękowaniu za oxy. Co za fiut. Później położyłam się przy ognisku. Poczułam się kiepsko po oxy i whiskey, więc postanowiłam tam zostać. Kiedy skończył się odlot, Tylera i Sharon już nie było. Ognisko zgasło.

Czuję, że moja córka krzywi się w reakcji na ten odważny opis seksualnej transakcji, który przekazała jej rówieśnica.

– I co zrobiłaś później? – pytam. Kolejne wzruszenie ramionami, jeszcze bardziej obojętne niż poprzednie.

– Poszłam na chwilę do szkoły – odpowiada. – Potem się nudziłam.

– Dokąd poszłaś?

– Donikąd.

– Wolfhunter nie jest aż takie duże – zauważam. – Nie ma tam aż tylu

miejsc, do których warto pójść. Postaraj się sobie przypomnieć.

Wywraca oczami.

– Przez jakiś czas łąziłam po opuszczonej hucie szkła. Mam tam śpiwór i trochę swoich drobiazgów na wypadek, gdy nie chce mi się iść na lekcje.

Drobiazgi. Wyobrażam sobie nagromadzone tabletki, alkohol, może jedno i drugie.

– Widziałaś tam kogoś?

– Nie.

– To co tam robiłaś? – pyta Lanny. Vee uśmiecha się niespodziewanie. Ten uśmiech porusza mnie do głębi, bo wydaje się taki... naturalny. To trochę tak, jakby obie dziewczyny prowadziły przyjazną konwersację bez tych krak w pobliżu, jakby jedna z nich nie była oskarżona o matkobójstwo.

– Fajne rzeczy, dziewczyno. Popijałam sobie, zużyłam resztkę zapasów oxy. Na jakiś czas odpłynęłam.

Nie podoba mi się ta odpowiedź.

– I co potem?

– Poszłam do domu. To niedaleko. – Znow odwraca głowę. Nie umiem stwierdzić, czy wciąż się uśmiecha, ale wyobrażam sobie, że tak, odrzucam więc kolejną falę wątpliwości. – Mama leżała na podłodze, a obok niej broń. Pewnie ją dopadli, tak jak się tego obawiała. Podniosłam strzelbę, bo usłyszałam kogoś na zewnątrz. Wystrzeliłam, żeby ich przegonić. Pomyślałam, że mogą zabić mnie tak samo jak ją. – Śmieje się. Śmieje! – Ostatecznie to był tylko listonosz, a ja go nie trafiłam.

– Detektyw Fairweather twierdził, że miałaś na sobie krew. Możesz mi powiedzieć, Vee, skąd się wzięła? – Nie odpowiada na to pytanie. Zastyga bez ruchu. Odpuszczam, bo czas ucieka. – Powiedziałaś: oni. Kogo miałaś na myśli?

Vee kręci głową.

– Mama nigdy tak naprawdę tego nie określiła. Mówiła tylko, że coś jest nie tak i że potrzebuje pomocy. Nie zwracałam na to większej uwagi. Zawsze miała jakieś problemy z tym czy tamtym. Lubiła te wszystkie teorie spiskowe. – Mówi powoli, niemal ze smutkiem. Ciekawe, czy odczuwa jakiś rodzaj żalu.

Zadaję jeszcze kilka pytań, ale Vee wydaje się już zmęczona. Niemal

senna. Jej odpowiedzi składają się z pojedynczych słów lub potrząśnięć głową. Nawet Lanny nie jest w stanie jej pobudzić.

W końcu odzywa się Hector Sparks:

– Pani Proctor, chyba powinniśmy na tym zakończyć. Naprawdę powinienem już jechać w kolejne miejsce. – Jakby jego klientka powstrzymała go przed czymś ważniejszym. Przepelnia mnie rozgoryczenie i muszę sobie przypomnieć, że on jest w tej chwili tak naprawdę moim szefem. Obowiązują przepisy firmy. Daje znak głową strażnikowi, który odblokowuje drzwi. Sparks wstaje i wychodzi. Lanny waha się, zerkając w moją stronę.

Nasz czas się skończył. Pochyłam się nad stołem, starając się jak najbardziej przybliżyć do dziewczyny.

– Popatrz na mnie, Vee. Musisz powiedzieć mi prawdę. Czy zabiłaś swoją matkę?

Odwraca powoli głowę i odgarnia włosy do tyłu. Nie uśmiecha się.

– Nie, proszę pani – odpowiada. – Nie zrobiłabym czegoś takiego. Ona nie była złą kobietą. Po prostu przez większy czas jej nie było. Nie dla mnie.

Nie wiem, czy powinnam jej uwierzyć. Nie mam pojęcia, na kogo w ogóle patrzę. Lub na co.

– Poradzisz sobie? – Lanny zwraca się do Vee.

Dziewczyna uśmiecha się ze smutkiem.

– To najlepsza sypialnia, jaką miałam.

Jej słowa przyprawiają mnie o dreszcz, bo odnoszę wrażenie, że są prawdziwe.

– Koniec czasu – mówi ze zniecierpliwieniem strażnik, przytrzymując nam drzwi.

Wstajemy z Lanny i kierujemy się do wyjścia. Robimy kilka kroków w kierunku drzwi, kiedy Vee odzywa się za naszymi plecami.

– Zaczekaj. Masz na imię Lanny, tak?

Odwracamy się do niej. Vee pochyla się do przodu, skrobiąc pęknięty paznokieć. Pojawia się jasna, szkarłatna kropelka krwi, a dziewczyna podnosi palec, żeby mogła spłynąć po skórze.

Instynktownie staję między nią – nawet skutą kajdankami – a moją córką.

– Wiem, kim jesteś, Lanny – mówi Vee, patrząc przeze mnie. – Twój ojciec był gwałcicielem i mordercą. Każdy o tym wie. Wszyscy pewnie myślą, że też jesteś zła.

– Do czego zmierzasz? – Lanny, ku mojemu zaskoczeniu, nie sprawia wrażenia poruszonej.

– Po prostu powinnaś wiedzieć, jak to jest. Ja tego nie zrobiłam. Nie jestem grzeczną dziewczynką, ale nie jestem też zabójczynią. Nie, jak chodzi o mamę. Nie... – Jej oczy nagle wypełniają się łzami, ale nie płacze. Mruga, kiedy uwalniają się i płyną po policzkach. Zastanawiam się, czy jest doskonałą aktorką potrafiącą płakać na życzenie. – W domu było ciemno. Potknęłam się. Upadłam na nią i stąd miałam na sobie jej krew. Praktycznie włożyłam w nią dłoń. – Odbieram to jak uderzenie w brzuch. Dziewczyna bierze oddech, który niemal brzmi boleśnie, i opuszcza głowę. – Tak się właśnie stało. Chciałyście wiedzieć. To cała prawda.

– Pani Proctor – upomina mnie strażnik przy drzwiach. – Idziemy. Natychmiast.

Żegnam się z Vee skinieniem głową i wyprowadzam Lanny. Wciąż trzymam się między nią a dziewczyną, o zaufaniu do której trudno mi zdecydować.

– Mamo? – Lanny odwraca się, kiedy wchodzimy do śluzy dzielącej cele i otwarty korytarz. – Myślisz, że ona kłamie?

– W jakiej sprawie? – pyta Sparks, sprawdzając telefon.

Nie usłyszał ostatnich słów. Był zbyt zajęty.

– Jeśli chce pan coś wykorzystać w obronie, to powiedziała, że potknęła się o ciało matki w ciemności i na nią upadła. Stąd krew na jej ubraniu – wyjaśniam. – Wiedziąłby pan o tym, gdyby tak się nie spieszył na kolejne spotkanie.

Mruga kilka razy.

– Pani Proctor, ona nie jest moją jedyną klientką.

– Prowadzi pan inną sprawę o morderstwo?

Prostuje się z oburzeniem.

– To nie fair...

– Nie fair jest być niewinnym i jednocześnie zamkniętym w takim miejscu – wtrącam. – Proszę szukać rozprysku.

– Czego?

– Bliski wystrzał ze strzelby powoduje rozprysk, który może nie być widoczny gołym okiem. Jeśli nie ma takich śladów na skórze czy ubraniu, to znak, że nie mogła zastrzelić matki z tak małej odległości. – Milczę przez krótką chwilę i ściszam głos. – Powiedziała, że kiedy upadła na ciało, jej ręka znalazła się w ranie. Strzał musiał zostać oddany z bliska, jeśli narobił takich szkód z tak wielką siłą. Śruciny rozprzestrzeniają się wraz z odległością.

– Dzięki. – Zapisuje coś w notatniku. – Aż strach pytać, skąd to pani wie.

– Dotarłam do takiego etapu, że wiem wiele rzeczy. Szczególnie gdy chodzi o kryminalistykę.

Pytam go o osoby, z którymi widziała się tamtej nocy, a on obiecuje, że się tym zajmie. Nie jestem tego taka pewna.

– Panie Sparks, czy naprawdę zamierza pan o nią walczyć? Czy po prostu odhacza pan kratkę w formularzu?

Rzuca mi chłodne spojrzenie znad okularów zsuniętych na nos. Często słyszałam, jak prawników określa się mianem rekinów, ale nie spotkałam wcześniej żadnego, który tak doskonale wpasowywałby się w ten przydomek. Sparks mruga i wyraz twarzy znika.

– Zrobię, co w mojej mocy. Najważniejsza jest wiara w jej niewinność, prawda?

Czy ja w nią wierzę?

Szczerze mówiąc, nie potrafię sobie na to odpowiedzieć.

Sparks odbiera telefon. Rozmawia krótko i z ożywieniem, a ja zerkam w kierunku sali spotkań, w której Vee Crockett jest odpinana od stołu. Unosi głowę i patrzy na mnie, a ja w tej samej chwili *już wiem*.

Wiem, że Vee Crockett nie zabiła swojej matki.

To moja prywatna ocena oparta na silnym instynkcie. Nie podoba mi się ten dzieciak: ma mnóstwo problemów, a dziwna więź, jaką wydaje się mieć z moją córką, sprawia, że czuję się nieswojo. Patrzę jednak na dziewczynę w szoku, reagującą w sposób dziwny i nieprzewidywalny. Pod tą warstwą

leży przejmujący, traumatyczny ból. Widzę go wyraźnie.

– Pani Proctor? – Sparks materializuje się tuż obok. Nie słyszałam jego kroków i teraz podryguję, zaskoczona. Zauważa to, ale nie przeprasza. – Jakie ma pani teraz plany?

– Biorę dzieci i Sama i wyjeżdżamy z miasteczka – odpowiadam. – Zrobiłam to, co obiecałam. Pomogłam Verze porozmawiać z panem. Teraz zna pan jej historię.

Wygląda, jakby mu ulżyło, co przyjmuję z niekłamanym zaskoczeniem. Gotowa byłam raczej pomyśleć, że będzie prosił mnie o dalszą pomoc. Nie prosi jednak, tylko kiwa głową.

– Cóż, bezpiecznej drogi – mówi. – Życzę powodzenia, pani Proctor.

– Panu również. Jak pan sądzi, jakie ona ma szanse?

– Lepsze niż matka.

Nie podoba mi się ta wypowiedź i jego zachowanie. Piętnastolatka zasługuje na coś więcej. Po minie Lanny wnioskuje, że pomyślała dokładnie to samo.

Sparks nas wyprzedza.

– Nie musimy dziś wyjeżdżać, prawda? – pyta Lanny, odprowadzając go wzrokiem.

Nie odpowiadam jej, ale właśnie dociera do mnie, że możemy zaliczyć jeszcze jeden postój.

Problem w tym, że nikt w tym miasteczku nie zareaguje z entuzjazmem ani na moją obecność, ani na moje pytania.

Gdy wychodzimy z sekcji cel i docieramy do korytarza biurowego, po Fairweatherze nie ma żadnego śladu. Nie ma go również w recepcji. Kiedy więc wsiadamy do samochodu i zmuszamy klimatyzację do walki z odrętwiającym upałem, biorę mój nowy telefon i wybieram jego numer.

– Fairweather – rzuca do słuchawki.

– Proctor – mówię. – Przepraszam, to nowy numer. Przykro mi, że nie miałam czasu wcześniej porozmawiać...

– To miło z pani strony, ale sprawy obrały nowy kierunek. Zostałem

przeniesiony.

– Przeniesiony? – Zastygam na chwilę. – Ale... dopiero pan zaczął.

– Przykro mi to mówić, ale czasami właśnie tak to wygląda w tym biznesie. Dowody się mnożą i przemawiają same za siebie. Nie mamy żadnego innego podejrzanego poza Vee Crockett. Zważywszy na to, mój porucznik ściągnął mnie do sprawy porwania Ellie White, opuszczam Wolfhunter za kilka godzin.

– Ale...

– Pani Proctor, wiem, że zaangażowała się w to pani osobiście, jednak nic z tego, co usłyszałem przy składaniu zeznań, nie daje mi podstaw, by wierzyć, że Vee Crockett nie zabiła swojej matki. Wręcz przeciwnie, wszystko raczej na nią wskazuje.

– Powiedziała mi właśnie, że przewróciła się na ciało swojej matki w ciemności – wyrzucam z siebie. Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam tego ujawniać, to przecież informacje poufne między klientem a adwokatem. Ale w głębi duszy wiem, że nie chcę, aby Fairweather odpuszczał tę sprawę. Jeszcze nie teraz. – To wyjaśnia obecność krwi na jej ubraniu. Trauma, jaką przeżyła, tłumaczy również, dlaczego sięgnęła po broń i wystrzeliła w kierunku hałasu na zewnątrz. Ona była przerażona, detektywie.

Milczy przez chwilę.

– A nie przyszło pani na myśl, że ona mogła dopasować to wyjaśnienie do dowodów, które na niej znaleźliśmy?

– Owszem. Ale kiedy rozmawiałam z nią przez telefon...

– Powiedziała pani, że dziewczyna sprawiała wrażenie nieobecnej, jakby widok martwej matki w ogóle jej nie poruszył.

– Wiem, że tak mówiłam, jednak tego rodzaju zachowanie może być skutkiem ubocznym silnego szoku. Pamięta pan przypadek tej dziewczyny z Teksasu, której cała rodzina została zamordowana przez intruza? Poradziła sobie z tym, wychodząc z domu i karmiąc zwierzęta na farmie. Ludzie sobie radzą w takich sytuacjach. Uważam, że Vera osiągnęła to, eliminując jakiegokolwiek emocje. Owszem, nie wygląda to dobrze, że prawdopodobnie była naćpana i pijana, ale pomaga to również wyjaśnić jej dziwaczne reakcje.

- Być może. Ale pani mówi o teoriach, a ja opieram się na dowodach. Przeszuję z nogi na nogę, nie mając odwagi spojrzeć na córkę.
 - Jeśli jakieś znajdę, przyjrzy się im pan bliżej?
 - Nie mogę niczego obiecać. Mam porwane dziecko do odnalezienia. Sprawa Very Crockett może być już przegrana, dobrze pani o tym wie.
 - Może tak, jednak nie należę do osób, które tak łatwo się poddają. Przez chwilę sprawia wrażenie rozbawionego.
 - Tak, dobrze to widać. Ale niczego nie obiecuję.
 - Rozmawiał pan z kimkolwiek w miejscu, gdzie pracowała Marlene? – pytam.
 - Marlene pracowała w warsztacie praktycznie sama, odbierając telefony i zajmując się papierologią – odpowiada. – To nam nic nie daje. Nie była zbyt popularna w miasteczku, nie miała wielu przyjaciół.
 - Dlaczego nie?
 - Po pierwsze, z powodu córki i jej zachowania, a poza tym jej dziadek okantował parę osób w latach sześćdziesiątych.
 - Dziadek?
 - Małe miasteczko, dalekie wspomnienia.
 - Zakładam, że przydzielono pana do tej sprawy przede wszystkim dlatego, że biuro śledcze Tennessee w ogóle nie wierzy w jakiegokolwiek kompetencje policji z Wolfhunter. Ta dziewczyna wciąż potrzebuje pańskiej pomocy.
- Rozbawienie znika całkowicie, kiedy odpowiada w końcu:
- Niech Bóg jej zatem dopomoże. I pani. Jeśli chce pani mojej porady, Gwen, to proszę odpuścić. To miasteczko nie jest dobrym miejscem do takich rzeczy. Nigdy nie było. Radzę zatem jeszcze raz: proszę wyjechać. – Urywa na chwilę. – Ja bym tak postąpił, a przecież chroni mnie odznaka i prawo. To miasto jest zepsute. Niech pani stąd wyjedzie.
- Kończy rozmowę, a ja siedzę w powoli schładzającym się powietrzu z klimatyzacji. Moja córka odwraca się do mnie i mówi:
- Nie chce nawet spróbować pomóc, prawda?
 - Nie wiem, kochanie. Naprawdę nie wiem, co on myśli.

Centrum Wolfhunter o godzinie szesnastej nie porywa. Większość sklepów – tych, których właściciele wciąż prowadzą działalność – jest już zamknięta. Na ulicach kręci się parę osób, zgromadzonych przede wszystkim w pobliżu baru, który mijamy w drodze do warsztatu Marlene. Nie muszę wyszukiwać nazwy – w okolicy znajduje się tylko jeden warsztat w postaci zdezelowanego, dużego garażu zbudowanego z pustaków. Amatorsko namalowany napis z nierównych liter nad zamkniętymi drzwiami informuje klientów, że mają do czynienia z WARSZTATEM. Widzę kilka okien, ale wszystkie zasłonięte są poszarzałymi żaluzjami. Nadal obowiązuje ogłoszona prawdopodobnie dawno temu promocja na wymianę opon, w postaci ceny wymalowanej na jednej z większych szyb od frontu.

– Wygląda na opuszczony – zauważa Lanny. Wyblakły od słońca znak w jednym z okien nadal mówi „OTWARTE”, a kiedy zerkam na zegarek, okazuje się, że wciąż mamy godzinę do planowanego zamknięcia.

– Zostań tutaj – mówię. – Zablokuj drzwi.

– Jak zawsze – odpowiada cicho. – Wiesz, że mogłabym cię tam wspomagać.

W dziwnym miejscu, które zasadniczo jest jaskinią pełną tępych narzędzi i ludzi o nieznanym pobudkach... nie, nie mogłaby.

– Jeśli nie wrócę za kwadrans, dzwoni do Sama. Jeśli ktokolwiek spróbuje wywabić cię z samochodu pod jakimkolwiek pozorem...

– Dzwonię do Sama, tak, rozumiem. Mamo? Masz ze sobą broń, tak?

– Odzyskałam ją po wyjściu z aresztu – zapewniam ją. – Nic mi nie będzie. Zamknij drzwi, ja niedługo wracam.

Czekając przy SUV-ie na odgłos blokujących się drzwi, przyglądam się pobliskim uliczkom. Jesteśmy na skraju miasteczka, pewnie w odległości kilku mil od motelu, w którym się ostatnio zatrzymaliśmy. Nie widzę niczego podejrzanego... ale nagle cofam się i patrzę jeszcze raz.

Na ulicy widzę innego SUV-a. Zaparkowany w pobliżu budynku sądu, w odległości kilku przecznic ode mnie, nie wygląda na auto należące do kogoś z miejscowych, szczególnie o tej porze dnia. Turyści z lasu już wrócili do domów, obozowicze szykują się na nastanie wieczoru. Na moje oko

samochód został wypożyczony – jest czysty i wypolerowany, a przyciemniane szyby uniemożliwiają zajrzenie do środka. Być może ktoś z innego miasta, myślę sobie, choć czuję się nieswojo.

Nie potrafię niczego wydedukować z tego SUV-a, więc się odwracam. Idę w stronę drzwi, otwieram je i wkraczam w mrok cuchnący starym olejem, rdzą i pleśnią. Mrugam, żeby przystosować wzrok. Górne oświetlenie w niewielkiej części biurowej jest słabe. Zauważam brudny, drewniany blat z przyśrubowaną kasą rodem z lat siedemdziesiątych i drewnianą ławkę pod zacienionym oknem. Żadnych nowoczesnych udogodnień w postaci kawy czy wody. Nawet areszt wydawał się przyjemniejszy.

Nie ma tam żywej duszy. Na blacie nie postawiono też żadnego dzwonka. Podchodzę bliżej i przechylam się nad blatem. Za ladą znajdują się drzwi prowadzące do warsztatu, również kiepsko oświetlonego. Ciężko prowadziłoby się tu precyzyjne prace. Być może jest nieco lepiej, kiedy drzwi zostają otwarte i słońce oświetla kanały, zastanawiam się jednak, jak często mogą przewietrzać to miejsce. Śmierdzi tu jak w opuszczonym budynku z kulawo działającą kanalizacją.

Już zamierzam kogoś zawołać, kiedy słyszę głosy. Po prawej stronie znajdują się zwyczajne, drewniane drzwi, które muszą prowadzić do części roboczej. Naciskam klamkę i stają otworem. Podświadomie czekam na zgrzyt lub świergot alarmu, ale nie ma ani jednego, ani drugiego.

To z pewnością głosy. Stoję przed zawieszoną na ścianie tablicą z napisem „Obszar roboczy, zachować ostrożność” i kreskówkowym robotnikiem w kasku wskazującym go palcem. Wydaje się równie stary, jak całe to miejsce. Trudno stwierdzić, skąd dobiegają głosy – z jakiegoś miejsca po lewej stronie, uznaję w końcu – a kiedy zerkam w tę stronę, zauważam biuro za częścią recepcyjną z kolejnymi drzwiami prowadzącymi do obszaru roboczego. Są zamknięte, ale spod nierównych, postrzępionych krawędzi sączy się światło.

Kieruję się w tę stronę.

Zatrzymuję się, kiedy docierają do mnie poszczególne słowa.

– ...cholerna dziewczucha zaczyna gadać – mówi głęboki, szorstki głos, którego nie znam. – Mówiłaś, że niczego nie wie. Co w takim razie miała do powiedzenia tej suce?

Tą suką muszę być ja. Cholerna dziewczucha to Vee Crockett. To pewnie żadna niespodzianka, że Vera, Marlene lub ja znalazłyśmy się na językach mieszkańców Wolfhunter. To bardzo niepokojące.

– Nie mam pojęcia – odpowiada inny męski głos, tym razem brzmiący znajomo. Gdzieś go już słyszałam, ale nie potrafię dokładnie sobie przypomnieć, gdzie. Może na posterunku? – Cholerni debile z okręgu nie chcieli niczego podsłuchać, więc nic nie wiemy.

– Nie powinienes w ogóle pozwolić im na przeniesienie jej do okręgu, Weldon.

– Nie miałem wyboru! Ten facet z biura śledczego, to jego sprawka. Gdybym zdołał zatrzymać ją tutaj, już byłoby po sprawie.

Tym razem nowy głos:

– Panowie, uspokójcie się. Nic się nie stało. Jest duża szansa, że Vera nie powiedziała niczego sensownego, a Marlene wiedziała, że lepiej nie kłapać ozorem.

– No cóż – mówi z goryczą Weldon – chyba jednak zapomniała, bo po cholere dzwoniła do tej baby? Teraz musimy się rozprawić z tą zdzirą, jej chłoptasiem i dzieciakami. Zrobił się bałagan, Carl. A miało być tak łatwo.

– Jest łatwo – mówi Carl. Brzmi tak, jakby przywykł do wydawania poleceń. – Da się to załatwić.

– No to w takim razie lepiej bierz się szybko do roboty – mówi pierwszy głos. Nikt tu nie użył jeszcze imienia. – Kiedy będzie forsa?

– Jutro albo pojutrze – odpowiada Carl. – Mówiłem już. Przelew trochę trwa. Jeśli ma być nie do wyśledzenia, musi przejść przez trzy czy cztery banki zagraniczne.

Mój umysł pracuje teraz na najwyższych obrotach. O czym oni mówią? Jaka forsa? Co wiedziała Marlene?

Nieważne. Dość już usłyszałam. Musimy się stąd natychmiast wynosić.

Wycofuję się w stronę drzwi i popycham je. Uderzają w coś.

Mężczyzna ma około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i nosi brudny od oliwy kombinezon mechanika. Wyciera w niego dłonie. Jest dwukrotnie szerszy niż ja i góruje nade mną o kilkanaście centymetrów. Jego bicepsy prezentują się imponująco pod rękawami. Widzę je lepiej niż jego twarz, która pozostaje niewidoczna w cieniu. Facet jest biały, co jest

dość typowe w tym miasteczku, i sprawia ogólne wrażenie, jakby w wolnym czasie łamał podkowy.

– Co pani tu robi? – pyta ostro. – Klientom nie wolno tam wchodzić!

– Szukałam kogoś, kto mógłby mi pomóc – odpowiadam, uśmiechając się łagodnie. Nie jestem pewna, czy przynosi to jakikolwiek efekt, jego postawa się nie zmienia. – Może pan? Ile kosztuje wymiana oleju?

To pierwsza, najbardziej naturalna odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy. Zadziało, bo mężczyzna rozluźnia się nieco i robi krok do tyłu, żeby przepuścić mnie przed ladę. – Powinna pani pogadać z... – Spogląda na blat i zasepia się. Nie wiem dlaczego, dopóki nie mówi dalej: – Cóż, nikt tu ostatnio nie pracuje. Chyba tylko szef.

– A szef to?

– Pan Carr – odpowiada i podnosi głos. – Hej, szefie! Jakaś pani chce zamienić parę słów!

To ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, ale nie mam wyjścia. Mechanik utknął między mną a drzwiami wyjściowymi. Przesuwam się, ale nadal mnie blokuje.

– Pani Proctor – dobiega mnie głos, który po raz pierwszy usłyszałam w biurze. Niski, chropowaty.

Odwracam się do niego.

Mierzy prawie tyle co mechanik, ale jest szczuplejszy. Wychudzony, rzekłabym nawet, w stylu podobnych sobie mieszkańców wsi. Jest starszy, może po sześćdziesiątce, i ma plerezę siwych włosów, które powinny łagodzić wyraz jego pociągłej twarzy, ale tego nie robią. Skórę ma bledszą, niż mogłabym oczekiwać, a oczy w kolorze tak zdumiewająco błękitnym, że wydają się należeć do lalki.

Uśmiecha się, ale moim zdaniem to tylko ruch mięśni, a nie emocja. Ma w sobie jakieś emocje, ale są schowane głęboko za tymi oczami.

– Pan Carr – mówię i wyciągam dłoń. Ignoruje mnie, więc szybko ją zabieram.

– Długo pani czeka? – pyta. Chce się dowiedzieć, czy podsłuchałam jego rozmowę z kolegami w biurze.

– Tylko chwilę – odpowiadam. Niech zinterpretuje to, jak mu się podoba. Nie mówię ani słowa więcej. Czekam, by się przekonać, co zamierza.

Jestem świadoma, boleśnie świadoma, że mogę nie opuścić tego pomieszczenia bez walki. Albo żywa. Potrafię szybko wyjąć broń, ale nawet najszybsi mogą nie zdążyć oddać strzału, szczególnie że wystarczyłoby, aby dał znak stojącemu za mną mechanikowi, a znalazłabym się w niedźwiedzim uścisku. Ale mam jeszcze asa w rękawie.

– Czego pani chce? Problemy z samochodem? – Wyraźnie ze mną pogrywa. Słyszę, że mechanik za moimi plecami się przemieszcza. Być może wygląda przez okno. Widzę, jak błękitne oczy Carra przesuwają się na niego i znów na mnie. O Boże. Wiedzą, że w aucie siedzi moje dziecko. Znam Lanny, wiem, że nie otworzy drzwi nikomu poza mną, Samem czy Connorem... ale przecież mogą stłuc szybę. Czy byliby to tego zdolni? W publicznym miejscu, przy głównej ulicy?

– Słyszałam, że pracowała tu Marlene Crockett.

– Tak?

– Tak naprawdę przyszłam zapytać, czy wspomniała kiedykolwiek, że groziła jej własna córka, Vera – wyjaśniam. Wiem, że wybierze prostą odpowiedź, że nie sprawi zawodu.

– Marlene bała się jak cholera tej dziewczuchy – mówi. – W domu nie było mężczyzny, który mógłby wprowadzić niezbędną dyscyplinę. Vera robiła, co chciała. Narkotyki, picie, kurwienie się. To właśnie chciała pani wiedzieć? Można było zapytać kogokolwiek.

Jego śmiech przypomina odgłos noża drapiącego o beton.

– Dzięki. Policja już o to pytała?

– To moja sprawa. Pani już lepiej sobie pójdzie – odpowiada. – Pani Melvin Royal. Radzę uważać na tych ciemnych szosach w drodze do domu.

Odwracam się do niego plecami i ruszam w kierunku mechanika, który wciąż blokuje drzwi. Nie zatrzymuję się. Widzę, że mężczyzna zerka z ukosa na Carra i odsuwa się w ostatniej chwili.

Wychodzę z mrocznego warsztatu na światło słoneczne. To miejsce. Ten zapach. Rdza, olej, ścieki i stara zgnilizna.

I ci ludzie, niewahający się przed pogrózkami. Moje słowa przeciwko ich słowom, jasne. Czuję jednak, że ktoś tu oblicza szanse, że podejmuje decyzje na chłodno.

Pora stąd wyjechać.

Natychmiast.

Odblokowuję SUV-a z breloka i siadam za kierownicą. W ciągu dziesięciu sekund zapinam pas, uruchamiam silnik i wycofuję wóz na główną ulicę. W lesie wcześniej zapada zmrok. Czuję, jak tamci obserwują mnie przez szpary w żaluzjach. Zerkam za siebie. Czarny SUV nadal stoi zaparkowany w tym samym miejscu, ale teraz dołączył do niego drugi, po przeciwnej stronie ulicy. Spoglądam w lusterko, ale żaden z nich nie rusza moim śladem.

– Mamo? – Lanny obserwuje mnie uważnie. – Co się dzieje?

– Wszystko – odpowiadam.

Nagle dzwoni mój telefon. To Connor.

Dowiaduję się od niego, że Sam został aresztowany.

11

SAM

Właściciel schroniska pokazuje nam najlepszy szlak na bezpieczną, niewymagającą wysiłku wyprawę – taki, którego pokonanie zabierze najwyżej kilka godzin i który doprowadzi nas pętlą w pierwotne miejsce. Connor nie wydaje się z początku zbytnio zainteresowany, choć cieszy się, że może dołączyć. Cisza panująca w lesie jest chyba jednak tym, czego potrzebuje, ja również czuję, jak opuszcza mnie wewnętrzne napięcie. To wszystko dzięki zieleni, świeżemu powietrzu, ruchomym cieniom i śpiewowi ptaków. Człowiek przez chwilę jest w stanie oderwać się do tej całej zasranej rzeczywistości, nawet jeśli sam sobie ją wykreował.

Idziemy wzdłuż szlaku, aż w pewnym momencie zatrzymuję się, żeby pokazać mu niemal niewidocznego węża – niejadowitego, pozwalałam mu więc podejść nieco bliżej. Wąż ucieka bez żadnych oznak zdenerwowania, a my kontynuujemy wędrówkę.

– To było ekstra – uznaje Connor.

– Owszem.

– Chciałbym mieć w domu węża. To byłoby ciekawe doświadczenie.

– Jasne, ale wiesz, że musiałbyś karmić go tym, co można znaleźć tylko tutaj? Robakami, myszami i tego rodzaju stworzeniami.

– Mógłbym łapać je w okolicy jeziora – odpowiada. – Żaden problem.

Zastanawiam się, jak na coś takiego zareagowałaby Gwen. Nie wiem, szczerze mówiąc. Wydaje mi się jednak, że jeśli Connor jest naprawdę zainteresowany, poparłaby ten pomysł, nawet jeśli oznaczałoby to żywe myszy w domu.

Lanny mogłaby nie okazać aż takiego entuzjazmu. Wolę nie myśleć o tych wszystkich bitwach i niemożliwej do uniknięcia kampanii pod hasłem „ratujmy myszki”.

Kiedy o tym rozmyślam, Connor nagle się odzywa:

– Mogę zadać ci pytanie? Takie poważne?

– A jak zadajesz niepoważne?

Rzuca mi spojrzenie mówiące o tym, że nie jest mu do śmiechu. Minę ma bardzo poważną.

– Czy ty i mama będziecie razem?

– Wow.

– Odpowiesz mi?

– Kolego, odpowiedziałbym ci, gdybym potrafił.

– Tylko nie mów, że to „skomplikowane”. Wcale takie nie jest. Albo ją kochasz, albo nie. A jeśli nie, nie powinienesz sprawiać, żeby tak pomyślała.

Zastanawiam się nad tym. Przez chwilę spacerujemy w milczeniu. Connor wskazuje bez słów zabę na skraju traktu, która obserwuje nas bez mrugnięcia. Kiedy się zbliżamy, skacze między liście.

– No dobrze – mówię w końcu. – To nie jest skomplikowane. Ale trudne. Rozumiesz dlaczego, prawda?

– Z powodu twojej siostry. Wiem.

– I dlatego, że ona nie potrafi zapomnieć. Ja też nie. Tak więc... w dłuższej perspektywie czasu, czy będziemy razem? Mam nadzieję, że tak. Ale nie mogę ci niczego obiecać.

Szczególnie teraz, kiedy Miranda i cała ta okropna, skalana przeszłość powraca jak wybijająca kanalizacja.

– Cóż, powinienesz obiecać – mówi. – Bo wtedy zostaniesz niezależnie od wszystkiego. A ty nie łamiesz obietnic.

Czuję ukłucie w piersi.

– Chciałbym. To byłoby proste, ponieważ kocham twoją mamę, ciebie i twoją siostrę.

– Ale obietnicy nie złożysz – mówi i kopie leżący na ścieżce kamień.

– Jeszcze nie. Zapytaj mnie o to ponownie pod koniec tygodnia.

Spogląda na mnie podejrzliwie.

– Dlaczego? Co się wydarzy pod koniec tygodnia?

– Tak po prostu mówię. Nie mam zielonego pojęcia.

Daje mi lekkiego kuksańca, na co reaguję tym samym. Słyszę, jak śmieje się szczerze, co nie ma miejsca zbyt często.

– Trochę z ciebie głupol, wiesz o tym? – pyta.

– Tylko trochę? – Podejmuję nagłą decyzję. – Tędy, chodź za mną.

– Ale... – Wskazuje palcem szlak, z którego schodzę. – Droga prowadzi w tym kierunku.

– Tak. Chodź, zgubimy się na chwilę.

Idziemy przez jakiś kwadrans, po czym Connor spostrzega sarnę. Zaczyna coś mówić, ale przykładam palec do ust i powoli przykucam za zaroślami. Robi to samo, naśladowując mnie z uwagą. Nieruchomieję, kiedy sarna podchodzi bliżej. I jeszcze bliżej. Zastanawiam się, czy ktoś kiedykolwiek zabrał tego dzieciaka na polowanie – to coś, co wiązało mnie blisko z adopcyjnym ojcem za młodu. Zastanawiam się jednak, czy byłoby to dobrym pomysłem, zważywszy na nieuniknione skojarzenia z morderstwami ojca. I sposobem, w jaki zabijał.

Ten chłopak ma już zdecydowanie dosyć zabijania w życiu.

Siedzimy w zaroślach i obserwujemy, jak sarna skubie liście i grzebie racicą w poszukiwaniu kolejnych. Jest piękna i przyglądamy się jej z niekłamanym zachwytem. Kiedy się oddala, wstajemy, a ja zauważam nową ścieżkę, rzadko uczęszczaną, biegnącą w innym kierunku. Nie jest to oficjalnie oznaczony szlak, raczej dróżka wydeptana przez leśną zwierzynę.

– Możemy? – pyta Connor, wskazując ją ręką.

– Jasne. A co zrobisz, jak się zgubimy?

Wyciąga z kieszeni kompas przymocowany do łańcuszka zakończonego małym karabińczykiem, który zahacza o szlufkę spodni.

– Pójdziemy na południowy wschód – odpowiada.

– Dlaczego?

– Czy to jakiś test?

– Tak. Zatem?

– Bo najbliższym położonym miejscem jest to schronisko, a ono leży na południowy wschód stąd, prawda?

Chłopak ma dobre poczucie kierunku i orientację przestrzenną. To dobrze.

– A co masz w plecaku?

– Batoniki, latarkę, wodę, mapę, apteczkę i książkę – wymienia. – Wiem, że nic nie mówiłeś na temat książki.

– Doskonale. Książka to nie problem. Poszukajmy dobrego miejsca, żeby przysiąść i poczytać.

Ja również mam przy sobie podstawowy zestaw: kompas, żywność, wodę, mapę okolicy. Do tego niewielki egzemplarz powieści Garrisona Keillora, choć nie wspominam mu jeszcze o tym. Mam również glocka kalibru 9 mm i nóż myśliwski, kieszonkowy zestaw do łowienia ryb i koce izolacyjne na wypadek, gdybyśmy utknęli tutaj na noc. Nauczyłem się w trakcie pobytu w Afganistanie, żeby nigdy nie opuszczać bazy nieprzygotowanym.

I choć przebywamy raczej na przyjaznym terytorium, nigdy niczego nie zakładam z góry. Oboje tak mamy z Gwen.

Idziemy ścieżką przez około pół godziny, kiedy wyczuwam nagle zapach czegoś martwego – silny i słodko-kwaśny odór, który lokuje się gdzieś w gardle. Connor też go czuje, bo zakrywa nos.

– Co to jest? – pyta. – Skunks?

– Mam nadzieję – odpowiadam. Ale to nie skunks. Wiatr zmienia kierunek i zapach znika. Sprawdzam, w którą stronę wyginają się liście. Powiew znów się zmienia, więc schodzę ze ścieżki, żeby znaleźć źródło smrodu. Fetor uderza mnie jak pięść: gorący, tłusty, przyprawiający o mdłości. To nie skunks, żywy czy martwy. To coś większego.

Jesteśmy już poza ścieżką. Zatrzymuję się.

– Sprawdź mapę, Connor – mówię. Chłopiec posłusznie wyciąga ją z plecaka. – Oznacz miejsce, w którym jesteśmy.

Robi to, a ja sprawdzam oznaczenie. Znajdujemy się blisko rzeki Wolfhunter, która stanowi odgałęzienie jednej z większych rzek. Obecnie to raczej spory potok, ale w warunkach powodziowych może być niebezpieczny. Przechodziliśmy nad nim w drodze do schroniska. Niebo jest błękitne i bezchmurne, ale do gwałtownej powodzi może dojść kilka mil w górę rzeki, a to już poważna sprawa.

– Poszukamy tego? – pyta. – Tego czegoś zdechłego?

– A chcesz szukać?

Chwilę się zastanawia, w końcu kiwa głową.

– Tak.

– Wiesz, że widok może nie być przyjemny, prawda?

– Wiem. – Jestem przekonany, że wie. Jest wystarczająco duży, żeby korzystać z Google z wyłączoną kontrolą rodzicielską bez wiedzy Gwen. Podnosi na mnie wzrok. – Tak trzeba postąpić. To może być zwierzę, a jeśli

nie? Ludzie tu znikają.

Gwen mnie za to zamorduje, ale nie zamierzam traktować tego dzielnego chłopaka, jakby był ze szkła.

– Okej – rzucam. – Zaznaczaj drogę na mapie, jak będziemy się przemieszczać.

Wyjmuję marker i rysuję po drodze linie na pniach. Jest ich tu sporo, ale ściółka jest stosunkowo płaska i nie sprawia nam trudności. Płoszymy ptaki, które zrywają się do lotu z krzykiem, jednak zostaje on niemal zagłuszony przez szumiące drzewa. Pod ich osłoną robi się ciemniej, proszę więc Connora, żeby wyjął latarkę. Ja również wyciągam swoją. Halogenowe strumienie tną mrok jak skalpele. Poszerzam stożek światła w mojej latarce. Nie sięga już tak daleko, ale widać lepiej, co znajduje się po bokach.

Jest spokojnie i cicho, nie licząc szumu drzew i odległych teraz treli ptactwa. Żadnych odgłosów ruchu samochodowego, żadnych samolotów w górze. Im dalej się posuwamy, tym bardziej jesteśmy odizolowani, a ja zaczynam się niepokoić o zwierzęta. Zwłoki przyciągają padlinożerców, w szczególności niedźwiedzie.

Nie musimy jednak iść tak daleko i nie widzimy niedźwiedzi, a jedynie małego, nakrapianego rysia, który umyka chyżo, kiedy tylko się zjawiamy.

Zapach staje się coraz intensywniejszy. Z początku nie widzę padliny, a przynajmniej nie rozpoznaję jej kształtu. Leży przy brzegu rzeki Wolfhunter, omywana przez zielonkawe wody. Przez chwilę odnoszę wrażenie, że to sarna, ponieważ ma nienaturalny kształt i ciemną barwę pomimo blasku naszych silnych latarek.

Ale sarny nie noszą sandałów. Nie miewają również aparatów na białych, odsłoniętych zębach.

– Cofnij się – mówię do Connora i staję przed nim. – Trzy metry do tyłu, natychmiast.

– To... – Chłopiec jest wyraźnie wstrząśnięty. – To nie jest ciało, prawda?

– Connor, rób, co mówię. Oddal się o trzy metry. Nie patrz. – Zasłaniam nos i usta zgięciem łokcia i podchodzę bliżej. Nie ma na sobie ubrania, nie licząc butów. Przyprowadził ją tutaj, myślę. Może błagała, żeby nie kazał jej zdejmować butów, a on się łaskawie zgodził. Nie widzę w pobliżu

zadnych śladów odzieży. Nie potrafię stwierdzić, jak umarła, jak mogła wyglądać, ani nawet jakiej była rasy. Zwłoki są tak napuchnięte i zniekształcone, że przypominają rekwizyt filmowy z Hollywood. Ma – miała – jednak jasne włosy. Ich kłęby zostały wyrwane i wiszą teraz na pobliskich krzakach, część pasm faluje łagodnie z płynącej wodzie. Były już tu zwierzęta. Prostuję się szybko, uzmysłowiwszy sobie, ile larw żeruje na ciele – wije ich się cała armia. Wszędzie latają muchy.

Dostrzegam puste oczodoły, wpatrzone w ciemne drzewa, jakby w poszukiwaniu nieba.

– Sam? – Connor jest jeszcze bardziej zdenerwowany. – Sam?

Wracam do niego. Zgasił latarkę i oddycha stanowczo zbyt szybko. Odwracam go w swoją stronę.

– Connor, posłuchaj mnie uważnie. Oddychaj głęboko, dobrze? Dobrze się stało. Dobrze, że tu przyszliśmy i ją znaleźliśmy. Teraz musimy wracać i zadzwonić po policję.

– Czy ktoś ją zabił? – pyta trzęsącym się głosem. Kładę mu dłoń na czole. Jest wilgotne i zimne. Wyciągam jeden z metalicznych koców termicznych i owijam go. – Ktoś ją tu zostawił? Tak jak mój tata...

– Może wcale tak nie było – kłamię, bo wiem, że potrzebuje teraz słów otuchy. – Mogła być turystką, która się zgubiła, miała atak serca albo coś w tym rodzaju. Ale dobrze, że nie jest już tutaj zupełnie sama.

To go trochę uspokaja. Kiwa głową i ciasniej owija się kocem.

– Dobrze, wróćmy tą samą drogą – mówię. Wyciągam telefon i sprawdzam sygnał. Jest zasięg, ale słaby. Mimo to po drodze wybieram 911. Connor wpatruje się w mapę, jakby to był GPS. Z pewnością nie myśli teraz trzeźwo. Używam wbudowanego z drugiej strony latarki światła ultrafioletowego w poszukiwaniu znaków na pniach drzew. Na szczęście wiem dobrze, w którym kierunku powinniśmy iść.

– Posterunek policji w Wolfhunter, w czym mogę pomóc? – W słuchawce odzywa się głos. Cichy, lekko rwący się. Połączenie grozi zerwaniem.

– Chciałbym zgłosić odnalezienie zwłok – odpowiadam. – Na południowym brzegu rzeki Wolfhunter, około dwie mile od Wolfhunter River Lodge.

– Nie usłyszałam wszystkiego, proszę pana. Czy może pan powtórzyć...

Połączenie zostaje zerwane. Cholera. Próbuję ponownie, ten sam głos.

– Dzwonię, żeby zgłosić odnalezienie zwłok. Południowy brzeg rzeki Wolfhunter, dwie mile od...

– Potrzebne mi pańskie nazwisko.

– Sam Cade. Około dwie mile od schroniska Wolfhunter River Lodge.

– Czy ta osoba oddycha?

Przed oczami pojawia mi się nabrzmiała, poczerniała skóra.

– Nie.

– Próbował pan ją reanimować?

– Nie. To zwłoki w fazie rozkładu. – Wiem, że muszą zadać te pytania, choć doprowadzają mnie tym do szału. Podobnie jak Connor, wciąż borykam się z tym widokiem, choć w przeciwieństwie do niego widziałem już gorsze. – Wracamy do schroniska. Proszę wysłać ludzi. Zaprowadzę ich w to miejsce. Zostawiliśmy znaki na szlaku.

Rozłączam się, zanim połączenie znów zostaje przerwane. Wsuwam telefon do kieszeni, kiedy słyszę trzask łamanej gałęzi. Potem szelest. Coś tam jest.

Może jednak jakiś niedźwiedź.

Bezgłośnie nakazuję się Connorowi zatrzymać. Jego metaliczny koc szeleści, ale nic na to nie mogę poradzić. Powoli opuszczam plecak na ziemię i wyciągam pistolet. Chowam latarkę. Kucam, a Connor robi to samo.

Przykładam palec do ust. Twarz chłopca jest jeszcze bledsza, cały się trzęsie, ale kiwa głową.

Jestem świadom strzału dlatego, że drzewo obok mnie eksploduje drzazgami, z których jedna wbija mi się w ramię. Przetwarzam to wszystko – huk i świadomość, że jesteśmy w poważnych opałach. Chwytam Connora za ramię i pociągam w prawo, za wielki, sękaty dąb.

– Zostań tutaj. Połóż się na ziemi. Rozumiesz?

– To był strzał? – pyta. Cały się trzęsie, wydaje się trochę nieobecny.

– Zostań – powtarzam. Muszę odciągnąć ich od dziecka. Nie da sobie teraz rady, jest w szoku. – Connor! Rozumiesz?

Przytakuje. Przemieszczam się do następnego drzewa i nasłuchuję kroków. Niczego nie słyszę. Ktokolwiek oddał strzał, stoi teraz w bezruchu.

Czeka.

Muszę mu dać coś, do czego będzie mógł strzelić. Zdejmuję z głowy jaskrawą, pomarańczową czapkę i rzucam niczym frisbee. Czapka leci dobre sześć metrów, po czym zmienia kurs i odlatuje pod innym kątem. Nie słyszę strzału, który ją trafił, ale odgłos dociera do mnie sekundę później.

Całkiem dobry strzelec, tyle że powolny. Pierwszy strzał oddał odrobinę za szybko, za bardzo napompowany adrenaliną, ponieważ kula minęła moją głowę w odległości kilkunastu centymetrów. Gdyby chwilę zaczekał, zdmuchnąłby mnie jak świeczkę.

Spoglądam w stronę Connora. Nie podoba mi się, że muszę zostawić go tam samego, dygoczącego, ale to jedyny sposób. Muszę odciągnąć tego faceta, a ponadto rozprawić się z nim, bo zagroził mojemu dziecku. *Mojemu* dziecku. Nigdy nie czułem tego tak mocno jak w tej chwili, tej potrzeby chronienia Connora za wszelką cenę.

Schylam się mocno i przebiegam za następną osłonę, zakładając, że nie jest tak dobry w oddawaniu kolejnych celnych strzałów. Nie jest. Wystrzał rozlega się późno, a pocisk trafia w drzewo, za którym już się kryję. Między tym pnem a następnym rośnie gęstwina krzaków, kładę się więc i czołgam w wojskowym stylu, opierając ciężar ciała na przedramionach i palcach stóp.

Poruszam się szybko i cicho, a skręcając, przechodzę do kucnięcia. Jestem przy gęstym drzewostanie, który wydaje się zupełnie nie do sforsowania od tej strony. Wykorzystuję to, aby obejść roślinność szerokim łukiem, dzięki czemu powinienem mieć go na widoku.

I mam.

Jest ich dwóch, w leśnym kamuflażu, żadnych jaskrawych kamizelek zakładanych przez myśliwych – strzelec i obserwator. Nie chcą zostać zauważeni. Przychodzi mi na myśl, że obaj mogą mieć doświadczenie wojskowe. Jeśli tak jest, obserwator rozpocznie skanowanie otoczenia... teraz.

Zgodnie z moimi przewidywaniami, drobniejszy facet przestaje patrzeć prosto przed siebie i przechodzi do powolnej, skrupulatnej obserwacji po łuku. Zastygam w bezruchu. Jestem przekonany, że mnie nie zauważy.

Łamię gałązkę – niewielką, taką, której trzask mogłaby spowodować

nornica czy ryjówka. Dokładam do tego delikatny szelest wywołany czubkiem buta.

Drugi z facetów musi chronić tyłek snajpera – to również jego zadanie. Rusza to sprawdzić. Mógłbym bez większego problemu zastrzelić teraz ich obu, na co z całą pewnością zdecydowałaby się Gwen. Jeśli jednak to zrobię, nie dowiem się, kto nasłał na nas tych dupków.

Czekam, a kiedy facet przechodzi obok, podnoszę się i przyciskam mu lufę pistoletu do karku. Zastyga na sekundę, co jest wystarczającym czasem, żeby kopnąć go w zgięcia kolan i posłać na ziemię.

– Nie podnoś się – mówię i odbieram mu karabin. Odwracam się, żeby strzelić do jego kolegi, który przetacza się, chcąc we mnie wycelować. Ściągam spust trzy razy, idąc w jego stronę w idealnie prostej linii. Wyraźne ostrzeżenie. To wielki, brodaty facet, a mi pozostaje mieć nadzieję, że jeśli jest zawodowcem, zrozumie powagę sytuacji, rzuci broń i się podda.

Nie robi tego. Unosi lufę w moją stronę i strzela na oślep, z dala od celu, dokonał jednak wyboru i jednocześnie odebrał go mnie.

Strzelam mu bez wahania w głowę. Śmierć następuje niemal natychmiast – jego oczy wywracają się, a ciało staje się bezwładne. Jeden spazm i koniec.

Odwracam się do jego kolegi współnika, który zachował rozsądek i leży nieruchomo. Przykładam mu lufę do głowy, co powoduje skwierczenie kilku jego włosów.

– Nie ruszaj się. Zrozumiałeś?

– Tak, tak, jasne – odpowiada posłusznie. Leży płasko na brzuchu z rozłożonymi na bok rękami. Przeszukuję go od tyłu, obracam na plecy, po czym szukam drugiej broni, przyciskając mu wciąż gorącą lufę do czoła. Facet się krzywi. Kiedy kończę i się podnoszę, zostawiam mu na opalonym czole idealne czerwone kółko.

– Jesteś z marines, czy co? – mówi z miejscowym akcentem.

– Siły powietrzne.

– Cholera. Nie wiedziałem, że uczą takich gówien w szkole latania.

– Armia? – zgaduję, a on przytakuje. – Przykro mi, bracie. Kto cię wysłał?

– A kto powiedział, że ktokolwiek mnie wysłał?

Wzruszam ramionami.

– Z tego, co mi wiadomo, nie ma akurat sezonu na dzieciaki.

– Stary, wzięliśmy cię za łanię, to wszystko.

– Gówno prawda. Ktoś was nasłał.

– Zastrześliś Trávisa?

– Jeśli to ten twój kolega, to owszem. Nie miałem wyboru – odpowiadam.

– Zginął od razu.

– No to się pierdol, kolego. Gówno ci powiem. – Jest szczupłym, twardym facetem po trzydziestce i weteranem, ale oczy ma wypełnione łzami. Dostrzegam w nich prawdziwą wściekłość. – Zabiłeś mojego kuzyna.

Poprawiam chwyt na broni.

– Kto was wynajął?

– Pierdol. Się.

Twardziel, wiem o tym. Żal robi coś takiego niektórym ludziom. Miałem nadzieję, że zdołam go zmusić do mówienia, ale natrafiam na lity mur. Może gliniarze coś z niego wyciągną. Mnie się nie uda.

Słyszę cichy, metaliczny szelest i odwracam głowę w tym kierunku. Connor zrzucił koc i zbliża się między drzewami. Podnoszę dłoń i zatrzymuję go w miejscu. Wyciągam telefon i ponownie wybieram 911. Informuję o strzelaninie z ofiarą śmiertelną oraz że mam jednego ze sprawców na muszce. Mam nadzieję, że to poprawi ich tempo.

– Nic ci to nie da – mówi mój jeniec. Operator na policji prosi, bym się nie rozłączał, więc tego nie robię. Kładę telefon na ziemi tuż obok.

– Dlaczego nie? – pytam. – Masz przyjaciół w wysokich kręgach, tak?

Nie przestaje się na mnie gapić. Naprawdę marzy o tym, by mnie zabić, czuję, jak wściekłość aż z niego paruje.

– Nie ja – odpowiada i zaciska zęby, co tylko technicznie rzecz biorąc może ujść za uśmiech. – Travis był gliniarzem, a ty go właśnie zabiłeś z zimną krwią. Widziałem to na własne oczy, pierdolony morderco! – Unosi głos.

– On nikogo nie zamordował – odzywa się Connor. – A ty próbowałeś nas pozabijać.

– Odbiło ci, chłopcze. Dlaczego dwóch myśliwych na polowaniu miałyby chcieć cię odstrzelić? To temu dupkowi totalnie odbiło!

Wiem, o co mu chodzi. Chce, żeby wszystko nagrało się na policji.

Pochyliam się i rozłączam rozmowę. Za późno. Już mamy przechlapane. Jasne, mogę udowodnić, że strzelał Travis, pokazując choćby rozerwaną pomarańczową czapkę, ale takie coś wymaga kredytu zaufania, a szala przechyliła się mocno w stronę miejscowych i gliniarzy. Travis był jednym i drugim.

Ponownie kieruję broń w stronę tamtego.

– Jak się nazywasz?

– Wal się.

– Dobra, panie Walsię, oto co zrobimy. Powiesz całą prawdę, bo jeśli tego nie zrobisz, zwałę na ciebie wszystkie nieszczęścia tego świata. Policję stanową, FBI, kogokolwiek, komu będę musiał pokazać, że jesteś pieprzonym kłamcą, wynajętym, żeby wpakować mi kulkę w łeb. Jeśli szybko nie zmądrzejesz, odsiedzisz ze spokojem dwadzieścia lat. Kto ci zapłacił?

Zaciska usta, opuszcza brodę i rzuca mi spojrzenie mówiące wyraźnie, że nie zamierza współpracować. Nie ze mną i prawdopodobnie za żadną cenę. Zapłacili mu wystarczająco dużo, żeby trzymał gębę zamkniętą na kłódkę. A może boi się, że będzie następny na liście. Jedno lub drugie może być prawdą.

– Możemy już wracać do schroniska? – pyta Connor. Jest wyczerpany i wstrząśnięty.

– Przykro mi, ale nie. Musimy tutaj poczekać. Owiń się, nie marznij. Usiądź i coś zjedz.

Kiwa głową. Kilka minut później wygląda dużo lepiej – zjada batonik i popija go wodą z manierki. Siedzi owinięty w koc jak lśniące, foliowe burrito. Znów uświadamiam sobie z bólem, że jest tylko dzieckiem, które w ciągu jednego popołudnia widziało rozkładające się zwłoki, stało się tarczą strzelniczą i było świadkiem śmiertelnego postrzału. Nawet jeśli nie widział, jak strzela Travis – mam nadzieję, że jednak nie – wie dobrze, co się wydarzyło.

Moim zadaniem było go chronić. To miała być zwyczajna przechadzka po lesie.

Nie umiem sobie wyobrazić, jak zareaguje Gwen... co przypomina mi, że

powiniennem do niej zadzwonić. Kiedy jednak wybieram numer, słyszę tylko sygnał i pocztę głosową. Nie zostawiam wiadomości. Nie mam pojęcia, jak miałbym to wszystko opisać. Oddzwoni, kiedy zobaczy, że próbowałem się skontaktować.

Mam nadzieję, że jest bezpieczna. Nagle uświadamiam sobie z przerażeniem, że jeśli ktoś próbował zabić mnie i Connora, to Gwen i Lanny również mogą być w niebezpieczeństwie. Powiniennem był dojść do tego wniosku dużo wcześniej, ale tak samo jak w przypadku Connora, mój mózg nie pracuje teraz ze szczytową wydajnością. Właśnie zabiłem człowieka. Spokój i skupienie, które czuję podczas walki, zaczynają ustępować, a przed oczami pojawiają się konsekwencje.

Oddzwon, Gwen.

Ale nie oddzwania. Chciałbym jej powiedzieć, że zrobiłem, co w mojej mocy. Chciałbym powiedzieć, że ją kocham.

Nie mam jednak takiej możliwości.

Kiedy zjawia się policja, odkładam broń na ziemię, klękam i kładę dłonie na karku. Mimo to zostaję brutalnie powalony. Czuję kolano wbite w plecy, pokrzykiwania gliniarzy. Facet na ziemi też wrzeszczy, informując wszystkich dookoła, że jestem zimnokrwistym mordercą i że zastrzeliłem jego kuzyna. Nie widzę nigdzie Connora. Mam nadzieję, że nie potraktowali go siłowo, ale nic nie mogę zrobić. Zupełnie nic.

– Puście go! – Dociera do mnie tak przeraźliwy krzyk Connora, że aż pęka mi serce.

Odwracam głowę w tamtą stronę.

– Hej! – wołam do niego. – Przestań, Connor. Uspokój się. Wszystko jest w porządku. Nie martw się niczym.

– Zabiłeś gliniarza, gnoju jeden – warczy policjant nad moją głową. – Uwierz mi, nic nie jest w porządku. Czeka cię igła, więc zamknij już ryj.

Coś uderza mnie w tył głowy, a świat wokół mnie staje się miękkim i rozmytym. Próbuję się ruszyć, ale wszystko się ode mnie oddala.

Spadając w ciemną otchłań, myślę tylko o bezpieczeństwie Connora.

12

GWEN

Kiedy przyjeżdżam do schroniska, panuje tam istny chaos. Na parkingu stoją cztery wozy policyjne, dwa ambulansy i jeden nieoznakowany samochód. Serce wali mi w piersi, a w ustach czuję suchość. Lanny zasypuje mnie pytaniami, na które nie umiem jej odpowiedzieć. Parkuję auto i błyskawicznie wysiadam. Moja córka biegnie wraz ze mną w kierunku budynku.

– Mamo! Co się dzieje?

Nie wiem i to mnie przeraża.

Drogę blokuje mi policjant w mundurze – wielki facet, zerkający na mnie spod daszka czapki.

– Nie może pani tam wejść – mówi. – Schronisko jest zamknięte.

– Gdzie jest mój syn? – Wiem, że powinnam być bardziej opanowana. Nie potrafię taka być. – Connor Proctor! Gdzie on jest?

– Proszę się cofnąć – rozkazuje. Nie cofam się ani o krok. Kiedy do mnie podchodzi, zderzam się z jego piersią. Zatrzymuje się, ponieważ nie jest do końca pewny, czy powinien zmusić mnie do odejścia i gorączkowo kalkuluje, jakie mogą być tego konsekwencje.

– Mamo! – Lanny chwyta mnie za ramię. – Gdzie jest Connor? Jego też aresztowali? Co się dzieje?

– Próbuję się dowiedzieć, kochanie – odpowiadam spokojnie i z jakiegoś powodu policjant cofa się o krok. Być może zdecydował o tym fakt, że towarzyszy mi poważnie zaniepokojona dziewczyna. Przenoszę ponownie na niego całą swoją uwagę i zaczynam od początku.

– Nazywam się Gwen Proctor...

– Wiem, kim pani jest – mówi. Twarde spojrzenie, oczy jak kamyki w wodzie. – Proszę się cofnąć.

– Tam jest mój syn! To jeszcze dziecko!

– I zostanie wyprowadzony... – Przerywa, gdyż w tej samej chwili zza

linii drzew wychodzi grupa osób. Sanitariusze toczą nosze na kółkach z kimś leżącym bezwładnie. Dostrzegam plamę krwi i moje serce zastyga. Nogi się lekko pode mną uginają, a Lanny natychmiast mnie przytrzymuje. W jakiś sposób stoję nadal.

To nie Connor. To Sam. Na prześcieradle, na którym leży, dostrzegam krew, ale nie widzę rany. Boże, czy ktoś strzelił mu w plecy? Policjant znów mnie blokuje, ale kiedy nosze przejeżdżają obok, podbiegam do nich. W grupie jest kilku policjantów, ale przebijam się przez nich i widzę, że Sam oddycha.

Jest przykuty kajdankami do poręczy.

Jakiś policjant odpycha mnie od noszy. Czuję, jak wszystko we mnie wrze.

– Zabierz ode mnie te łańskie! – krzyczę. – Strzelaliście do niego?

– Proszę pani, proszę się uspokoić, został tylko lekko ranny podczas szarpaniny – wyjaśnia policjant. Kiedy przenoszę na niego spojrzenie, okazuje się, że to młody chłopak, który wygląda, jakby wciąż był w wieku, w którym nikt nie sprzeda mu alkoholu. Sprawia wrażenie szczerego i nieco zagubionego, więc odpuszczam. Ale tylko odrobinę. – Nic mu nie będzie.

– Żadnych obietnic – rzucam. – Gdzie jest mój syn? Connor Proctor?

– Mamo? – Głos Connora rozlega się za moimi plecami. Widzę, jak się zbliża, towarzyszy mu jeden funkcjonariusz. Jest owinięty w koc termiczny i zdecydowanie zbyt blady. Podbiegam do niego i biorę w ramiona. Nie ma przynajmniej założonych kajdanek, co biorę za dobry omen, bo w przeciwnym razie byłabym gotowa stawić czoła całej policji. Mój syn wygląda, jakby był w szoku.

– Kochanie? – Całuję go w policzek i odsuwam lekko, by się mu lepiej przyjrzeć. Żadnych śladów obrażeń. – Czy ktoś cię skrzywdził?

Potrząsa głową.

– Nie, wszystko jest w porządku – mówi niższym i głębszym głosem niż zazwyczaj. – Ale skrzywdzili Sama. Widziałem na własne oczy.

Stojący obok niego policjant marszczy czoło, więc szybko wtrącam:

– Pogadamy o tym później, dobrze? – Przytulam Connora opiekuńczym gestem i patrzę mężczyźnie prosto w oczy. – Chciałabym zabrać go do

pokoju. Natychmiast.

– Proszę pani, on musi pojechać na posterunek i złożyć zeznania.

– Proszę na niego spojrzeć! On nie jest w stanie...

– Nie. – Connor robi krok wstecz i zrzuca koc. Mam wrażenie, że mój syn podrósł w tym momencie o kilka centymetrów, że stał się starszy, co łamie mi serce. – Muszę pojechać, mam. Muszę opowiedzieć całą prawdę, Sam tego potrzebuje. Nic mi nie jest. – Nie ma to zbyt wiele wspólnego z prawdą, ale nie mogę go całkowicie przed tym ochronić.

Przenoszę wzrok na policjanta.

– On jest małoletni – mówię. – Jadę z nim. Moja córka również, nie zostawię jej tutaj samej. – Nie może się ze mną nie zgodzić w żadnej z tych kwestii, choć widzę, że gorączkowo szuka argumentów. Nie zamierzam dawać mu na to czasu. – Zawiozę go na posterunek.

– On będzie musiał pojechać z nami, proszę pani. – Nie poddaje się w tej kwestii, bo wie, że choć tyle może ze mną ugrać. – Jest kluczowym świadkiem morderstwa funkcjonariusza policji.

– Okej – rzucam oschle. – W takim razie zabierze nas pan wszystkich razem.

Nie znajduje żadnego argumentu do dalszej dyskusji, więc pakujemy się całą trójką na tylne siedzenie wozu patrolowego. Od policjanta na przednim siedzeniu dzieli nas stalowa siatka, a tylne drzwi – wiem to z doświadczenia – nie otwierają się od środka. Jesteśmy uwięzieni w klatce. Dokładnie tam, gdzie chcą, żebyśmy się znaleźli.

Nie pozostaje mi nic z wyjątkiem własnej inicjatywy.

Kiedy jedziemy do Wolfhunter, a nad tym dołującym, zdewastowanym miasteczkiem zapada zmrok, zaczynam pisać wiadomości do swoich kontaktów.

Wszystkich możliwych.

Siedzę w pokoju przesłuchań, podczas gdy Connor składa zeznania. To wszystko, o czym opowiada, wręcz odbiera mi mowę... i do tego te zwłoki, które znaleźli. Zasadzka w drodze powrotnej do schroniska. Akcja Sama.

Wyczuwam, że Connor nie kłamie. Mówi o wszystkim otwarcie i wprost, nawet kiedy oświadcza detektywowi – miejscowemu, którego nie znam – że nie widział faktycznego postrzału, o który oskarżono Sama. Wyrzwał tylko zza drzewa, kiedy usłyszał huk.

To w niewielkim stopniu pomocne dla Sama, cieszę się jednak, że nie zmyśla żadnej historii. Zweryfikowanie słów dziecka w jego wieku nie stanowiłoby dla nich najmniejszego problemu.

Choć wiem, jak odważny bywa Connor, opuszcza głowę, kiedy detektyw wychodzi z pomieszczenia. Wiem, że płacze. W końcu, myślę sobie. Chwytam kilka chusteczek i podaję mu. Cieszę się, że mój syn wreszcie może się wypłakać.

– Nie czuj się winny, skarbie – mówię do niego, kiedy przestaje. – Sam nie chciałby, żebyś kłamał. Powiedziałeś prawdę i tylko to się liczy.

– Wiem – odpowiada. – Ale mam... oni go tak potraktowali...

Wciąż pamięta, jak obchodzono się ze mną, kiedy zostałam aresztowana. Odbyło się to zapewne nieco łagodniej niż w przypadku tych miejscowych gliniarzy, ale sytuacja była wystarczająco traumatyczna, żeby pozostawić ślad w moich dzieciach.

– Nic mu nie będzie. Poprosiłam Hectora Sparksa, żeby pojechał do szpitala i zajął się nim na wypadek, gdyby policja chciała zbyt szybko uzyskać od niego zeznania. Mike Lustig przyjedzie do Wolfhunter tak szybko, jak to tylko możliwe. Kezia i Javier wiedzą już, co się wydarzyło. Wszystko się ułoży, obiecuję.

– Nie obiecuj – odpowiada i uśmiecha się ze smutkiem. – Sam nie obiecuje.

Nie wiem, o co mu w tej chwili chodzi, ale nie naciskam. Teraz nie pora na takie rzeczy.

– Przykro mi, że musiałeś przez to wszystko przejść – mówię. – Wiem, jak się musisz czuć. Wiem też, że z pewnością przypomniały ci się rzeczy, o których wolałbyś już zapomnieć.

– W porządku – odpowiada bez przekonania. – Cieszę się, że ją znaleźliśmy. To niesprawiedliwe, żeby tak tam... leżała. Jakby nikogo nie obchodziła.

– Została odnaleziona – mówię delikatnie. – Dzięki tobie i Samowi.

– To pewnie jedna z nich, tych zaginionych kobiet.

– Możliwe, ale nie wiemy tego na pewno.

Connor kręci głową.

– Ja tak uważam.

Nie próbuję mu tego wyperswadować. Pytam, czy chce czegoś do picia, a kiedy przytakuje, pukam do zamkniętych drzwi i proszę o butelkę wody. Dostarcza ją ten sam detektyw, który pojawił się wcześniej. Przynosi ze sobą wydrukowane oświadczenie, po czym kładzie butelkę, formularz i długopis przed moim synem.

Connor odruchowo chwyta długopis, ja podnoszę kartkę.

– Co to jest? – pytam.

– Dokonaliśmy transkrypcji jego zeznania, proszę pani. Potrzebny mi tylko jego podpis – odpowiada detektyw. Zaczynam czytać. Wystarczy, że docieram do drugiego zdania, by podjąć decyzję o odebraniu długopisu Connorowi i wprowadzeniu kilku uwag. Ta transkrypcja przypomina raczej swobodne parafrazowanie. Oddaję kartkę detektywowi, który nie sprawia wrażenia zadowolonego.

– Proszę pani, to pochodzi prosto z nagrania...

– Z całą pewnością – rzucam i wyciągam telefon. – Proszę, zagrajmy w małą grę. Mój dyktafon również nagrywał.

Odchrząkuje, patrzy na mnie przez kilka sekund, po czym wstaje i bez słowa opuszcza pomieszczenie. Connor patrzy na mnie rozszerzonymi oczami.

– Wow, serio? Nagrałaś to?

Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam, tak na wszelki wypadek. Uśmiecham się tylko.

Kiedy zeznanie wraca po raz drugi, można je wreszcie porównać z tym, co zapamiętałam z wypowiedzi Connora. Proszę, by je przeczytał i poprawił wszystko, co się nie zgadza. Poprawia jedno zdanie, po czym składa podpis. Zanim dokument wraca do rąk detektywa, fotografuję go szybko.

To wywołuje jeszcze mniej przychylną reakcję ze strony mężczyzny. Jestem przekonana, że zamierzali spróbować coś zamataczyć, ale teraz, kiedy dysponuję zdjęciem, nie mogą już nic zrobić. Zwłaszcza jeśli mam nagranie. Nie dysponuję nim, ale nie mogą być tego pewni.

Wymieniamy spojrzenia i mężczyzna wychodzi.

Connor odkręca z trzaskiem butelkę i pije łąpczywie, jakby był to jego pierwszy kontakt z płynem w ciągu dnia. Zamierzam mu powiedzieć, żeby zwolnił, ale tego nie robię. Kiedy butelka zostaje opróżniona, zabieram ją, ale nie wyrzucam. Ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała, byłoby wykorzystanie przez nich DNA do zrobienia w coś mojego syna, a sądząc po tym, co widziałam do tej pory, jestem przekonana, że komendant policji ma coś za uszami. I nie chodzi tu o mojego syna.

Chodzi o pokazanie mi, kto tutaj rządzi.

Wiem, że znów powraca moja stara i znajoma paranoja – mogliby w końcu zebrać DNA z długopisu, którego używał, lub z kartki, którą podpisał – ale przede wszystkim zależy mi na jego bezpieczeństwie. Czuję się nieswojo już choćby z tej przyczyny, że siedzimy zamknięci w tym pomieszczeniu.

Dzwoni mój telefon. Zerkam na wyświetlacz i widzę numer Hectora Sparksa.

– Pani Proctor? Tak, chciałbym tylko poinformować, że jestem w szpitalu. Pan Cade jest przytomny. Zrobili mu właśnie prześwietlenie czaszki, ale on sam uważa, że czuje się dobrze. Założyli mu na głowie pięć szwów. Znając komendanta Weldon, jestem przekonany, że już przygotował sobie jakąś historyjkę o tym, jak gwałtownie pan Cade opierał się przy aresztowaniu. Nie ma sensu próbować temu zaprzeczać, nie w tym miasteczku, w którym jedynymi świadkami byli inni policjanci.

Oddycham nieco spokojniej, choć wciąż czuję przepełniającą mnie złość. I nagle zastygam.

– Chwileczkę... Komendant tutejszej policji nazywa się Weldon?

– Tak – przyznaje Sparks. – Dlaczego pani pyta?

Weldon był jednym z mężczyzn obecnych w warsztacie wraz z właścicielem, Carrem. Nie podoba mi się to wszystko. Nic a nic.

– Zostanie pan tam, dopóki nie przyjadę?

– Mogę zostać jeszcze... – niemal słyszę, jak zerka na zegarek – ...dwie godziny. Jednak z tego, co usłyszałem od funkcjonariusza Helmera, zaraz po zwolnieniu ze szpitala przewiozą go prosto na posterunek. Zakładam, że już tam pani jest?

– Tak.

– Znakomicie. Pojadę zatem zaraz po jego wypisaniu. Nie chciałbym, żeby pani Pall czekała z posiłkiem.

Broń Boże, mam ochotę warknąć, ale jakoś się opanowuję. Pomoc prawna ze strony Sparksa jest teraz zapewne zbędna, nie mogę jednak zrazić do siebie jedyne go prawnika, którego znam.

Ponownie pukam do drzwi. Otwiera je ten sam gliniarz.

– Mój syn ma dopiero dwanaście lat. Przeżył naprawdę trudny dzień. Złożył już swoje zeznania, więc albo go nakarmcie, albo nas wypuście.

– Proszę zaczekać w środku – odpowiada i zatrzaskuje mi drzwi przed nosem. Czekam więc, krążąc jak lew po klatce, podczas gdy Connor siedzi spokojnie przy stole. Zamierzam wyjść, zanim zjawi się tutaj Sam.

Moje życzenie się spełnia, kiedy gliniarz otwiera po pięciu minutach drzwi i mówi:

– Możecie iść. Ale mam też nakaz od komendanta: proszę nie opuszczać miasteczka.

Zwykle pieprzenie, dobrze o tym wiem. Connor nie jest o nic oskarżony, jest tylko świadkiem, a nie mogą w ten sposób potraktować małoletniego. Nie przeciągam jednak struny. Wyprowadzam Connora na korytarz i do obszaru recepcyjnego. Lanny siedzi na krześle ze słuchawkami na uszach, ale zrywa się na równe nogi na nasz widok. Podbiega do Connora i przytula go mocno.

– Nie strasz mnie w taki sposób – szepcze do niego, kiedy mocno przyciska ją do siebie. Czuję, że do oczu zaczynają napływać mi łzy. Gdybym pozwoliła im popłynąć, byłyby to dla odmiany dobre łzy.

Lanny przytula się teraz do mnie.

– Wychodzimy stąd? Możemy zobaczyć się z Samem? Nadal jest w szpitalu?

– Powinniśmy tutaj zaczekać – odpowiadam. – Przywiozą tu Sama zaraz po zakończeniu badań. Mam nadzieję, że będą się spieszyć z postawieniem mu zarzutów.

– Masz nadzieję? Dlaczego? – pyta zdumiony Connor. Uśmiecham się do niego.

– Bo im szybciej to zrobią, tym szybciej będzie można go zwolnić za

kaucją i tym szybciej będziemy mogli opuścić to cholerne miejsce.

- Ale... co będzie, kiedy nie wyznaczą kaucji? – pyta z niepokojem Lanny.
- Co, jeśli...
- Jeden kryzys po drugim, nie wszystko naraz, dobrze?

Przywożą Sama. Nie możemy do niego podejść, ale kiedy przechodzi obok, nasze spojrzenia się spotykają na kilka bezcennych sekund i wypowiada bezgłośnie „wszystko jest w porządku”.

– Będę tu czekać – wołam za nim, kiedy zabierają go prosto na przesłuchanie.

Trwamy w oczekiwaniu, aż o dwudziestej drugiej dowiaduję się w końcu, że aresztowano Sama za zabójstwo.

Formalne oskarżenie zapada o północy. Lanny miała rację. Nie wyznaczają kaucji, nie mam też żadnej możliwości porozmawiania z nim. Nie powinnam być wstrząśnięta, ale jestem. Do tego wystraszona. Nie chcę, żeby Sam spędził noc w areszcie, nie w tym miasteczku. Powinnam była się domyślić, że wezwą miejscowego sędziego, i odpowiednio wszystko zaplanować, ale jestem zmęczona, wystraszona i czuję się bardzo bezbronna.

Jedynym pocieszeniem jest pojawienie się Mike’a Lustiga w sądzie, kiedy zabierają Sama. Mike jest dobrym facetem. Do tego czarnoskórym agentem FBI, co okaże się – jestem o tym przekonana – najgorszym koszmarem komendanta Weldona. Opowiadam mu przez dziesięć minut o wszystkim, czego się dowiedziałam, nie pomijając podsłuchanej rozmowy, w której brał udział komendant. Wspominam także o moich podejrzeniach, że Marlene Crockett dowiedziała się o wraku, który został szybko zabrany przez policję, właściciela warsztatu Carra i trzeciego faceta imieniem Carl, którego jeszcze nie udało mi zidentyfikować. I o tym, że wszystko to związane jest z forszą, za którą gotowi byli zabijać.

– Zastanawiam się, czy to... – rozpoczyna myśl, ale jej nie kończy. – Na razie to zostawmy. Musimy przetrwać tę noc. Słuchaj, powinnaś wywieźć dzieciaki z miasteczka. Zabrać je do domu.

– Ale Sam...

– Sama zostaw mnie. Postaram się tutaj naprawdę na coś przydać. Nie zostanie z tym sam, obiecuję ci to. – Przerywa na chwilę. – Nie nocuj dziś w tym miejscu. Wiem, że jesteś nakręcona, i doskonale to rozumiem. Ale chcę, żebyście oddalili się od obszaru zagrożenia.

Mike ma rację.

Motel nie jest bezpiecznym miejscem, podobnie jak schronisko. Musimy wrócić do domu, gdzie mamy przyjaciół i sojuszników.

Trudno jest mi jednak zostawić Sama.

– Mogę zapisać wiadomość? – pytam Mike'a na koniec. – Przekażesz mi ją?

– Poczta głosowa będzie szybsza – odpowiada i podaje mi swój telefon. – Użyj dyktafonu. Dopilnuję, żeby to usłyszał. W ten sposób nie będą mogli oskarżyć mnie o próbę przekazania mu ostrza czy o podobne gówno.

Zdaję sobie sprawę, że Mike ma podobne mniemanie o tym miejscu, jak ja. To nie dodaje mi otuchy.

– Jeśli będziesz potrzebował pomocy, zadzwoń do tego faceta. – Przesyłam mu numer Fairweathera z mojego telefonu. Czuję, jak jego aparat wibruje, potwierdzając odbiór danych. – On jest z biura śledczego Tennessee. Wydaje mi się, że jemu też śmierdzi to wszystko, co się tutaj dzieje. Wczoraj go przesunęli do innej sprawy. Jestem ciekawa, jak to się stało.

– To już ich cholerna tajemnica – mówi Mike i uśmiecha się ponuro. – Idź i nagraj parę ciepłych słów swojemu facetowi, ja nie będę podsłuchiwał.

– Kłamczuch – rzucam ze śmiechem. Oddala się kawałek, a ja naciskam przycisk nagrywania. W tym samym momencie zaczyna brakować mi słów. Co mogę mu powiedzieć? Co usprawiedliwi fakt, że zamierzam stąd odjechać i zostawić go samego w Wolfhunter, dokąd sam przyjechał po to, by mnie chronić?

– Sam – mówię dziwnym, przepelnionym emocjami głosem, czego wcale nie chcę. Biorę głęboki oddech. – Wybacz. Muszę zabrać stąd dzieci w bezpieczniejsze miejsce, więc wyjeżdżamy do domu. Wrócę tak szybko, jak to możliwe. Mam nadzieję, że Javier lub Kez zajmą się nimi, dopóki nie opuścimy razem tego pieprzonego miasteczka i nie zdecydujemy, co dalej.

Przyjechał do ciebie Mike. Ja pojawię się niebawem, obiecuję. – Waham się przez chwilę, zamykam oczy i dodaję: – Kocham cię, Samie Cade. Przepraszam, że... wybacz. Kocham cię. Nie zapominaj o tym.

Kończę nagranie i oddaję telefon Mike'owi, który przygląda mi się badawczo.

– Zamierzasz złamać serce mojemu przyjacielowi? – pyta.

– To zależy. Czy on zamierza złamać moje?

Nie odpowiada na to pytanie.

– Zaopiekuj się dziećmi. Sam nigdy mi nie wybaczy, jeśli coś im się stanie na mojej zmianie.

Odprowadzam go wzrokiem, po czym idziemy do oczekującego policyjnego wozu, którym docieramy do schroniska, gdzie został nasz SUV. Nie podoba mi się pomysł powrotu po nasze rzeczy, ale Lanny wyklucza możliwość zostawienia tutaj swojego laptopa. Upewniam się, że recepcjonista ma świadomość, iż jestem uzbrojona i gotowa na kłopoty. Zabieramy wszystkie nasze rzeczy w mniej niż dziesięć minut. Chwilę później jesteśmy już w drodze do domu.

Zamierzamy wypaść się w swoich łóżkach, a cokolwiek przyniesie jutro, będziemy przynajmniej mieli choć taki komfort.

Skręcam właśnie na jedną z głównych dróg, kiedy dzwoni mój telefon. Dzieci marudzą coś i ponownie zapadają w sen, kiedy tylko go odbieram.

– Tak? – mówię podniesionym tonem. Jest późno, jestem wyczerpana i jadę przez las ciemną, krętą drogą. Wokół panuje całkowity mrok, który rozcinają tylko reflektory omiatające asfalt, w blasku których przemyka żółta środkowa linia i zieleń mijanych drzew.

– Pani Proctor? – Rozpoznaję ten spokojny głos z akcentem z Virginii.

– Detektyw Fairweather. Dość późna pora na telefon. – Dochodzi pierwsza w nocy, wiem, bo zerknęłam na godzinę, choć w tym momencie mogłabym równie dobrze odmierzać czas bólem w kościach.

– Wiem – przyznaje. Wydaje się bardzo zmęczony. – Wróciłem właśnie z przeszukania terenu położonego około pięćdziesiąt mil od Wolfhunter. Dostaliśmy informację, że może tam przebywać Ellie White. Cały rezultat tej akcji to jednak tylko brudne ręce i obolałe plecy.

– A jednak dzwoni pan do mnie.

– Usłyszałem o sytuacji, w jakiej znalazł się Sam Cade – mówi ponurym tonem. – Wpłaciła pani kaucję?

– Nie mogłam. Nie wyznaczyli jej.

– Areszt okręgowy?

– Nie. On jest w Wolfhunter.

– Szlag by to trafił. – Jestem zdumiona, słysząc nawet tak łagodne przekleństwo padające z jego ust. – Rano mogę spróbować coś zdziałać, obawiam się jednak, że będzie miał kłopoty dziś w nocy w tej celi.

– Twierdzi pan, że to źli ludzie? Policja z Wolfhunter?

– Wypadki się zdarzają – odpowiada płaskim głosem. Nie jest to tak do końca potwierdzenie moich słów. Większość gliniarzy nie przekracza tej linii i wcale nie jestem zaskoczona. – Mogę skontaktować się z nimi rano, ale...

– Ale obawia się pan, że co? Że Sam powiesi się na prześcieradle w środku nocy?

– Coś w tym stylu. Czy z dziećmi wszystko w porządku? Słyszałem, że jedno z nich było z nim podczas tej strzelaniny.

– Connor – odpowiadam i zerkam we wsteczne lustro. Syn opiera się o boczną szybę i śpi. – Nic mu nie jest. Wracamy na noc do Stillhouse Lake.

Kiedy się odzywa, słyszę w jego głosie duże zmęczenie:

– W takim razie lepiej wrócę do Wolfhunter i znajdę jakiś pretekst, żeby odwiedzić więźnia. Niech wiedzą, że biuro śledcze ma na niego oko.

Jestem mu niezmiernie wdzięczna... ale jednocześnie staję się czujna. Nie znam zbyt dobrze Fairweathera i choć wydaje się godny zaufania, nie mogę za niego ręczyć. A może po prostu Wolfhunter znalazło mi za skórę i sprawiło, że mam złe zdanie o każdym, kogo poznałam od chwili przyjazdu w to miejsce.

– Nie ma takiej potrzeby. Sam ma przyjaciela w FBI, który jest już na miejscu, żeby mu pomóc.

– Wpływowi przyjaciele?

Nie potwierdzam.

– Sam poradzi sobie w nocy, a ja wrócę tam rano, najszybciej jak to możliwe. Wydostaniemy go stamtąd. Zastrzelił człowieka, który próbował zabić jego i Connora. Czysta samoobrona.

– To nigdy nie jest takie proste, kiedy ofiarą jest stróż prawa. Słyszałem, że oskarżyli go o zabójstwo. Argument samoobrony w takim przypadku to ciężki kawałek chleba. Zamierza pani zaangażować Hectora Sparksa?

– A mam jakikolwiek wybór? – Mijamy słupek informujący o tym, że jesteśmy już pięć mil za granicami Wolfhunter. Zaczynam się rozluźniać. Mam przed sobą kawałek drogi i perspektywę krótkiego snu, jednak sam fakt, że uwolniłam się spod parasola tego miasteczka sprawia, że czuję się lepiej. – Dziękuję za telefon, detektywie. Dobrze wiedzieć, że zwraca pan uwagę na to, co się dzieje w tym miasteczku.

– Och, z całą pewnością, może mi pani zaufać. No dobrze, pani Proctor, proszę jechać ostrożnie, porozmawiamy...

Strzał z karabinu rozbija tylną szybę i przechodzi przez przednią. Dostrzegam przypominające lód kawałki szkła na sekundę przed tym, jak odnotowuję huk wystrzału.

Pierwszy impuls, który przechodzi przez moje ciało, każe mi skrócić kierownicą w bok. Samochód chwieje się niebezpiecznie i zanim jeszcze kończę opracowywać plan ratunkowy, wciskam gaz do oporu i koryguję tor jazdy, żeby nie wypaść na pobocze. Słyszę krzyk Lanny i wtedy skupiam wzrok na okrągłej dziurze w przedniej szybie oraz odchodzącej od niej pajęczynie pęknięć. Tylne okno jest w gorszym stanie. Wstrzymuję oddech i zerkam w boczne lusterko.

Ktoś nas ściga.

Pędzi za nami pickup, a na jego pace stoi facet, który opiera się o dach kabiny. Trzyma w rękach jakiś karabin myśliwski i właśnie celuje. Jedziemy szybko, ale nasi prześladowcy skracają dystans.

– Connor! – wołam. – Nic ci nie jest?

– Nie – odpowiada.

– Lanny!

– Mamo, oni do nas strzelają!

– Oboje natychmiast na podłogę i trzymać się!

Wykonanie polecenia i bezpieczne ukrycie się zabiera im kilka cennych sekund, podczas których jadę lekkim zygzakiem po środkowej linii, żeby nie ułatwiać bydlakowi celowania. Kiedy się upewniam, że dzieci są już chronione, biorę kolejny głęboki oddech, poświęcam milisekundę na

modlitwę i z całej siły deptę pedał hamulca.

SUV piszczy na asfalcie, walczy, próbuje wpaść w poślizg. Zostawiam na jezdni długi ślad gumy.

Kierowca pickupa zostaje zmuszony do gwałtownego hamowania, gdyż właśnie przyspieszał, by się zbliżyć, a strzelec uderza w kabinę z taką siłą, że gubi karabin, który spada z klekotem na drogę i ląduje w rowie. Zanim samochód zupełnie się zatrzymuje, znów wciskam gaz do podłogi i sięgam po telefon. Zamierzam zadzwonić na policję, kiedy dociera do mnie, że zapomniałam o detektywie Fairweatherze, który krzyczy mi do ucha:

– Gwen! Co się tam, do cholery...

– Proszę dzwonić na policję! – wołam. – Jesteśmy na piątej mili głównej drogi. Śledzi nas pickup, a facet stojący na pace strzela...

Kolejny strzał rozłupuje więcej szkła. Zapasowa broń, uzmysławiam sobie. Ledwie widzę szosę przed nami, ale obniżam się w fotelu i zerkam przez jedno z miejsc pozbawionych pęknięć. Fairweather coś mówi, ale nic nie rozumiem. Koncentruję całą uwagę na problemie za moimi plecami. W końcu słyszę, że mówi, a w zasadzie krzyczy coś o numerze rejestracyjnym i opisie.

– Nie widzę go – odpowiadam. – Jest za ciemno! Zdecydowanie pickup. Jeden strzelec stoi na pace. Jezu, tu są moje dzieci...

Słyszę, jak powtarza to, co powiedziałam. Chyba korzysta z dwóch telefonów naraz.

– Okej, dyspozytor wysłała w pani kierunku wóz szeryfa okręgowego. Nadjedzie z przeciwnej strony. Kiedy go pani zobaczy, będzie musiała zatrzymać się na poboczu, czy to jasne?

– Nie zatrzymam się, jeśli nie zrobi tego ten pickup! – krzyczę. – Ben, moje dzieci... – Biorę głęboki oddech. – Kierowca jest białym mężczyzną, gładko ogolonym, szczupłym, około trzydziestu lat...

Rozlegają się kolejne wystrzały. Zerkam wstecz i widzę, że strzelec znów jest na pozycji – brodaty dupek w starej kurtce moro i czapce z daszkiem. Nie trzyma już karabinu, ale pistolet półautomatyczny, z którego wali tak szybko, jak potrafi. Zbliży się zakręt i muszę zwolnić, żeby nie ryzykować wypadku, a kilka kul trafia w karoserię SUV-a. Słyszę je i czuję uderzenia. Kiedy wchodzimy w zakręt, znów przyspieszam. Mój wóz ma większą moc.

Nie widzę żadnych nadjeżdżających samochodów. Jesteśmy zupełnie sami.

– Kiedy zjawi się ten cholerny wóz patrolowy? – krzyczę do Fairweathera.

– Za pięć minut. Proszę się trzymać, Gwen. Już jadą.

Za pięć minut będziemy martwi, jeśli strzelec trafi w oponę, co już próbuje uczynić.

– Dzieci? Wszystko w porządku? – pytam drżącym głosem. Nie jestem pewna, czy przyczyną jest strach, gniew, czy jedno i drugie.

Przeciąga się sekunda ciszy, podczas której czuję ukłucie strachu, ale w końcu Connor odzywa się z podłogi gdzieś na tyłach.

– Okej, mamó.

– U mnie też – odpowiada Lanny. Siedzi zwinięta w kulę na podłodze po stronie pasażera, ale rzuca mi pytające spojrzenie. *Dlaczego to się nam przydarza?*

Nie znam odpowiedzi. Próbuję przełknąć ślinę, ale w moich ustach panuje susza jak w Dolinie Śmierci. Próbuję skoncentrować uwagę na drodze i ścigającym nas aucie. Dzieciom nic nie jest. Nic nam nie będzie. Musi być dobrze.

Dostrzegam kolejny zakręt, nie tak ostry jak inne. Jest idealny.

– Chwileczkę – mówię do Fairweathera, który próbuje mnie zagadywać. – Muszę czegoś spróbować. – Odkładam telefon na fotel pasażera.

Odbijam w bok, a pickup podąża za mną po podwójnej żółtej linii. Strzelec przerwał ostrzał, by przeładować, ale po chwili znów rozlega się staccato, *pop pop pop*, tak szybko, jak tylko daje się ściągnąć spust.

Odpuszczam gaz i pozwalam tamtemu się zbliżyć.

Wtedy depczę z całej siły gaz i ścinam ostro zakręt.

Nie dostrzegają tego, co się zbliża. Kierowca jest na mnie skupiony i przyspiesza zbyt mocno, żeby łatwo zareagować na zmianę toru jazdy, a gdy odbijam w bok, on jedzie prosto w stronę rowu na poboczu. Kiedy gorączkowo próbuje to skorygować, tylne opony tracą przyczepność. Widzę, jak cały samochód wściekle tańczy, po czym wpada w poślizg, kiedy lżejszą paką zarzuca w bok.

Facet stojący z tyłu zostaje wyrzucony z wozu. Widzę w stożkach reflektorów pickupa, jak leci w powietrzu z krótkim, przeraźliwym

krzykiem i znika gdzieś w mroku. Słyszę jednak lądowanie – tego odgłosu nie da się z niczym pomylić. Jadę dalej, wbijając spojrzenie we wsteczne lusterko i pickupa, który zatrzymuje się na przeciwległym pasie, skierowany w drugą stronę. Po sekundzie czy dwóch tamten znów przyspiesza, ustawia się na właściwym pasie i oddala w przeciwnym kierunku. Wraca do Wolfhunter.

Nie zatrzymują się, żeby zabrać ciało kolegi.

Patrzę przed siebie, ale wciąż nie dostrzegam migających świateł czy uspokajającego zawodzenia syren.

Pickup może zawrócić. Mogą wznowić pościg.

Nie wydaje mi się jednak, żeby się na to zdecydowali. Stracili po drodze karabin, pistolet i przynajmniej jednego współnika. Nie wiedzą, czy udało im się zranić któreś z nas, wiedzą natomiast z całą pewnością, że jedziemy dalej.

Odpuszczam gaz, wypatrując świateł gdzieś z tyłu. Nic. Mrok jest gęsty, groźny, a ja wiem, że muszę jechać dalej. Dupek, który do nas strzelał, gdzieś tam jest. Może nadal ma swój pistolet.

Równie dobrze może jednak wykrwawiać się na jezdni, modląc się o pomoc. Jestem prawdziwą paranoiczką, jeśli chodzi o przetrwanie mojej rodziny, ale jestem też człowiekiem. Nie chcę zostawiać nikogo na samotną śmierć, nawet jeśli ten ktoś próbował nas zabić.

Szczególnie wtedy, gdy może odpowiedzieć na pytanie *dłaczego*.

– Mamo? – Przenoszę wzrok na córkę. – Już odjechali?

Głos Lanny jest opanowany i spokojny. W blasku deski rozdzielczej widzę ślady łez na jej policzkach.

– Tak, kochanie, odjechali. Nic ci nie jest, Connor? Kochanie? Wszystko w porządku?

Podnosi się już zza mojego fotela i wygląda przez stłuczone tylne okno. Zerkam w boczne lusterko. Żadnego ruchu w oddali.

– Tak – odpowiada. Tylko jedno słowo. Chyba nie zdaję sobie sprawy, jaki jest przerażony. Do mojego syna już dziś strzelano. Fala empatii, która przeze mnie przepływała, już znika. Mam ochotę pozabijać tych sukinsynów, włącznie z tym leżącym na drodze.

– Zapnijcie się oboje – nakazuję i spoglądam na prędkościomierz. Wciąż

przekraczamy dozwoloną prędkość, ale mam to w dupie. Nie mogę się doczekać policji. W końcu dostrzegam czerwono-niebieskie błyski pomiędzy drzewami. Droga musi skręcać gdzieś przed nami.

Przypominam sobie o trwającym połączeniu z Fairweatherem, ale kiedy rozglądam się za telefonem, nie znajduję go na fotelu. Spadł pewnie w szczelinę między fotelem pasażera a drzwiami, zdecydowanie poza moim zasięgiem.

Zwalniam i zjeżdżam na pobocze. Muszę odczekać kilka sekund, zanim ostatecznie wyłączam silnik i próbuję się uspokoić. Ręce tak mi się trzęsą, że prawie upuszczam kluczyki, podając je Lanny.

– Poszukaj mojego telefonu, powinien być gdzieś po twojej stronie. Detektyw Fairweather powinien być wciąż na linii. Jeśli się rozłączyło, zadzwoń do niego. Powiedz mu, co się stało i jak sytuacja wygląda teraz. Zablokuj drzwi i bądź uważna. Jeśli zostanę aresztowana lub cokolwiek złego się wydarzy, zabierz stąd natychmiast Connora. Po prostu wsiądź i prowadź. Rozumiesz? Zadzwoń wtedy do Kez lub Javiera po pomoc i jedź w bezpieczne miejsce. Nie zatrzymuj się, dopóki nie uznasz, że jest bezpiecznie. Nie obchodzi mnie nic innego.

Kiwa głową. Sporo od niej wymagam, ale znam Lanny. Wiem, że robi, co należy.

– Mamo? – pyta, kiedy zaczynam zamykać drzwi. Nasze spojrzenia się spotykają. – Kocham cię.

– Ja ciebie też. Kocham mocno was oboje. Connor, słuchaj, proszę, siostry, dopóki nie wrócę.

– Dobrze – odpowiada, co się często nie zdarza. – Ja też cię kocham, mamo.

Zamykam drzwi. Słyszę, jak zatrząskują się zamki. Opieram się o SUV-a i podnoszę obie ręce. Wóz patrolowy szeryfa okręgowego wyjeżdża energicznie zza zakrętu i natychmiast zwalnia, zjeżdża na bok i się zatrzymuje. Następuje krótka przerwa – zakładam, że zgłaszają pozycję i mój numer rejestracyjny – po czym z samochodu wysiada zastępca szeryfa. Powoli idzie w moim kierunku, zwracając uwagę na SUV-a, na dwoje dzieci w środku i na moje podniesione ręce. Opiera dłoń na kolbie rewolweru.

– Czy mogę prosić o pani nazwisko? – mówi. Nie: „Czy to pani dzwoniła po pomoc?”. Inteligentnie.

– Gwen Proctor – odpowiadam i widzę, że się rozluźnia, mimo to prosi mnie o dokument. Wypełniam polecenie. Jest nieco brzuchatym, ciemnoskórym mężczyzną w średnim wieku, z ogoloną głową i krótko przyciętym zarostem.

– Nie wiem, co się stało, ale byliśmy ścigani, strzelano do nas z karabinu i pistoletu.

– Czy ktoś został ranny?

– Nie. Jesteśmy cali i zdrowi.

– Czy może poprosić pani dzieci o opuszczenie pojazdu?

Nie chcę, żeby wychodziły z wozu. Jeszcze nie.

– Wolałabym, żeby zostały w środku, dopóki nie zabezpieczycie okolicy.

Ściąga brwi.

– Proszę pani...

– Mężczyzna, który strzelał, wypadł z paki pickupa pod koniec wyścigu, nie wiem jednak, czy jest nadal zdolny do strzelania. Dopóki się nie dowiem, czy został rozbrojony, muszą pozostać w bezpiecznym miejscu.

Zgadza się z tym i mówi:

– Gdzie go wyrzuciło?

– Tam, na zakręcie. – Wskazuję ręką. – Mogę z panem pojechać. Wyglądało, jakby spadł po północnej stronie.

– Nie, proszę pani, proszę zostać przy pojeździe i nigdzie się nie oddalać. Postaram się jak najszybciej wrócić. Za kilka minut powinien nadjechać drugi wóz patrolowy, proszę na niego poczekać. – Powiedziawszy to, znika w ciemnościach, widzę tylko tańczący strumień światła z latarki.

Pukam w okno.

Lanny, która siedzi teraz w fotelu kierowcy, opuszcza szybę.

– Telefon. – Wyciągam rękę, a ona podaje mi aparat. – Dzięki, skarbie. Zamknij okno.

Sprawdzam sygnał i widzę dwie kreski. Dzięki Bogu. Co więcej, Fairweather wciąż jest na linii.

– Gwen? Chryste wszechmogący, ale mnie pani wystraszyła.

– Tak, przepraszam – mówię odruchowo. Nie jest mi przykro z tego

powodu. Cieszę się jak diabli, że był świadkiem tego wszystkiego. – Musiałam wykonać pewien manewr obronny. Pickup zawrócił do Wolfhunter. Nic nam nie jest, pierwszy wóz patrolowy już dotarł na miejsce. Zastępca szeryfa szuka strzelca, który wypadł na drogę.

– Udało się pani zapamiętać markę i model tego wozu?

– Tak, kiedy się obrócił. Czerwony ford F-150. Jestem pewna. Trudno byłoby go nie znaleźć, wyglądał na nowy.

– Jak się czują dzieci?

– Wystraszone na śmierć – odpowiadam. – One już dość przeszły, a teraz jeszcze coś takiego. Jeśli policja zechce dowodów, mój SUV jest pełen dziur po kulach, może nawet którąś uda się wydobyć dla porównania. To nie było jakieś przypadkowe nękanie na odludziu. Ci ludzie chcieli mojej śmierci, detektywie. A ja chcę wiedzieć, kim byli i dlaczego tak postąpili. – Wydaje mi się, że już to wiem, ale nie jestem do końca pewna Fairweathersa. Nie na tyle, żeby wszystko dać mu jak na tacy.

Wiem, że mówię podniesionym głosem i cała się trzęsę. Adrenalina opuszcza powoli mój krwiobieg, kiedy wszystko zaczyna się uspokajać. Przez oczami przewijają mi się okrutne wizje moich rannych, krwawiących i umierających dzieci. Jeśli wcześniej byłam spokojna, to teraz nie potrafię kontrolować gniewu. Chcę pozabijać tych ludzi za grożenie moim dzieciom.

Detektyw Fairweather coś mówi, a ja usiłuję wychwycić sens wypowiedzi:

– ...tablicę rejestracyjną?

– Nie. Już mówiłam... na drodze jest zupełnie ciemno. W tylnym lusterku miałam cały czas blask reflektorów.

– Czy pickup w coś uderzył? Ma jakieś uszkodzenia karoserii?

– Nie. Obróciło go i odjechał z powrotem w kierunku Wolfhunter.

Detektyw zakrywa telefon i rozmawia z kimś, zapewne z dyspozytorem. Słyszę głosy, ale nie słowa.

– W porządku. Zarządzono właśnie poszukiwania tamtego pickupa. Zauważyła pani może coś charakterystycznego? Naklejki na zderzaku, wgniecenia, rdzę?

– Był trochę zablocony, ale w dobrym stanie. Na tylnym oknie miał chyba naklejkę z amerykańską flagą. Nie miałam jednak czasu, żeby się lepiej przyjrzeć. Próbowałam przeżyć.

Światła drugiego wozu patrolowego zaczynają błyskać między drzewami, kończę więc rozmowę z Fairweatherem i odkładam telefon. Powtarzam rytuał trzymania rąk w górze, kiedy wysiada drugi zastępca szeryfa. Wydaje się bardziej agresywny od pierwszego.

– Proszę nie opuszczać rąk! – woła. Halogenowe światła świecą prosto na mnie, na SUV-a i na drogę. – Wyżej!

Jeśli uniosę je wyżej, wystawię sobie bark, ale i tak próbuję. Stoję w bezruchu, gdyż tamten sprawia wrażenie faceta, który zabija za mrugnięcie okiem. Obraca mnie i opiera o maskę mojego wozu.

Natychmiast przenoszę się w inne miejsce. Moje dłonie dotykają gorącego metalu starej furgonetki Giny Royal, a dzieci patrzą z przerażeniem przez przednią szybę. Zdemolowana ściana garażu w naszym starym domu. Martwa kobieta kołysząca się na drucianej pętli przy ścianie.

To tylko paskudny przeblysłk wspomnienia. Chęć wyrwania się z dłoni policjanta jest niemal nie do powstrzymania. Oddychaj, powtarzam sobie. Ta sytuacja jest inna. Jesteś bezpieczna. Jesteś zupełnie bezpieczna.

Wcale nie czuję się inaczej.

W końcu mężczyzna się odsuwa, ale jedną dłoń wciąż opiera na moich plecach.

– Proszę się nie ruszać – nakazuje. – Niech dzieci...

...wyjdą z pojazdu, zamierza powiedzieć, ale urywa. Woła go policjant z pierwszego patrolu, a on podkreśla nakaz pozostania w miejscu ostatnim pchnięciem w kręgosłup, zanim słyszę, jak oddala się, tupiąc ciężko. Odwracam głowę i patrzę, jak włącza latarkę i kieruje ją w stronę swojego ciemnoskórego kolegi.

Zauważam, że obaj stoją nad mężczyzną, który leży na poboczu drogi z górną częścią ciała w rowie. Musi być martwy lub nieprzytomny, gdyż w ogóle się nie rusza, nawet po to, by zmienić tę niewygodną pozycję. Policjanci patrzą w milczeniu na ciało. W końcu jeden z nich kuca i pochyla się w stronę rowu, a drugi asekuruje go, trzymając za pasek. Zakładam, że sprawdzają czynności życiowe. Ciemnoskóry po chwili wstaje, a sądząc po jego przeczącym ruchu głową, mężczyzna nie żyje.

Obaj wracają w moim kierunku. Tym razem nie podnoszę rąk, tylko je zakładam.

– Sprawdź jej samochód pod kątem uszkodzeń z przodu – mówi biały policjant. Drugi rzuca mu długie spojrzenie, ale uznaje, że nie warto oponować i idzie sprawdzić.

– Nic. Żadnych śladów uszkodzeń.

Szukają dowodów na to, że to ja przejechałam tego faceta, uzmysławiam sobie.

– Wyrzuciło go z paki pickupa, kiedy wpadli w poślizg. Nie uderzyłam ani jego, ani tamtego wozu. Chyba możecie nazwać to wypadkiem w trakcie próby popełnienia morderstwa.

Zastępca wysłany na oględziny SUV-a okrąża go i przechodzi na tył.

– Chryste, popatrz na to. Mamy tu chyba z pięć trafień, nie licząc zniszczenia tylnej szyby.

Drugi dołącza do niego i włącza latarkę, żeby przyjrzeć się tyłowi samochodu.

– Cóż, nie wiemy, czy nie było ich już wcześniej – mówi z niechęcią.

Wtedy dociera do mnie, że ten biały wie doskonale, kim jestem. W przeciwieństwie do pierwszego nie poprosił mnie o dokument tożsamości, nie zapytał, co się wydarzyło. Zdecydował już, że trzeba mnie jakoś obwinić za to, co się stało. Czuję w gardle niezdrowy, metaliczny posmak.

Gwen Proctor. Gina Royal. Kimkolwiek jestem, zawsze znajduje się ktoś, kto uważa mnie za najgorszą i próbuje utrudnić mi życie na wszelkie sposoby.

– Słuchaj, wszędzie na drodze leżą łuski po nabojach – mówi ciemnoskóry zastępca, wyraźnie już zniecierpliwiony. – Przez cały czas była na łączach z detektywem Fairweatherem. Słyszałem strzały, kiedy zostałem dołączony do rozmowy. Ty nie?

– Później o tym porozmawiamy. Dzwonię po detektywów. Niech oni się zajmą tym bałaganem.

Z jednej strony, można to uznać za dobrą wiadomość. Obawiałam się, że pierwszy zastępca zostanie odesłany, a drugi uzna, że sięgam po broń i zastrzeli mnie gdzieś poza zasięgiem wzroku dzieci. Paranoja? Jasne. Ale przecież ktoś stale na mnie poluje.

Z drugiej strony, włączenie do tego detektywów może oznaczać wszystko.

Na przykład to, że niekoniecznie staną po mojej stronie.

Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że pojawi się również Fairweather.

Fairweather rzeczywiście się zjawia. Detektyw zabiera mnie i dzieci na posterunek szeryfa okręgowego, odległy od miejsca zdarzenia o pół godziny jazdy. Mój SUV jedzie na lawecie w celu zabezpieczenia dowodów.

Wiem, że czekają mnie długie godziny powtarzania w kółko tego samego. Moje dzieci również. Nie instruuję ich, co mają mówić. Oboje wiedzą, że powinni powiedzieć prawdę.

Zerkam na czarne niebo podczas drogi. Sam... Proszę, przetrwaj to.

Nie myślę się w kwestii długich godzin ani zmęczenia. Po złożeniu zeznań zasypiam z głową opartą na złożonych na blacie ramionach, a kiedy się budzę, zauważam dzieci, które śpią na składanej kanapie.

– Nic im nie będzie – informuje mnie Fairweather. – Kilka drobnych skaleczeń po stłuczonym szkle. Jak się trzymasz?

– Kiepsko – odpowiadam. – Ale to wynika ze stresu i braku snu. Pewnie narzekasz na to samo.

Podaje mi bez słowa buteleczkę z ibuprofenem. Połykam dwie tabletki, popijając je łykiem lurowatej kawy.

– Jak tam Sam? – pyta.

Zastanawiam się przez chwilę, kiedy nasza ostrożna znajomość przeszła na poziom, na którym mówimy sobie po imieniu. Wcześniej była pani Proctor i pan Cade, teraz jest Gwen i Sam. Chyba zmienił to podejście w momencie, kiedy słyszał strzały, co było dla niego potwierdzeniem, jak daleko potrafią posunąć się pewni ludzie, żeby mnie dopaść. Zostałam przesunięta do kategorii osób, o które faktycznie się troszczy.

– Mike napisał do mnie wiadomość – informuję go. – Wygląda na to, że noc okazała się spokojna.

– Mike to agent FBI, o którym wspominałaś?

– Tak. Mike Lustig.

– To ten, który pracował przy sprawie Absaloma – zauważa Fairweather. Unoszę brwi. – Cóż, śledzę wiadomości od czasu do czasu. Dostał jakąś

pochwałę.

– To właśnie on. Wielki człowiek w kampusie federalnym. Komendant Weldon pewnie już o nim wie.

– Tak. A skoro o Weldonie mowa. – Fairweather miesza swoją kawę. – Zapowiadał się całkiem obiecująco, kiedy zaczynał w biurze pięć lat temu, ale ostatnio stał się...

– Szemranym typem – wtrącam.

– Powiedzmy, że w miasteczku są ludzie, którym nic złego się nie przytrafi, przynajmniej gdy chodzi o miejscowych.

– Ale nie Vee Crockett.

– Nie. Ani Marlene.

Postanawiam zaryzykować.

– Ona pracowała w warsztacie, prawda? U faceta nazwiskiem Carr? Wiesz coś na jego temat?

– Carr to stary dziwak. Mieszka gdzieś na obrzeżach miasteczka. Ma tam swój kompleks.

Kompleks to wiele mówiące słowo w tym wypadku.

– Zakładam, że goście nie są tam mile widziani.

– Zbudował mur – zgadza się Fairweather. – Wszędzie zainstalował kamery i reflektory. Chyba nie przepada za gośćmi. Ja osobiście nie miałem dotąd żadnego powodu, żeby go odwiedzić.

Rozumiem z jego wypowiedzi, że chciałby trochę się tam pokręcić.

– I przyjaźni się z komendantem Weldonem.

– To kuzyni.

– Mają tam jakichś innych krewnych?

– To małe miasteczko, Gwen, obfitujące w kuzynów.

– Czy któryś z nich jest księgowym? Może bankierem?

Przygląda mi się przez chwilę.

– Carl Weldon pracuje w banku. Jego ojciec i ojciec komendanta Weldona to bracia. Dlaczego pytasz?

Nie jestem pewna, czy chcę przekazywać mu więcej informacji. Jeśli to zrobię i postąpię niewłaściwie, moje dzieci będą w jeszcze większym niebezpieczeństwie. Wie już wystarczająco dużo, żeby zyskać ochotę do działania, o ile nie jest w to wszystko zamieszany. Kręcę tylko głową.

– Kiedy mogą nas stąd wypuścić? – Zerkam na zegar wiszący nad automatem do kawy. Dochodzi trzecia trzydzieści nad ranem. Pomimo wypitej kawy czuję, jakbym jechała na oparach, a mój żołądek wyprawia cuda, starając się mnie poinformować, że nie jadłam niczego od wielu godzin. Zadbaliśmy o to, by dzieci coś przekąsiły, ale sama opuściłam już kilka posiłków i zaczynam z tego powodu cierpieć.

– Kiedy tylko zechcesz, ale twój SUV pozostanie tutaj jako dowód w sprawie. Masz jak dotrzeć do domu?

Nie mam i nie jestem nawet pewna, czy chcę w tym momencie wracać do domu.

– Nie wiem, dokąd mam pojechać – przyznaję. – Szczerze mówiąc, jestem wykończona. Naprawdę się obawiam, że to miejsce, w którym się zatrzymaliśmy, to schronisko, mogło stanowić część planu ataku na Sama i Connora. Nie mogę tam wrócić.

– Niedaleko jest Motel 6. Nic wyjątkowego, ale gwarantuję, że nie należy do żadnego z Weldonów. Mogę was tam wysłać wozem patrolowym i poprosić, żeby chwilę się pokręcili, żebyś poczuła się bezpiecznie. Przynajmniej odpoczniesz przez kilka godzin.

Nie podoba mi się to, ale Fairweather ma rację.

– Nadal będę potrzebowała transportu na później, dopóki nie odzyskam samochodu.

– Znam jednego faceta, który ma warsztat przy Fountain Ridge. W ciągu godziny dostarczy ci jedno ze swoich aut na wynajem. Będzie jednak oczekiwał wpłaty.

– Okej. – Czuję ogromną ulgę. Świadomość braku możliwości ucieczki jest przerażająca. – Załatw to dla mnie, proszę. Podam ci numer karty kredytowej. Dziękuję.

Kiwa głową, dając mi znak, że nie ma za co dziękować.

Siadam i popijam kawę, kiedy on wykonuje telefony. Moje dzieci nadal śpią, a ja najchętniej położyłabym się razem z nimi. Nawet w tym miejscu, otoczona bezstronnymi z założenia zastępcami szeryfa, nie potrafię się zrelaksować. Nie jestem pewna dlaczego, ale czuję, że to jeszcze nie koniec. Nadchodzą kolejne problemy.

Muszę jak najszybciej znaleźć sposób na wyciągnięcie Sama za kaucją

i obronienie dzieci przed tą burzą. W tym momencie obie te rzeczy wydają się sprzeczne. Coś mi jednak podpowiada, że nie jest tak do końca, że rozwiązanie leży gdzieś w miasteczku, do którego wolałabym nie wracać, pośród ludzi, których wolałabym już nie spotkać.

Wolfhunter jeszcze z nami nie skończyło.

Policyjny wóz zabiera nas do Motelu 6. Funkcjonariusz wchodzi wraz z nami, a kiedy dostajemy już dwa sąsiednie pokoje, informuje, że zostanie na parkingu, dopóki nie będziemy gotowi do powrotu do biura szeryfa okręgowego po wynajęty samochód. Zamierzam się przespać. Naprawdę.

Dzieci są wyczerpane – padają na łóżka w swoim pokoju, niezdolne do jakiegokolwiek innej czynności. Ale nie ja. Nie potrafię. Ledwie trzymam się na nogach, ale nie przestaję krążyć po pokoju. Myślę o Samie. Myślę o Vee Crockett. Myślę o katastrofie, w jaką zmieniło się moje życie.

Wewnętrzne drzwi zostawiam na jakiś czas otwarte, ale stłoczona we mnie panika musi znaleźć ujście, więc w końcu je zamykam, kładę się do łóżka i zwijam na boku. Przyciskam poduszkę do twarzy.

I pękam.

Poduszka tłumi dźwięk, który wylatuje ze mnie niczym para. Czysty żal. Czysty gniew. Czyste piekło.

Kiedy w końcu przestaję, to nie dlatego, że już w środku nie cierpię, lecz dlatego, że nie mogę złapać oddechu do dalszego krzyku. Chwytam łapczywie powietrze. Zwijam się w pozycji embrionalnej i modlę, żeby znaleźć siły na przetrwanie tego wszystkiego jeszcze jeden raz. Nie okłamałam wtedy Sama: nie zamierzam uciekać ze Stillhouse Lake. Nie mogę tego zrobić. Cokolwiek się stanie, musimy stawić czoła temu w miejscu, które nazwaliśmy domem, w miasteczku, które nas nie chce. Myślałam, że ostatnie ślady po Melvinie Royalu utoną w jeziorze. Ale on nie odszedł. Nigdy nie odejdzie. Szkody, jakie w nas poczynił, są trwałe i nieodwracalne.

Melvin roześmiałby się pewnie, widząc mnie w tym stanie. Sparaliżowaną. Wstrząśniętą. Tego właśnie oczekiwał.

Odsuwam poduszkę, nie przestając dygotać. Cała w środku krwawię. Myśl o pełnym zadowolenia uśmiechu na twarzy Melvina sprawia jednak, że siadam, biorę głębokie oddechy i staram się zebrać do kupy. Droga do wyjścia z tej opresji może okazać się czarna i pełna ostrych krawędzi, ale ją pokonam.

A Sam? Co z nim? Wiem, że kroczy po tym samym ciemnym terytorium. Coś przede mną ukrywa. Ale jest jednocześnie człowiekiem, który wyciągnął do mnie dłoń, kiedy byłam sama, skrzywdzona i zdesperowana. Człowiekiem, który pomógł mi odnaleźć dzieci, kiedy zagięły. Człowiekiem, który pokonał Absaloma. Wreszcie człowiekiem, który ledwie wczoraj uratował Connora.

Czy to się nie liczy? Czy nie ma dla nas jakiejś jaśniejszej przyszłości?

Głowa pulsuje mi od emocji i stresu. Wstaję i idę do łazienki. Przeglądam się w lustrze, patrzę na cienkie zmarszczki na czole i w kącikach powiek. Odległe, puste spojrzenie i zaczerwienione oczy. Wyglądam jak ktoś, kto ujrzał piekło i przeżył.

Dzwoni mój telefon, kładę go więc na łazienkowym blacie, żeby zobaczyć, kto dzwoni. Nie znam tego numeru, ale odbieram połączenie.

– Muszę z tobą porozmawiać – mówi opanowany, elegancki głos. – Chciałabym wejść do środka.

Do środka?

Sekundę później dociera do mnie, z kim mam do czynienia, i chłód w środku zmienia się w lodowiec. Rozłączam się i ponownie patrzę w lustro.

Potem podchodzę do drzwi i otwieram je Mirandzie Nelson Tidewell.

Na parkingu policjant wysiada z wozu patrolowego i idzie w naszą stronę. Miranda z pewnością wie o jego obecności. Nie odwraca głowy. Jest ode mnie wyższa i szczuplejsza, w stylu, który może kojarzyć się z zamożnymi ludźmi, jakby nie miała połowy żeber. Ma na sobie czarną bluzkę i dzinsy. Jediną biżuterią jest broszka ze złotym ptakiem. Wiem, że nosi ją tylko dlatego, że jej córka kochała ptaki i miała zostać weterynarzem.

– Wszystko w porządku, pani Proctor? – pyta policjant. Opiera dłoń na kolbie rewolweru. Nie potrafi ocenić, czego jest świadkiem.

Ja również.

Miranda unosi swoje doskonale ukształtowane brwi. Rzuca mi chłodne, spokojne wyzwanie.

– Tak – odpowiadam. – Pani przyjechała na kawę.

Nie podoba mu się to, ale kiwa głową i wraca do samochodu.

– Kawa – mówi z rozbawieniem Miranda. – Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jaki syf muszą serwować w takim miejscu jak to. Bądźmy cywilizowani.

Patrzymy na siebie przez dłuższą chwilę. Miranda ma niezwykle oczy, błękitne jak arktyczny lód, choć ich barwa wydaje się zmieniać wraz z nastrojem. Jasne blond włosy z pasmami bieli.

Cofam się, a ona wchodzi do środka. Nie spuszczam z niej oczu, kiedy zamykam drzwi i przekręcam klucz. To ona powinna się bać, nie ja. Dała się w końcu zamknąć ze mną w środku.

Z tego, co potrafię stwierdzić, nie okazuje jednak żadnego strachu. Przygląda się uważnie wnętrzu pokoju i choć wydaje się dość zniesmaczona, mówi:

– Są tutaj twoje dzieci?

– Śpią w pokoju obok.

– To dobrze. – Nagle patrzy mi prosto w oczy. – Przykro mi, że zostały w to wszystko wmieszane.

– Cóż, to jest kłamstwo – stwierdzam. – Chcesz, żebym czuła twój ból. Ból matki tracącej dzieci. Myślisz, że tego nie wiem? Widziałam to na twojej twarzy każdego dnia w trakcie mojego procesu. Zakładałam, szczerze mówiąc, że twoje życie toczy się dalej w innym miejscu, a jednak tu jesteś. Wciąż.

– Ano jestem. – Przygląda mi się uważnie, próbując coś odczytać z mojej miny. – Zważywszy na to, co zrobiłaś, uważam za obsceniczne, że pozwolili ci zatrzymać dzieci.

Nadal nie podnoszę głosu, choć bardzo mnie to kusi.

– A cóż ja takiego zrobiłam, nie licząc tego, że przetrwałam spotkanie z człowiekiem, który – jak sama wiesz – był prawdziwym potworem?

– Trwałaś przy nim. Wspierałaś go. Pomagałaś mu.

– Nie, ja przetrwałam.

– Mojej córce się to nie udało. – Nie zmienia wyrazu twarzy. Nie jestem

pewna, czy w ogóle jest do tego zdolna. Operacja plastyczna była znakomita, ale efekt jest nienaturalny. Tak czy inaczej, dostrzegam jakiś ruch pod powierzchnią, jakby poruszającego się w swojej skorupie stworzenia.

– Jak daleko zamierzasz się posunąć z tym swoim... filmem dokumentalnym? – pytam. – Jeżdżenie za mną to jedno. Moje dzieci w tym wszystkim... to już nie jest okej. Sama również planujesz tropić?

– Sam. No cóż, on wybrał już swoje łóżko. Dosłownie – mówi zniesmaczona. – Sam z pewnością wie, kim była naprawdę Gina Royal, przynajmniej przed przeprowadzką do Stillhouse Lake. A mimo to zdołałaś owinąć go sobie wokół palca.

– Jestem bardzo zmęczona, Miranda. Po co tu przyjechałaś? – pytam ostro, ponieważ mam już szczerze dość jej gierek, a ochota na wyrwanie garści tych doskonale ułożonych kłaków wciąż we mnie narasta.

– Pomogłaś zabić moją córkę, a ja chcę się dowiedzieć, dlaczego zrobiła to matka. Jak mogła zrobić to matka, nie podrzynając sobie później gardła.

A więc docieramy w końcu do sedna. Otwarte wyznanie, niezamaskowane nawet gniewem. Stawia fakt tak, jak go postrzega, i żąda wyjaśnienia.

– Melvin Royal zamordował twoją córkę – odpowiadam. – Melvin Royal nie potrzebował ani nie chciał mojej pomocy. Był seryjnym zabójcą. Fantazjował, planował, śledził, porywał i mordował zupełnie sam. Żyję tylko dlatego, że byłam głupia. Uwierzyłam mu, kiedy powiedział mi, że pracuje do późna lub składa stoły w warsztacie, a wiesz dlaczego? Bo na pewnej płaszczyźnie przerażał mnie, a ja bałam się nawet zacząć dociekać, dlaczego tak jest. – Oddycham szybko. – Nie masz pojęcia, jak to boli, kiedy wracam do tego myślami. Jak mi źle, że nie robiłam tego, co powinnam, kiedy można jeszcze było uratować czyjeś życie.

Jeśli oczekiwała pełnej spowiedzi, to jest rozczarowana, ale nie potrafię określić, co Miranda teraz czuje. Jej oblicze pozostaje nieprzeniknione, a pod powierzchnią wciąż czai się coś mrocznego.

Odwraca się i podchodzi do niedużego biurka. Zastygam, czując, że moje instynkty i wyszkolenie zaczynają się budzić do życia.

– Wiesz, od jak dawna chciałam to zrobić? Porozmawiać z tobą w cztery oczy? – pyta. Podnosi jeden z tanich, styropianowych kubków. – Chyba

wspomniałaś coś o kawie?

Wkładam filtr, rozrywam opakowanie, dolewam wody. Chwilę to trwa, ale nie rozmawiamy wcale, kiedy kawa powoli zaparza się w dzbanku o pojemności dwóch filiżanek. W końcu ją nalewam. Podchodzi po swój kubek i popija oszczędnymi, eleganckimi ruchami. Rozgląda się jednocześnie po pokoju, starając się niczego nie przeoczyć.

– Chciałam ujrzeć twoją twarz, kiedy zapytam cię o Melvina – przyznała.

– I co ci ona powiedziała?

– Że doskonale kłamiesz. – Popija kawę, a ja czekam. – Tak doskonale, że przekonałaś nawet Sama, choć nigdy nie sądziłam, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Gdybyś poznała go w tym samym czasie co ja, zdziwiłabyś się, ile miał w sobie gniewu. Ile goryczy. I jak bardzo był zdecydowany, żeby cię skrzywdzić. Powiedział ci o tym?

Opiera się o blat. Gorąca kawa w kubeczku, żadnej innej widocznej broni poza tą broszką. Choć to dziwne, wyczuwam w niej przemoc, dostrzegam bezgraniczną nienawiść, która poczernia dzielącą nas przestrzeń. Najgorsze u Mirandy jest to, że jej nienawiść wynika z jeszcze głębszego smutku. Bardzo trudno jest zechcieć ją skrzywdzić, a tak łatwo dostrzec, jak bardzo pragnie mojej śmierci.

– Dlaczego mnie wpuściłaś? – pyta. – Mogłaś postawić granicę na progu. Nie musiałaś zapraszać mnie do środka, a jednak to zrobiłaś.

– Mój mąż zamordował twoją córkę – odpowiadam. – Zasłużyłaś na to, by cię wpuścić. Wiem, że winisz siebie samą, że nie zdołałaś ochronić swojego dziecka. Ja poświęciłam lata, próbując ochronić moje. Doskonale rozumiem twój gniew. Nie chcę po prostu, żeby był skierowany w moją stronę.

Nie odpowiada, odkłada jednak niedopitą kawę. Obserwuję jej dłonie. Jedna z nich sięga do kieszeni, przez co cała się napinam. Nie potrafię sobie wyobrazić, by miała coś schowane, nie widzę zarysu czegokolwiek niebezpiecznego. Nie mogę sobie jednak pozwolić na żadną pomyłkę.

– Czy ty w ogóle sama pojmujesz, dlaczego to ja, a nie Melvin, stałam się twoją obsesją? – pytam ją.

– Twój mąż nie żyje. Nie mogę go skrzywdzić.

– Nie zwróciłaś się przeciw niemu, nawet kiedy jeszcze żył – mówię. – Ruszyłaś za mną. Dlaczego?

– Bo uszło ci to na sucho.

– Bo w tym ograniczonym, małym światku moim zadaniem było uszczęśliwianie męża, tak? Moim obowiązkiem było spełnianie jego zachcianek tak, aby trzymał się z dala od twojej córki. A ja tego nie robiłam. Nie byłam jednak odpowiedzialna za Melvina, te grzechy były wyłącznie jego grzechami.

Wzdryga się. To zawsze coś.

– Wiedziałaś. Sąsiad był świadkiem, jak mu pomagałaś. Istnieje nagranie, na którym widać, jak zabieracie dziewczynę do środka.

– Sąsiad skłamał w poszukiwaniu sławy. Nagranie zostało sfabrykowane, FBI to potwierdziło. Czy naprawdę sądzisz, że każda nieprawdopodobna teoria tylko potwierdza twoje przekonania?

– Chcę ujrzeć twój upadek.

– Weź się w garść, Miranda. Nie potrafisz nawet ocenić, jak niewiele czasu potrzeba, by uzyskać zakaz zbliżania się.

Wbija we mnie wzrok.

– Zagubione Anioły dołożą starań, by zmienić twoje życie w koszmar. Jeśli nie doczekam się sprawiedliwości w związku ze śmiercią Vivian, to przynajmniej będę żyć z poczuciem komfortu, że cierpisz do końca życia za to, co zrobiłaś.

Szybka jest, muszę jej to oddać. Czuję kotłującą się w niej furję, kiedy wyciąga z kieszeni dłoń. Coś w niej trzyma. Odskakuję w bok, rzucam się na podłogę i wyrywam broń z naramiennej kabury. Sekundę później mierzę prosto w jej serce.

Nie mogę tutaj zginąć. Moje dzieci mnie potrzebują.

Jestem gotowa nacisnąć spust, kiedy zauważam, że choć trzyma ręce w pozycji kojarzącej się z dżganiem... nie trzyma noża, lecz telefon komórkowy. Jest zupełnie blada, ale sprawia wrażenie, jakby triumfowała niczym męczennik oddający swoją duszę. Chce tego. Weszła tu gotowa, by umrzeć. Będzie szczęśliwa, jeśli za jej śmierć zgniję w więzieniu.

Zdejmuję palec ze spustu.

Wyraz zadowolenia znika z jej twarzy. Przez chwilę żadna z nas się nie rusza.

– Naprawdę miałam nadzieję, że to zadziała – mówi w końcu. Zwyczajna,

pozbawiona cienia emocji obserwacja. Opuszcza ręce.

Jestem przerażona, jak blisko nieszczęścia się znalazłam. Gdybym ją zastrzeliła, wyglądałoby to jak morderstwo z zimną krwią – ona nie miała żadnej broni. Z całą pewnością zostałabym skazana. Sama w końcu powiedziałam policjantowi, żeby pozwolił jej wejść. Jedynie moje słowo stanęłoby po stronie usprawiedliwionego postrzału. Żadnych innych dowodów. Mój proces zyskałby znakomitą oglądalność w telewizji.

Sprawa zamknięta.

Czuję pulsowanie adrenaliny, kiedy chowam pistolet.

– Cóż, musisz obejść się smakiem – odpowiadam i podnoszę się. – Teraz możesz już wyjść, nie chcę cię więcej widzieć. Ani tutaj, ani w pobliżu mnie, ani w pobliżu moich dzieci. Jakikolwiek chory układ łączył was kiedyś z Samem, to już dawno się skończył. Jego też zostaw w spokoju, rozumiano?

– My nie zapominamy. Zagubione Anioły nigdy nie przestaną działać, dopóki nie dostaniesz tego, na co zasłużyłaś. Jeśli Sam wejdzie mi w drogę, cóż, jego wybór.

– Sam i ja zasługujemy tylko na święty spokój – odpowiadam. – Ty również, tak przy okazji. Mam nadzieję, że go znajdziesz. A teraz wypierdalaj z mojego pokoju.

Jej usta lekko się zaciskają w reakcji na moje słowa.

– Wciąż taka wulgarna – mówi. – Dobrze. Nie chciałabym, żeby komukolwiek było cię żal. – Zanim wychodzi, wyprowadza jeszcze najgorszy cios, jaki tylko potrafi. – Przekaż Samowi, że za nim tęsknię.

Mam ochotę wyciągnąć pistolet i władować jej cały magazynek w te proste, aroganckie plecy. Nie robię tego. Czekam, aż zniknie, po czym przewracam się na łóżko, trzęsąc się na całym ciele.

Znalazła się tak blisko...

Nie.

Ja się znalazłam tak blisko.

13

SAM

Nie podoba mi się w tym areszcie. To mój pierwszy raz i jest dużo gorzej, niż mógłbym sobie wyobrazić. Nie mam klaustrofobii – jako pilot, nie mogę jej mieć – ale ściany i tak wydają się cholernie blisko. Pomimo tego, co powiedziałem Gwen, zanim mnie wyprowadzili, czuję się strasznie zagubiony. Jestem zdany sam na siebie w miejscu, które kojarzy się z brzuchem przysłowiowej bestii.

Kiedy po dwóch godzinach próbuję zamknąć oczy, nie zamierzając wcale spać, zza krat dobiega mnie czyjś głos.

– Otwieram numer sześć.

Ja siedzę w celi numer sześć. Słyszę grzechot zamka i szybko siadam na koi, sięgając po improwizowaną maczugę, którą przygotowałem.

Czuję się idiotycznie, kiedy Mike Lustig schyla się w niskim otworze i wchodzi do środka. Cela zamyka się za jego plecami, ale nie wydaje się tego zauważać. Wskazuje głową moje narzędzie obrony.

– To mydło w skarpecie czy tak okazujesz radość na mój widok?

– Jezu, człowieku – odkładam „broń” i kładę się na wąskiej, płytkiej koi. Mam wrażenie, że materac został wypełniony zmiażdżonymi skorpionami.

– Co ty tutaj robisz, do jasnej cholery?

– Tkwisz w areszcie. Głupie pytanie.

– Nie sądziłem, że zechcesz postawić na szali swoją nową, lśniąca reputację, bratając się z oskarżonym.

– Po pierwsze, wcale się nie bratam. Prowadzę dochodzenie. Po drugie, zamknij gębę. Rozmawiałeś z nimi?

– O faktach – odpowiadam, a on opiera się o ścianę. Mike jest naprawdę wielki i choć trudno go sobie wyobrazić mieszczącego się w kokpicie samolotu, jest w tym cholernie dobry. Zajmuje sporo mojej niedużej przestrzeni. – O niczym innym, tylko o faktach.

– Wiesz dobrze, jak to działa. Potrafią przekreślić każde słowo, które

wypowiesz. A w tym miejscu zrobią to na pewno.

Przyglądam się mu z uwagą. Jest zmęczony. Przejechał całą drogę z Waszyngtonu, prawdopodobnie na własny koszt, tylko po to, żeby mi pomóc.

– Dzwoniła Gwen – mówię.

– Zgadza się. To dobrze, bo gwarantuję ci, że w tej cuchnącej dziurze miałbyś jeszcze przed nastaniem świtu jakąś przygodę i skończył w tej celi martwy albo pobity prawie na śmierć. – Przy słowie „przygoda” wykonuje palcami znak cudzysłowu. – Zabicie gliniarza to ciężka sprawa, ale zabicie gliniarza z małego miasteczka, w którym ludzie wciąż odnoszą wrażenie, że wojna secesyjna zakończyła się tydzień temu? Gorzej może mieć tylko czarny, co na szczęście ciebie nie dotyczy.

– Ale dotyczy ciebie. Może nie powinno cię tutaj być.

– Och nie, synu, ja zdecydowanie powinienem tutaj być – odpowiada Mike. – Jestem twoim najlepszym przyjacielem, a sędzia, którego obudziłem, niebawem zorganizuje przesłuchanie w sprawie kaucji.

– Miałem już takie przesłuchanie. Nie wyznaczyli kaucji.

– To trzeba będzie je powtórzyć.

– Och. – Potrząsam głową. – Dziękuję, ale nawet się nie waży wyklądać forsę.

– Dlaczego? Zamierzasz dać nogę czy co?

– Nie, chyba że pozwolą mi opuścić miasteczko. Mówię poważnie. Nie rób tego. – Agenci FBI nie należą do bogaczy, a Mike i tak już wiele dla mnie zrobił. – Co u Gwen i dzieciaków?

Zmienia postawę i natychmiast robię się czujny. Strach narasta, kiedy Mike odzywa się zupełnie innym tonem. W jego głosie pojawia się nuta profesjonalnego pocieszenia.

– Nic im nie jest, stary. Słuchaj, był mały problem, ale wszystko gra. Chcę powiedzieć to od razu.

Wstaję na równe nogi.

– Co się stało?

– Ktoś jechał za nimi po drodze – odpowiada. – Samochód jest cały ostrzelany, ale żadne z nich nie zostało ranne.

– Kto? – Bolać mnie palce i zdaję sobie sprawę, że zacisnąłem je w twarde

pięści. – Kto, kurwa...

Podnosi dłoń, żeby uciąć ten wybuch gniewu.

– Jeszcze nie wiem. Mamy opis pickupa i martwego faceta na drodze. Gwen go nie zabiła, został wyrzucony na jezdnię, kiedy tamci wpadli w poślizg. Wkrótce znajdziemy kierowcę i zadamy mu kilka pytań.

– My? Czyli kto?

– Na początek ja. Ale jest też całkiem przyzwoity facet z biura śledczego Tennessee.

– Fairweather?

– Tak. Ma całkiem dobrą reputację. Kolejnych przyzwoitych ludzi dodamy do listy, jak już ich poszukamy. Nie zakładam oczywiście, że znajdziemy wielu w Wolfhunter. Plotki się rozprzestrzeniają, a to miasteczko cuchnie, jakby wyrosło na zgniliźnie.

Mike wypowiada się niemal poetycko, ale nie wątpię w jego instynkty. Ani przez chwilę.

– Powiedz mi jeszcze raz, że nic im się nie stało.

– Tak, bracie. Wszystko gra. Są na posterunku szeryfa okręgowego, jakieś pół godziny jazdy na zachód stąd. Zostaną tam prawdopodobnie na noc. Jak dowiem się czegoś nowego, dam ci znać.

Powoli opadam z powrotem na koję. Nie jest na niej przyjemnie, ale przynajmniej mogę się rozciągnąć.

– Oni potrzebują ochrony.

– Fairweather już o to zadbał. Prosiłem go o to.

– Powinieneś pojechać.

– Nie ruszam się stąd, dopóki tutaj jesteś.

Wzdycham głęboko.

– Dzięki, Mike.

– Spoko, pamiętaj o mnie przy premii.

– Tak, jakby kiedykolwiek miało mnie być stać na ciebie.

– Kolejna pieprzona dobroczynność. – Wyciąga z kieszeni telefon i słuchawki douszne. – Masz. Posłuchaj.

Rzucam mu zdziwione spojrzenie i zakładam słuchawki. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi, ale po chwili słyszę głos Gwen. Zamykam oczy i słucham. Słyszę w jej głosie prawdziwe emocje, a kiedy mówi „kocham

cię”, otwieram oczy i wbijam wzrok w ciemny sufit. Blask ekranu telefonu powoduje, że wszystko jest skąpane w dziwnej poświacie.

Gwen nie wie, jak bardzo na to nie zasługuję i jak bardzo chciałem to usłyszeć.

Zdejmuję słuchawki i oddaję telefon.

– Nie kasuj tego – mówię. – Wyślij to do mnie.

Nie pyta o powód. To tylko potwierdza, że kiedy się postaram, zdobywam dobrych przyjaciół.

Robimy szachownicę z monet i jakichś odpadów i gramy, dopóki nie wraca strażnik. Drzwi zostają odblokowane.

– Sędzia jest gotów – oznajmia. – Chodźmy.

– Zaprowadzę go – mówi Mike i chwyta mnie za ramię. Chcąc dobrze wypaść przed strażnikiem, sprawia wrażenie, jakby był zdolny wyrwać mi je bez trudu. Prawdopodobnie z tej przyczyny nie zostaję skuty kajdankami jak poprzednio. Przynajmniej łatwiej się idzie. – Postaraj się wyglądać żałośnie. A, zaraz, już tak wyglądasz.

– Zamknij się.

Wyprowadza mnie przez bramki.

Przejazd do sądu trwa zaledwie dwie minuty. Jestem ciekaw, czy Mike jest równie czujny jak ja, ponieważ nadchodzi chłodny świt, mgła unosi się z ziemi niczym uciekające duchy... a my jesteśmy sami w policyjnym wozie z dwoma asami z Wolfhunter, z których żaden nie wygląda przyjaźnie. Moglibyśmy zniknąć, skończyć martwi na brzegu rzeki Wolfhunter jak ta kobieta, którą znaleźliśmy z Connorem. Być może nigdy by nas nie odnaleziono. Pozostaje mieć nadzieję, że tajemnicze zniknięcie agenta FBI byłoby zbyt poważną sprawą dla tej miejsciny.

Oby.

O tej porze nad ranem na ulicy dostrzegam tylko trzy policyjne wozy patrolowe oraz... zaskakującą liczbę czarnych SUV-ów. Wskazuję jeden z nich, zaparkowany pod budynkiem sądu.

– To twój?

Mike kiwa głową.

– Dlaczego?

– Zabrałeś ze sobą jakieś towarzystwo?

Dopiero teraz dociera do niego, o co mi chodzi, i zaraz spogląda na inne, podobne pojazdy.

– Nie. One nie wyglądają mi raczej na miejscowe.

– Zdecydowanie – zgadzam się. – Widzę teraz aż trzy.

– To oznacza sporo gości.

– Jesteś pewien, że to nie FBI? Może biuro śledcze Tennessee?

– Jestem pewien – odpowiada Mike. – Jak sądzisz, ile osób potrzeba, żeby obstawić takie miasteczko?

– Całe? – Przez chwilę wydaje mi się, że żartuje, jednak mówi zupełnie poważnie. – Ech... jedna droga wjazdowa i wyjazdowa... parę aut powinno załatwić sprawę. Gdyby zechcieć stłumić opór, pierwszym wyborem byłby posterunek policji, prawda?

– Prawda.

– Ale tak się nie stało.

– Jeszcze nie.

Nie mówi nic więcej. Jesteśmy jeszcze za daleko, by w słabym świetle odczytać tablice rejestracyjne, choć jestem pewny, że je zanotuje lub sfotografuje.

Myślę, że Mike ma swoją teorię, jednak nie mówi mi, jak ona brzmi.

Kiedy wysiadamy z samochodu i wchodzimy do sądu, oddycham nieco lżej. Sędzią jest gderliwy starszy facet spoza miasteczka. Z pewnością wkurzyła go tak wczesna godzina i fakt, że musiał zostać wygoniony z łóżka przez kogoś na wyższym szczeblu stanowym. Daje znak ziewającej urzędnicze sądowej, która wzywa na rozprawę, a ja bezskutecznie rozglądam się za moim prawnikiem. Jasna cholera. Ostatecznie jednak wydaje się to bez znaczenia, bo sędzia wygłasza tylko oświadczenie, które czyta z kartki.

– W oparciu o analizę dodatkowych dowodów zmieniam wcześniejszą decyzję i wyznaczam na rzecz oskarżonego kaucję w kwocie dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Obowiązują standardowe warunki.

Pewnie musi być wszystko jak w zwykłym stenogramie, gdyż urzędniczka pisze dalej, jakby powiedziano znacznie więcej. Sędzia czeka na zakończenie, po czym stuka młotkiem i pospiesznie wychodzi. Odnoszę wrażenie, że pod togą wciąż ma założoną piżamę. Nie wydaje mi się, żeby

następny oskarżony miał łatwy proces.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy? – mówię, kiedy podchodzi Mike. – Przecież wiadomo, że nie masz tyle przy sobie.

– Ani przy sobie, ani w ogóle, stary. Ale masz szczęście. Ktoś inny ma tyle forsy.

To nie może być Gwen. Owszem, ma ukryte trochę oszczędności, ale z całą pewnością nie tyle. Mike wyprowadza mnie na zewnątrz. Nie wiem, czego oczekiwać, gdy wychodzę na chodnik, ale stoję jak wryty, kiedy zauważam samochód.

To buick z wypożyczalni.

Mike otwiera drzwi i zaprasza mnie gestem ręki, abym zajął miejsce obok Mirandy Tidewell.

– Jaja sobie, kurwa, robisz? Mike! Daj spokój.

– Wsiadaj. Potrzebny ci był anioł.

– Akurat ona to przeciwieństwo anioła.

Miranda wychyla się z auta.

– Sam, nie każ mi żałować tej inwestycji. Wsiadaj, proszę. Wysłuchaj, co mamy do powiedzenia.

Patrzę na nią, a potem na Mike'a Lustiga.

– A więc teraz to już „my”.

Czuję, jak coś się we mnie zatrząskuje z hukiem. Liny zostają przecięte.

Liczyłem na Mike'a i jego przyjaźń od dawna, znacznie dłużej niż znam Mirandę. Nie wyobrażałem sobie, by cokolwiek mogło naruszyć lub zniszczyć to zaufanie.

Czuję jednak, że łańcuch zaczyna się zrywać, ogniwo po ogniwie.

– Dalej, wsiadaj – powtarza. Mógłbym odejść, ale dokąd miałbym pójść? Gwen tutaj nie ma, a poza tym ona boryka się teraz z większymi problemami.

Wsiadam do auta. Mike zajmuje siedzenie pasażera z przodu, aż cały sedan jęczy i lekko osiada na resorach.

– Przynajmniej nie zrobiłaś z niego swojego szofera – mówię do Mirandy.

– Choć nawet dla ciebie mógłby to być o jeden most za daleko.

– Wal się – rzuca Mike. – Myślisz, że zrobiłem to dla pieniędzy?

– Nie wiem, Mike. Może po prostu wyjaśnisz mi, dlaczego spiknąłeś się

z kobietą, której nienawidzę?

– Pan Lustig szczerze się o ciebie troszczy, Sam – mówi Miranda. Odbija od krawężnika i odjeżdża. Nie wiem, dokąd jedziemy, i wcale mi się to nie podoba. – Ktoś musiał mi pomóc ochronić cię przed samym sobą. Jeśli Mike i ja się spiknęliśmy, jak to określiłeś, to dlatego, że zależy nam obojgu.

– No tak, teraz wam zależy – pryham. Mam nadzieję, że odczuła ten policzek. Poprawia się w fotelu i patrzy wprost przed siebie.

– Tak – przyznaje. – Zależy. Na swój sposób. Nawet po tym wszystkim co zrobiłeś, żeby mnie odepchnąć. – Pamiętam ten ton, ten głos. Niski, lekko syczący, jak u kota. Powracają wspomnienia z przeszłości i przepełniają mnie strachem.

Miranda nie wygląda tak, jak zazwyczaj. Ma rozpuszczone włosy, które opadają gładkimi falami na ramiona, czarną bluzkę bez wzorów i niebieskie dzinsy. Mimo że ciuchy musiały swoje kosztować – ona z pewnością nie zdecydowałaby się na zakupy w zwykłej sieciówce – to ubrana jest tak swobodnie, jak nigdy dotąd, wyłączając sytuacje, kiedy była pod wpływem... i wtedy dociera do mnie, że jest pijana. Nie w szok, jak to zwykle miało miejsce. Ale wystarczająco.

– Co ty zrobiłaś? – pytam spiętym głosem.

– Widziałam się z Giną. Nie martw się, nie zdradziłam twoich tajemnic. Chciałam tylko... nieco ją przetestować.

– Zrobiłaś jej krzywdę? – Nie zdaję sobie sprawy z wściekłości, jaka mnie przepełnia, dopóki nie słyszę brzmienia własnego głosu. Dłoń Mike'a zaciska się na moim ramieniu. Rozpoznaje ten ton, czuje, że jestem gotów do skoku. – Puszczaj, Mike. Zrobiłaś jej krzywdę?

– Nie – odpowiada w końcu Miranda. – Nic jej nie jest. Dzieciom prawdopodobnie również, choć ich nie widziałam.

To już coś, co pozwala mi wycofać się znad bardzo głębokiej przepaści.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Ona ciągnie cię w dół razem ze sobą – mówi Miranda. – Tak nie musi wcale być. Nie chcę, by tak było, Sam. Nigdy nie chciałam. Za bardzo mi zależy, żeby patrzeć biernie... jak się zeszmacasz.

– Więc nie patrz. Wracaj do Kansas i zostaw nas w spokoju – odpowiadam. – Opuść sobie.

Jej twarz pąsowieje, na policzkach i czole wykwitają małe czerwone plamki. Kiedy jest pijana, nie potrafi długo zachować spokoju.

– Nie jesteś matką. Miałam dziecko, które nosiłam w sobie, a ono zostało całkowicie zniszczone. Ktoś musi za to zapłacić.

– Już zapłacił. Melvin Royal dostał kulkę w łeb.

– Doskonale wiedziałeś, że ona też była winna. A teraz pozwalasz jej z tym spokojnie żyć.

– Tak, byłem zły i obłąkany. Udało mi się z tego wyjść. Tobie też powinno się udać.

– Film zostanie ukończony – mówi. – Wasze życie i tak się rozpadnie, ponieważ wyjście Giny z cienia było początkiem końca waszego tak zwanego związku. Jesteś na tyle bystry, że powinieneś już do tego dojść. – Sięga do kieszeni, wyciąga zwinięty kawałek papieru i mi podaje.

To wydrukowany artykuł z internetu. Jego autor żarliwie wypowiada się na temat Gwen Proctor jako świadomej partnerki zbrodni jej męża. To nie jest artykuł sprzed pięciu lat. Opublikowano go niedawno.

– Nie wydrukowałam sekcji z komentarzami – mówi. – Mogę cię jednak zapewnić, że były ich tysiące, wszystkie pełne nienawiści. Nikt już nie wierzy w jej niewinność. Nikt poza tobą. A kiedy wyjdzie ten film, nikt nie będzie już w stanie uwierzyć. Od tej pory nie zazna już spokoju, a my będziemy mieli choć namiastkę sprawiedliwości.

Chryste. Potworem w tym równaniu nie jest Gwen. On siedzi obok mnie, a ja pomogłem go stworzyć.

– Odwołaj ich.

– Ty to zaczęłaś, Sam. To ty założyłaś Zagubione Anioły. Ty wydrukowałaś plakaty z jej podobizną, które rozwieszaliśmy w okolicy po jej zlokalizowaniu. Kazałaś nam śledzić każdy jej ruch, identyfikować tożsamości, stale się jej pokazywać. To ty wpadłaś na pomysł, że udowodnić raz na zawsze jej winę, wprowadzając się do pobliskiego domu w Stillhouse Lake. Dlaczego miałabym ich odwołać? Ufałam, że zakończysz to dla nas wszystkich. A ty się zamiast tego zakochałaś.

Ostatnie zdanie wypowiada z prawdziwą goryczą. O Boże, tylko nie to. Nie mów mi, że o to naprawdę w tym chodzi. Widzę czerwone otoczki jej oczu, ledwie kontrolowany smutek i gniew. Nie chodzi jej tylko o utratę

córki, ale także o mnie. Dałem się nabrać, że jesteśmy jedynie sojusznikami, ale dla niej zawsze byłem kimś więcej. To był związek.

Nigdy tego w taki sposób nie postrzegałem. Ona była dla mnie jedynie środkiem pozwalającym zakończyć to wszystko, a okazało się, że wykorzystwała mnie w taki sam sposób.

Zerkam z niedowierzaniem na Mike'a.

– A ty jesteś w tym wszystkim z nią.

Zachowuje kamienną twarz, choć jestem prawie pewien, że czuje się winny.

– Posłuchaj, stary... lubię Gwen. Naprawdę. Jesteś jednak dla mnie, bracie, ważniejszy, a ona nigdy nie pozbędzie się bagażu przeszłości. On jest po prostu za ciężki. Nie chcę, żebyś utonął razem z nią.

– Nie przeszkadza ci zatem, że jest nękana, śledzona, że chcą ją zabić. Ją i dzieci.

– Nie – odpowiada. – To nie tak. Ale nie chcę, żebyś stał się w tym wszystkim przypadkową ofiarą. Wysłuchaj tej kobiety. Tylko o to cię proszę.

– W ogóle jej nie znasz. Jezu, Miranda, czy do ciebie to nie dociera? Ja nigdy ciebie nie kochałem. Trudno było mi cię nawet lubić. Naszym wspólnym mianownikiem była strata, ale to już się skończyło.

Nie odpowiada natychmiast. Samochód zwalnia, a ona skręca na znajomo wyglądający parking. Motel 6.

– Daję ci wybór, Sam. Masz ofertę pracy z Florydy, możliwość rozpoczęcia wszystkiego od początku i zrobienia w swoim życiu czegoś pozytywnego. Po prostu ją wykorzystaj.

Rozumiem. W końcu rozumiem. Ale to boli...

– Mike nie zarekomendował mnie do tej pracy, prawda? – Przenoszę na niego wzrok. – Pociągnąłeś tylko za korporacyjne sznurki. Zapewniłeś możliwość przyjęcia ciepłej posadki z dala od Gwen.

– Zarekomendowałem cię – zaprotestował Mike. – Chcę, żebyś przeżył, stary, a jeśli nie zejdiesz z tej ścieżki, to nie widzę takiej możliwości. – W jego głosie wyczuwam prawdziwy smutek. Wierzę, że naprawdę jest mu przykro. Nigdy nie lubił Mirandy i całej tej jej krucjaty. Nigdy nie podobała mu się moja rola w tym wszystkim, choć nie stracił we mnie wiary.

Zaczynam rozumieć, dlaczego tak postąpił.

Tylko że on się całkowicie myli, do kurwy nędzy!

Słucham pracującego na jałowych obrotach silnika. Liczę uderzenia serca, ponieważ pozwala mi to zachować spokój, kiedy mam ochotę rozerwać to auto na strzępy.

– Masz wybór, który pozwoli ci zmienić swoje życie – powtarza Miranda.
– Zawożę Mike’a z powrotem na lotnisko w Nashville. Jeśli się zgodzisz, będzie tam na ciebie czekał prywatny odrzutowiec, który zabierze cię na Florydę. Mike i ja dołożymy starań, żeby oczyścić cię z tych zarzutów, przecież to oczywiste, że nie jesteś mordercą. Bronił się tam, a śledztwo policji stanowej w pełni to poprze. Przyjmij tę robotę. Znajdź sobie kogoś innego. Wylecz się z tego, co ona ci zrobiła. I nigdy, przenigdy tu nie wracaj.

– Albo?

– Albo wysiądziesz z tego samochodu i zaczekasz na Ginę. Jeśli dokonasz takiego wyboru, to Bóg mi świadkiem, że zniszczenie was obojga stanie się moją nadrzędną misją. Sprawię, że będziecie z Giną Royal tak toksyczni, tak jadowici, że każdy, kto będzie miał z wami styczność, będzie tego szczerze żałował.

Taktyka spalonej ziemi. To ma na myśli. Słyszę, że Mike protestuje, ale nie wsłuchuję się w jego słowa. Być może nie zdawał sobie sprawy, co ona zamierza, ale już w to wszedł i pozostanie w tym do końca.

– Nie możesz tego zrobić – mówię, starając się używać spokojnego tonu. – Nie możesz w taki sposób karać niewinnych dzieci.

– Nie mogę się doczekać dnia, kiedy ktoś zniszczy te dzieci tak, jak Melvin zniszczył moje. Wtedy dopiero spocznę, ponieważ ostatni ślad po Melvinie Royalu zniknie z tej ziemi.

To przerażające, ale ona nie żartuje. Znam dobrze tę kobietę. Opiekowałem się nią kiedyś. Kiedy słyszę ten fanatyzm, okrucieństwo... mam wrażenie, że patrzę w lustro i widzę samego siebie sprzed dwóch lat.

– Jesteś obłąkana – mówię. Jest mi jej naprawdę żal i boję się o nią. – Zaszłaś za daleko.

– Poszłabym nawet do samego piekła, żeby ukarać Ginę Royal – mówi. – A jeśli wysiądziesz z tego samochodu, Sam, również tam trafisz.

Zerkam to na nią, to na Mike'a. Mój przyjaciel wygląda na naprawdę zatrwożonego. Nie wiedział, do czego ona się posunie, nie miał pojęcia, że sprawy zajdą tak daleko. Żal mi go przez chwilę, ale szybko przypominam sobie, że próbuje odciągnąć mnie od ludzi, których kocham.

– W takim razie do zobaczenia w piekle – odpowiadam, otwieram drzwi i wysiadam.

Odprawdzam samochód wzrokiem. Na wschodnim horyzoncie zaczyna wstawać słońce, jednak poranek jest zaskakująco zimny jak na tę porę roku. Duchy uciekają z ziemi.

Siadam przy ścianie Motelu 6 i czekam na to, co mnie czeka. Jeśli będzie to policja z Wolfhunter, to będę martwy, zanim ujrzę słońce.

Jeśli jednak jest to wybór między obserwowaniem cierpień Gwen lub cierpieniem wraz z nią... cóż, za każdym razem będę blisko niej.

Siedzę przez jakieś pół godziny, kiedy w końcu się zjawiają. Trzech facetów, którzy z pewnością nie są tu z osobistych przyczyn, bo rozglądają się dookoła, dostrzegają mnie i ruszają prosto w moją stronę. Środkowy jest chudy, rudowłosy i nosi gęstą, zaniedbaną brodę. Pozostali są niżsi, obaj ciemnowłosy i również brodaci. Pod tymi wszystkimi kłakami zauważam pewne podobieństwo. Nie znam ich, a oni z całą pewnością nie powinni znać mnie.

– Panowie – mówię, nie podnosząc się. Jestem zmęczony. – Naprawdę musimy teraz przez to wszystko przechodzić?

Oczekuję, że zwrócą się do mnie w oczywistej sprawie, którą jest śmierć ich lokalnego bohatera Trávisa, ale jednak mnie zaskakują.

– Gdzie ona jest? – pyta rudzielec.

– Gwen? – Wzruszam ramionami. – A co?

– Mamy randkę – odpowiada i wybucha śmiechem w sposób jednoznacznie kojarzący się z odgłosem osła. – Słyszałem, że suka może mi obciągnąć.

Przestaje się śmiać, kiedy zauważa, że to nie działa. Naprawdę nie chcę tego robić. Czuję się zmęczony, zagubiony i zdecydowanie nie w nastroju.

Tak jest przynajmniej do momentu, kiedy tamten postanawia kontynuować:

– Nie chodzi mi o matkę, tej nie ruszyłbym, nawet mając tysiąc kondomów. Mówię o córeczce.

Wszystko znika. Wyczerpanie, depresja, strach. Wstaję.

– Masz na myśli moją córkę – mówię. Bo ona jest moją córką, a ja nie odpuszczę tego temu dupkowi. – Niezły masz ryj. Całujesz nim swojego braciszka?

Podchodzą, zgodnie z oczekiwaniami. Czekali tylko na najmniejszy pretekst.

Nie wygląda to jak w cholernych filmach, gdzie dwaj czekają cierpliwie, aż pierwszy zacznie walkę. Ruszają na mnie kupą, dwóch przyciska mi ramię do muru, a trzeci – ten duży – wali mnie pięścią wielkości puszki z kawą w żołądek z taką siłą, że czuję cios aż w kręgosłupie. Przyjmuję go, ponieważ chcę wypatrzeć ich słaby punkt, nie licząc oczywiście braku dyscypliny. Duży jest niezgrabny i opiera ciężar ciała na prawej nodze. Łatwy cel. Powstrzymuję odruch wymiotny po uderzeniu, unoszę swój roboczy but i wbijam go prosto w bok jego prawego kolana. Słyszę odgłos pękającej chrząstki, a jego pisk odbija się echem od betonowych ścian motelu.

Odskakuje do tyłu, wyjąc, po czym uderza w ścianę i kuli się, nie przestając wyć. Nie jest całkowicie wyeliminowany, ale przez chwilę nie weźmie udziału w bóje.

Dwóch tępaków przyszpilających moje ramię patrzy ze zdumieniem na swojego przyjaciela. Żeby się ich pozbyć, muszę tylko uderzyć lewą pięścią w bok głowy pierwszego, chwycić go za włosy i zapoznać z moim kolaniem, co niniejszym czynię. Nos faceta pęka, a on upada ciężko w kącie.

Został jeden. Nikt mnie już nie powstrzyma. Nie czuję w tej chwili bólu, który ustąpił miejsca pełnej, niemal chorej satysfakcji z rozłożenia tych gości. A on to dostrzega.

Unosi obie ręce i się wycofuje.

Jestem tak zaskoczony, że kiedy się odzywam, mój głos nawet nie drży.

– Hej, panowie, pozwólcie, że zadam pytanie. Kto was tutaj przysłał?

Ten ze złamanym nosem próbuje mnie przeklinać, ale kończy się to

jedynie kaszlem i pryskaniem krwią. Krzywię się, ale jednocześnie czuję dziką radość.

– Dupek – rzuca rudowłosa takim głosem, jakby miał w gardle kamienie. Nawet jedna sylaba wystarczy, żeby ubarwił ją nosowym akcentem rodem z Tennessee. – Wszyscy wiedzą, że jesteś tego częścią.

– Częścią czego? – pytam, spodziewając się, że usłyszę coś na temat miasteczka lub śmierci Trávisa. Ale tak nie jest.

– Jesteś chłopcem na posyłki Melvina Royała – mówi. – Każdy to wie. Ty i ona, razem pomagaliście mu dopaść te dziewczyny. Jesteś już, kurwa, martwy.

W reakcji na jego słowa szumi mi w głowie, jakbym dostał prosto w szczękę. Rzucam mu nic nierozumiejące spojrzenie. Robi mi się niedobrze. Jezu Chryste. Biorę głęboki wdech i powoli wypuszczam powietrze. Nie czuję się już tak pewnie jak przed chwilą.

– Gdzie to usłyszeliście?

– W barze.

– Ktoś napisał o tym na Facebooku – dodaje ten nadal trzymający w górze dłoń.

Odwracam się do niego.

– Kto to, do cholery, powiedział?

– A co? – Facet ze zrujnowanym nosem spluwa krwią i szczyrzy różowe zęby. – Ją też chcesz załatwić?

Ją. Moje myśli natychmiast kierują się ku Mirandzie. To byłoby dokładnie w jej stylu, czysta propaganda, pozbawiona cienia prawdy. Oskarżenie bez argumentów, bez dowodów, rozprzestrzeniające się lotem błyskawicy... Z własnego bogatego doświadczenia jedno mogę powiedzieć o ludziach: jeśli tylko poczują się jak pieprzeni bohaterowie, bez wahania wskoczą do pociągu jadącego do stacji nienawiść.

Chwytam tego nietkniętego za ramię.

– Pokaż mi.

Facet wyciąga zaskakująco przyzwoity telefon komórkowy i przesuwając nim drżącymi palcami, po czym pokazuje mi ekran.

Czytam wpis. Nie napisała go Miranda, a przynajmniej nic na to nie wskazuje w pierwszej chwili. Podpisała się pod nim kobieta o nazwisku

Doreen Anderson, a zdjęcie przedstawia pulchną blondynkę zamieszkałą w Atlancie. Na fotografii Doreen jest z dziećmi na kościelnym festynie. Stoi obok dwóch mężczyzn, z których jeden wydaje się znajomy. Nie wiem, skąd znam tę twarz, ale dostrzegam nagle białą furgonetkę w tle. Wszyscy się uśmiechają i pokazują uniesione kciuki.

Mechanizm w mojej głowie klika. Już wiem, ona należy do ekipy filmowej. Sprawdzam szczegóły jej zatrudnienia. Była pracownica banku, która została zwolniona jak wiele jej podobnych w związku z rozwojem nowinek elektronicznych. W polu z obecnym zawodem wpisała „dokumentalistka”.

Jej wpis wyraźnie sugeruje, że jestem jakimś uczniem Melvina Royała, który współpracuje z Gwen. Żadne stwierdzenie nie jest wystarczająco mocne, żeby pójść z tym do sądu, czego i tak bym nie uczynił. Tylko dolałbym w ten sposób oliwy do ognia. Za to całe mnóstwo „a co, jeśli” i „może ci dwoje”. W dzisiejszym świecie coś takiego uchodzi za dziennikarstwo.

Błoto się przyczepia. Jeśli chciała narobić smrodu, to swój cel osiągnęła. Jak to powiedziała Miranda: to dopiero początek.

Oddaję telefon facetowi, który chwyta go niezręcznie i upuszcza. Mam nadzieję, że załatwił sobie ekran na amen.

– Posłuchajcie, kretyni. Wróćcie do tego baru, o którym była mowa, i przekazcie pozostałym: jeśli ktokolwiek zbliży się do mnie, do Gwen lub do naszych dzieci, nie skończy się tak łagodnie jak dziś. Macie szczęście, że was nie pozabijałem. A teraz wypierdalać.

– Pizda. – Rudobrody pluje w moim kierunku, ale chyba, bo wciąż mam przyzwoity refleks.

– Żałosne, że wciąż uciekasz się do obrażania mnie, wielkoludzie. Tak przy okazji, te ścięgna masz już załatwione. Lepiej zasuwasz do lekarza, jeśli nie chcesz utykać do końca życia.

– Złamałeś mi nos – mamrocze drugi, jakby nie było tego widać na pierwszy rzut oka. Nie ma bojowego nastawienia, jest raczej smutny. – Złamałeś mój jebany nos.

Kiwam głową. Wszyscy trzej znikają za rogiem, przy czym ten ostatni podtrzymuje Rudobrodego, a Złamany Nos stara się powstrzymać

krwawienie z nosa rękawem dżinsowej kurtki. Bezskutecznie. Istnieje duża szansa, że pocłapią w tym stanie na policję i moja kaucja zostanie wycofana, ale nic na to nie poradzę. Jeśli policja z Wolfhunter zechce mnie znaleźć, również nic nie poradzę. Przynajmniej kosztowałem Mirandę ćwierć miliona. Mizerna to zemsta, ale zawsze.

Ruszam w kierunku drzew, żeby się wysikać, kiedy na motelowy parking zajeżdża biały, kanciasty sedan. Nie poświęcam mu zbyt wiele uwagi, bo zaczynam czuć spadek adrenaliny i nawrót zmęczenia, ale samochód zatrzymuje się tuż przy mnie. Cofam się o krok i sięgam po pistolet, którego przecież już nie mam, po czym zauważam, że za kierownicą siedzi Gwen. Patrzymy na siebie przez długą, wiele mówiącą chwilę, po czym przenoszę wzrok na tył. Dzieci siedzą w środku. Ciche i grzeczne.

– Wsiadaj – mówi Gwen. – Zabierajmy się stąd.

– Nie mamy dokąd pojechać – odpowiadam. – Musimy porozmawiać. Natychmiast.

14

GWEN

Sam nie wygląda najlepiej. Jest blady, zmęczony i do głębi nieszczęśliwy, a na jego twarzy ujawniły się zmarszczki, których wcześniej nie widziałam. Nie wiem, co on widzi, kiedy pochyla się, żeby spojrzeć na mnie przez otwarte drzwi samochodu, ale wsiada i zamyka je za sobą. Ruszam bez żadnej zwłoki.

– Dokąd jedziesz? – pyta. Nawet w jego głosie słychać zmęczenie. Jestem przekonana, że nie spał tej nocy i jest wyczerpany tak jak ja.

– Z dala od tego gówna i całego tego pieprzonego miasteczka. Mike do mnie zadzwonił. Powiedział, że wyszedłeś za kaucją, i wskazał, skąd mam cię odebrać. Gdzie on jest? – Sam nie odpowiada. – Nieważne. Jedźmy do domu.

– Dom nie jest bezpiecznym miejscem – mówi. – Zatrzymaj samochód.

Nie wyjechałam jeszcze z parkingu, zrobiłam tylko nawrót. Staję na jednym z miejsc parkingowych.

– Co jest? – Odnoszę wrażenie, że mi się to nie spodoba. Ani trochę.

Waha się przez chwilę, po czym odpowiada:

– Nie chcę, żeby dzieci tego słuchały.

– Jestem pewna, że powinniśmy – odzywa się moja córka. – Dość tajemnic! Nie mamy już po kilka lat.

Dla mnie zawsze będą małe – drobne zawiniątka ze słodką, różową skórą i wierzgającymi stópkami, wymachujące rękami i potrzebujące ochrony przed światem. Tracę oddech, gdyż zdaję sobie sprawę, że Sam nie powiedziałby tego, gdyby sprawa nie była poważna. Gdyby nie było to coś, co wszystko zmienia.

Ale Sam w końcu zgadza się z Lanny. Opiera się o boczne drzwi, żeby móc patrzeć na mnie i na dzieci.

A potem mówi nam prawdę.

– Miranda Tidewell i ja byliśmy blisko. Mieszkałem z nią przez pewien

czas. Zanim cokolwiek założysz, to było tylko... po prostu musiałem gdzieś osiąść, a ona zaoferowała mi pokój u siebie. Gościnny pokój.

– Na jak długo? – pytam.

– Od momentu powrotu z Afganistanu aż do przeprowadzki do Stillhouse Lake. Mówiłem ci już, że zamieszkałem tam przekonany, że zdołam udowodnić twoje powiązania ze zbrodniami Melvina. To była prawda. Nie powiedziałem ci tylko, że miałem na to fundusze.

– Fundusze – powtarzam. – Od Mirandy.

– A ona w końcu chyba zrozumiała, że nie uzyska żadnego zwrotu z tej swojej inwestycji.

Czuję jakieś szarpnięcie w środku, jakbym połknęła haczyk na ryby z żyłką. Zawsze mówił o tym jak o swojej decyzji, a nie o wspólnej tajemnicy z kimkolwiek. Wspólnej tajemnicy z nią.

– Wiedziała, że przyjeżdżasz do Stillhouse Lake po to, żeby mnie dopaść. Wsadzić do więzienia, jeśli to możliwe.

– Tak.

– Ta kobieta z telewizji? – pyta Connor. – To ta? To z nią mieszkałeś?

– Tak. – Zaczyna mu się łamać głos. Nie chce się przyznawać do tego przed Connorem. – Ale to nie koniec. Założyłem grupę Zagubione Anioły. Zaczęło się od nas dwojga, ale potem wciągnęliśmy w to rodziny i przyjaciół pozostałych ofiar Melvina. Jeśli nie udało się zwerbować wszystkich, to byliśmy naprawdę blisko celu. Z założenia grupa miała mieć charakter terapeutyczny, a zmieniła się w coś innego.

– Sam... – Wiem o grupie Zagubionych Aniołów i czuję dziwne sensacje w żołądku. – Nie. Nie...

– Ja to zacząłem – przyznaje. – Miranda i ja, to my jesteśmy za to odpowiedzialni. Boże, Gwen... – Widzę, jak długo nosił w sobie ten sekret i ile go to kosztuje. Współczuję mu pomimo tego, że rozrywa mi serce na pół. – Najpierw były tylko rozmowy, jakieś internetowe bzdury, dzięki którym mieliśmy poczuć się lepiej. Potem... potem przygotowałem plakaty z twoją podobizną. Kiedy zmieniłaś nazwisko, dowiedziałem się, gdzie mieszkasz. – Sprawia wrażenie, jakby było mu niedobrze. – Wracaliśmy każdego dnia, żeby je rozwieszać. Całymi tygodniami. Śledziliśmy cię.

Chce mi się wymiotować. Zaciskam ręce na kole kierownicy. Pamiętam,

jaka szczęśliwa byłam, kiedy odzyskałam dzieci, jak bezpiecznie i dobrze się czułam w naszej nowej przystani po uniewinnieniu. Zaczęliśmy od nowa. Wierzyłam wtedy w dobroć i wybaczenie ludzi. Naprawdę wierzyłam, że będziemy mogli żyć dalej bez ciągnącego się za nami smrodu Melvina.

Potem w sąsiedztwie pojawiły się te plakaty, na których byłam oskarżana o gwałt, tortury i morderstwa. Miałam ich pełną skrzynkę na listy. Przybito je do moich drzwi wejściowych. Do drzwi szkoły moich dzieci.

Teraz, kiedy słyszę, że stał za tym Sam... coś we mnie spala się na popiół. On zniszczył nasze poczucie bezpieczeństwa. To on zmusił nas do ratowania się, ponieważ po pierwszym razie wszystko wokół oszalało, wymknęło się spod kontroli. Reddit puchł od spekulacji na temat poziomu mojego zaangażowania w morderstwa i uznano, że to ja byłam tym geniuszem zbrodni. Że Melvin był tylko moim kozłem ofiarnym.

Od tamtej pory byliśmy nieustannie prześladowani. Żadne z miejsc nie było bezpieczne. Zagubione Anioły i cała armia wściekłych dupków, którzy za nimi podążali, zaczęli nam wysyłać coraz okrutniejsze obrazy i fantazje związane z naszą śmiercią.

Wtedy dociera do mnie, że Sam również je wysyłał. Musiał to robić na początku. To się nadal nie skończyło. Każdego dnia Patrol Psycholi zalewa moją skrzynkę wiadomościami.

Sam jest prawdziwym autorem naszego nieszczęścia.

Nie wiem, jak ogarnąć rozmiar tej zdrady, nawet jeśli to wszystko miało miejsce, jeszcze zanim się poznaliśmy.

Mam w oczach łzy, tak zimne, że wydają się gotowe do zamarznięcia. To boli. To wszystko tak boli.

Dlaczego mi nie powiedziałaś? Jak mogłaś mnie nakłonić, żebym ci zaufała? W jaką chorą grę ze mną pogrywasz?

Ledwie czuję swoje ciało. Mam wrażenie, że tracę przytomność, ale tak się nie dzieje. Trzymam się łapczywie świata, tego ohydneho, zepsutego świata i mówię:

– Zapytałaś mnie, czy za ciebie wyjdę. Czy ona kazała ci to zrobić? Ożenić się ze mną, a potem mnie złamać? A może po prostu zabić... – Nie mogę mówić dalej, słowa nie chcą przejść mi przez gardło. Głos mi się trzęsie,

całe moje ciało dygocze. Wtedy dociera do mnie kolejna prawda. Nie powiedziałam dzieciom, że mi się oświadczył. W tej chwili zostały świadkami i ofiarami. Powinnam była wysiąść z tego samochodu, tak jak o to prosił, wysłuchać jego spowiedzi na osobności...

To je zniszczy. One mu tak bardzo ufały.

Odwracam się w ich stronę. Connor siedzi z opuszczoną głową. Znam tę postawę. Broni się przed bólem. Lanny patrzy na Sama z przerażeniem malującym się na twarzy.

Chwilę później wybucha.

– Ty draniu – mówi. – Ty potworze! – Cytuje słowa z listu swojego ojca. *Nie masz pojęcia, kim on jest, Gino. Nie wiesz, do czego jest zdolny. Śmiać mi się chce, jak sobie pomyślę, że do swojego łóżka ściągasz same potwory. Zastugujesz na to.*

Może zasługuję, ale moje dzieci nie.

Twarz Sama jest w tej chwili barwy popiołu, nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Zjawiłem się tutaj, żeby cię skrzywdzić, to było moim celem na początku, i tak, Miranda wiedziała, ale potem wszystko się zmieniło. Kiedy powiedziałem, że cię kocham, że kocham te dzieci, mówiłem szczerą prawdę. Rozumiem, dlaczego mi odmówiłaś, ale błagam, uwierz mi.

Słyszę w jego głosie ból, widzę go w jego oczach, jak spływa razem ze łzami po policzkach, tak samo jak u mnie. Cała rozmowa była prowadzona spokojnym tonem, ale mam ochotę krzyknąć, aż cały świat się zatrzyma. Do tej pory nigdy nie wyobrażałam sobie Sama jako takiego potwora jak Melvin, ale teraz wszystko jest aż zbyt oczywiste. Zbyt rzeczywiste.

On skrzywdził nas nie mniej, niż mój były mąż.

– Nie wierzę ci – odpowiadam. – Miranda właśnie wpłaciła twoją kaucję, prawda?

Wydaje z siebie dźwięk, jakbym przyłożyła mu poniżej pasa. Nie porusza się przez chwilę, tylko opuszcza głowę i oddycha. A ja czekam. Jeśli wyciągnie rękę w moją stronę, w stronę dzieci, chwycę ją i złamię. Będę ją skręcać, a kiedy się pochyli do przodu, zmiażdżę mu krtań pięścią. Kolejność jest dla mnie oczywista, ale nie widzę jego twarzy, kiedy próbuję to sobie wyobrazić. Tylko pustą przestrzeń. W tej chwili nie potrafię

powiedzieć, kim naprawdę jest siedzący obok mnie człowiek.

Otwiera drzwi samochodu i wyskakuje, jakby nie mógł się doczekać, żeby się ode mnie oddalić. Ale w tej samej chwili się zatacza i chwyta za karoserię po stronie Lanny. Pochyla się, wspiera ręce na udach i ciężko oddycha.

– Jedź – mówi Lanny. – Mamo, jedź! – Po jej twarzy płyną strużki łez. – Chcę wrócić do domu!

Znów je zawiodłam i nie mam pojęcia, jak to naprawić.

– Dobrze – odpowiadam. – Wracamy do domu.

Ledwie jednak wrzucam bieg, kiedy Connor otwiera drzwi i wysiada. Zastygam, bo nie wiem, co zamierza zrobić. Mój syn okrąża auto, staje przed Samem i pyta:

– Mówisz nam teraz prawdę? Wszystko? Jesteś tego pewny?

Sam kiwa głową. Nadal się trzęsie i walczy o oddech. Nie wyobrażam sobie, co czuje mój syn, ale nie chcę go powstrzymywać. Nie mogę.

– Mamo! – Lanny uderza pięścią w oparcie mojego fotela. – Zrób coś! Zawołaj go do samochodu i jedźmy!

– Connor! – wołam, ale on mnie nie słucha. Wychylam się z siedzenia kierowcy. – Connor, wracaj do samochodu!

Ale mój syn mnie ignoruje, podobnie jak Lanny, która szaleje na tylnej kanapie. Obserwuje Sama z pełnym spokojem.

– Rozumiem – mówi, ale nie do mnie, lecz do Sama. – One są wściekłe. Ja też. Ale łatwo jest powiedzieć komuś to, co chce usłyszeć. Ja słuchałem mojego ojca, choć wiedziałem, że nie robię dobrze. – Przelyka ślinę i teraz widzę, jaki jest zdenerwowany i ile go to wszystko kosztuje. – Wiedzieliśmy, kim byłeś kiedyś. Teraz nie jest inaczej, po prostu jest tego... więcej.

– Chłopcze... – Sam zwiesza głowę. – Powinieneś wracać do samochodu. Twoja mama i siostra chcą jechać do domu.

Mam ochotę coś powiedzieć, ale nie mogę wydobyć z siebie słowa. Dzieje się tutaj coś ważnego.

– Kiedyś nas nienawidziłeś – mówi Connor. – Potem byłeś inny. Wciąż ci wierzę.

To boli. Wszystko w środku mnie wiruje w prawdziwym chaosie, jakby

huragan porwał kawałki metalu, które tną i tną.

Connor to dziecko, tylko dziecko, on nie potrafi zrozumieć.

Jednak w jakiś sposób mój syn wydaje się rozumieć więcej niż ja kiedykolwiek zdołam.

Sam wydaje z siebie bolesny jęk, chwyta mojego syna i przytula go tak mocno, że aż pęka mi serce. Connor również przyciska się do niego. Znam to spojrzenie, czułam je już na sobie. Znam uczucie straty, strachu, ale przede wszystkim miłości.

Sam kocha mojego syna.

Naprawdę go kocha.

– Mamo! – Lanny wysiada z samochodu. Jest blada i wystraszona i nie wie, jak się zachować. Obejmuję ją ramieniem i przyciągam do siebie. – Mamo, Connor nie może... nie może tak po prostu mu wybaczyć.

Ale Lanny się myli, dociera to do mnie jak nagły rozbłysk światła. Jestem świadkiem czegoś pięknego, czegoś cennego. Sam na to zasługuje.

– Lanny – mówię cicho. – Connor ma rację.

– Mamo, nie możemy mu ufać!

Wiem o tym. Nie widzę najmniejszego powodu, żeby zasługiwał na zaufanie, z wyjątkiem... z wyjątkiem tego, co dla nas zrobił, od kiedy się pojawił. Nie skrzywdził nas ani razu, nie licząc sytuacji, kiedy na światło dzienne wyszła jego przeszłość. Przez cały czas był moim partnerem, strażnikiem, ostoją. To nie jest gra. To nie może być gra, ponieważ teraz widzę wszystkie konsekwencje bycia ufną. On wiedział, że do tego dojdzie, a i tak powiedział nam prawdę.

To akt odwagi. To jest Sam, jakiego znałam.

Sam całuje mojego syna w czoło i mówi:

– Kocham cię, Connor. Pamiętaj o tym, dobrze?

Connor cofa się o krok.

– Nie możesz odejść.

– Ale muszę, prawda?

Wymieniamy z Samem spojrzenia z przeciwnych stron samochodu. Wstrzymuję oddech, czując kolejną falę prawdziwego bólu. Widzę, jak łamie się jego serce. Szkody zostały już wyrządzone.

– Sam – mówię. – Wsiadaj do tego cholernego samochodu.

Patrzy na mnie zmieszany. Dostrzegam w jego oczach iskierkę nadziei, która zaraz znika.

– Miranda...

– Powiedziałeś, że ona nas zniszczy. Nie pozwól jej na to.

– Już na to za późno, nie uważasz?

Nie potrafię mu na to odpowiedzieć.

– Nie możesz tak po prostu... sobie pójść. Nie masz pieniędzy ani żadnych środków, żeby opuścić miasteczko. Chyba że Mike...

– Nie. – Przerywa mi. – Mike jest z nią.

Nie wiem, co powiedzieć. Wychodzi na to, że nie tylko ja poczułam się dziś zdradzona. On już się z tym borykał, a teraz jest jeszcze gorzej. Czuje się bardziej samotny niż kiedykolwiek dotąd.

– Masz rację – dodaje. – Ona wpłaciła tę kaucję. Wraz z Mikiem pozostawili mi wybór. Wybrałem ciebie. Wybrałem to.

Jeśli mówi prawdę, to jest to największa rzecz, jaką ktokolwiek kiedykolwiek dla nas zrobił. I pomimo tej ogromnej wyrwy między nami, pomimo bólu związanego z jego wyznaniem, jest to zupełnie nowe i nieznane uczucie, choć mam tyle lat... Nie mogę tego zignorować.

– Mamo? – szepcze Lanny. – Mamo, ale... to, co on zrobił...

– Liczy się to, co robi teraz – odpowiadam i patrzę jej w oczy. – Ufasz mi?

Kiwa odruchowo głową. Po jej policzkach wciąż spływają łzy. Jest rozbita i cierpi, ale doskonale ją rozumiem.

Odwracam głowę w stronę Sama. Kiedy się odzywam, robię to znacznie delikatniejszym tonem:

– Wsiądź, proszę, do tego samochodu.

Patrzy na mnie przez chwilę, wciąż nie dowierzając. Bierze głęboki oddech i przesuwając dłońmi po twarzy.

– Przepraszam – mówi.

– Wiem.

Czekam, aż wsiądzie do środka, i lokuję się za kierownicą. Connor siada z tyłu. Pozostaje jeszcze moja córka. Waha się przez chwilę, patrzy na mnie, po czym wsuwa się na tylną kanapę.

– Dziękuję – mówię do niej. Lanny zakłada ręce i odwraca głowę. Nie jest jeszcze gotowa, ale będzie. Mam taką nadzieję.

Nie jesteśmy rodziną, ale jesteśmy wszyscy razem i to jest nowy początek.

– Powiedz, proszę, że odjeżdżamy z tego zasranego miejsca – mówi Lanny.

– A ty możesz odjechać? – pytam Sama. Wzrusza ramionami i zapina pas.

– Ta kaucja...

– To pieniądze Mirandy.

Taka odpowiedź jest dla mnie wystarczająca, żeby wcisnąć pedał przyspieszenia.

Jedziemy od piętnastu minut, kiedy dzwoni mój telefon.

Zerkam na wyświetlacz. Zamierzam odrzucić połączenie, ale to Hector Sparks i czuję się zobowiązana, by odebrać. Przełączam na głośnik.

– Gwen Proctor.

– Pani Proctor, potrzebuję natychmiast pani pomocy. Musi ją pani odnaleźć! – Wyraźnie brakuje mu tchu.

– Odnaleźć kogo?

– Verę Crockett. Ona uciekła i jestem pewien, że jest w poważnym niebezpieczeństwie.

– Co? Jakim cudem zdołała...

– Policjanci twierdzą, że byli nieostrożni – wyjaśnia zdenerwowany. Chyba spaceruje nerwowo podczas rozmowy. – Uważam jednak, że celowo pozwolili jej się wymknąć. Zostawili ją niepilnowaną w furgonetce przy budynku sądu. Mam powody wierzyć, że to spisek mający na celu uciszenie jej. Teraz, kiedy uciekła, może zostać z łatwością zabita.

– Z powodu tego, co wie? – pytam ostro. – Po rozmowie z nią moja rodzina znalazła się na tej samej liście, nie zdaje sobie pan z tego sprawy? Nie wie pan, że ktokolwiek zamordował Marlene, może teraz ruszyć naszym śladem? A może jest pan aż tak głupi?

Sparks milczy przez chwilę.

– Nie mogę się zwrócić o pomoc do kogokolwiek innego w miasteczku. Nikt mi nie pomoże. Jeśli znajdzie pani Vee i sprowadzi ją do mojego domu, obiecuję, że będziecie wszyscy bezpieczni. Ale trzeba ją odnaleźć.

Natychmiast, pani Proctor. I nie przesadzam, mówiąc, że dziewczyna nie ma najmniejszych szans bez naszej pomocy.

Cholera.

Powinnam jechać dalej. Nie jestem winna tej dziewczynie absolutnie nic.

Zerkam na córkę we wstecznym lusterku. Siedzi z rozchyłonymi ustami, cały jej bojowy nastrój wyparował. Patrzy na mnie, jakby oczekiwała mojej reakcji.

Tym razem nie mogę sprawić jej zawodu.

Zawracam.

– Wiem, dokąd ona idzie – mówi Lanny.

– Skąd miałybyś...

– Idzie do domu swojej mamy. Boi się i wie, że ją zabiją. To chyba jedyne miejsce, do którego mogłaby uciec?

Moje dziecko jest bystre. Bystrzejsze niż ja, ponieważ absolutnie ma to sens. Zastanawiam się, czy Lanny kiedykolwiek pomyślała o ucieczce, kiedy czuła się tak zdesperowana i samotna. Z wyrazu jej oczu odczytuję, że tak. Oczywiście, że tak, zważywszy na życie, jakie jej zafundowaliśmy. To rana, którą zadaliśmy jej wraz z Samem z zupełnie różnych powodów.

Muszę zadbać o to, by jej nie zawieść.

Policja prowadzi poszukiwania, zaczynając od budynku sądu. Dotarcie do otoczonego żółtą taśmą domu Crockettów nie zabierze im wiele czasu. Jadę bezpośrednio w to miejsce i zatrzymuję się przy krawężniku. Nie widzę jeszcze żadnych policyjnych wozów. Taśma, która kiedyś blokowała dostęp do drzwi frontowych – tych z dziurą po wystrzale – została zerwana i faluje swobodnie na wietrze.

– Zostańcie tutaj – nakazuję reszcie, ale nikt mnie nie słucha. Kiedy biegnę do drzwi, odwracam głowę. Sam podąża za mną, a co gorsza, także Lanny. Zwalniam przy frontowych schodkach. Vee próbowała zabić ostatnią osobę, która ją zaskoczyła. Gestem nakazuję im się zatrzymać, co dodatkowo podkreślam przenikliwym spojrzeniem.

Sam chwytą Lanny i oboje stają w miejscu. Powoli, ostrożnie przesuвам

się do przodu.

Dom prezentuje się gorzej, niż sobie wyobrażałam. Krzywy, zaniedbany, z na wpół zmurszałą werandą bez poręczy. Drzwi wejściowe skrzypią, kiedy jej popycham. Uderza mnie tak silny smród krwi, że muszę powstrzymać się przed odruchem wymiotnym.

– Vee? – wołam. – Jesteś tu, Vee? To ja, Gwen.

Zerkam na Sama, który wciąż przytrzymuje Lanny. Wskazuję samochód i stojącego obok Connora. *Uważaj na nich*, mówię bezgłośnie. Sam kiwa głową i wycofuje się bez zawahania. Wysłałam mu ciche podziękowanie za niesprzeciwienie się mojej prośbie i zdaję sobie jednocześnie sprawę z faktu, że rzadko to robi. To prezent, jaki dawał mi po cichu przez cały ten czas, a ja go nigdy nie dostrzegłam.

Wchodzę głębiej do środka. Dom jest mroczny, cuchnie śmiercią, a mimo to panuje w nim zaskakujący porządek. Marlene chyba się starała. Dywan jest stary, ale czysty. Na ścianie wisi zdjęcie Very jako małej dziewczynki, gipsowe dłonie złożone w modlitwie i prosty krzyż.

Vera siedzi na starym fotelu bujanym, skulona, bez ruchu. Wciąż ma na sobie więzienny drelich, w którym widziałam ją wcześniej. Włosy opadają jej na twarz. Kiedy mój wzrok adaptuje się do panującego tam półmroku, zauważam coś w jej dłoniach.

Nóż.

W tym samym momencie do środka jak burza wpada Lanny.

– Nie będę czekała w samochodzie!

O Boże. Ustawiam się między zagrożeniem a Lanny.

– Vee, odłóż, proszę, ten nóż.

Słyszę, jak Lanny się zatrzymuje i ocenia sytuację. Przynajmniej nie robi niczego bardziej impulsywnego.

– Nie może mi pani pomóc – mówi Vee. Brzmi zupełnie inaczej, a kiedy unosi głowę, również wygląda inaczej. Zamarznięte jezioro odtajało. W końcu staje się dziewczyną, która coś czuje, choć nie jest to nic dobrego.

– Oni zabili moją mamę. Mnie też zabiją. Gdyby nie próbowała mi pani pomóc, to pewnie już by to dawno zrobili. Przykro mi, ale słyszałam, jak rozmawiają, że pani będzie następna. Tak mi przykro. – Zaczyna płakać, a łzy płyną strużkami po jej policzkach. Cała drży. Chciałabym owinać ją

kocem, ale nie mogę tego zrobić. Dopóki nie wypuści tego noża, nie mogę jej nawet pocieszyć. – Tak bardzo się bałam.

– To nie jest twoja wina – mówię. – Chodź z nami, pomożemy ci.

Kręci głową i przysuwa krawędź noża do ręki. Jest ustawiony tak, by ciąć w górę, otworzyć tętnicę. Ludzie szybko się po czymś takim wykrwawiają. Słyszę, jak Lanny głośno nabiera powietrza. Dostrzegam wgłębienie w skórze pod naciskiem noża. Czuję, że Vee powstrzymuje jakiś mały impuls i że wystarczy drobiazg, by doszło do nieszczęścia. Nie ważę się niczego powiedzieć.

Odzywa się za to moja córka:

– Mój tata był mordercą, wiesz o tym, prawda? Ludzie uważają, że moja mama mu pomagała. Chcieli nam ją odebrać na zawsze i... – Lanny przelyka ślinę – ...nie widziałam żadnych szans powodzenia. Miałam dwanaście lat, a tylu ludzi nas nienawidziło, Vee. Tylu ludzi. Chciałam tylko...

Vee się nie poruszyła, ale słucha uważnie.

– Próbowowałaś? – pyta, kiedy Lanny urywa.

Proszę, powiedz, że nie... Ale moja córka odpowiada:

– Tak. Raz. Kiedy mieszkałam z babcią. Wystraszyłam się, kiedy połknęłam tabletki. Zwymiotowałam je wszystkie. Ona nigdy się o tym nie dowiedziała.

Ja też nie, ta świadomość mrozi szpik w moich kościach.

– Możesz zmienić zdanie – mówi Lanny do dziewczyny siedzącej na krześle. Dziewczyny, którą od śmierci dzieli mały centymetr. – Ja zmieniłam. Możesz być odważniejsza. Nie ponosisz żadnej winy. Moja mama też nie była winna. Spójrz na nią. Walczy każdego dnia i ty też możesz. Wierzę w ciebie, Vee.

– Dlaczego? – Dziewczyna płacze jeszcze mocniej, cicho pojękując. – Nikt nigdy we mnie nie wierzył.

– Cóż, ktoś powinien – odpowiada Lanny. – Chodź. Zostań z nami. Walcz. Zrób to dla swojej mamy.

Vee wzdycha. Upuszcza nóż, który ląduje na podłodze. Podnoszę go szybko, a moja córka idzie prosto w jej stronę. Obejmuje mocno Vee, która drży i odpręża się w tym uścisku, jakby nie pragnęła niczego więcej. Jakby

chciała, żeby ktoś choć przez chwilę uwierzył, że warto ją uratować.

– Chodźmy – mówię cicho. – Pójdiesz z nami, Vee. Zabierzemy cię do pana Sparksa.

Kiwa obojętnie głową. Wycieram nóż i wyrzucam go do porośniętego chwastami ogródka. Lepiej, żeby nie było na nim odcisków należących do mnie i do Vee.

Zamieniamy się miejscami. Connor przechodzi na przód, a Sam, Lanny i Vee tłoczą się z tyłu. To na wypadek, gdyby znów zdecydowała się uciekać. Odjeżdżam od domu i skręcam w pierwszą przecznicę, kiedy mija nas jeden z policyjnych wozów z Wolfhunter. Nie rusza za nami. Zatrzymuje się przy pierwszym domu.

Systematyczne poszukiwania. Tym razem to działa na naszą korzyść.

Dom Hectora Sparksa kojarzy mi się teraz z bezpieczną przystanią. Parkuję przed nieskazitelnie utrzymanym budynkiem i gaszę silnik. Odwracam się do Vee Crockett.

– Zanim wejdziemy do środka, muszę ci coś powiedzieć, dobrze? O czym wiedziała twoja matka? Pytam, bo jestem przekonana, że ty wiesz, w przeciwnym razie nie bałabyś się, że cię zabiją.

– Jeśli powiem, pozabiją nas wszystkich – mówi. – Wie pan o tym, prawda?

– I tak już próbowali – mówi Sam. Jest spokojny i opanowany, a z tego, co widzę, tego właśnie potrzeba dziewczynie. Vera kiwa powoli głową. Unosi podbródek. Ten dzieciak ma problemy, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Potrzebuje pomocy. Ma jednak również coś w sobie, dobrze to widzę. Trauma pozostawia ślad, podobnie jak charakter.

– Moja mama widziała wrak – odpowiada Vee.

Connor odwraca głowę i patrzy na nią. Załapał chyba jako pierwszy.

– Wrak samochodu widma?

– To nie był samochód widmo – mówi z powagą Vee. – Samochód widmo to stary grat na drodze przy rzece. Tu chodziło o zderzenie czołowe dwóch aut. Jedno z nich należało do starego faceta, który lubił wypić i mieszkał na wzgórzach. – Przęłyka głośno ślinę. – On zginął. Mama mówiła, że widziała go ze zmiażdżoną głową.

Sytuacja z tak zwanym samochodem widmem, z tego, co pamiętam, miała

miejsce dobry tydzień temu.

– Vee, twoja mama pracowała w warsztacie, z którego wysyłano pomoc drogową. Jakim cudem go widziała?

– Mieli problem z kierowcami, więc poprowadziła jedną z ciężarówek. Pomogła odholować auta w miejsce, gdzie je zakopano.

– Powiedziałaś, że starszy mężczyzna ze wzgórz zmarł. A co z drugim kierowcą?

– On też zginął. Ale nie był w samochodzie sam. Mama mówiła, że słyszała z tyłu czyjś płacz. Początkowo pomyślała, że to ten duch. Ale wtedy otworzyli tył i...

– I co? – pyta Lanny i chwyta ją za rękę. Vee znów wydaje się spokojniejsza.

– I znaleźli małą dziewczynkę – odpowiada. – Ona chyba wciąż tam jest.

– Jaką małą dziewczynkę? – pyta Sam, ale ja już wiem.

– Ellie White – mówię do niego.

Wszystko do siebie pasuje. Marlene, która zobaczyła wrak. Zaangażowanie Carra, właściciela warsztatu oraz komendanta i innych policjantów, jak również pracownika banku w sprawę żądania kolejnego okupu, który miał zostać wpłacony do zagranicznego banku. Nic dziwnego, że wszyscy chcieli naszej śmierci, jeśli pieniądze były niemal w ich zasięgu. Założyli już, że Vee powiedziała nam o tym wszystkim w areszcie podczas rozmowy.

Wszyscy są w to zamieszani. Większość gliniarzy, jeśli nie wszyscy. Pracownicy warsztatu. Może sprawa sięga jeszcze dalej.

– Vee? Czy twoja mama powiedziała, co się stało z tą dziewczynką? – pytam.

– Pan Carr ją zabrał. Obiecał mamie dziesięć tysięcy dolarów za milczenie.

Ale Marlene nie chciała milczeć. Zadzwoiła do mnie, pełna obaw o swoje życie, o życie małej dziewczynki. Musiała usłyszeć coś, co sprawiło, że zwątpiła w bezpieczny powrót dziecka.

Musimy skontaktować się z FBI. Niech opadną na to miasteczko jak szarańcza, dopóki nie poznają prawdy. Problem w tym, że jeśli to zrobimy, nie ma żadnej gwarancji, czy Ellie White nie umrze i nie zostanie gdzieś

wyrzucona już po pierwszym kontakcie tych ludzi z federalną odznaką. Nie wydawali się obawiać biura śledczego Tennessee.

Podążam tą ścieżką do samego końca i nagle dociera do mnie, że o czymś zapomniałam.

Oni już widzieli federalną odznakę. Należała do Mike'a Lustiga. Musiał pokazać ją, kiedy chronił Sama przed tymi, którzy się na niego zasadzili. O Jezus. Chyba zaczynają sobie uświadamiać, że nadchodzą dla nich ciężkie chwile.

Być może już doprowadziliśmy do śmierci tej dziewczynki.

– Mamo? – pyta Lanny, kiedy milczę już zbyt długo. – Idziemy do środka? Nie powinniśmy chyba tu sterczeć za długo?

Wszystko stało się nagle bardzo, ale to bardzo skomplikowane. Przez Wolfhunter przebiega tylko jedna znana mi droga. Pozostaje tym ludziom przyczaić się na nas, kiedy spróbujemy opuścić miasteczko, a potem zamknąć pułapkę i załatwić nas wszystkich za jednym razem. Nagle uświadamiam sobie, co się stało z Mikiem Lustigiem. I Mirandą Tidewell, jeśli była z nim.

Jeśli ci ludzie chcą uciec z fortuną z okupu, muszą wyeliminować naprawdę sporo osób. I to szybko.

A my jesteśmy wysoko na ich liście.

– Wysiadamy – mówię. – Szybko.

15

GWEN

Pukam mocno do drzwi, które otwiera pani Pall. Kobieta rzuca mi ponure spojrzenie.

– Nie ma go tutaj – mówi. – Powinna pani była zadzwonić. Będzie musieli wrócić później.

Zaczyna zamykać wypolerowane na błysk drzwi, ale powstrzymuję ją, przykładając dłoń do drewna i popychając je.

– Gdzie on jest?

– Jest niedostępny.

– Nie obchodzi mnie to. To on nas wezwał – informuję ją tonem nieznoszącym sprzeciwu. Nie zamierzam dać się pozostawić na zewnątrz, zupełnie odsłonięta, z Vee i moimi dziećmi.

Pani Pall rzuca nam nieprzyjazne spojrzenie, ale się cofa. Mogłabym przysiąc, że ma na sobie tę samą suknię co ostatnio, tyle że w innym kolorze, a do tego fartuch w dziewiętnastowiecznym stylu. Patrzy na samochód z wypożyczalni, kiedy ją mijam, i mówi:

– Czy teraz mam się zająć również pani dziećmi?

Sugeruje mi w ten sposób, że już dawno powinny były trafić do opieki społecznej.

– Nie, dziękuję – odpowiadam. – Cóż za miła propozycja.

Kieruję się prosto do korytarza prowadzącego do gabinetu Sparksa. Adwokat siedzi za biurkiem. Podnosi się, kiedy pani Pall wparowuje niespodziewanie przede mnie, co zmusza mnie do gwałtownego zatrzymania się, jeśli nie chcę na nią wpaść.

– Musicie poczekać w bawialni – mówi. – To za wami, po lewej stronie.

Hector Sparks chwyta za drzwi, żeby je zamknąć.

– Przepraszam – mówi. – Potrzebuję kilku minut, żeby skończyć rozmowę przez telefon.

Nie słyszałam żadnego głosu dobiegającego z głośnika, nie widziałam też,

żeby trzymał wcześniej telefon. Nie udaje mi się jednak poinformować go, że mam jego zaginioną klientkę, bo zatrzaskuje mi drzwi przed nosem.

Jeśli to jest pułapka... wraca moja słynna paranoja. Nie zmienia to jednak faktu, że nie mamy zbyt wielu opcji. Owszem, mam broń. Zgaduję, że Sam swojej już nie ma, bo została zatrzymana jako dowód przez policję. Drugi pistolet mam schowany w SUV-ie, który został na posterunku szeryfa okręgowego. Nie jestem już pewna, czy Mike może nam pomóc. Przypominam sobie te czarne samochody w miasteczku. Jeśli Carr i jego wspólnicy wynajęli obcych do zablokowania drogi, to po wykluczeniu wszystkich niezaangażowanych w spisek... cóż, pomoc znajdowała się teraz bardzo daleko stąd.

– Co to było, do diabła? – pyta Lanny. Wciąż przytula mocno Vee, albo to Vee przytula ją, trudno jednoznacznie stwierdzić. – Myślałam, że chciał, żebyśmy tutaj przyjechali! – Jest jednocześnie poirytowana i zdenerwowana. Nie winię jej. Wciąż patrzę na panią Pall. Antypatia bije od niej niczym ciemna chmura.

– Za wami – powtarza. – Po lewej.

Każde słowo jest silnie akcentowane. Nie mam ochoty wypełniać jej poleceń, ale słyszę, jak pozostali kierują się w tamtą stronę. Ruszam jako ostatnia.

– Serio, bawialnia – mówi Lanny, kiedy pani Pall zamyka za nami drzwi. – Czy one nie zniknęły z domów przed wiekami?

Ma rację. Pomieszczenie wydaje się mocno przeterminowane: jest to formalna poczekalnia ze sztywną wiktoriańską sofą z końskiego włosia, skórzanym fotelem stojącym przy kominku, starą tapetą i lśniącymi witrynkami wypełnionymi filiżankami. Przy kominku zauważam pogrzebacz. Dobrze wiedzieć, że tam stoi, tak na wszelki wypadek. Sparks zaklinał się, że będziemy tu bezpieczni, ale jak planuje bronić nas w tym domu? Jeśli w ogóle planuje.

– Jesteś pewna tego faceta? – pyta Sam. Rozgląda się dookoła, jakby to pomieszczenie zaskoczyło go w nie mniejszym stopniu niż Lanny. Vera wciąż trzyma się blisko mojej córki, która w końcu prowadzi ją w stronę sofy. Siadają. Na krześle leży koc z dzianiny, a Lanny zabiera go, żeby okryć wciąż drżącą Vee.

– W tej chwili nie jestem już nikogo pewna – odpowiadam. – Musimy znaleźć jakieś okrycie dla Vee. Musi pozbyć się tego więziennego kombinezonu.

– Ale... Myślałam, że musicie zabrać mnie z powrotem do aresztu. – Vee wydaje się zaskoczona. Nie winię jej za to. – Dlaczego mam się przebierać?

– Nie jestem tu po to, żeby Sparks cię tam znów wysłał. Zamierzam go przekonać, że musimy wydostać cię z miasteczka. Będziemy potrzebowali innego samochodu, takiego, którego nie powiążą z nami, jak również przebrania dla ciebie.

– Mamo, to jest... Jak to się nazywa? Pomoc i współudział? Przecież możemy trafić za to do aresztu? – Mój syn zna już przepisy prawa, które zamierzamy złamać.

– Możemy – przyznaję. – Ale moim zdaniem, jeśli skontaktujemy się z biurem śledczym Tennessee i FBI, po czym wywieziemy stąd bezpiecznie Vee i przekazemy w ich ręce, udowodnimy, że nie pomagamy przestępcy. Wszyscy działamy po stronie porwanego dziecka. Każde z nas. Włącznie z Vee, która ma bezpośrednie informacje na ten temat, nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Myślisz, że ten facet zamierza nam pomóc? – rzuca z powątpiewaniem Sam. – Powinniśmy zadzwonić do Mike'a.

– Wydawało mi się, że mu nie ufasz – zauważa Lanny. Sądząc po jej minie, nie należy już do zespołu Sama.

– Nie ufam – przyznaje. – Ale to sprawa osobista. A tu chodzi o życie dziecka. Jeżeli chodzi o coś takiego, mogę mu zaufać.

Nie chcę przyznać się do mojego podejrzenia, że Mike – i Miranda – mógł w ogóle nie mieć możliwości opuszczenia Wolfhunter.

– W takim razie napisz do niego o tym, co już wiemy – mówię do Sama. – Im szybciej się za to zabiorą, tym lepiej. Ale nie mów mu, gdzie jesteśmy.

Sam z zauważalną ulgą wyjmuje telefon. Musieli mu go oddać, kiedy został zwolniony. Piszę pospiesznie wiadomość, a ja w międzyczasie otwieram drzwi bawialni. Pani Pall stoi w korytarzu, jakby podsłuchiwała lub czekała. Przyprawia mnie tym o ciarki.

– Ma pani coś, w co moglibyśmy ubrać Verę Crockett?

Zastanawia się przez chwilę, po czym się uśmiecha. Nie jestem

przekonana, czy ten wyraz twarzy podoba mi się bardziej od dotychczasowego, pełnego niechęci.

– Cóż, owszem, chyba tak. Zaraz wrócę. Proszę tam poczekać.

Oddała się korytarzem w stronę schodów. Zerkam w kierunku zamkniętych drzwi gabinetu Sparksa. Nie słyszę żadnej rozmowy, choć zakładam, że mimo wszystko może wisieć na telefonie.

– Mamo? – odzywa się Connor. Zamykam drzwi i przenoszę na niego wzrok. – Czy policja nie będzie tutaj nas szukać?

– Na pewno. Może im jednak odmówić wejścia, chyba że zjawią się z konkretnym nakazem przeszukania. A tak się nie stanie. Wszystko zależy od tego, jak bardzo komendant policji będzie chciał cisnąć w tej sprawie. Ale lepiej poszukajmy miejsca, w którym można by ukryć ten samochód. Nie jest zarejestrowany na mnie, ale w końcu to odkryją. A kiedy tak się stanie, lepiej, żeby już nas nie było w tym miasteczku.

Sam kończy pisać na telefonie.

– Masz numer Fairweathera? – pyta, nie podnosząc wzroku.

– Tak, a co?

– Powinniśmy chyba zabezpieczyć wszystkie fronty.

Sam ma rację. Jeśli moje podejrzenia są słuszne, trzeba przygotować miejscowy plan B. Fairweather nie pochodzi stąd, ale przynajmniej jest stosunkowo blisko, a póki co mogę chyba założyć, że nie stuka się kuflami ze starymi dobrymi kolegami z Wolfhunter.

Pani Pall wchodzi do bawialni, niosąc kilka sztuk odzieży. Każda z nich złożona jest w nieskazitelny kwadrat. Wcale nie jestem zaskoczona. Ta kobieta z całą pewnością potrafi w ten sposób złożyć nawet prześcieradło z gumką.

– To powinno pasować – mówi i podaje mi ubrania. Wychodzi, nie dając mi okazji do podziękowania, co przyjmuję z ulgą. Rozkładam ciuchy: parę dzinsowych szortów i rdzawoczerwoną, wyblakłą koszulkę. Do tego pasująca do spodni dzinsowa kurtka. Żadnego obuwia. Zastanawiam się, czy to relikty z jej lat młodości, choć ubrania wydają się nieco nowsze, a ona nie sprawia wrażenia osoby zbyt sentymentalnej.

Podaję ubrania Vee.

– Dobra, wyskakuj z tego kombinezonu i załóż je. Jeśli jesteś nieśmiała,

możesz skorzystać z tamtej szafy, ale Connor i Sam zachowają się jak dżentelmeni.

Obaj podeszli już do przeciwległego kąta i patrzą przez okno na ulicę, odsuwając ciężkie zasłony. Vee kiwa głową i pod osłoną koca zdejmuje kombinezon, wymachując nogami. Lanny podaje jej szorty. Dziewczyna zakłada je i sięga po koszulkę.

Wysłałam do Fairweathera wiadomość mówiącą o tym, że jak najszybciej powinien przyjechać do domu Sparksa. Zastanawiam się, czy przekazać mu więcej informacji, w końcu dodaję tylko: ELLIE WHITE JEST W WOLFHUNTER.

To powinno przyspieszyć jego przyjazd.

Lanny zastyga i zerka na mnie.

– Co to było?

– Co takiego?

– Ten hałas.

Nadstawiam uszu i gdzieś na granicy zasięgu mojego słuchu słyszę nieregularny odgłos uderzeń czymś o metalowej krawędzi. Brzmi znajomo, jednak nie jestem do końca przekonana, z czym mam do czynienia.

– Może to ta dziewczyna – podsuwa Connor z drugiego końca pokoju, nie odwracając głowy. Vee podnosi się z sofy i odrzuca koc. Szorty są na nią za duże i luźne na udach. Nie wygląda to jednak źle i ujdzie w tłumie. Koszulka jest dla odmiany trochę za mała, ale też do zaakceptowania. Zakłada kurtkę. Jej pozbawione sznurowadeł buty i skarpety pochodzą z więzienia, ale nie przyciągają uwagi.

– Co? – pytam syna. – Jaka dziewczyna?

– Ellie. Może tutaj jest.

Zamieram. Czy to możliwe? Może zupełnie źle odczytałam intencje Sparksa? Facet jest bądź co bądź ekscentrykiem, a pani Pall budzi przerażenie. Jeśli jest w to zaangażowany, może rozmawia teraz przez telefon ze skorumpowaną miejscową policją. Może wszyscy znaleźliśmy się w szczękach pułapki, która ma się za chwilę zatrzasnąć?

To dudnienie to może być Ellie White usiłująca zwrócić naszą uwagę. O Boże.

Otwieram drzwi. Nie potrafię określić, skąd wydobywa się ten dźwięk.

Z piwnicy? Z innego korytarza? Próbuję za nim podążać, ale docieram tylko do schodów. Nie umiem go zlokalizować.

Wszyscy poszli za mną, czego nie zamierzałam... nawet Vee, która chowa się za Lanny. Moja córka obejmuje ją ramieniem. Vee nie jest już tą pustą w środku, zbuntowaną dziewczyną, jaką widziałam po raz pierwszy. Jest wystraszona, bezbronna i jestem za nią odpowiedzialna.

– Sam, napisz wiadomość do Javiera, Kez i Prestera. Powiedz im, że mamy kłopoty w Wolfhunter oraz dowody, że jest tu Ellie White.

W tej samej chwili odpowiada mi spokojnym, ale podniesionym głosem:

– Gwen.

Odwracam się.

Hector Sparks stoi w progu swojego gabinetu. Nie słyszałam odgłosu otwieranych drzwi. Pani Pall stoi w przejściu po lewej stronie, prowadzącym do pomieszczenia wyglądającego na jadalnię. Odnoszę dziwne wrażenie, że zostaliśmy złapani w ogień krzyżowy... choć żadne z nich nie jest uzbrojone.

– Pani Proctor, nie wiem, do czego się pani odnosi – mówi Sparks – ale Ellie White tutaj nie ma. – Mówi to ze smutkiem, ale również z obojętnością. – Te odgłosy, które pani słyszy, wydaje z siebie pralka. Pani Pall może was tam zaprowadzić i to udowodnić.

– Proszę za mną – podchwytuje pani Pall.

Prowadzi nas przez formalną jadalnię – stoi tam lśniący stół i mnóstwo krzeseł, ale nie zwracam na to większej uwagi – do niedużej, ale idealnie wysprzątanej kuchni.

Stoi tam pralka, która tańczy do przodu i tyłu. Jest zdecydowanie źle wyważona. Pani Pall wyciąga rękę i otwiera górną pokrywę. Ładunek wiruje chwilę, hałasując w bębnie, po czym opada na dno.

W domu zapada cisza.

– Pościele przywierają czasami do jednego boku – mówi. – A pralka jest stara. Przepraszam za te hałasy, ale jestem pewna, że to było dla was bardzo ważne. – Ton jej głosu sugeruje, że jestem histeryczką choćby dlatego, że mogłam o czymś takim pomyśleć. – Możecie się oczywiście rozejrzeć, jeśli chcecie. Nie chcę, aby pan Sparks uznał, że nie pomagam w waszym śledztwie. – Nacisk na to ostatnie słowo nie pozostawia żadnych

wątpliwości co do jej zdania na ten temat. – Kimkolwiek jest ta panna White, tutaj jej nie znajdziecie, jak już powiedział pan Sparks.

Może to dziwne, ale jej wierzę. A mimo to uważam, że nie do końca wszystko jest takie, jak być powinno. Wyczuwam to.

Sparks podążał za naszą małą grupą, a teraz, kiedy przyglądamy się milczącej pralce, mówi:

– Pani Proctor, bardzo przepraszam. Musiałem omówić pewną bardzo poufną kwestię z klientem. Nie mogłem nie zapewnić mu dyskrecji. Widzę, że znaleźliście młodą Verę. To bardzo dobrze. Moja droga Vero, tutaj będziesz bezpieczna. Obiecuję ci pełną ochronę. Czy możecie pójść za mną?

Wracamy do jego gabinetu. Sparks wysłuchuje opowieści Very i odczuwam ogromną ulgę, widząc, że informacja o tym, co widziała Marlene Crockett, jest dla niego czymś zupełnie nowym. I niepokojącym. Zapada się w swoim fotelu, patrząc najpierw na Vee, potem na Sama i w końcu na mnie.

– Chcecie mi powiedzieć, że waszym zdaniem to biedne porwane dziecko może być przetrzymywane w Wolfhunter? Przez komendanta Weldona i pana Carra?

– Nie sądzę, by Marlene miała jakikolwiek powód, aby skłamać w tej sprawie – odpowiadam. – Zna ich pan?

– Oczywiście. Moja rodzina od pokoleń mieszka w Wolfhunter. Znam tu praktycznie każdego. – Wydaje się naprawdę zaniepokojony. – Biedna dziewczynka. Taka młoda. Musimy zaangażować w to władze spoza miasteczka. Wykonam parę telefonów.

Zerkam na Sama.

– Mike coś odpisał?

– Nic – odpowiada. – Do Mirandy też napisałem.

Mam ochotę na niego krzyknąć, zapytać dlaczego, ale przecież znam powód. Jeśli po raz ostatni widział Mike'a w jej towarzystwie, chce się dowiedzieć, czy zniknęli oboje.

– Od niej też żadnej wiadomości? – pytam, starając się mówić spokojnie.

Kręci głową. To nie są dobre wieści. Jedno z nich z całą pewnością powinno mu odpisać. Miranda nie zrezygnowałaby z takiej okazji.

– Proszę dzwonić – zwracam się do Sparksa.

Spogląda na telefon, ale go nie podnosi.

– Wolałbym zdecydowanie wydostać was bezpiecznie z miasteczka i zorganizować gdzieś spotkanie. Może w biurze szeryfa okręgowego. Gdzie jest wasz samochód?

– Mojego SUV-a zatrzymało laboratorium kryminalistyczne szeryfa okręgowego – odpowiadam. – Wie pan o tym?

Sparks się krzywi.

– Myślałem... miałem w zasadzie nadzieję, że okaże się to atakiem pani osobistych wrogów, a nie kogoś związanego z tym miejscem. Obawiam się jednak, że pickup, który posłużył do tego ataku, należy do miejscowego faceta, który twierdzi, że mu go ukradziono. Oczywiście. Niestety, jest on wujem pana Carra, co jedynie potwierdza pani teorię...

– Tym będziemy martwić się później. Zna pan jakieś miejsce, w którym możemy ukryć wóz z wypożyczalni i usunąć go z ulicy, zanim zobaczy go policja?

– Tak, natychmiast. – Otwiera szufladę i wyciąga plastikowego pilota. – To otwiera powozownię na tyłach domu. Są tam dwa wolne miejsca.

– Sam? – Podaję mu kluczyki i pilota. Kiwa głową i wychodzi bez ociągania się. Zaczynam się nieco rozluźniać, gdyż Sparks jest naprawdę zadowolony, że może nam pomóc. Wręcz pali się do pomocy. – Jak planuje pan zapewnić bezpieczeństwo Verze?

– O to proszę się nie martwić. Komendant wie dobrze, że nie warto ryzykować wchodzenia na tę posesję bez mojego pozwolenia.

– Być może odnosi się pan do normalnej sytuacji. Ta do takich nie należy. Weldon wysłał już ludzi, których celem było zastrzelenie Sama i Connora, a potem zorganizował zasadzkę na drodze. Moim zdaniem jest dość zdesperowany, by się nie zawahać. Lepiej, żeby pański plan opierał się na czymś więcej niż tylko na dobrych manierach.

– Proszę mi wierzyć, ten dom to forteca. Jesteście tu bezpieczni. – Odwraca się nagle i wyciąga dłoń do Lanny. – Ty jesteś panna Atlanta, jak mniemam?

Córka rzuca mi spanikowane spojrzenie, ale potrząsa jego ręką.

– Eee... tak, proszę pana.

– I pan Connor? – Mój syn niezdarnie ściska wyciągniętą dłoń.

Sparks okrąża biurko, żeby zająć swoje miejsce.

– No i panna Vera – dodaje. – Cieszę się, że jesteś bezpieczna. Naprawdę. Przeszłaś przez prawdziwe piekło, dziecko, ale jedno ci mogę obiecać: dołożę wszelkich starań, żeby nic ci już nie groziło. Nikt cię już nie skrzywdzi.

Vera niespodziewanie zaczyna płakać. Lanny zaraz ją przytula. To jednocześnie bolesne i piękne widzieć, jak dziewczyna mięknie, jak znika cała waleczność i buntowniczość, jak pozwala sobie – przynajmniej na chwilę – poczuć się bezpieczną. Ale my nie jesteśmy bezpieczni. Jeszcze nie.

Z miejsca, w którym stoję nie widzę ani Sama, ani garażu, choć znajdujemy się w tylnej części domu. Wszystkie okna są zasłonięte.

Nic mu nie jest. Wszystko jest w porządku.

Biorę głęboki wdech. Mój telefon wibruje i wyciągam go z kieszeni, żeby spojrzeć na ekran.

To Kezia Claremont, z krótką i zwięzłą informacją.

CO SIĘ TAM KWA DZIEJE?

Zaczynam pisać wiadomość, długą, wyjaśniającą wszystko.

Jestem w połowie, kiedy z korytarza odzywa się pani Pall.

– Panie Sparks? Policja podjechała pod dom. Idą do wejścia.

– Proszę im otworzyć – odpowiada adwokat. – Pani Proctor, mogłaby pani... hm, ubezpieczać panią Pall? Oczywiście proszę się nie pokazywać.

– Poradzimy sobie – mówi Lanny i uśmiecha się z uczuciem. Wciąż obejmuje Verę, jakby nie zamierzała nigdy przestać. To skomplikowane, ale nie mogę się tym teraz zajmować.

Idę za panią Pall i zabieram pogrzebacz spod kominka w bawialni, kiedy ta otwiera drzwi. Wiadomość do Kez będzie musiała zaczekać.

Wychylam się, żeby od tyłu zobaczyć panią Pall w akcji. Chyba jest wystarczającą blokadą dla dwóch policjantów stojących przed domem. Informują ją, że muszą przeszukać dom.

– Nie ma takiej możliwości – odpowiada lodowatym tonem pani Pall. Kiedy jeden z nich odważa się, by położyć dłoń na klamce, dodaje: – Czy naprawdę chcecie panowie procesu o milion dolarów? Jestem pewna, że pan Sparks byłby w stanie to załatwić. Wasz wybór. Gdzie jest nakaz?

– Proszę pani, zamierzamy przeszukać dom albo będziemy zmuszeni

wezwać komendanta Weldon w tej sprawie. Takie mamy rozkazy.

– Rozumiem – mówi pani Pall, a w jej ustach nie stopiłoby się nawet masło. – Przekażcie zatem komendantowi Weldonowi, że z miłą chęcią zaparzę mu jego ulubioną herbatę i zaproponuję ciasto z kremem. Zawsze jest tu mile widziany. Nie przeszuka jednak naszego domu bez oficjalnego nakazu. Koniec dyskusji.

Zamyka drzwi, przekręca klucz i zerka w moją stronę. Czuję się idiotycznie, trzymając ten pogrzebacz, więc szybko odkładam go na miejsce. Kiedy to robię, coś dziwnego dzieje się na korytarzu. Drzwi do gabinetu Sparksa są teraz zamknięte.

Cóż, to ma sens. Gdyby gliniarze przetoczyli się po pani Pall i mnie, chciałby z pewnością zapewnić dzieciom dodatkową zaporę.

Naciskam kławkę. Drzwi nie są zamknięte na klucz, więc je otwieram.

– Pani Pall wysłała ich na drzewo – mówię, ale w pomieszczeniu nikogo nie ma.

Gabinet jest pusty.

To niemożliwe. Wiem, że Lanny, Vee i Connor nie przeszli przez bawialnię. Dokąd mogli się udać? Sparksa też nigdzie nie ma. Co jest, do cholery...

Oni po prostu... zniknęli.

Odwracam się i widzę panią Pall, która stoi na korytarzu ze strzelbą w rękach. Zanim mogę w jakiś sposób zareagować, odwraca ją i uderza mnie kolbą w głowę.

Upadam.

16

SAM

Wprowadzam białego sedana na pierwsze miejsce parkingowe w przybudówce, którą Sparks nazwał powozownią. Przed stu laty pewnie pełniła ona tę funkcję, ale potem konie zastąpił ford model T. Jest to duży, przestronny garaż z trojgiem metalowych drzwi, z których każde zapewniają dostęp do dwóch aut. Pilot otwiera tylko jedno z nich.

Zostawiam kluczyki w aucie, wysiadam i zerkam na komórkę. Żadnej wiadomości od Mike'a czy Mirandy, co przyprawia mnie o ciarki. Miranda rzuciłaby się na każdą możliwość nawiązania kontaktu, wiem o tym dobrze. Coś się musiało wydarzyć, kiedy wyjeżdżali z miasteczka. Czuję na wietrze zapach krwi. Nie wiem nawet, czy żyją, czy są już martwi. Wszystko zależy od tego, jak daleko są gotowi posunąć się ludzie zamieszani w ten spisek.

Cóż, posunęli się wystarczająco daleko, robiąc dziurę w piersi kobiety za sam pomysł, że mogłaby ich wydać. Zabicie człowieka jest trudne, ale kiedy już się to zrobi, zabicie następnego jest – według nich – nieuniknione. Martwię się o Mike'a. Martwię się nawet o Mirandę. Żadne z nich nie ma pojęcia, w co się wpakowało.

Gaszę ekran telefonu, kiedy nagle słyszę za plecami chrzęst butów na żwirze, a coś zimnego dotyka mojego karku. Przez moje ciało przebiegają kolejne fale – najpierw gorąca, potem zimna, a na końcu gniewu. Dlaczego tego nie usłyszałem, do jasnej cholery? Dlaczego założyłem, że jesteśmy tu bezpieczni?

– Spokojnie – odzywa się głos z tyłu. Nie należy ani do Sparksa, ani do pani Pall. Nigdy wcześniej go nie słyszałem. Jest opanowany, chłodny, pozbawiony emocji. – Ręce do tyłu.

To nie jest policjant, w przeciwnym razie już by się zaanonsował. Próbuje się odwrócić, ale lufa zostaje dociśnięta do mojej skóry.

– Nie próbuj. Ręce. Natychmiast, albo zostawię cię tutaj martwego. Gdzie

ona jest?

– Kto?

– Dziewczyna.

– Masz na myśli Lanny? Bezpieczna tam, gdzie jej nie znajdziesz – kłamię. Wystarczy przecież, że wejdzie do domu. Chryste, czy im zależy na Lanny? Nie mogę do tego dopuścić.

– Kto to jest Lanny? – W jego głosie pojawia się nuta zniecierpliwienia. – Dziewczyna.

– Vera Crockett?

– Jezu, zamknij się już. Później do tego wrócimy. Ręce, ale już! Jeśli będę zmuszony rozwalić cię w tej szopie i samemu dotrzeć do twojej kobiety, zrobię to. I do dzieciaków. Rozumiemy się? – On nie żartuje. Przesuwam ręce za plecy i czuję zatrzaszkowane na nich kajdanki. Cholera. – Ellie White. Spuszczę ci wpierdol, jeśli mnie okłamiesz.

– Nie Vera? – Jestem szczerze zaskoczony. Myślałem, że jesteśmy jedynymi osobami, które wiedzą o powiązaniach z Ellie White.

– Chodzi mi tylko o tę dziewczynę. Wszyscy inni to przypadkowe ofiary, rozumiesz? Ty, twoja pani, te dzieciaki. Wiem, że znasz miejsce, w którym przebywa Ellie, i powiesz nam teraz, gdzie to jest.

Nam. A więc nie jest sam. Muszę wyprowadzić stąd tego faceta, i to szybko, zanim wpadnie na pomysł przeszukania domu. Nie chcę, żeby znalazł się w pobliżu dzieci.

– Kto ci powiedział, że znam to miejsce? – pytam, gdyż ktoś musiał to zrobić. Zakładam, że to policja, Carr, ktoś zamieszany w spisek.

Ale wychodzi na to, że się mylę.

– Twój kolega.

Mike. Oni mają Mike'a.

– Nie powiem ani słowa, dopóki mnie do niego nie zaprowadzisz.

– Nie widzę problemu – mówi. – I tak potrzebujemy odrobiny prywatności.

Popycha mnie na tyły powozowni. Z boku znajdują się małe drzwi, których wcześniej nie widziałem. Prowadzą pod wiatę, gdzie stoi pracujący na jałowych obrotach SUV. Facet wpycha mnie na tylną kanapę. Po raz pierwszy mogę mu się dobrze przyjrzeć. Zdecydowanie nie jest jednym

z miejscowych. Wysoki, szczupły, o oliwkowej skórze. Ma elegancko wymodelowane, krótkie włosy oraz diabelską bródkę i wąs. Gdyby nie sig sauer, którego trzyma, wziąłbym go za zwykłego hipstera. Ubrany jest w skórzaną kurtkę, pod którą nosi kaburę naramienną, do której chowa broń, kiedy wsiadam do SUV-a.

Na tylnym siedzeniu spotykam jego mniejszą i bledszą kopię. Facet mierzy do mnie z pistoletu. Ma spokojne, pozbawione wyrazu spojrzenie kogoś, kto już zabijał, i nie mam wątpliwości, że byłby gotów zrobić to ponownie.

Potrzebują mnie, a ja zabieram ich z dala od Gwen, Lanny i Connora. To wystarczający powód, żeby siedzieć cicho i współpracować. Okazje pojawią się później. Zawsze się pojawiają.

– Kto was wynajął do poszukiwania dziecka? – pytam, kiedy ten pierwszy wsiada za kierownicę. Zapina pas i bez słowa wycofuje auto na ulicę.

– Mała porada – odpowiada, patrząc na mnie w lusterku wstecznym. – Gęba na kłódkę.

– Czy to jej rodzice? – Pamiętam dobrze, że to zamożni ludzie. I zdesperowani. Mam szczerą nadzieję, że tych sukinsynów wynajęto do pracy po właściwej stronie, jakkolwiek taktykę by stosowali.

Siedzący obok mnie facet, który dotąd się nie odezwał, przykłada mi wylot lufy do kolana w bezgłośniei obietnicy. Milknę.

Zabudowania Wolfhunter przesuwają się za przyciemnianymi szybami. Widzę samochody policyjne biorące udział w poszukiwaniach, ale nikt nie zwraca na nas uwagi. Szkoda, bo chciałbym zobaczyć, jak te dupki tłumaczą się z obecności skutego kajdankami człowieka na tylnym siedzeniu. Choć całkiem możliwe, że gliniarze po prostu by nas pozabijali. Chryste, co za miejsce. Niczego nie można tu być pewnym. Wszystko jest tutaj nie takie, jak być powinno.

Przynajmniej Gwen i dzieci są w miejscu, które jest – mam taką nadzieję – bezpieczne. Nie mogę już nic w tej sprawie zrobić, ale znam Gwen. Przy pierwszych oznakach niebezpieczeństwa zmieni się w niedźwiedzicę grizzly i stawi czoła każdemu.

Po prostu weź się w garść, mówię sobie. Pocę się i koncentruję zbyt mocno na sprawach, które są poza moją kontrolą. Mój świat musi znaleźć się

tutaj, w tym samochodzie, z tymi dwoma uzbrojonymi facetami.

Zwracam uwagę na miejsce, w które jedziemy. Kordon policyjnych wozów oddala się, a my zmierzamy w przeciwnym kierunku, w kierunku centrum i dalej, na przedmieścia po drugiej stronie. Nie jest to duża odległość, ale jedzie się wystarczająco długo. Ta część miasteczka jest słabiej zabudowana. Mnóstwo tu porośniętych chwastami działek i zabitych deskami, rozpadających się domów. Nie widzę ani jednego miejsca, w którym mógłbym liczyć na jakąkolwiek pomoc. W okolicy nie ma żywej duszy.

SUV zatrzymuje się na gruntowej drodze ze starym, drewnianym ogrodzeniem po obu stronach. Kierowca wysiada i otwiera moje drzwi, trzymając pistolet. Jego kolega z tylnej kanapy odzywa się po raz pierwszy:

– Wysiadaj.

Zawsze jakaś okazja.

Wydostanie się z SUV-a w kajdankach to nic prostego. Stawiam stopę na progu, a kiedy kierowca po mnie sięga, pochylam się zbyt mocno i mój but się ześlizguje. Wpadam na niego, na co zdecydowanie nie jest przygotowany. Zatacza się do tyłu i niemal przewraca. Niemal. Miałem nadzieję, że upuści broń, ale nic z tego. Jest gibki, a kiedy opadam na ziemię i wbiegam za SUV-a, wiem już, że nie kupiłem sobie tyle czasu, ile potrzeba. Facet z tylnego siedzenia już gramoli się na zewnątrz. Czuję na plecach, jak wóz się kołysze. Mam dosłownie ułamek sekundy na to, żeby się rozejrzeć i podjąć decyzję.

Czy oni są gotowi strzelić mi w plecy?

Pewnie nie.

Mike odwalił kawał dobrej roboty, przekonując ich o mojej wartości. Potrzebują mnie, ale to nie znaczy, że nie strzelą mi w nogę czy w rękę tak, żebym przeżył.

Biegnę mimo wszystko.

– Hej! – Nie wiem, który z nich krzyknął, ale to bez znaczenia. Nie słyszę strzału, tylko głośny tupot stóp. Bieg w kajdankach bardzo mnie spowalnia. Chowam się za załomem płotu i przyciskam do szorstkich desek. Kiedy pierwszy z nich – Hipster – wybiega z za narożnika, podkładam mu wyprostowaną nogę pod goleń. Facet ląduje na ziemi. Tym

razem gubi pistolet. Nurkuję, przetaczam się i udaje mi się chwycić za rękoność. Boli jak cholera, ale wykręcam się w lewo i celuję pod kątem zza pleców. Czuję, że zaraz wystawię sobie ramię ze stawu, który promieniuje przenikliwym bólem, ale spotykam się wzrokiem z drugim napastnikiem przez szparę w płocie i widzę, jak ocenia szanse. Może mnie zabić, to pewne, ale zranienie mnie wymaga bardziej skrupulatnych obliczeń z tej odległości, a podnoszący się właśnie kolega nie ułatwia mu sprawy. Mam czysty strzał. On również, jeśli chce strzelać, by zabić. Ale na pewno nie chce.

– Rzuć to! – wołam. – Natychmiast!

Wzrusza ramionami i pochyla się, by odłożyć pistolet na ziemię.

– Jakim cudem chcesz sobie teraz poradzić, kolego? – pyta. – Nas jest dwóch, ty sam, zakuty w kajdanki. Pozostaje nam tylko skopać ci dupsko.

– Co nie będzie łatwe, kiedy jest się martwym – odpowiadam. – A strzelam dobrze.

– Zza pleców? – mówi Hipster. – Wątpię.

Wstał już i jest nieco wkurzony, choć nie odniósł obrażeń. Z kabury na kostce wyciąga zapasowy pistolet. Celuje we mnie, mierząc w ramię.

– Ja też nieźle strzelam.

Mają mnie i dobrze o tym wie. Ja również. Wciąż potrzebują mnie żywego i trzeźwego, w przeciwnym razie już pociągnąłby za spust. I zrobi to, jeśli go sprowokuję.

Upuszczam broń i poprawiam rękę. Zwolnienie napięcia ramion wydaje się prawdziwym błogosławieństwem. Nie opieram się, kiedy stawiają mnie na nogi i wyprowadzają w alejkę. Ten niższy stosuje nieprzyjemny nacisk na mój łokieć, jakby chciał mi coś zerwać. Wyższy zdaje się bardziej skory do wybaczenia.

Nie rozmawiamy. Okrążamy SUV-a i przechodzimy przez otwartą bramę w równie zdezelowanym, drewnianym ogrodzeniu. Przebijamy się przez rosnące do pasa chwasty i docieramy na połamaną tylną werandę szopy, która wygląda na konstrukcję z lat pięćdziesiątych. Konstrukcja jest wyraźnie przechylona. Tylne drzwi dają się jednak otworzyć i zostają wepchnięty do środka.

Jestem w kuchni. Skaczę do przodu, udając, że się potknąłem, i opadam

na brudny blat. To miejsce jest już od dawna opustoszałe. W miejscu, gdzie kiedyś stał piec, widoczna jest naga dziura, lodówki też brakuje. Obaj napastnicy są tuż za mną, a ja nie mogę znaleźć w zasięgu ręki niczego, co mógłbym chwycić. Obracają mnie i prowadzą przez brudny, sypiący się korytarz z dziurami w suficie, w których kiedyś znajdowały się lampy. Cuchnie tu pleśnią i niespłukaną toaletą.

I nie jest tu pusto. W zagraconym salonie – zakładam, że pomieszczenie pełniło kiedyś taką funkcję, zważywszy na oklapniętą sofę przy ścianie i szczątki kominka z cegły – czeka na nas jeszcze ktoś.

Na sofie siedzą Miranda Tidewell i Mike Lustig. W pierwszej chwili odnoszę wrażenie, że należą do zespołu, ale wtedy dostrzegam na ustach Mirandy knebel. Oboje mają widoczne siniaki i zadrapania, a ręce związane za plecami.

Są więźniami.

Ktoś kopie mnie w zgięcie kolana i upadam ciężko na podłogę, choć ledwie to czuję. Dostrzegam w oczach Mirandy strach i desperację. Widać, że płakała. Czarne strużki tuszu do oczu znaczą drogę aż do białego knebla. Na ramionach ma mnóstwo płytkich rozcięć, a krew plami jej jasne dzinsy na udach. Powiekę lewego oka ma ciemnoczerwoną i całą zapuchniętą.

Tkwi w swoim najgorszym koszmarze, stawiając czoła śmierci znajdującej się gdzieś na końcu serii tortur. Tyle razy piła i rozpaczała po śmierci córki, mówiąc mi, że nigdy nie chciałaby umrzeć w taki sposób.

Mike też jest zakneblowany i – o ile to w ogóle możliwe – wygląda gorzej od niej. Widać, że się z nim nie pieścili.

– Sukinsyny – mówię. – Wypuście ich.

– Czy to on? – pyta ten nowy, zwracając się do swoich więźniów na kanapie.

Mike ignoruje pytanie. Miranda kiwa głową. Po jej twarzy spływają kolejne łzy.

– Okej. – Ten trzeci jest starszy, twardszy, jego skóra przypomina lakierowany orzech. Ma na sobie czarny strój, coś zdjętego z regału w Searsie. Wygląda mi na skazańca, kogoś, kto przetrwał najgorsze piekło i wyszedł z niego w postaci czystej esencji przemocy. W prawej dłoni trzyma paskudnie wyglądający nóż wojskowy. Odwraca się do mnie i rzuca

mi pozbawione jakiegokolwiek wyrazu spojrzenie. – Ci tutaj twierdzą, że znasz miejsce, w którym przebywa Ellie White. Zaraz nam to wyśpiewasz.

Skurwysyny próbowały wyciągnąć tę informację od Mike'a. Mike nic nie powiedział, nie miał przecież pojęcia, gdzie w ogóle szukać dziewczynki. Miranda mówiła, ale skłamała. Zrobiła to tylko dlatego, by przetrwać: wysłać ich po mnie z nadzieją, że znajdę sposób, by ich powstrzymać. Nie mogę jej za to winić.

Winą obarczam ich.

– Niech zgadnę – mówię. – To wy jesteście pierwotnymi sprawcami, tak? Ekipą, która porwała dziewczynkę? – Im dłużej uda mi się prowadzić tę rozmowę, tym bardziej będą rozluźnieni. Muszę sprawić, by byli z siebie zadowoleni.

Usta mężczyzny wyginają się w dziwny sposób. Niesmak? Rozbawienie? Trudno stwierdzić.

– Dlaczego tak uważasz?

– Jesteście zorganizowani. Dobrze wiecie, co robicie – mówię. – Jakim cudem zgubiliście dziecko?

– Nie wiem. GPS zdechł w samochodzie w pobliżu tej zaszrannej miejsciny.

– Może wasz kierowca go wyłączył i sam zabrał dziewczynkę.

– Znam mojego człowieka. – Nóż zostaje błyskawicznie przystawiony do mojego gardła. Instynktownie próbuję się cofnąć, ale silne ręce chwytają mnie za ramiona i zatrzymują w miejscu. Wyraz twarzy Orzecha nie uległ zmianie. Nie zmieni się też zapewne, kiedy poderżnie mi gardło. A zrobi to na pewno. Właśnie przyznał się przede mną do przestępstwa federalnego, nie wspominając o porwaniu agenta federalnego siedzącego tuż obok. Nasza trójka nie opuści tego pomieszczenia żywa. Czuję narastający gdzieś w głębi strach, ale nie mogę pozwolić, by zaczął mną rządzić. Panika na nic się nie zda. – A teraz słucham, kto ma Ellie White? Gdzie jest przetrzymywana?

Niczym nie ryzykuję, mówiąc mu cokolwiek, ale w związku z tym, że mam pewien pomysł, gdzie może znajdować się dziewczynka, muszę zagrać dobrą kartą. Mam tylko blotkę, ale muszę spróbować.

– Dwa tygodnie temu doszło do zderzenia dwóch aut – mówię. – Na przedmieściach, po zmroku. Zginęło dwóch mężczyzn. Jeśli chcesz

dowiedzieć się więcej, wypuść kobietę. Niech twój człowiek wysadzi ją przy szpitalu.

Patrzy na mnie przez chwilę, po czym kiwa głową.

– Okej. – Coś jest nie tak, czuję to jak powiew gorąca na skórze. – Umowa stoi.

Odsuwa spokojnie nóż od mojej szyi, chowa go w pokrowcu u pasa, po czym takim samym płynnym ruchem wyciąga pistolet z kabury przy drugim boku. To broń półautomatyczna, tyle jestem w stanie stwierdzić, kiedy odrywa ode mnie wzrok, celuje i pociąga za spust.

Strzela Mirandzie Tidewell prosto w głowę.

Strzał jest śmiertelny. Miranda patrzy na mnie, nie na niego, obawia się o *moje* życie. Nawet nie dostrzega, co się dzieje, więc w ostatnim jej spojrzeniu, jakie zapamiętuję, jest trwoga. Trwoga o mnie.

Kula pozostawia mały, lekko poszarpany otwór w jej czole. Kora przedczołowa i jej umiejętność uczenia się znikają. Wspomnienia znikają wraz z hipokampem. Odłamek kości podąża za kulą, tnąc tkankę miękką mózgu. Pocisk o dużej szybkości, taki jak ten, pozostawia za sobą szkody dziesięciokrotnie przekraczające jego średnicę.

Słyszę strzał, kiedy wszystkie te bezużyteczne informacje układają się w moim własnym mózgu, ale wtedy już Miranda jest martwa. Jej kończyny rozluźniają się. Oczy stają się mętne. Kula nie wychodzi tyłem, więc jedynym widocznym śladem pozostaje mała postrzępiona dziurka i smuzka krwi.

Miranda opada bezwładnie na sofę, jakby była pustym workiem.

Mike szarpie się w swoich więzach.

Wtedy dociera do mnie to, co się wydarzyło: przerażenie, szok. Wydaję z siebie ryk pełen bólu i gniewu. Nie mogę się powstrzymać, nie dają mi rady również dwaj przytrzymujący mnie pomagierzy. Obaj podskoczyli w reakcji na strzał, a ja to wykorzystuję i rzucam się na tamtego, celując głową w jego pierś. Porywacz upada na pogruchotane cegły wokół kominka. Uderza głową w jedną z nich z taką siłą, że aż kawałek się kruszy. Jest lekko oszołomiony, ale próbuje strzelić. Podnoszę się jednak i uderzam ramieniem w dłoń trzymającą pistolet. Pada strzał, ale broń jest już skierowana w inną stronę. Słyszę krzyk jednego z mężczyzn, którzy są za

moimi plecami. Któryś z nich musiał oberwać.

Nie wiem, co robi Mike, i nie mam czasu, by to sprawdzać. Opuszczam głowę, po czym wystrzeliwuję w górę, wkładając w to całą siłę nóg. Twarde sklepienie mojej głowy dociera do jego podbródka i mknie dalej. Uderzenie wstrząsa mną z siłą pędzącego pociągu, ale tamten ma gorzej – jego pęd przechodzi przez kości czaszki, co sprawia, że jego mózg zderza się z jej sklepieniem. Nokaut. Czuję, jak uginają się pod nim kolana.

Kiedy upada, czuję na plecach jednego z facetów.

Nie mogę tutaj umrzeć! Gdyby tak się stało, Gwen byłaby gotowa pomyśleć... nie, byłaby pewna, że ostatecznie wybrałem Mirandę zamiast niej.

Rzucam się do tyłu. To nierozważne, ale jednocześnie skuteczne. Słyszę krzyk. Obaj padamy na podłogę, ale to ja mam szczęście: mężczyzna przyjmuje na siebie cały impet zderzenia. Jest moją poduszką. Wije się i próbuje mnie zrzucić, a moje palce muskają broń, którą nadal zaciska w pięści. Chwytam go za nadgarstek i kieruję całą siłą ku dołowi. Czuję, że coś pęka w jego ręce. Wydaje z siebie bolesny okrzyk i odruchowo pociąga za spust, a kula trafia go w bok.

Widzenie tunelowe zaczyna ustępować i zauważam, że Orzech wciąż jest nieprzytomny, a jego broń leży obok. Widzę też, że to Hipster się postrzelił. Ten mniejszy opiera się teraz o ścianę, łapiąc oddech, a połowa jego koszuli jest czerwona od krwi. Nie wiem, gdzie dostał, ale nie wygląda to dobrze. Mike zerwał się z sofy i teraz stoi, ale widzę, że się kołysze i kapie z niego krew. Mam tylko chwilę, by ogarnąć sytuację, bo Hipster zrzuca mnie z siebie resztką sił. Upadam na bok.

Tamten wciąż trzyma pistolet.

Mike wyprowadza potężnego kopniaka, który trafia Hipstera w bok głowy i silnie ją wykrzywia. Uderzenie nie jest śmiertelne, ale z całą pewnością sprawia, że facet zapomina, co zamierzał zrobić. Kiedy niezdarnie próbuje się podnieść, ja również go kopię, tyle że celuję z zraniony bok.

Opada na ziemię i zwija się niczym wąż. Kopię jego pistolet tak, że ten wpada pod sofę. Podchodzę do Orzecha i to samo robię z jego bronią. Mike powtarza manewr z trzecim pistoletem. Nie jest to akurat konieczne – tamten trafiony jako pierwszy stracił przytomność i osunął się po ścianie

do pozycji siedzącej. Zostawił po sobie na tapecie czerwoną smugę.

Mamy sekundę, by odetchnąć. Mike siada na podłodze i pomimo swojej masy przeprowadza skute ręce pod tyłkiem i pod stopami aż do przodu. Przeszukuje kieszenie. Hipster ma kluczyki do kajdanek, więc Mike rozkuwa mnie, a potem siebie.

– Skurwysyny. – To jego pierwsze słowo wypowiedziane po tym, jak zdejmuje sobie knebel. Jest rozjuszony niczym byk. Przyciska palce do szyi Mirandy, choć nie uważam, by to cokolwiek dało. Mógłbym mu to powiedzieć, ale tego nie robię. Może się myłę.

Nie, jednak mam rację. Prostuje się z westchnieniem i kręci głową. Zaciskam oczy i próbuję pozbyć się z pamięci tego momentu, kiedy martwiła się *o mnie*, zanim kula trafiła ją w czoło. Niech to szlag. Czuję w sobie narastający ból, ale muszę go teraz odsunąć na bok.

Próbuję sobie wmówić, że teraz już ma wszystko za sobą. Cały ten ból, strach, gniew. To prawda, choć nie przynosi mi ukojenia.

– Jak was dorwali? – pytam Mike'a. Mój głos nie powinien brzmieć tak naturalnie.

– Kolczatka na drodze za miastem – odpowiada. – Pięć minut po tym, jak cię wysadziliśmy. Skuteczni i profesjonalni. Kiedy nas opadli, musiałem się poddać. Nie chciałem ryzykować jej życia. – Zerka w stronę Mirandy i choć ma opuchniętą twarz, widzę goszczący na niej smutek. Milczy przez krótką chwilę. – Chcieli się dowiedzieć, gdzie jest Ellie White.

– Ale tego nie wiedziałeś.

Kręci głową.

– Miranda uznała, że Gwen powie ci wszystko, co wie, że będziesz tak naprawdę jedyną naszą nadzieją. Dopadliby Verę Crockett, gdyby tylko mogli, ale ona jest w areszcie, więc...

– Nie jest – wtrącam. Urywa i patrzy na mnie, zaskoczony. – Uciekła. Najprawdopodobniej celowo ją wypuścili, żeby móc ją dopaść i zabić.

– Gliniarze?

– Na pewno niektórzy. W tej chwili prowadzą poszukiwania. Za jakieś dziesięć minut powinni dotrzeć do tej ulicy. Może szybciej, jeśli ktoś usłyszał strzały i to zgłosił.

Mike pochyla się i kaszle. Wypluwa trochę krwi, co bardzo mnie niepokoi.

Odpycha moją rękę, kiedy próbuję go chwycić.

– Nic mi nie jest. Bywało gorzej. Rany w ustach, ale płuca są w porządku.

– Z tyłu stoi SUV – mówię i przewracam na bok Hipstera – wciąż jest nieprzytomny, ale na pewno żyje – żeby wyciągnąć kluczyki z jego kieszeni. Zostawiam go na boku i zakuwam w te same kajdanki, które założył mnie. Krwawi, może być w szoku, ale policja wkrótce tutaj dotrze, a mnie trudno jest wykrzesać do niego choć odrobinę sympatii. Sprawdzam puls Orzecha leżącego przy kominku.

Wciąż oddycha, ale obrażenia czaszki wyglądają poważnie. Przeszukuję go i znajduję w kieszeni pęczek plastikowych opasek. Używam ich, żeby unieruchomić mu ręce za plecami. Powstrzymuję się od przyłożenia mu z buta i idę skuć drugiego pomagiera, który jakimś cudem wciąż żyje. Sprawdzam wszystkich pod kątem dodatkowych kluczyków do kajdanek i zabieram to, co znajduję.

W końcu podnoszę się i zwracam do Mike'a:

– Pora się stąd zwijać. Zabierzemy ze sobą... – Zamierzam dodać „pistolety”, ponieważ stoi bliżej nich.

Powstrzymuje mnie swoją wielką pięścią, którą unosi w górę. Zastygam. Wtedy dociera do moich uszu skrzywienie podłogowych desek. Cholera.

Nasze spojrzenia się spotykają. Przeprowadzamy rozmowę bez użycia słów, a on kiwa głową.

Jestem szybszy.

Rzucam się płasko na podłogę, nie zważając na hałas, po czym wsuwam rękę pod sofę. Udaje mi się wymacać jeden pistolet i kilka zdechłych karaluchów. Moje palce zgniatają kilka, kiedy chwytam broń, ale nie zwracam na to uwagi. Zostaję na podłodze, ledwie zdając sobie sprawę, że obok mnie zwisają bezwładne nogi Mirandy. Skupiam uwagę na korytarzu prowadzącym do pokoju.

Pojawia się jakaś niewyraźna głowa rozglądająca się po kątach, jakieś piętnaście centymetrów powyżej miejsca, w które patrzę. Twarz szybko się wycofuje, a przyporządkowanie jej do obrazów z pamięci zabiera mi krótką chwilę.

Kurwa.

– Fairweather?

– Cade? – Słyszę jego głos, a kiedy wychodzi z za narożnika, chowa broń. – Co tu się stało, do cholery? – Przygląda się scenie z godną policjanta precyzją, zatrzymując wzrok na każdej z osób, żeby pozyskać niezbędne informacje. – Czy ona nie żyje?

– Tak – odpowiada Mike. Ja nie potrafię mu odpowiedzieć. Przeszłość wiąże nas ze sobą rozgrzanym do czerwoności, kolczastym drutem, bolesną pułapką, z której nigdy się nie wydostanę. Nigdy nie chciałem czegoś takiego. Nie życzyłem jej śmierci czy uwięzienia w taki sposób. Nie zasługiwała na to. Nikt nie zasługuje. – Ten ją zastrzelił. – Wskazuje Orzecha leżącego przy kominku. – Wszyscy żyją.

Fairweather kiwa głową i odpina od paska małe radio. Podaje adres i informuje o dwóch rannych. Waha się chwilę, po czym patrzy na nas.

– Mam tu dwie osoby, które mają więcej informacji. Zabieram ich.

Wyłącza radio. Właśnie do mnie dociera, że wciąż mierzę do niego z pistoletu. Zastanawiam się, dlaczego go nie odłożyłem, ale kieruje mną raczej paranoja niż racjonalne myślenie. Podaję broń Mike'owi, który wciska ją za pasek. Znow szukam pod sofą i zaciskam zęby. Niektóre karaluchy żyją. Strząsam je i wyciągam drugi pistolet. Poniewczasie uświadamiam sobie, że właśnie zostawiam odciski na broni, z której zastrzelono Mirandę. Albo jest to ten pistolet, albo ten, który wydostałem jako pierwszy. Jasna cholera. Nie sądzę, żeby Fairweather widniał na liście płac policji z Wolfhunter albo Carra, ale... to niekomfortowa sytuacja.

Fairweather przecina pokój i sprawdza każde z nieruchomych ciał. W końcu patrzy na nas i mówi:

– Chodźmy. Mam na zewnątrz samochód, to oficjalny wóz biura śledczego Tennessee. Zabiorę was w jakieś bezpieczne miejsce. Wyślę po tych tutaj kawalerię, ale dopiero jak wy dwaj będziecie już poza strefą rażenia.

– Musimy pojechać do Gwen i dzieci – mówię. – Zatrzymać się pod domem Sparksa, zabrać ich i wyjechać stąd.

Mój pomysł wyraźnie mu się nie podoba, ale kiwa głową.

– Idziemy. – Kiedy się waham, wzdycha. – No dalej, Sam, ufasz mi czy nie?

Patrzy na mnie i na broń, którą trzymam w ręce.

Nie chcę tego robić, ale ją chowam.

Wychodzimy na zewnątrz za Fairweatherem, który stosuje odpowiednie środki ostrożności, zanim zaprasza nas gestem do samochodu.

– Na dół – mówi do mnie i Mike’a, kiedy wsiadamy. Mój przyjaciel pojękuje. Wciąż krwawi w różnych miejscach i jest mocno posiniaczony. – Tak nisko, jak tylko zdołacie.

Wciskam się za siedzenie pasażera, a Mike – nie bez trudności – rozciąga się na kanapie.

– Nie rozmawiaj z żadnym z miejscowych – instruuję Fairweathera. – Nie wiemy, komu można ufać.

Detektyw zerka w moją stronę.

– Lepiej zacznij od początku – mówi. – Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, była wasza próba oczyszczenia z zarzutów Very Crockett. Kim oni są?

– Wciąż próbujemy. Marlene została zamordowana przez Weldona albo Carra – odpowiadam. – Wiedziała o wypadku, który miał miejsce na drodze pod miastem, w pobliżu lasu. Pomagała przy usuwaniu wraków.

– I?

– Był tam martwy kierowca i dziewczynka związana na tylnym siedzeniu.

Fairweather rzuca mi ponure spojrzenie.

– Jezu. To Ellie White.

– Plan porywaczy nie zakładał pechowej kolizji czołowej ani tego, że komendant policji i operator lawety uznają, że natrafili na żyłę złota. Kiedy zapłacono okup?

– Cztery dni temu, trzydzieści milionów dolarów – odpowiada. – Przelew do banku zagranicznego.

– Moim zdaniem zorganizowali to ci dwaj geniusze. Potem skaptowali miejscowego pracownika banku, żeby wyczyścić kasę. Byli w stanie udowodnić, że dziecko żyje. Pierwotni porywacze nie mogli.

Rozlega się narastający odgłos syreny.

– Głowy na dół, jedzie wóz patrolowy. – Fairweather zwalnia, zatrzymuje się i opuszcza szybę. – Hej, o co to całe zamieszanie? – woła, żeby przekrzyczeć syrenę. Dźwięk się ucina.

– Ucieczka z aresztu – odpowiada inny głos, zagłuszany przez dwa pracujące silniki. – Vera Crockett, dasz wiarę?

– Nie widziałem jej, ale dopiero wróciłem do miasteczka. – Fairweather stosuje klasyczne połączenie prawdy i fikcji. – Jadę właśnie na posterunek.

– Uważaj na siebie. Ludzie kręcący się wokół Very Crockett mają nawyk umierania.

Nieźle, myślę sobie. Gliniarz już kładzie fundamenty pod śmierć nas wszystkich.

Rozmowa trwa jeszcze krótką chwilę, po czym Fairweather podnosi szybę i rusza. Słyszę, jak Mike pojeździ na kanapie.

– Wszystko gra? – pytam.

– W porządku. – Wiem, że nie mówi prawdy. Głos Mike'a jest nieco głębszy. – Gdybym został z tobą, Sam...

– Prawdopodobnie wszystko potoczyłoby się tak samo – wtrącam. Cóż za ironia, że Miranda zginęła w walce, która nie miała nic wspólnego z nią, Gwen czy Melvinem Royalem. W walce o pieniądze, czystej i prostej. Wolę jednak myśleć, że chroniłaby tę dziewczynkę do samego końca. Miranda była przede wszystkim matką. Zawsze.

Świadomość, że nie ma jej już na tym świecie, budzi mieszanie uczucia. Miłość, nienawiść, to już nie ma znaczenia. Była częścią mojego życia w takim stopniu, że pogodzenie się z tą nową sytuacją trochę potrwa.

– Uważasz, że stoją za tym Carr i Weldon? – dopytuje Fairweather. – Że mają to dziecko?

– Pewnie tak. O ile ta biedna dziewczynka jeszcze żyje.

– Pojawił się dowód na to, że żyje, ale to miało miejsce jeszcze przed zapłaceniem okupu. Kończy się nam czas, o ile już się nie skończył. – Milczy przez chwilę. – Nie wracam po Gwen.

– Zaraz – mówię i zaczynam się prostować.

– Nie podnoś się. Jedzie za nami drugi SUV, czarny, taki jak ten. To ci pierwotni porywacze, tak? Szukają swojej nagrody. Chcą odzyskać pieniądze.

– Nic mnie to nie obchodzi. Musimy zawrócić.

– Są bezpieczni tam, gdzie w tej chwili przebywają, tak?

– Tego nie wiem. Są z prawnikiem, Sparksem.

– Więc póki co są bezpieczni. Pochyl się, do cholery. – Patrzy na mnie we wstecznym lusterku. Widać, że jest zdenerwowany. – Carr ma posiadłość

pod miasteczkiem. Twierdzi, że jest farmerem, ale ma ponoć świra na punkcie bezpieczeństwa. To doskonałe miejsce, żeby przetrzymywać tam dziecko. Muszę z kimś porozmawiać.

– Czy miejscowa policja nie przechwyci tego połączenia? – pyta Mike. – Nie będą mogli podsłuchiwać?

Fairweather waha się przez chwilę i odkłada radio.

– Tak. Cholera. Potrzebujemy sporej przewagi.

Owszem, jest to dla mnie ważne, ale nie tak ważne, jak moja rodzina.

– Gwen i nasze dzieci. Natychmiast, albo wyskakuję z tego samochodu.

– Chcesz zginąć? – pyta. – Bo do tego dojdzie, jeśli nie wydam ci was dwóch z miasteczka. Nie tylko ty umrzesz. Gwen i dzieci również.

Prawdopodobnie ma rację, co cholernie mnie wkurza.

– Bądź ze mną szczery. Czy Sparks jest w to zamieszany?

– Nie sądzę. To nieudacznik, ale nie współpracuje z Carrem i Weldonem. Sparks jest samotnikiem. Prawnik też z niego mizerny. Egzamin adwokacki zdał... ja wiem? Po trzech próbach? Od wielu lat próbuje tutaj odgrywać grubą rybę, ale nie prowadził wcześniej żadnej sprawy kryminalnej.

A to ci niespodzianka.

– Nigdy? To dlaczego przekazano mu sprawę Very? – pytam, ale już znam odpowiedź. Wybrali Sparksa, ponieważ Weldon zdawał sobie sprawę, że adwokat będzie się opieprzał i nie pomoże Verze... tak pewnie by to wyglądało, gdyby dziewczyna nie zadzwoniła do Gwen w dniu śmierci swojej matki. Tego żaden z nich się nie spodziewał. Zadaję więc pytanie, które jest dla mnie naprawdę ważne: – Czy oni są z nim bezpieczni?

Fairweather nie spieszy się z odpowiedzią, co wcale nie poprawia mi nastroju.

– Wiem, że nie bierze udziału w spisku porywaczy. Weldon mu nie ufa, podobnie jak Carr. Ale to nie oznacza, że go lubię. Jaki człowiek zmusza swoją siostrę do pracy w roli gospodyni i zwraca się do niej zmyślnym nazwiskiem?

Dopiero po chwili dociera do mnie, że mowa jest o pani Pall.

– Chyba żartujesz.

– Chciałbym, uwierz. Ten dom to jakiś gotycki koszmar. Całkiem

możliwe, że oni ze sobą... – Fairweather urywa i wzrusza ramionami. – Kto ich tam wie.

– Musimy zawrócić – powtarzam. – Natychmiast.

W tej chwili ratowanie rodziny stało się dla mnie jeszcze ważniejszym zadaniem.

– Opuściliśmy już miasteczko – mówi detektyw. – I nie wracamy tam. – Chwyta radio i wciska przyciski. – 10-34, 10-34, proszę o natychmiastowe wsparcie z okręgu, mówi detektyw Fairweather z agentem FBI Lustigiem i jednym cywilem na obrzeżach...

Strzał pada niemal idealnie z przeciwka i przebija się przez przednią szybę. Nie widzę dokładnie z miejsca, w którym się kulę, ale wszystko słyszę. Fairweather upuszcza radio.

– Kurwa! – krzyczy, po czym odbija gwałtownie w lewo i w prawo. Wydaje mi się przez chwilę, że strzał chybił go całkowicie... ale się mylę. Kula trafiła go tuż pod prawym obojczykiem. Rana wlotowa jest spora. Krew zaczyna barwić mu koszulę, nasączać bawełnę. Jasna czerwień zajmuje miejsce wykrochmalonej bieli. Fairweather spogląda w dół, jakby nie dowierzał, co się przed chwilą wydarzyło. Podnoszę się błyskawicznie i chwytam za kierownicę w tym samym momencie, kiedy jego dłonie z niej odpadają. Próbuję opanować auto, które zaczyna wściekle tańczyć na drodze. Detektyw zdjął stopę z pedału przyspieszenia, ale ten instynktowny ruch wcale nie był dla nas korzystny. Jeśli się zatrzymamy, to już po nas. Ktoś czai się między drzewami, a jeśli go nie minimy, będzie strzelać tak długo, aż będziemy przypominali szwajcarski ser.

Oczy Fairweathera uciekają w głąb czaszki. Nie oddycha, a brak pulsu sprawił, że nie krwawi już z rany. Nie żyje.

Nie mam czasu na oddawanie mu czci. Otwieram drzwi po stronie kierowcy, wciskam palce w przycisk zwalniający blokadę pasów i wypycham go na zewnątrz, gramoląc się jednocześnie na przesiąknięty krwią fotel. Czuję ciepło na tkaninie. Jego krew wsiąka w mojej spodnie i tył koszuli. Próbuję nie myśleć ani o tym, ani o dobrym człowieku, którego zwłoki wyrzuciłem na jezdnię.

Wciskam gaz.

– Mike! – wołam. – Trzymaj się!

– Dobra – odpowiada cicho. Koniec z żartami. To Mike Lustig w bojowej akcji, skoncentrowany jak cholera.

Przednia szyba jest w opłakanym stanie, pełna przesłaniających widoczność pajęczyn, ale nie mam czasu się nią zajmować. Ignoruję uszkodzenia i próbuję znaleźć miejsce, przez które da się zobaczyć drogę. Za pięć sekund zbliża się ostry zakręt. Cztery. Trzy.

W szybę trafiają kolejne dwa strzały, jeden za drugim. Oba przelatują obok mnie, ponieważ kąt staje się coraz ostrzejszy. Popękane szkło nie pomaga również strzelcowi, a ja staram się wcisnąć w lewy kąt. Jadę zygzakiem, nie puszczając gazu. Tylne opony piszczą i szorują asfalt, kiedy koryguję poślizgi.

– Uwaga na szóstej! – krzyczę, ponieważ właśnie mijamy stanowisko strzelca, który może teraz odwrócić się i spróbować trafić mnie od tyłu. W zależności od tego, jak wysoko się zasadził, może nawet zobaczyć Mike'a. Wybierze każdy możliwy cel, choć równie dobrze może walić na ślepo.

Zapadam się w fotel i dociskam pedał do oporu. Słyszę, jak kolejne strzały trafiają w metal i kruszą szkło.

– Melduj! – wołam.

– Jestem! – Mike przekrzykuje panujący teraz w samochodzie przeciąg. Kawałki szkła zaczynają odpadać od szyby i chlastać mnie po twarzy. Nie mogę teraz zwolnić. Ten dupek jest całkiem dobrym strzelcem. Jeśli zdołam dotrzeć do następnego zakrętu...

Nie zdołam.

Wybucho opona. Być może trafiła w nią kula, być może przetarła się od ciągłych poślizgów, nie wiem. Samochód zaczyna jednak ustawiać się bokiem, kiedy fizyka pokonuje resztki ogumienia. Nie jestem w stanie zwolnić, więc cały czas prowadzę, choć utrzymanie prostego toru jazdy nie wchodzi w grę.

– Trzymaj się! – wołam i zapieram się mocno, bo wiem, że za chwilę wpadniemy do rowu na poboczu. Nie udaje mi się zatrzymać w porę, czuję, jak coś w kierownicy staje się luźne i pęka. Mamy przechlapane.

Samochód wywraca się na dach.

17

CONNOR

Kiedy mama idzie z panią Pall, pan Sparks uśmiecha się do naszej trójki – do mnie, Lanny i Very – i przykłada palec do ust. Podchodzi do drzwi i zamyka je cicho.

– Dobrze – mruczy pod nosem. – A teraz muszę zabrać was w bezpieczne miejsce na wypadek, gdyby policja wymusiła wtargnięcie niezależnie od naszej opinii na ten temat.

Zabiera z biurka pilota zdalnego sterowania i naciska przycisk. Regał z książkami na jednej ze ścian bezgłośnie odsuwa się w bok. Jedyne, co przychodzi mi na myśl, to *ale ekstra*, ponieważ nigdy nie widziałem czegoś takiego na oczy, nie licząc filmów. To jak sztuczka w Batmanie.

Wygląda na to, że robi dla nas coś dobrego, ale nie jestem do końca przekonany. Dlaczego nie zrobił tego wcześniej, żeby mama mogła to zobaczyć? Nie podoba mi się świadomość, że nie będzie wiedziała, gdzie nas szukać. Zerkam na siostrę.

– Lanny? – pytam, bo wciąż się waham, a ona będzie wiedziała, co robić.

Moja siostra patrzy na ukryte przejście, a następnie na Hectora Sparksa, marszcząc brwi.

– Może powinniśmy zaczekać z tym na mamę – sugeruje.

– Nie ma czasu – odpowiada Sparks. – Chcesz, żeby złapali Verę? Albo ją zabili?

Lanny kręci głową. Poddaje się i zmierza w stronę ukrytych drzwi. Nie podoba mi się to. Nie jestem pewien dlaczego, po prostu mi się nie podoba. Ruszam więc w stronę drzwi gabinetu, żeby powiadomić mamę.

Zanim docieram do drzwi, słyszę, jak coś w nich klika. Kiedy próbuję je otworzyć, klamka nie chce się przekreślić.

– Mamo! – wołam, uderzając mocno w drewno.

– Cicho! – krzyczy pan Sparks. – Idź razem z siostrą, chłopcze. Na dole będziecie bezpieczni.

Odwracam się. Adwokat wciąż stoi za biurkiem.

– Niech pan otworzy drzwi!

Lanny i Vera obserwują nas z uwagą.

– Connor? – mówi moja siostra. – Chodźmy. Powinniśmy robić, co każe pan Sparks.

– Najpierw musimy powiedzieć mamie!

Pan Sparks wzdycha, otwiera szufladę i mówi:

– Naprawdę nie sądziłem, że to będzie takie trudne. Ale sami się o to prosiliście. – Wyciąga broń. Jest to stary rewolwer z rodzaju tych, jakie widuje się w czarno-białych filmach. Ale to jednak broń, więc zastygam w bezruchu, podobnie jak dziewczyny. – Natychmiast macie zejść na dół.

– Pan ją tam trzyma! – wyrzucam z siebie. – Ellie White! Pan ją porwał!

Pan Sparks patrzy na mnie z taką miną, jakbym powiedział coś naprawdę głupiego.

– Nie obrażaj mnie. Nigdy nie skrzywdziłbym dziecka.

– Mój brat jest dzieckiem! – rzuca moja siostra. Jest jednocześnie rozzłoszczona i wystraszona. – Niech go pan zostawi w spokoju!

– Skończył dwanaście lat – odpowiada Sparks, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. – Nie porwałem tej biednej dziewczynki. Nie zrobiłbym czegoś takiego. A jeśli będziecie grzeczni i posłuszni, obiecuję, że absolutnie nic wam się nie stanie. Ale teraz nalegam, zejdźcie tam albo będę zmuszony jedno z was postrzelić.

Wystraszył mnie.

Chciałbym, żeby mama wykopnęła teraz drzwi, odebrała mu broń i skopała tyłek, ale ona chyba nawet nie wie, że mamy kłopoty. Mógłbym wrzasnąć, ale obawiam się, że tylko pogorszyłbym sytuację. Nie podnoszę więc głosu.

– Mama po nas przyjdzie – mówię do Lanny. – W porządku, zrób, co mówi.

Siostra się ze mną nie spiera. To wydarzyło się chyba po raz pierwszy, ale nie odczuwam żadnej satysfakcji. Prowadzi Vee do otworu po regale.

– Chłopcy powinni być widoczni, a nie słyszalni – mówi pan Sparks. – Musisz się nauczyć, jak się zachowywać. Uważam jednak, że masz w sobie potencjał, młody człowieku. Kiedy uwolnisz się już od wpływu matki...

Jestem wystraszony i to mocno. Patrzę na niego, nawet nie mrugając.

– Jeśli skrzywdzi pan moją mamę lub siostrę, zabiję pana. A mogę to zrobić. Wiem, jak. Tata mnie nauczył.

To brzmi nieźle. Strasznie. Ćwiczyłem tę gadkę od momentu, kiedy zaczęła robić wrażenie na kilku wrednych chłopakach ze szkoły.

Na pana Sparksa to jednak nie działa. Potrząsa głową, jakbym powiedział jakąś bzdurę i uderza pilotem o blat biurka. Słyszę, jak drzwi do gabinetu się odblokowują, i przez chwilę wydaje mi się, że zamierza pozwolić mi porozmawiać z mamą... ale wtedy chwytą mnie za nadgarstek i ciągnie w stronę otworu za regałem. Krzyczę i szarpię się, ale on jest większy i silniejszy i z łatwością wpycha mnie do środka. Sięga po urządzenie, które zamyka za nami regał. Słyszę kliknięcie. Nie sądzę, bym znał sposób na ponowne otwarcie tego przejścia. Wyobrażam sobie mamę, która wejdzie do gabinetu, nie wiedząc nic o tych drzwiach. A jeśli pan Sparks ma broń, to ma ją również pani Pall.

Lanny powinna tu być, ale jej nie ma. Jestem w małym pomieszczeniu, z którego schodzą w dół stopnie. Nie widzę jej, a na dole jest ciemno.

– Lanny! – wołam. Nie odpowiada. Próbuję się uwolnić, ale nie mogę. Sparks zaciska mi rękę na szyi i ściska, aż palce stóp odrywają mi się od podłogi. Łapię powietrze, czując ból, naprawdę duży. Popycha mnie do przodu, nie puszczając mojej szyi. Schodzę niezdarnie po kilku stopniach, potem pokonuję kolejne.

Sparks dalej mnie popycha.

– Teraz cię puszcze – mówi, kiedy jesteśmy w połowie drogi. Ledwie mogę oddychać i przestałem się już szarpać. – Bądź grzecznym chłopcem albo ucierpi twoja siostra.

Nacisk na gardło ustępuje, ale teraz czuję jego dłonie na ramionach. Nadal pcha mnie do przodu, stopień po stopniu.

– Moja mama po nas przyjdzie – mówię do niego. – Znajdzie nas! – Mówienie przychodzi mi z trudem, cały się trzęsę.

– Nie, nie wydaje mi się, żeby pani Pall na to pozwoliła – odpowiada pan Sparks. – Uważaj na stopnie, na końcu jest dość ciemno, muszę wymienić tam żarówkę. Trzy, dwa, jeden... i jesteśmy na miejscu.

Zapalają się światła, jasne i oślepiające.

Jesteśmy w jaskini. Kiedy to do mnie dociera, odnoszę wrażenie, jakbym się dusił, ponieważ Lanny i ja byliśmy już kiedyś w innej jaskini jako więźniowie. Wydaje mi się, że ściany zaczynają się do siebie zbliżać, że ciemność jest zdecydowanie za ciemna. Chcę do mamy. Chcę ją zobaczyć tak bardzo, że jestem gotów zacząć krzyczeć. Jestem wściekły, że mama jest tam na górze bez nas, że pani Pall może ją zabić. Nienawidzę tego uśmiechniętego faceta z paskudnym, złośliwym spojrzeniem.

Widzę Lanny i Vee wtulone w siebie przy ścianie i zaraz podbiegam do siostry. Przesuwa mnie za swoje plecy, a kiedy to robi, zauważam, że znalazła jakąś broń. To kamień, niezbyt duży, ale z paskudną krawędzią z jednej strony.

– Co to jest? – pyta Lanny, wskazując głową drugi koniec jaskini. Widzę tam zamknięte, stalowe drzwi z okienkiem u góry, a obok większe, ciemne okno, jakie spotyka się w domach. Tylko że jest całe zaciemnione. Pan Sparks zatrzymuje się i uśmiecha jeszcze szerzej.

– To będzie wasz nowy dom, dziewczynki. – Wciąż trzyma w dłoni pilota i teraz naciska przycisk.

Czarne okno ma po drugiej stronie metalową żaluzję, która się unosi. W drugim pomieszczeniu stoją trzy łóżka. W pomieszczeniu są dwie kobiety, które wstają, kiedy żaluzja zostaje podniesiona. Patrzą przed siebie, stojąc z założonymi rękami, w białych sukniach. Obie mają długie włosy.

Rozpoznaję je ze zdjęć, które widziałem w internecie: to zaginione kobiety z Wolfhunter. Wyglądająca na chorą blondynka to Tarla Dawes, ta młodsza. Druga to Sandra Clegman, chyba starsza.

Brakuje jednej.

Bethany Wardrip.

Przypominam sobie paskudne zwłoki, które znaleźliśmy przy rzece, i mam ochotę wymiotować, kiedy przypominam sobie jej fotografię ze strony. To była ona. Jestem pewien.

– Zabił ją pan – mówię i przenoszę spojrzenie na Sparksa. – Bethany.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiada i na swój sposób mu wierzę. Sprawia wrażenie urażonego. – Ja troszczyłem się o moje dziewczyny. Ona po prostu bardzo się rozchorowała. Nie mogłem nic dla niej zrobić.

– Więc ją pan wyrzucił! Jak śmieć!

– Pozostawiłem ją do oczyszczenia Bogu i naturze. Sam zrozumiesz, jak brudne stają się kobiety, kiedy dorastają. Nauczę cię tego.

– Tak jak nauczył pan je? – Przełykam gęstą ślinę, kiedy widzę, że kobiety po drugiej stronie okna nawet się nie poruszyły. Jakby bały się oddychać.

On wpuści tam moją siostrę. I Vee.

Nie powiedział jednak ani słowa na mój temat, co mnie przeraża.

– Zamierza mnie pan zabić? – pytam na wszelki wypadek.

– Oczywiście, że nie! Nie zamknę cię tam z nimi, to byłoby niestosowne. Nauczę cię, jak być za nie odpowiedzialnym. Jak być ich ojcem – odpowiada. Odzywa się jego telefon komórkowy i sięga po niego, żeby odczytać wiadomość. Nie wygląda na ucieszonego. – Zostań tutaj z dziewczynami. Zaraz wrócę.

Kieruje pilota w stronę okna i po chwili żaluzja zjeżdża w dół. Wyobrażam sobie, jak dwie kobiety siadają bezwolnie. Może płaczą. Są takie wystraszone. Widziałem to w ich oczach – przez cały czas odczuwały strach.

Pan Sparks jest potworem, a ja przedtem tego nie dostrzegłem, tak samo jak w przypadku taty. Jestem na siebie zły, że nie potrafię dostrzec takich rzeczy. Potwory nie powinny wyglądać normalnie.

Jeśli dotknie moją siostrę... Nie, nie pozwolę mu na to. Mama mu nie pozwoli.

Wciąż wpatruję się w ciemne okno, kiedy słyszę kroki. Odwracam się i widzę, że pan Sparks jest już w połowie schodów, wchodząc pospiesznie na górę. Mama! Odwracam się i też biegnę w stronę schodów. Wyprzedzam Lanny, która też zerwała się do biegu, ale udaje się nam dotrzeć do połowy, kiedy słychać zamykający się regał.

– Zaczekaj – mówi Lanny i zatrzymuje mnie. – Tędy nie wyjdziemy. Potrzebny nam plan. Musi być stąd jakieś inne wyjście.

– Ale mama...

– Pomóż mi szukać! – Słyszę drżenie w jej głosie, a kiedy na nią patrzę, dostrzegam łzy. Ale jest jeszcze coś innego. Tak wygląda mama, kiedy szykuje się do walki. – Dalej!

Ledwie docieramy na dół, kiedy słyszę odgłos odblokowywanego zamka. Zastygamy z Lanny. Odwracamy głowy, żeby popatrzeć.

Pan Sparks ciągnie naszą matkę po schodach, trzymając ją za nadgarstek, kiedy ta zsuwa się po stopniach. Leży na plecach i pozostawia za sobą ścieżkę świeżej krwi. Nigdy nie widziałem mamy rannej, nie tak. Nie rusza się. Ona się nie rusza!

Krzyczę, wrywam się Lanny i wbiegam po schodach. Moja siostra jest tuż za mną. Sparks sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, co ma tak właściwie począć. Jak stary, zszokowany mężczyzna. Ale to tylko jego maska, tak jak słowa mojego taty. Jak jego uśmiech.

Wali mnie z taką siłą, że uderzam o ścianę i przez chwilę nie jestem w stanie się podnieść. Czuję, że zsuwam się po schodach, i zauważam, że powieki mamy się poruszają. Lanny szamocze się ze Sparksem.

– Mamo! – wołam skrzekliwie, więc próbuję ponownie. – Mamo! Mamy kłopoty!

Jej oczy otwierają się, ale przez chwilę jest zupełnie oszołomiona.

W końcu skupia na mnie wzrok i całe oszołomienie znika.

– Zabieraj swoje pieprzone łapy od moich dzieci! – krzyczy. Obraca się, wciąż leżąc na plecach, i kopie pana Sparksa od tyłu. Nie w tyłek, jak ja bym to zrobił, ale między nogi. Kopie go tak, jakby chciała zdobyć gola na boisku.

Słyszę wrzask. Sparks puszcza Lanny i zjeżdża dwa stopnie w dół, potem mija się z trzecim. W końcu spada z impetem, uderza w betonową podłogę, sunie jeszcze metr po jej powierzchni i zatrzymuje się, leżąc twarzą do dołu.

Nie rusza się.

Rewolwer wypada mu z ręki i przesuwa się po podłodze. Vera podbiega, by go chwycić, po czym zaciska drżące dłonie na rękojeści i celuje w pana Sparksa.

– Nie! – woła chrapliwie, ale głośno Lanny. – Vera, nie rób tego!

– Nie zrobię – odpowiada Vee. – Choć na to zasługuje. – Brzmi poważnie, ale wygląda, jakby miała się rozplakać. – On miał mi pomagać.

Wyciągam rękę do siostry. Kaszle po tym, jak pan Sparks trzymał ją za szyję. Wiem już, jakie to bolesne.

– Mamo?

Wyciągam drugą rękę. Mama chwyta ją i podnosi się na nogi. Kołysze się lekko, ale kiedy nas przytula, czuję, że znów jest silniejsza. Wszystko wraca do normy. Robi to przez zaledwie krótką chwilę, po czym puszcza nas i schodzi w dół. Zatrzymuje się i przyciska palce do szyi pana Sparksa.

– Żyje. Pomóżcie mi go związać. Ściągnijcie mu pasek.

Podnoszę rękę.

– Nie musimy. – Zabieram mu telefon, klucze i wyciągam z kieszeni pilota. Są na nim cztery przyciski. Dolny lewy otwiera okno, to zapamiętałem. W gabinecie użył lewego górnego do zablokowania drzwi, żeby nie można było nacisnąć klamki. Jeden z pozostałych musi otwierać przejście za regałem – zapewne ten po prawej na górze.

Pozostaje więc ten na dole po prawej. Kieruję go w stronę drzwi i naciskam przycisk.

Rozlega się niski brzęczyk i stalowe drzwi uchylają się na centymetr.

Lanny podbiega i otwiera je szeroko, a światło z pomieszczenia zalewa betonową podłogę.

– Hej – mówi. – Dalej, możecie już wyjść. Jesteście bezpieczne. – Przenosi wzrok na mamę. – Możemy zamknąć go tutaj, prawda, Connor?

– Prawda. I zostawić go. – Na śmierć, dodaję w myślach, ale nie wypowiadam tych słów. Przez chwilę wyobrażam sobie jednak, jak umiera tam z głodu, zmieniając się w kości i proch.

Lanny ponownie zagląda do pomieszczenia. Naciskam przycisk sterowania oknem, żeby zobaczyć, co dzieje się w środku.

Obie kobiety stoją, obejmując się rękami. Tarla płacze, ale się nie porusza.

To Sandra reaguje pierwsza. Zaczyna szybciej oddychać i chwyta Tarłę za rękę.

– Nie! – protestuje Tarla. – Nie możemy, on nas za to ukarze! – Jest dosłownie przerażona. Wyrywa się i staje przy swoim łóżku.

Mama zaczyna pojmować to, co widzi. Dostrzegam to na jej twarzy, w oczach, w sposobie, w jaki się prostuje.

W sposobie, w jaki patrzy na człowieka, któremu powierzyliśmy swoje bezpieczeństwo.

Chwyta go za nadgarstek i wlecze jak martwą rybę po betonie, do pomieszczenia zajmowanego przez kobiety. Kobiety, które porwał.

Kiedy zauważają go leżącego i bezbronego, wszystko się zmienia. Tarla krzyczy, czego aż przykro słuchać, bo w tej chwili kumulujący się miesiącami strach zaczyna wrzeć i zmieniać się w furję. Zrywa się do biegu. Z początku wydaje mi się, że chce wybiec z pomieszczenia, ale ona zatrzymuje się przy nim i zaczyna go kopać, raz za razem, aż musi zainterweniować Sandra.

Wychodzą z pomieszczenia, a Tarla się zatacza, jakby została uderzona. Opada na ziemię przy szorstkiej ścianie i zwija się w kokon. Słyszę, jak jej biała suknia rwie się na ostrych kamiennych wypustkach.

Mama odwraca się i wychodzi z pomieszczenia. Pan Sparks zaczyna dochodzić do siebie, ale nie jest już tak szybki jak wcześniej. Może nie ma aż takiego doświadczenia.

Kiedy zostaje sam w pomieszczeniu, naciskam przycisk i drzwi zamykają się z ciężkim łupnięciem.

Mama odbiera broń od Very, która pozbywa się jej z wyraźną ulgą, i podchodzi do mnie, po czym obejmuje mnie ramieniem.

Pan Sparks podnosi się i skacze do drzwi. Słyszemy, jak wali w nie od środka. Potem próbuje tego samego z oknem, bębniąc wściekle pięściami.

– To dźwięk, jaki słyszeliśmy – mówi mama. – To nie była niewyważona pralka. To one próbowały dać nam znać, że tutaj są. Uderzały z nadzieją na ratunek.

Kiwam głową i naciskam lewy dolny przycisk.

Żaluzja w oknie opuszcza się i nie widzimy już pana Sparksa. Gdyby nie dudnienie, mógłbym pomyśleć, że nigdy nie istniał. Jeśli krzyczy, to zupełnie niczego nie słychać.

Vee Crockett prowadzi Tarłę do schodów, ale mama ją powstrzymuje.

– Jeszcze nie – mówi. – Zaczekajcie tu na dole, aż nie wrócę i nie potwierdzę, że na górze jest bezpiecznie. – Odwraca się do mnie i wyciąga dłoń po pilota. – Który to przycisk?

– Prawy górny dla regału – odpowiadam. – Lewy górny dla drzwi gabinetu. Idziesz po nią?

– Tak – odpowiada i przytula mnie tak mocno, że boję się o moje żebra,

ale to jest dobry ból. Kocham ją tak bardzo, to również dokłada się do bólu. Po chwili przytula moją siostrę. – Kocham was. I jestem z was bardzo dumna. Zostańcie tutaj. – Waha się przez chwilę, ale oddaje siostrze broń. – Wiesz, jak tego użyć. Chronić ich, jeśli będziesz musiała, kochanie.

– A jeśli pani nie wróci? – pyta Vee. – Jeśli zjawi się ona?

– Hej, to moja mama – mówi spokojnie Lanny. – Ona wróci.

Nie słychać w jej głosie żadnych wątpliwości.

Kiedy mama wchodzi po schodach, zbliża się do nas Sandra Clegman. Wciąż jest wstrząśnięta, ale już trochę spokojniejsza.

– Daj mi jego telefon – mówi, a ja podaję jej aparat. – Mogę pomóc.

Telefon zabezpieczony jest kodem, ale ona patrzy przez chwilę na ekran i w końcu wpisuje cyfry. Musiała widzieć setki razy, jak robi to Sparks. Telefon zostaje odblokowany.

– Co pani robi? – pytam.

– Piszę do jego siostry. – Śmieje się cicho. – Uwielbiałam pisać wiadomości. Zazwyczaj korzystałam z emotikoniek. Ludzie nadal ich używają?

– Tak. Nawet częściej. Nie wiem jednak, czy on użyłby emotikoniek.

– Nie. Nie użyłby. – Kobieta wygląda na dużo szczuplejszą niż na zdjęciu, jakby niewiele jadła. Ma kościste nadgarstki. Pisze coś, po czym oddaje mi telefon.

Wiadomość brzmi: CZAS NA KOLACJĘ.

Zerkam na nią pytająco, ale wzrusza tylko ramionami.

– Kiedy niesie tacę z kolacją, nie ma przy sobie strzelby – odpowiada. – Robi to każdego dnia, jeśli jesteśmy posłuszne. Dostajemy jedzenie.

Zerkam na Lanny i Vee. Słuchają uważnie.

– A... jeśli nie jesteście posłuszne?

– Wtedy nie jemy – odpowiada Tarla. – Prawie umarłam, zanim się tego nauczyłam. Teraz jadam regularnie. – W jej głosie słychać zmęczenie. Brzmi, jakby była pijana. – Wciąż można kupić tu lody?

– Tak – odpowiada Vee i siada obok Tarli. – Kupimy je później.

Naciskam przycisk „wyślij”. Tarla kładzie głowę na ramieniu Vee. Mam nadzieję, że Sandra się nie myli. W przeciwnym razie wysłanie tej wiadomości może okazać się dużym błędem...

Mama natknie się na coś naprawdę niedobrego.

18

SAM

Zorientowanie się w bieżącej sytuacji po wypadku zabiera mi chwilę. Sięgam pamięcią wstecz i przypominam sobie o Fairweatherze, który leży martwy na szosie. O strzałach w przednią szybę.

Strzelec wciąż gdzieś tam jest.

Otwieram drzwi i gramolę się na zewnątrz, po czym szarpię za klamkę drzwi pasażera i sięgam po Mike'a. Chwytam się za przedramiona, a ja zaczynam ciągnąć. Mój przyjaciel jest ciężki, a do tego niemal bezwładny. Jestem świadom, że zapłacę za to wszystko później, ale w tej chwili przed strzelcem osłania nas choć samochód.

W naszym kierunku może zmierzać jeden człowiek, albo dwóch. Stawiam na jednego. Z pierwotnej ekipy porywaczy z pewnością ubyło trzech, którzy zostali w domu. Próbuję sobie przypomnieć, ile SUV-ów widziałem krążących po Wolfhunter, ale wszystkie są do siebie podobne i trudno mieć absolutną pewność. Co najmniej trzy, myślę sobie, co oznacza trzech lub czterech facetów w każdym. Widzieliśmy jednego pełnego SUV-a. Nie sądzę, by mogli sobie pozwolić na wysłanie więcej niż jednej sztuki do wyeliminowania Fairweathera.

Mike mocno krwawi. Jest jeszcze bardziej poobijany niż do tej pory. Opieram go o parujący metal i mówię:

– Trzymaj się, stary, za chwilę wracam.

Odpowiada jęknięciem, co pozwala mi sądzić, jak bardzo cierpi. Zostawiam go i wspinam się do samochodu. Strzelba uwolniła się z blokady za przednim siedzeniem. To solidny shotgun z pompką, załadowany co najmniej sześcioma nabojami. Zabieram go i podaję Mike'owi.

– Osłaniaj mnie – mówię. – I zostań tutaj.

– Nie dam rady zrobić jednego i drugiego – odpowiada, ale nie słucham go. Zaczynam czuć prawdziwy ból. Wypadek solidnie zamieszał wszystkim, co mam w środku. Mogę się gdzieś tam rozłożyć. Trudno to ocenić, ale to

bez znaczenia. Muszę się stąd ruszyć.

Moim celem jest teraz namierzenie wroga i wyeliminowanie go.

Plany ulegają zmianie, kiedy oddalam się o jakieś sto metrów od miejsca wypadku, bo dociera do mnie, że nie myślę jasno, choć ból zaczyna powoli wypychać zamroczenie. Nie mogę przecież skradać się przez las. Muszę sprawić, żeby on przyszedł do nas. A zrobi to. Z pewnością widzi parę unoszącą się z pękniętej chłodnicy.

Nie wie, czy przeżyliśmy, i będzie musiał się upewnić.

Kucam przy drzewie, przy którym przystanąłem, i obserwuję okolicę. Każda sekunda oznacza więcej krwi utraconej przez Mike'a, a ja z całą pewnością złamałem kilka żeber. Próbuję oddychać płytko i powoli. Chyba nie mam przebitego płuca, w przeciwnym razie byłbym w poważnych opałach.

Słyszę, jak Mike się porusza. Chwilę później z innej strony dobiega kolejny odgłos. Cichy, dobrze zamaskowany, ale w tym bezruchu zdecydowanie wyczuwalny.

Zauważam faceta, jeszcze zanim dociera do mnie odgłos jego ruchów. Ma na sobie strój wojskowy z kamuflażem i na pewno nie jest to tania wersja z czasów wojny wietnamskiej, jaką mieli na sobie strzelec i obserwator nieopodal schroniska. To dobre wyposażenie, typowe dla najemnika. Porusza się jak cień po lesie i staje zupełnie niewidoczny, kiedy zastyga. Ja nie jestem niewidoczny. Nie jestem wyszkolonym duchem. Stanowię jednak mniejszy cel niż Mike, który porusza się, krwawi i robi za doskonałą przynętę, żeby tamten podszedł bliżej. Jednak „bliżej” do pojęcia względne. Nie znam zasięgu i mocy jego broni, a teraz nie pora na to, by coś koncertowo spieprzyć.

Muszę podejść bliżej.

Nie jestem w tym bardzo kiepski, ale wystarczająco kiepski. Zbliżam się na sześć metrów, kiedy coś – źle postawiona stopa, naprężenie gałązki, odgłos mojego oddechu – alarmuje przeciwnika. Jest już blisko Mike'a i zaczyna celować. Chrzanić to. Ruszam przed siebie szybko i nisko, skracając odległość do trzech metrów. Nie ma czasu na celowanie: tamten już się odwraca w moim kierunku.

Mike ratuje mi tyłek. Strzela z shotguna, choć jest poza zasięgiem

skutecznego rażenia. Sam huk okazuje się jednak wystarczający. Kula, która bez wątpienia by mnie trafiła, wyrывa dziurę w drzewie tuż obok.

Opadam na jedno kolano, stabilizuję ruchy i strzelam. Nie mogę celować w pierś – nie wiem, jakiego rodzaju kamizelkę może mieć pod spodem. Wybieram więc niebezpieczny cel, czyli prawe oko.

Nie trafiam, do czego mogły przyczynić się nerwy lub strzała bólu przeszywająca moje połamane żebra. Ale to wystarcza. Facet rzuca się w tył, upuszcza broń i ląduje za pagórkim. Przemieszczam się ostrożnie, gotów do oddania kolejnego strzału, ale tamten stracił już zainteresowanie walką. Kiedy do niego docieram, trzyma się oburącz za gardło, trzęsąc się i próbując zatamować upływ krwi. To mały cud, ale nie sądzę, bym trafił w coś naprawdę ważnego.

Facet jest młody, pochodzenia azjatyckiego. I choć mam ochotę wpakować mu drugą kulkę, nie potrafię tego zrobić. Wygląda teraz jak przerażony dzieciak. Mimo to celuję w niego i mówię:

– Uciskaj ranę. Przeżyjesz.

Może.

Słyszę syreny, ale nie potrafię określić, z którego kierunku. Jeśli nadjeżdżają od strony Wolfhunter, to mamy z Mikiem przerąbane i jesteśmy równie martwi jak detektyw Fairweather. Jeśli to szeryf okręgowy i biuro śledcze, jesteśmy uratowani. Z tego, co widzę, chłopakowi jest wszystko jedno.

– Pomóż mi – szepcze.

– Ty pierwszy – odpowiadam. – Należysz do grupy, która porwała Ellie? Kiwa głową. Jest przerażony.

– Pogotowie – mówi. Krew sączy mu się spomiędzy palców. – Pomocy.

– Wiesz, gdzie jest dziewczynka?

– Nie – odpowiada szeptem. Jego wargi nabierają delikatnego purpurowego odcienia. – Sprowadź pomoc.

Oklepuję go w poszukiwaniu broni. Ma przy sobie nóż myśliwski, całkiem przyzwoity, a do tego jeszcze lepszą berettę 9 mm w przypinanej na rzepy kaburze, którą niemal przegapiam. Zabieram broń i rzucam w poblizze Mike'a, który nieco się wyprostował. Jego zdrowe oko jest otwarte i patrzy.

– Nie przestawaj zaciskać. Jak się nazywasz?

– Zhao Liu.

Mike wydaje z siebie krótkie parsknięcie.

– John Smith z Chin – rzuca. – Nie sądzę. – Odwraca głowę. – Skąd słyhać te syreny?

– Nie z Wolfhunter – odpowiadam.

– Jesteś pewny?

Powieki Zhao trzepoczą. Traci przytomność. Jego ręce odsuwają się od szyi i opadają, a z rany wypływa krew.

– Cholera. Zastrzel go, jeśli zacznie coś kombinować. – Klękam i zaciskam ranę. Nie mam telefonu, ale Zhao ma, wybieram więc jedną ręką numer, żeby skontaktować się z biurem szeryfa okręgowego.

Wszyscy w końcu jesteśmy świadkami przyjazdu stróżów prawa: dwa wozy policji okręgowej, za nimi niemal od razu trzeci, a do tego ambulans. Kod 10–34 Fairweathera zrobił swoje. Detektyw nas uratował, a ja zostawiłem go martwego na drodze. Kurwa. To boli jeszcze bardziej niż moje połamane żebra.

W ciągu godziny zjawia się sam szeryf okręgowy, któremu towarzyszy furgonetka pełna agentów biura śledczego Tennessee w kurtkach z napisami. Do tej pory moje żebra zostają owinięte bandażami i teraz siedzę obok Mike'a przy wraku samochodu. Zhao leży w ambulansie, przykuty do noszy. Jestem piekielnie zmęczony, ale nikt nie odpowiedział na moje cholerne pytania, a ja muszę się dowiedzieć, co z Gwen i dziećmi. Robię dość hałasu, by w końcu zwrócić uwagę szeryfa, który staje nade mną, rzucając cień swoim kapeluszem i mówi:

– O co, do cholery, panu chodzi?

– Gwen Proctor i dzieci. Są u Hectora Sparksa, w Wolfhunter. Musi ich pan stamtąd wydostać.

– Teraz nie da rady. Zajmiemy się tym, kiedy dorwiemy komendanta Weldona i tego sukinsyna Carra.

– Wie pan o Carrze?

– Fairweather przekazał nam swoje podejrzenia. Mamy nakaz przeszukania jego posiadłości. Jeśli Ellie White tam jest, dostarczymy to biedne dziecko rodzicom, żywe lub martwe. – Szeryf, krępy starszy facet z wąsem świętego mikołaja i oczami węża, oddala się bez następnego

słowa. Mike i ja odprowadzamy go wzrokiem.

– Wiesz co? – mówi Mike. – Jeśli on też jest zamieszany, żaden z nas nie dotrwa do końca tego dnia.

– Tamci nie mogą kupić wszystkich.

– Ty tak uważasz.

– Spokojnie, stary. Przeżyjesz i znów będziesz drukował swoje fałszywki.

– Nie rozśmieszaj mnie. – Wzdycha. – Przykro mi z powodu Mirandy. Nie lubiłem jej, ale uratowałbym jej życie, gdyby to było możliwe.

– Wiem. – Podnoszę się. Wszystko mnie boli i jutro będę cały czarno-niebieski, ale póki co daję radę. – To nie twoja wina, Mike.

– A ty dokąd się wybierasz?

– Poszukać kogoś, kto zabierze mnie do Wolfhunter. Muszę się upewnić, że nic im nie jest.

Robię zaledwie kilka kroków, kiedy wraca szeryf. Przygląda się mi przez chwilę, po czym mówi:

– Pojedzie pan ze mną.

Mike, pomimo ran i siniaków, też już stoi.

– Dokąd jedziemy?

Cała broń, którą odebraliśmy Zhao, gdzieś zniknęła, jak za sprawą magicznej sztuczki. Nie mam jej przy sobie, ale Mike jest zapewne tajną, chodzącą wystawą uzbrojenia.

– Do posiadłości Carra – odpowiada szeryf. – A potem po pańską rodzinę.

Jazda zabiera nam dziesięć minut. W tych okolicach nigdzie nie jest daleko. Opis posiadłości Carra jako kompleksu okazuje się trafny. Otacza go wielki, betonowy mur zwieńczony kłębami drutu kolczastego i paroma imponujących rozmiarów reflektorami.

Główna brama została zniszczona, a jej szczątki walają się na ziemi.

– Co, do cholery? – wykrzykuję.

– Nasi ludzie przyjechali tutaj z nakazem i wpakowali się w sam środek pieprzonej wojny – odpowiada szeryf ponurym głosem. Uzasadnia to sytuacja. Po wewnętrznej stronie bramy stoją dwa wozy patrolowe

z Wolfhunter z włączonymi światłami na dachu, ale nie ma przy nich nikogo. Dopiero gdy szeryf wjeżdża głębiej, zauważam ciała.

Dwóch zabitych policjantów leży między samochodami.

W pobliżu stoją dwa płonące SUV-y, wokół których walają się kolejne zwłoki. U podstawy muru zauważam faceta w starym, tanim kamuflażu pustynnym, co jest kretyńskim wyborem w tym lesistym regionie. Kolejnych czterech czy pięciu martwych przy czymś, co wygląda jak budynek koszarów po drugiej stronie muru.

– Co tu się, do diabła, wydarzyło? – pytam.

– Z tego, co można przypuszczać na dzień dobry, ci faceci w SUV-ach wparowali tu jakieś pół godziny temu – odpowiada szeryf. – Rozgorzała pełnowymiarowa bitwa z mnóstwem ofiar. Potem przyjechali gliniarze z Wolfhunter, którzy zostali zastrzeleni w momencie wysiadania z samochodów. W piwnicy znaleźliśmy ukrywające się żony i dzieciaki Carra.

– Powiedział pan: żony? – pyta Mike.

– Liczba mnoga. Cholerny bałagan. To miejsce było jakimś ośrodkiem kultu, a Carr okazał się ich pieprzonym prorokiem. Wygląda na to, że ten stary palant miał tu do dziś sprawnie funkcjonujące królestwo.

– Nie żyje?

– Jeszcze go nie znaleźliśmy, ale tu odbyła się w dupę kopana rzeź. Możemy zakładać, że ci faceci z SUV-ów byli najemnikami. Wszyscy nie żyją. Rozstrzelali się wzajemnie na kawałki. Nie wiadomo, kogo brakuje. – Patrzy na nas. – Wiecie coś na ten temat?

– Ci z SUV-ów są prawdopodobnie pierwotnymi porywaczami – mówię. – Ekipą, która porwała Ellie White, może paroma dodatkowymi wynajętymi spluwami. Zamierzali ją odzyskać.

– Może im się udało. Do tej pory nie natrafiliśmy na żaden ślad dziewczynki.

– Rozmawialiście z żonami? – pytam.

– Niczego nie mówią. Stoją tylko, trzymając się za ręce. Aż ciarki człowieka przechodzą, jak się na to patrzy.

– Dlaczego nas pan tutaj przywiózł, szeryfie?

Policjant wzdycha.

– Miałem nadzieję, że będziecie wiedzieli, dokąd można stąd pojechać. Nic?

– Nie – przyznaję. Mike kręci głową. – Co z komendantem Weldonem?

– Aresztowany. Weldon twierdzi, że zostawił wszystko Carrowi. Nie wie, gdzie jest dziewczynka. – Znów wzdycha. – FBI już tu leci śmigłowcami, pewnie będą współpracować z tutejszym biurem śledczym. To prawdziwy wstyd, że dotarliśmy tak daleko i nie znaleźliśmy tego dziecka.

To prawda.

Wtedy sobie o czymś przypominam.

– Vee Crockett – mówię. – Vee Crockett twierdziła, że jej matka widziała zakopane wraki samochodów. A jeśli zakopali dziewczynkę razem z nimi?

– Masz na myśli starą sztuczkę kidnaperów, taką z rurką do oddychania?

– mówi Mike. – Gdzie szukaliście ostatnio?

– Daj spokój, Mike, rozejrzyj się. Wszędzie?

– Nie tak działają ci faceci. Oni lubią mieć nad wszystkim kontrolę. Chowają swoje rzeczy, ale również je obserwują. Pod domami. Pod ciężkim sprzętem. Pod... – Urywa. – Mają tu jakiś ciężki sprzęt?

– Tak – odpowiada szeryf i wyciąga rękę. – Koparkę, tam, obok sterty śmieci. – Każda wiejska posiadłość ma swoją stertę śmieci.

Pochylam się do przodu.

– Proszę otworzyć te drzwi!

Szeryf naciska przycisk odblokowania, a ja biegnę sekundę później. Mam świadomość, że to miejsce przestępstwa, a ja nie mam na sobie ani stroju, ani sprzętu technicznego, ale w tym momencie myślę tylko o upływających minutach i małej dziewczynce, która jest gdzieś przechowywana od zdecydowanie zbyt długiego czasu.

Suerta śmieci jest ogromna, przypomina bardziej zbudowany z odpadów łańcuch górski. Szczyt po lewej utworzyły białe worki na śmieci, a ten w środku całe stosy gnijącego kartonu.

Na końcu stoi kupa rdzewiejącego żelastwa. Złom, jakieś stare części, pusty szkielet sedana z lat pięćdziesiątych bez silnika.

Patrząc na koparkę. Jest brudna, czego można było oczekiwać. Nie ma w niej niczego wyjątkowego.

Nieprawda. Coś jednak jest. Stoi w dziwnym miejscu, za blisko sterty

worków, które mogą się na nią stoczyć. Koparkę można by zaparkować w wielu innych miejscach. Dlaczego tutaj?

Ponieważ coś blokuje.

Mike podchodzi do mnie, utykając. Pomaga mu szeryf. Podchodzę do koparki i wskakuję do środka. Nie ma kluczyków, ale znajduję je wciśnięte pod dywanik podłogowy. Uruchamiam silnik i odjeżdżam w tył.

Naszym oczom ukazuje się kawałek rury z PCV wystającej spod ziemi. Dobrze, że nie skręciłem kół, kiedy wycofywałem. Kołnierz rury wystaje na jakieś pięć centymetrów i jest pomalowany w taki sposób, by nie wyróżniał się na tle śmieci.

Szeryf chwytając za długi pręt zbrojeniowy tkwiący w stercie i zaczyna go wsuwać do środka. Po dziesięciu centymetrach uderza w coś pustego. Próbuje ponownie. Ten sam odgłos.

– Drewno – wyrokuje Mike. – To właz.

Zaczynamy odkopywać luźną ziemię i w końcu natrafiamy na krawędzie. Drzwi składają się z dwóch skrzydeł, każde z ciężkiego drewna. Sądząc po wyblakłej farbie, są to drzwi od stodoły, które skądś zabrano. Jeśli się nie mylimy, to być może trafiliśmy na ziemiankę lub schron.

Dostrzegamy ciężki łańcuch spięty nową kłódką. Szeryf woła o nożyce do metalu, a ktoś przybiega z narzędziem. Przecina kłódkę i odsuwa na bok, uważając przy tym, by nie dotykać jej gołymi rękami.

– Odciski – mówię Mike'owi, który przytakuje. Czekamy, aż szeryf poda nam niebieskie rękawiczki. Chwytny drzewo z jednej strony i ciągniemy. Są piekielnie ciężkie. Dziecko nie byłoby w stanie ich otworzyć, nawet gdyby nie założono łańcucha i kłódki. Czuję ból w złamanym zębach i zaciskam zęby. W tej chwili ból jest dobry, produktywny.

W dole jest ciemno jak w studni. Szeryf ma ciężką, halogenową latarkę, którą świeci w dół, ujawniając stare drewniane schody, których stopnie obwisają w połowie długości, podłogę z klepiska, stertę pustych plastikowych butelek i rozdarte opakowania po przekąskach.

Ellie White siedzi skulona w kącie. Jest wybrudzona, jej elegancka niegdyś różowa sukienka nosi ślady błota i jest porozrywana u dołu. Dziewczynka się nie porusza. Trudno nawet stwierdzić, czy oddycha. Jest chuda i krucha, przypomina bardziej stosik patyków.

Mike, nie zważając na swoje obrażenia, zbiega w dół i ją podnosi. Dziecko niemal znika w jego wielkich ramionach, a głowę opiera o jego pierś. Jeden z warkoczy rozplątał się i włosy falują teraz w ciasnych spiralach na wietrze. Ręce i nogi kołyszą się bezwładnie.

– Żyje? – pyta szeryf. Słyszę niepokój w jego głosie. Mike zamierza ją właśnie położyć, kiedy dostrzegam, że się poruszyła.

Ellie obejmuje Mike'a za szyję.

Mój przyjaciel opiera się o koparkę i zamyka oczy.

– Już dobrze, kochanie – mówi. – Mamy cię. Mamy cię.

– Boże wszechmogący – mówi szeryf. – To jakiś cud. Doświadczamy cudu.

Nikt nie próbuje odebrać jej Mike'owi, dopóki nie przybiegają sanitariusze z noszami. Kiedy dziewczynka zostaje na nich ułożona i odjeżdża do szpitala wraz z eskortą wozów policji okręgowej, patrzę na szeryfa.

– Teraz na mnie kolej – mówię. Szeryf kiwa głową. – Obiecał mi pan. Jedziemy po moją rodzinę.

Wzdycha i ustawia kapelusz pod wygodniejszym kątem.

– W porządku. Zasłużył pan na to. Ruszajmy.

19

GWEN

Kiedy klikam przycisk pilota, żeby otworzyć regał i odsunąć go od tajnego przejścia, używam go jak tarczy. Nie wiem, czy pani Pall nie stoi w gabinecie, trzymając strzelbę. Owszem, mogłaby wywalić dziurę w książkach i regale, ale na lepszą osłonę nie mogę teraz liczyć.

Nie ma jej w tutaj. Zamykam przejście i czekam na odgłos blokującego się zamka.

Dopiero wtedy zerkam na kolekcję książek oprawionych w czerwoną skórę, stojących na półkach. Nic szczególnego, zwyczajne podręczniki do prawa, jakie można znaleźć w każdej kancelarii. Szczególnie *Praktyki i procedury kryminalne*, tomy od jeden do jedenaście, oraz *Przepisy sądowe stanu Tennessee*, tomy od jeden do trzy.

Wszystkie mają na grzbietach wypisany złotą czcionką rok 1982. Jedna wielka lipa, jak wszystko, co trzyma w domu Hector Sparks. To tylko żalodne muzeum sławy jego ojca. Prawdziwy prawnik miałby z pewnością bardziej aktualne książki na półkach. Ale nie Hector. Nic dziwnego, że potrzebował mojej pomocy z Vee.

Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jakie chore wydarzenia miały tu miejsce, skoro narodził się z nich potwór, którego zamknęliśmy w jego własnym lochu, czy kobieta, która mu pomaga. Służy mu. *Celeste. Pani Pall*. Nie wiem, kim ona jest ani dlaczego jest częścią tego wszystkiego. Nie umiem sobie wyobrazić, co mogło ją do tego skusić.

Ta kobieta jest tym, za kogo zawsze brała mnie Miranda Tidewell: świadomą uczestniczką zbrodni mężczyzny przeciwko kobietom.

A to sprawia, że robię się naprawdę wkurzona.

Kiedy otwieram drzwi gabinetu, słyszę kroki pani Pall. Ostre, krótkie stuknięcia drobnych obcasów na drewnianej podłodze. Wszystko jest takie eleganckie, czyste i doskonałe. Cała ta perfekcja okazała się jednak tylko kolejną maską, która okrywa zgniliznę.

Wychodzę z gabinetu na korytarz. Nie pamiętam, czy ta podłoga skrzypi. Muszę sobie przypomnieć, ale nic nie przychodzi mi teraz łatwo. Trzymam wyciągnięty pistolet. Jestem świadoma tego, że nie dysponuję żadną magiczną osłoną. Jeśli pani Pall wyjdzie z za narożnika ze strzelbą, wszystko sprowadzi się do lepszego czasu reakcji, a nawet jeśli zwyciężę w tym pojedynku, nie mam żadnej gwarancji, że ta kobieta nie zdmuchnie mnie przypadkowym ściągnięciem spustu, kiedy będzie umierać.

Podłoga nie skrzypi. Kiedy przemieszczam się ostrożnie, robię to w zupełnej ciszy. Zaglądam do bawialni. Pusto. Nikogo nie ma też na schodach prowadzących na górę.

Kroki pani Pall dobiegają z głębi domu. Tylko ja stoję w tej chwili pomiędzy moimi dziećmi a tą kobietą i tym człowiekiem w piwnicy. Jeśli przegram, one znikną. Connor... on zabije mojego syna. Nie jest mu do niczego potrzebny. Mojej córki pozbędzie się jednak w zupełnie inny sposób. Zdeprawuje ją i zniszczy, zmieniając w coś, co będzie dla niego najatrakcyjniejsze. Będzie żyła i umrze tam, w dole. A Vee, za którą też jestem teraz odpowiedzialna, jest równie krucha i delikatna. Do tego te dwie udręczone kobiety, które uwolniliśmy.

Nie mogę przegrać. Nie ma takiej opcji.

Pani Pall podśpiewuje cicho pod nosem, kiedy przemierzam jadalnię ze stołem dla tuzina gości. Drewno lśni, porcelana w szafkach jest czysta i w doskonałym stanie. Funkcją ozdoby pełnią tutaj wazon ze świeżymi kwiatami, które zostały zapewne ścięte dziś rano w ogrodzie, oraz zawieszona gardenia, której ciężki zapach drażni mnie w nozdrza. Dywan jest tu miękki i tłumi każdy krok.

Kobieta stoi w kuchni. Nie podoba mi się to. Kuchnie to śmiertelnie niebezpieczne miejsca, pełne broni. Coś gotuje się na piecu w garnku, którym mogłaby we mnie cisnąć. Do tego drewniany blok pełen noży. Tępe przedmioty, takie jak patelnie, wiszą na stelażu umieszczonym nad centralną wysepką.

W pomieszczeniu pachnie świeżo siekanym czosnkiem i gotowanym mięsem. Ten sam zapach co wcześniej, tyle że silniejszy.

Pani Pall jest odwrócona do mnie plecami. Przedstawia niemal idealny obraz gospodyni domowej z lat pięćdziesiątych, włącznie z takimi detalami

jak elegancko ułożone włosy, perły na szyi czy idealna kokarda z tyłu fartucha.

Wchodzę do pomieszczenia.

Podłoga trzeszczy.

Kobieta zastyga. Niestety, nie widzę jej rąk. Na całe szczęście dostrzegam jednak strzelbę, która stoi oparta w rogu trzy metry dalej. Celuję jej prosto w plecy.

– Koniec zabawy – oznajmiam. – Kobiety zostały wypuszczone.

– Gdzie jest mój brat? – pyta pani Pall.

Jej brat. Oczywiście. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek wyszła za mąż, a jeśli tak, to jak długo wytrzymał z nią ten mężczyzna.

– Nie musisz być wcale taka – mówię wprost. – Ja się zmieniłam. Ty też możesz. Cokolwiek ci się przytrafiło, możesz się zmienić.

– Nie masz najmniejszego pojęcia, co mi się przytrafiło. – Ramiona Celeste prostują się, wyobrażam sobie, jak unosi podbródek. Odwraca się na tyle spokojnie, żebym jej nie zastrzeliła. Ma podniesioną prawą dłoń i obraca się w tym kierunku.

Lewą ręką ciska nóż. Strzelam, ale próbuję również odskoczyć. Ta kobieta dysponuje tempem i umiejętnościami kogoś, kto ćwiczył takie ruchy. Nie panikuje, jest precyzyjna i dostosowuje się do moich ruchów.

Nóż wbija się głęboko w górną część mojego prawego ramienia. Czuję, jak trafia w kość i zatrzymuje się w niej. Najgorsze jest uderzenie, a nie sam ból, zdołała jednak pozbawić mnie możliwości strzelania. Próbuję mimo wszystko. Nie trafiam, a ogień, jaki przepływa przez moją rękę, sprawia, że drętwieją mi palce.

Upuszczam pistolet.

Co za idiotka ze mnie!

Nie pozwalam, by mnie to spowolniło, i rzucam się w kierunku strzelby. Kobieta jest niemal tak samo szybka, ale jej buty ślizgają się na wypolerowanej podłodze. Moje nie. Instynktownie chwytam strzelbę prawą ręką, a moje palce na przemian pulsują ogniem i lodem. Strzelba przewraca się z łoskotem, kiedy znów sztywnieje mi ramię.

Udaje jej się chwycić broń. Rzucam się na nią, przygniatając swoim ciężarem, i ciągnę wraz z bronią. Pani Pall szarpie się, próbując złapać

pryczepność obuwia. Opada na ręce i kolana i wydaje z siebie wrzask, który dosłownie mrozi mi krew. Przypomina upiora, który uwolnił się z grobu, kiedy rzuca się na mnie z ostrymi paznokciami.

Uderzam ją w twarz lewą ręką.

Upada do tyłu, a ja odpycham strzelbę nogą i znów na niej ląduję. Jest żyłasta i silna, ale ja jestem lepiej zbudowana. Zadaję jej jeszcze dwa ciosy, aż w końcu uwalnia się, przetacza i podnosi na nogi.

Oczekuję, że skoczy w stronę strzelby, ale nie robi tego. Biegnie w kierunku drzwi, którymi weszłam, i zgarnia z podłogi mój pistolet. Nie zatrzymuje się, żeby wystrzelić. Ucieka. Podnoszę strzelbę i sprawdzam ją. Dwie lufy, obie gotowe do strzału. Wypalenie z nich z moją sztywną ręką to zupełnie inna sprawa. Wiem, że nie powinnam wyciągać noża z ramienia na wypadek, gdybym miała rozcięte naczynia krwionośne. Nacisk ostrza w większości wszystko zamyka. Nie ma jednak mowy, żebym trzymała strzelbę w jednej ręce i strzelała w miarę dokładnie z nożem sterczącym z ramienia.

Odkładam broń na blat. Chwytam nóż, biorę wdech i wyszarpuję. Czuję, jak ostrze opuszcza kość i przez moją rękę przenika taki ból, że niemal uginają się pod mną kolana. Utrzymuję się na nogach i wrzucam nóż do zlewu. Krew wypływa z mojej rany, pulsując ciepłem. Kurwa. Jeśli nie obwiążę ręki, to już po mnie, ale muszę złapać panią Pall. Jeśli zejdzie do tej piwnicy...

Chwytam ręcznik do naczyń i przyciskam do rany. Przyływa kolejna fala bólu, ale tylko na chwilę, bo natychmiast uderza adrenalina, która ją odrzuca. Sięgam po strzelbę, kiedy słyszę, jak kobieta dociera do korytarza i kieruje się w stronę gabinetu brata.

Nie muszę jej łapać. Muszę ją tylko zatrzymać.

Wyciągam pilota i naciskam przycisk automatycznej blokady drzwi do gabinetu. Kiedy go chowam i biorę strzelbę, słyszę, jak kobieta wydaje z siebie pełen frustracji krzyk. Wypróbuję prawą rękę. Moje palce reagują – nie w sposób idealny, bo trzęsą się i są słabe, ale poradzą sobie. Muszą.

Ruszam jej śladem.

Nie jestem wystarczająco szybka – kiedy przecinam jadalnię, pani Pall

jest już na schodach i biegnie w stronę lewego skrzydła domu. Podążam za nią. Jeśli będę miała czysty strzał, skorzystam z takiej okazji. Muszę ją załatwić. Zrobię to.

Kiedy docieram do szczytu schodów, nigdzie jej już nie ma. Widzę długi, wąski korytarz z drzwiami po obu stronach. Niebezpieczny. Robię krok. Podłoga trzeszczy.

Ona mnie usłyszy.

Biorę głęboki oddech i biegnę, mijając dwoje zamkniętych drzwi.

Kobieta strzela z tych po lewej, zostawiając trzy postrzępione otwory i rozrzucając drzazgi na podłodze. Zatrzymuję się, przysuwam jak najbliżej ściany i staram się uspokoić. Przykucam i strzelam w stronę klamki, żeby doprowadzić do otwarcia drzwi. Boże, odrzut niemal rzuca mną o ścianę, a ból powraca w gęstych, czerwonych impulsach.

Kuchenny ręcznik jest już zupełnie przesiąknięty krwią, która kapie z jego obszycia na podłogę. Zaciskam go mocniej i wstaję.

Dostrzegam wewnątrz jasnej, różowo-pomarańczowej sypialni z rodzaju tych, które doprowadzają do ekstazy dwunastoletnie dziewczynki. Na ścianach stare plakaty z Madonną. Pluszaki. Omiotam lufą pomieszczenie, ale nie widzę jej tutaj.

Szafa. Albo pod łóżkiem. Może za drzwiami.

Sprawdzam tam. Nic. Jeśli jest pod łóżkiem, zaraz strzeli mi w nogi. Rozpędzam się i uderzam w łóżko, które przesuwają się po podłodze. Pod spodem nie ma niczego, nawet kotów z kurzu.

Pozostaje szafa.

Nie chcę tego robić, ale nie mam innego wyjścia. Zostałam tylko ja. A ta kobieta może szukać innej broni lub kolejnego pilota, który odblokuje gabinet i utoruje jej drogę do moich dzieci. Muszę ją powstrzymać. Była kiedyś dziewczyną, która lubiła Madonnę i pluszowe misie, ale to już niczego nie zmienia. Nie może zmienić.

Biorę kilka wdechów, gromadząc siły, które powoli zaczynają mnie opuszczać, po czym otwieram drzwi szafy.

To nie jest szafa, ale przejście do sąsiedniego pokoju. Tym razem pokoju należącego do chłopca, tak samo zamrożonego w czasie. Drzwi prowadzące na korytarz są otwarte. Zwabiła mnie w to miejsce, a potem uciekła.

Mojej uwadze nie umykają kajdany w narożnikach dużego łóżka. Zwisają i lekko się kołyszą, pokrywa je stara krew. Odwracam się i patrzę na łóżko za moimi plecami. Tam też są kajdany, zwisające ze słupków.

Co tu się wydarzyło? Nie wiem i nie próbuję sobie nawet wyobrazić.

Zaglądam pod chłopięce łóżko. Nic.

Podchodzę do pełnej dziecięcych ubrań szafy. Ciuszki należące do dziewczynki są po jednej stronie, do chłopca po drugiej. Wszystkie wyglądają na stare, mają co najmniej trzydzieści lat... ale jest jeszcze jedna część szafy. Nowsze ubrania, starannie ułożone na wieszakach. Para niebieskich dżinsów. Bezrękawnik. Flanelowa koszula. Para szortów w kolorze khaki.

Ubrania porwanych kobiet. To stąd pani Pall przyniosła ciuchy na zmianę dla Vee. Cóż za ponury żart.

Prawie mnie dopada, kiedy zamykam szafę. Zauważam ruch i kucam, a kula przebija drewno nad moją głową. Chcę odpowiedzieć wystrzałem, ale wiem, że zmarnuję nabój. Kiedy nacisnęła spust, już uciekała. Słyszę, jak jej buty stukają o podłogę korytarza. Potem odgłosy stają się bardziej stłumione.

Schodzi po pokrytych wykładziną schodach.

Idę za nią, gdyż wiem, że jeśli zmierza na dół, to dlatego, że znalazła sposób na dostanie się do piwnicy.

Kiedy jestem w połowie schodów, widzę, jak dochodzi do drzwi gabinetu.

Strzelam, ale chybiam celu.

Odrzut znów mną szarpie, poluzowuje kuchenny ręcznik, którego używam jako zatyczki do rany. Tym razem aż kręci mi się głowie i przez chwilę jestem otoczona mgłą. Podnoszę się powoli. To nie jest strzelba z łóżem do przeładowywania. Skończyły mi się naboje. Upuszczam ją i niezdarnie pokonuję resztę stopni. Skręcam za narożnikiem i widzę, że drzwi do gabinetu stoją otworem.

Pani Pall jest już przy regale i trzyma pilota.

Chwytam nóż do listów leżący na biurku Hectora Sparksa i wbijam go w jej plecy. Przechodzi na wylot i z drugiej strony pojawia się czerwony od krwi czubek. Kobieta krzyczy, puszcza pilota i odwraca się do mnie, by strzelić. Nie mam wyboru. Próbuję chwycić pistolet. Szarpiemy się przez

chwilę, kiedy nagle słyszę kliknięcie regału, który zaczyna się otwierać.

Nie! Teraz otwiera się jej droga do brata, a jeśli nie odbiorę jej broni, moje dzieci nie będą miały najmniejszych szans. Mgła robi się coraz gęstsza. Czuję, że moje ciało staje się ciężkie i powolne, a mózg wręcz przeciwnie – dziwnie lekki. W głowie pojawia się jednak obraz mojej córki zakutej w kajdany na dziewczęcym łóżku, dzięki czemu zbieram resztkę sił w słabnących mięśniach. W momencie, kiedy pani Pall pociąga za spust, wyginam jej rękę ostro do góry.

Kula wchodzi pod zuchwą i wylatuje na czubku głowy. Kobieta rozdziawia usta i nagle robi się bezwładna w moich ramionach. Patrzę w jej oczy i przez chwilę widzę niepewność. I strach.

Widzę dziecko.

– Przepraszam – mówię. Nie za to. Za wszystko, co sprawiło, że znalazła się w takim położeniu.

Nie mogę jej już utrzymać. Przewraca się, a ja lecę razem z nią. Wiem, że powinnam wstać, to bardzo silny impuls. Podo mną formuje się jednak gęsta, ciepła kałuża krwi, która wsiąka w drogi orientalny dywan. Nie wiem, czy to krew Celeste, czy moja, ale to już bez znaczenia.

– Mamo?

Ktoś mnie przytrzymuje. Czuję ból, wystarczająco silny, bym otworzyła oczy.

– Au.

– Zwiąż mocniej! – To głos mojego syna.

– Już. – To Lanny. Ból jest coraz gorszy. – Przepraszam, mamo, ale musimy zatamować krwawienie. – To naprawdę boli i staram się ich nawet powstrzymać. – Przytrzymaj ją!

Czuję na sobie kolejne dłonie. Podnoszę wzrok.

Widzę Sama, poważnego i spokojnego. Obok niego klęczy Connor. Obaj mnie przyciskają, kiedy moja córka zaciska skórzany pasek na grubym opatrunku z jakiegoś materiału. Chyba użyła własnej koszulki jako bandaża. Na górze ma tylko sportowy stanik.

Załóż coś, próbuję jej powiedzieć, bo nie chcę, by ktokolwiek był teraz tak odsłonięty, nie tutaj, nie w tym miejscu.

Za ich plecami drepcze mężczyzna w policyjnym mundurze i kapeluszu.

Rozmawia przez telefon.

– Cichutko – mówi Sam, przykładając mi dłoń do policzka. – Pomoc jest w drodze, Gwen. Dzieciom nic się nie stało. Wszyscy jesteśmy cali.

Wydaje mi się, że kłamie, ale nie mam siły się nad tym zastanawiać.

Odpywam.

EPILOG

GWEN

Cztery miesiące później

Poprawiam się nerwowo na sztywnym krześle i patrzę w nieruchome, szklane oko. Tym razem nie biorę udziału w *Howie Hamlin Show*.

To kamera, ale nie jest włączona. Stoi na półce wraz z kilkoma innymi przedmiotami. Narzędziami do pracy. Pracy, do której mam nadzieję dołączyć, jeśli przetrwam tę rozmowę.

– Zwykle zaczynam rozmowę słowami „proszę mi o sobie opowiedzieć” – mówi siedząca po przeciwnej stronie kobieta o pyzatej twarzy. Jest mocno opalona, taki sportowy typ, chciałoby się powiedzieć, choć nie pomyślała o tym, by pofarbować swoje siwiejące włosy. – W twoim przypadku nie będzie to jednak konieczne, ponieważ jeszcze nigdy w życiu nie widziałam aż tylu wyników w Google dotyczących kogoś, kto nie jest aktorem. Mimo to proszę: opowiedz mi o sobie, Gwen. Chcę poznać cię od twojej strony.

– To ostatnia rzecz, o jakiej chciałabym mówić – odpowiadam J.B. Hall. „J”, z tego, czego się dowiedziałam, nie oznacza niczego. „B” to Barbara, którego to imienia wręcz nie znosi. – Nie jestem aż tak skomplikowana. Chcę tylko, by moja rodzina była razem, zabezpieczona przed wszelkimi zagrożeniami.

– Zupełnie podstawowe informacje – mówi. – Choć one nie mają często żadnego większego sensu, prawda?

– W moim przypadku? Tak.

– Podziwiam cię za to, co osiągnęłaś – mówi J.B. – Nie chodzi mi o przetrwanie, choć to równie godne podziwu, ale o sprawy, które wypływały po drodze. Nie każdy tak sprawnie posługuje się instynktem. Ani motywacją. To imponujące.

– Nie robię tego sama.

– Wiem. Sprawy rodzinne, prawda?

– Mniej więcej. – Przykro mi, bo chciałabym powiedzieć, że tak. Chcę, by Sam był moją rodziną. Potrzebuję tego. I może tak się stanie. Są jednak rany, które muszą się zabiżnić dzięki upływowi czasu i miłości, zanim któreś z nas zechce to zalegalizować. Jesteśmy razem. Nie mogę powiedzieć, że wszystko jest między nami idealne. Jeszcze nie.

– Instynkty i poświęcenie to wszystko, co się liczy – mówi. – Całej reszty można się nauczyć. Przeszła już pani większą część kursu, prawda? – Na myśli ma dyplom niezbędny do uzyskania licencji prywatnego detektywa.

– Jestem gotowa w siedemdziesięciu pięciu procentach – odpowiadam. – Ukończę szkolenie do końca kwartału. Na tym etapie mogę zacząć jako niezależna firma lub dołączyć do jednej z istniejących.

– A dlaczego wybrała pani moją?

– Bo zarekomendowali panią White'owie. – Rodzice Ellie okazali się wyjątkowo wdzięczni za uratowanie dziecka, choć akurat ja nie miałam z tym wiele wspólnego. Ta kobieta była z nimi w telewizji tamtego strasznego dnia, kiedy wszystko zaczęło się sypać. Inteligentna, opanowana, kompetentna. Lubię ją. Chciałabym też, aby ona polubiła mnie, a to już zupełnie nowe odczucie.

– To dziwne, że mnie zarekomendowali – przyznaje – zważywszy na to, że niczego nie osiągnęłam w tej sprawie, a poradził sobie z tym pani przyjaciel, pan Cade.

– Lubię panią. Poza tym ma pani sporo dobrych opinii w Google, więc...

Śmieje się. Podoba mi się jej śmiech. Niski i szorstki. Kojarzy mi się odrobinę z Mirandą Tidewell, jednak ta nigdy się nie śmiała, a jeśli już, to tylko w sposób szyderczy. J.B. Hall ma w sobie coś z Mirandy, jednak jest to znacznie przyjemniejsza wersja. Zdrowsza. Może dlatego tu jestem i próbuję zadośćuczynić duchowi, który – nie mam co do tego żadnych wątpliwości – wciąż będzie próbował wciągnąć mnie do piekła.

Chryste, potrzebuję więcej terapii.

Siedzimy w biurze mieszczącym się w wieżowcu w Knoxville – tak wysokim jak samo Knoxville, czyli mniej więcej dwudziestopiętrowym. W agencji J.B. Hall panuje straszny ruch, przynajmniej za szybą szklanego prostokąta, w którym się znajdujemy. Kilkanaście osób rozmawia, chodzi, pracuje przy komputerach, a co najmniej drugie tyle pracuje w tej chwili

w terenie. To dobre miejsce, z dobrą energią.

– Proszę mi opowiedzieć o tym kulcie w Wolfhunter – mówi. – Tyle, ile pani wie.

– Zaczęło się w latach sześćdziesiątych – mówię. – Dziadek Carra otworzył tam coś na kształt kościoła. Początkowo przychodziło tam sporo ludzi, część odeszła. Ci, którzy pozostali, zostali wyznawcami, a dziadek Carra mianował się głosem Boga na ziemi. Zainicjował praktykę... szkolenia.

– Szkolenia kobiet – mówi J.B. – do roli doskonałych służących. Jego celem było oczyszczenie ich z grzechu pierworodnego. – Sprawia wrażenie zde gustowanej. – Cytuję tylko tekst, jaki znaleźli w jego posiadłości.

– Niektóre kobiety uciekły. Inne zmarły. Ale wystarczająco wiele pozostało. Dzieci wychowywano w... nie chcę nazwać tego wiarą. To był kult. – Znow czuję na sobie oko kamery, choć wiem, że nie jest włączona. – Ojciec Hectora Sparksa był jednym z nich. Wyszkolił swojego syna i córkę, choć po jego śmierci wyłamali się z kultu.

– Hector zaczął porywać kobiety przy pomocy siostry. Udawał, że je chroni, a przynajmniej tak wmawiał samemu sobie. – J.B. kiwa głową. – Straszne.

– Tak – przyznaję. – To wszystko było okropne.

– Zadbala pani u usunięcie swojego nazwiska z akt sprawy.

– Próbowałam. – Jak się okazało, nikt tak naprawdę nie miał ochoty na przypisanie rozwiązania sprawy niesławnej byłej żonie seryjnego mordercy, więc FBI, biuro śledcze Tennessee i szeryf okręgowy nie mieli problemu z zaproponowaniem do tej roli detektywa Fairweathera. Nie miałam z tym żadnego problemu, podobnie jak Sam.

– A... zarzuty wobec pana Cade'a?

– Komendant Weldon zeznał, że zorganizował zamach na Sama i mojego syna w zamian za ugode – odpowiadam. Nawet po takim czasie na samo wspomnienie gotuje mi się krew. – Zarzuty zostały wycofane. Dzięki Bogu.

– To dobrze. Rozumiem, że dokument na temat Melvina Royała został wstrzymany.

Odprężam się odrobinę.

– Obsesja Mirandy odeszła razem z nią. Uregulowanie spraw

majątkowych potrwa latami, nie mają więc funduszy, by kontynuować.

J.B. Hall prostuje się w fotelu i patrzy na mnie w ciepły, ale jednocześnie badawczy sposób.

– Naprawdę chcę tej pracy, J.B. – wyrzucam z siebie i choć to prawda, żałuję trochę tego bezpośredniego stwierdzenia.

– Będiesz w niej dobra. Jesteś pewna, że chcesz zostać w Stillhouse Lake? Mogę przygotować ci miejsce tutaj, w biurze. Znajdziesz dom w mieście.

Ona oferuje mi tę pracę. Mój Boże. Mimo wszystko nie czuję się przygotowana na coś takiego. Tak bardzo chciałam tej roboty, że zapomniałam, co zrobię, jeśli faktycznie ją dostanę.

Sam nie wyjechał, żeby przyjąć swoją wymarzoną pracę. Ja też nie mogę tego zrobić. Nie, jeśli mam zadbać o to, by wszystko się między nami ułożyło.

– Uznałam, że będę pracować zdalnie.

– Jeśli wolisz. Większość moich detektywów pracuje w domu lub na walizkach w trasie. Ci, których tutaj widzisz, to miejscowi, którym taki układ odpowiada. Co kto woli, jak czasami powtarzam. – Urywa na chwilę.

– Nosisz ze sobą pewien bagaż. Jestem świadoma, że możesz wnieść trochę... rozgłosu, zarówno dobrego, jak i złego. Są ludzie, którzy źle ci życzą lub chcą twojej śmierci, a to może być komplikacja, jakiej byśmy tutaj nie chcieli. Nawet większość tych, którzy pracowali jako stróże prawa, nigdy nie brało udziału w prawdziwej strzelaninie. Ty tak. I to jest cenne. Są takie przypadki, jak porwanie Ellie czy kobiet w piwnicy Hectora, w których nie ma mowy o rutynowej pracy. One wymagają bystrości i kreatywności. Moim zdaniem ty właśnie taka jesteś. Martwię się jedynie tym, że możesz przyciągać problemy, pozostając w Stillhouse Lake. Czytałam policyjne raporty. Miałaś tam jakieś zatargi z miejscowymi.

– Zgadza się – przyznaję. – Ale obiecałam dzieciom, że nie będziemy uciekać. Mają tam stabilne życie, przyjaciół, prawdziwy dom. Nie mogę im teraz tego odebrać.

– Wiesz, że być może będziesz zmuszona o to walczyć.

Uśmiecham się.

– A ty wiesz, że to tak naprawdę nic nowego.

Jeśli próbowała mi matkować, to właśnie przestaje to robić.

– Jak tam twoja prawa ręka?

Wyciągam ją przed siebie. Stabilna, żadnego drżenia. Zaciskam dłoń w pięść. Jest szybka, płynna i przekonująca. Fakt, że odczuwam przy tym ból, nie oznacza, że nie potrafię nieźle udawać.

– Doskonale – mówi. – Przejdziemy teraz do ważnych kwestii, takich jak opieka zdrowotna i świadczenia, ale muszę zadać ci jedno pytanie: jak twoim zdaniem powinniśmy potraktować dziennikarzy, którzy dowiedzą się o fakcie zatrudnienia ciebie?

A więc jednak. Mówi poważnie. Naprawdę oferuje mi pracę. Czuję, jak rozpiera mnie poczucie dumy. To takie... dziwne. Czy to szczęście, takie jakie odczuwają normalni ludzie? Nie przywykłam do czegoś takiego, szczególnie poza moją rodziną.

Ale to jest moje. To coś specjalnie dla mnie. I jest cenne, jak potrzeba oddychania powietrzem, o której nie wiedziałam.

– Wykorzystałabym tę kontrowersję – odpowiadam. – Słuchaj, zawsze będą istnieć ludzie darzący mnie nienawiścią. Nic na to nie poradzę. Zagubione Anioły, czyli grupa założona przez rodziny ofiar Melvina... – Przez Sama. To wciąż boli, ale to odległy i znajomy już ból. – Zagubione Anioły będą już do końca wierzyć, że mam coś wspólnego z jego zbrodniami. Zwolennicy teorii spiskowych są wszędzie. Ale ostatnio chyba się nauczyłam, że każdy z nas tworzy swoje własne piekło z przeszłości. Ja chcę użyć mojego, by pomagać innym. I mam nadzieję, że mi w tym pomożesz.

Uśmiecha się powoli i przytakuje.

Chyba spodobała się jej ta odpowiedź.

Mnie również.

Ścieżka dźwiękowa

Muzyka daje mi siłę. Nastraja mnie. Pomaga definiować charaktery i wprowadzać emocje w moich książkach. Jeśli należysz do czytelników, którzy są gotowi na muzyczne wyzwania, i jesteś jednym z szalonych eklektyków, posłuchaj tych utworów... i proszę, kupuj muzykę, jeśli tylko możesz. Artyści nie potrzebują jedynie rozgłosu, ale również prawdziwego mecenatu!

- *Year of the Tiger*, Myles Kennedy
- *I Get It My Way*, Paul Otten
- *The Angry River*, The Hat
- *Wicked Rain*, Los Lobos
- *How Do You Love*, Shinedown
- *You Want It Darker*, Leonard Cohen
- *Save Yourself*, Breaking Benjamin
- *Violet City*, Mansionair
- *I Feel Like I'm Drowning*, Two Feet
- *Devil*, Shinedown
- *Zombie*, Bad Wolves
- *Traveling Light*, Leonard Cohen
- *Miracle*, CHVRCHES
- *Glitter & Gold*, Barns Courtney
- *White Flag*, Bishop Briggs
- *Dark Country*, Dominic Marsh & Paul Miro
- *Copycat*, Billie Eilish
- *Blue on Black*, Five Finger Death Punch
- *Blood // Water*, grandson
- *Dangerous*, Royal Deluxe
- *Unstoppable*, The Score

- *Rise Up*, Extreme Music
- *Hit and Run*, LOLO
- *Dangerous* (Left Boy remix), Big Data
- *Crossfire*, Stephen
- *Crossfire, Pt. II* (feat. Talib Kweli & KillaGraham), Stephen
- *Crossfire, Pt. III* (feat. Saba, Ravyn Lenae, The O'Mys, & J.P. Floyd),
Stephen
- *Self-Inflicted Wound*, Joe Bonamassa
- *Closure*, Dommin

Tytuł oryginału: *Wolfhunter River*

Text copyright © 2019 by Rachel Caine, LLC

This edition is made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, www.apub.com, in collaboration with GRAAL, SP. Z.O.O.

Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Zdjęcie na okładce: © Nilufer Bain/Arcangel

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska

Korekta: Agnieszka Czapczyk

Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-809-4

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl